

DRUGI TOM CYKLU *THE WITCH HUNTER*

THE
KING
SLAYER

KRÓLOBÓJCZYNI

VIRGINIA BOECKER

VIRGINIA BOECKER

THE
KING
SLAYER
KRÓLOBÓJCZYNI

Przełożył
Grzegorz Komerski



Tytuł oryginału: *The King Slayer*

Redakcja: Barbara Syczewska-Olszewska

Korekta: Paweł Gabryś-Kurowski

Skład i łamanie: Ekart

Jacket art by kid-ethic.com

Jacket design by Marcie Lawrence

Jacket © 2016 Hachette Book Group, Inc.

Copyright © 2016 by Virginia Boecker

By arrangement with the author. All rights reserved

Map art © 2016 James Madsen

Polish language translation copyright © 2016 by Wydawnictwo
Jaguar Sp. Jawna

ISBN 978-83-7686-526-3

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

youtube.com/wydawnictwojaguar

instagram.com/wydawnictwojaguar

facebook.com/wydawnictwojaguar

snapchat: jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Dla Hollanda i Augusta





Rozdział 1

Siedzę na skraju łóżka i czekam, bo nastał dzień, którego nadejścia obawiałam się już od kilku miesięcy. Rozglądam się po pokoju, chociaż nie ma tu zbyt wielu rzeczy, którymi mogłabym zająć myśli. Wszystko jest białe: białe ściany, białe zasłony i kominek z białego kamienia. Nawet meble są białe – łóżko, szafa i niewielka toaletka z lustrem. Przy pochmurnej pogodzie ten całkowity brak barw pomaga ukoić nerwy. Jednak teraz, gdy mamy jeden z rzadkich zimą słonecznych dni, jasność staje się przytłaczająca.

Ktoś łagodnie puka do drzwi.

– Proszę! – wołam.

Skrzypią zawiasy i w wejściu pojawia się John. Opiera się ramieniem o futrynę i przez chwilę spogląda na mnie w milczeniu. Czoło przecina mu głęboka zmarszczka.

– Jesteś gotowa? – pyta.

– Myślisz, że to ma jakiegokolwiek znaczenie?

John wchodzi do pokoju i siada obok mnie. Wydaje się lekko onieśmielony. Ubrał się bardzo porządnie. Włożył świeżo wykrochmalone niebieskie spodnie i również niebieski płaszcz. Spod płaszcza wystaje biała koszula, jakimś cudem wcale niewymięta. Włosy Johna jak zwykle skręcają się w loki, lecz zdołał je poskromić. Wygląda tak, jakby wybierał się na potańcówkę czy świąteczne spotkanie z rodziną. A przecież czeka nas coś zupełnie innego.

– Poradzisz sobie – podejmuje. – Wszyscy damy sobie radę. Będzie dobrze. A jeśli zmuszą cię do wyjazdu, cóż... – Uśmiecha się, aczkolwiek ten uśmiech nie rozświetla oczu. – Iberia jest piękna nawet o tej porze roku. Pomyśl tylko, jak świetnie moglibyśmy się bawić.

Kręcę głową. Czuję się winna. To przeze mnie John musi udawać,

że nie wydarzy się dziś nic poważnego. A to nieprawda – czeka mnie przesłuchanie przed radą. Stanę twarzą w twarz z własnymi występkami, zarzucą mi zdradę wobec Harrow.

Pierwsze wezwanie otrzymałam w tydzień po balu maskowym u Blackwella, po którym John z Peterem przywieźli mnie do swojego domu. Tydzień po odkryciu przez nas planu Blackwella. Chciał przejąć tron, korzystając z armii setek czarownic i czarowników, których osobiście pomagałam mu chwycić. Tydzień od czasu, kiedy przekazałam Johnowi znamię – tę czarną jak atrament, wyrysowaną na moim brzuchu eleganckimi znakami liczbę XIII; symbol, który dodawał mi sił i pozwalał szybko dochodzić do zdrowia po odniesieniu ran. Tydzień od dnia, w którym omal nie umarłam.

Nie byłam wtedy przytomna. Nie byłam również przytomna, kiedy nadeszło wezwanie drugie i trzecie. W sumie, zanim otworzyłam oczy, otrzymałam ich sześć. Kolejne pół tuzina przysłało, zanim zdołałam wykonać pierwszy samodzielny krok. Wzywano mnie raz lub dwa razy na tydzień, aż położył temu kres Nicholas – złożył członkom rady obietnicę, że stanę przed ich obliczem, gdy tylko w pełni wyzdrowieję.

Dojście do siebie zajęło mi dwa miesiące.

Przez ten czas żyłam w cieniu nadchodzącego przesłuchania. To były dwa miesiące wypełnione myślami o przyszłości, o tym, co się ze mną stanie. Mało prawdopodobne, by rada zezwoliła mi tu zostać i spokojnie żyć. Za taki luksus musiałabym zapewne w jakiś sposób zapłacić. Peter obstawia, że uczynią ze mnie swoją zabójczynię. John uważa, iż zrobią ze mnie szpiega. Ja jednak myślę, że czeka mnie wygnanie: dostanę godzinę na spakowanie się, a potem odwiozą mnie na granicę Harrow i wydalą, zabraniając kiedykolwiek wracać.

– Nie możesz ze mną wyjechać. Nawet jeśli rada skaże mnie na banicję – zauważam. – Pomyśl o Fifer, o ojcu i pacjentach. Nie wolno ci ich porzucić.

– Przecież już o tym rozmawialiśmy. – John wstaje z łóżka.

Prawdę powiedziawszy, mówił tylko on, ja ograniczyłam się do protestowania.

– Widzisz, myśl o rozstaniu z nimi bardzo mi się nie podoba, ale na rozłąkę z tobą nie zgodzę się za żadne skarby – dodaje. – Zresztą, nie ma

o czym dyskutować, i tak do tego nie dojdzie. Nicholas nie pozwoli im ciębie wyrzucić. – Bierze mnie za rękę i zachęcająco lekko pociąga. – Chodź, miejmy to już za sobą.

Opornie podnoszę się z materaca. Ja również jestem dzisiaj elegancko ubrana. Włożyłam nową sukienkę – prezent od Fifer. Spódnica z połyskliwego bladoniebieskiego jedwabiu, stan w lekko ciemniejszym odcieniu błękitu, ozdobiony wytłaczanym deseniem i obszyty srebrną nicią i białymi perełkami. To najładniejsza sukienka, jaką kiedykolwiek miałam na sobie. Fifer postanowiła zmienić moją fryzurę. Zaplotła mi spływający po ramieniu wyrafinowany warkocz. Chciałam mieć rozpuszczone włosy, lecz przyjaciółka okazała się nieugięta.

– Z warkoczem wyglądasz na czternastolatkę – zauważyła – a im młodziej się prezentujesz, tym bardziej niewinne sprawiasz wrażenie. Jestem przekonana, że rada zastanowi się dwa razy, zanim postanowi skazać dziewczynkę na wygnanie.

John unosi dłoń i lekko ujmuję mój warkocz. Gładzi go, obraca w palcach. Czując to, przymykam powieki. Stoimy blisko siebie. Kiedy na powrót otwieram oczy, widzę, że wpatruje się we mnie bardzo uważnie. Zdaję sobie sprawę, że odpowiadam mu tym samym.

Czar pryska, gdy na korytarzu rozlega się charakterystyczne chrząknięcie. John odsuwa się ode mnie i zaraz potem w progu pojawia się Peter. Na jego twarzy, naznaczonej przez życie głębokimi zmarszczkami, maluje się troska. Podobnie jak John, pirat wygląda dziś inaczej niż zwykle. Starannie przyczesał ciemne kręcone włosy i schludnie przystrzygł czarną brodę. Jest świeżo wykąpany, ma wykrochmalone i wyprasowane ubranie. W zasadzie gdyby nie wiszący u jego boku miecz – szerokie ostrze, zakrzywiona rękojeść, ulubiona broń morskich rozbójników – mogłabym go nie poznać.

Obrzuca nas oceniającym spojrzeniem.

– Brawo, brawo. Oboje wyglądacie jak trzeba. Przyjemni dla oka, ale nie wymuskani. Pachnący, ale bez przesady z wonnościami. – Pochyliła się ku nam, zauważa coś w naszych obliczach. – Moglibyście się przyłożyć i przybrać trochę bardziej poważne miny. Na świętowanie będzie czas potem, rozumiemy się?

Cofam się o krok od Johna, ale on po prostu parska śmiechem i wznosi oczy do góry.

– Powinniśmy ruszać – ciągnie Peter. – Dobrze będzie stawić się jak najwcześniej. Nie mamy pojęcia, jak będą nastawieni ludzie.

Na dźwięk słowa „ludzie” żołądek skręca mi się w ciasny węzeł. Lękam się tego, odkąd otrzymałam wezwanie. Boję się stanąć przed mieszkańcami Harrow, boję się ich opowieści. Mogę usłyszeć, że ja – lub któryś z moich dawnych kompanów – zabił jednego z ich bliskich; że ja – lub któryś z moich dawnych kolegów – zniszczył całe ich życie.

Na dole John pomaga mi narzucić płaszcz. Długi, uszyty z niebieskiej wełny i obrębiony króliczym futerkiem – to również prezent od Fifer. We troje wychodzimy z domu prosto na przenikliwy chłód. Powiewy lutowego wiatru kąsają nam twarze i pozbawiają policzki czucia.

Dom Johna i Petera (ze względu na zamontowane przy ścianie stodoły wielkie koło wodne ochrzczone Młynem) stoi na skraju wioski Whetstone, w północnym Harrow, u kresu wąskiej bitej drogi, biegnącej brzegiem leniwie płynącej rzeczki. Dzisiaj, jak zwykle zresztą, panuje tu cisza i spokój. Słychać jedynie plusk ociekającej z łopat młyńskiego koła wody i kwakanie pary dzikich kaczek, które domagają się od nas poczęstunku.

Młyn jest uroczą posiadłością. W przeszłości składały się na nią trzy oddzielne mniejsze domki, które Peter z czasem połączył w jeden większy. Całość sprawia nieco chaotyczne wrażenie. Frontowa część domu jest niska i długa. W ścianach z brązowego kamienia otwierają się podniszczone niebieskie drzwi i spore okna o błękitnych szybach. Środkową część, zbudowano z kolei z czerwonej cegły. Fasadę zdobią niewielkie okna, nad którymi wyciąga się pod niebo ceglany komin. Najdalsza część Młyna, w której znajduje się moja sypialnia, cieszy oko ciemnoszarą cegłą i słomianą strzechą. Otacza ją bujny zielarski ogród Johna. Opowiadał mi, że wiosną gnieździ się tam mnóstwo ptaków. Między ziołami aż gęsto wtedy od gniazd i piskląt. Bezustanny, niemilkący śpiew podobno nie daje mieszkańcom spokoju.

Powracają do mnie dręczące pytania: Czy wiosną wciąż będę z nimi mieszkać? Czy Młyn będzie jeszcze wtedy na swoim miejscu? A

całe Harrow?

Z Whetstone na miejsce przesłuchania, do Hatch End, mamy godzinę drogi piechotą. Peter wyjaśnił, że zgodnie z tradycją posiedzenia rady odbywają się w domu przewodniczącego. Obecnie Nicholas nie piastuje już tego stanowiska – pełnienie obowiązków uniemożliwiła mu choroba. Teraz radą kieruje niejaki Gareth Fish. Widziałam go raz w życiu, właśnie u Nicholasa – wysoki, kościsty i blady jak trup. Zawsze ubrany na czarno. Peter twierdzi, że to człowiek uczciwy, aczkolwiek nieco nadgorliwy. John i Fifer nie wyrazili o nim żadnej opinii, ale ich wymowne milczenie powiedziało mi wszystko, co powinnam wiedzieć.

Ścieżka prowadzi przez pofalowane łąki. Mijamy podniszczone przez wiatry i deszcze drewniane drogowskazy, których strzałki wskazują składające się na Harrow, pomniejsze siedliska. Theydon Bois – 3,2 mile. Mudchute – 17 mil. Hatch End – 3,7 mil. Nazwa Upminster – 62 mile została przekreślona czarnym krzyżem, a czyjaś niewprawną ręką dopisała pod spodem trzy słowa: „Droga do piekła”.

Gdzie nie spojrzę, widać, że zima rozgościła się w okolicy na dobre. Ziemię porośniętą kępkami zbrązowiałej trawy i podobnego odcienia odległe wzgórza pokrywają białe plamy śniegu. Nagie drzewa wyglądają jak umarłe. Z kominów licznych farm snują się pod chmury wstęgi dymu. Owce, krowy i konie zbijają się w ciasne, milczące i rozdygotane stada. Zwierzęta próbują się ogrzać w promieniach bladego słońca.

Z pozoru pejzaż tchnie spokojem, lecz gdzieś pod powierzchnią wyczuwam napięcie: wieś się przyczaiła i czeka.

– Nicholas i Fifer spotkają się z nami na miejscu – w mroźną ciszę wdziera się głos Petera. – Zastanawialiśmy się, czy nie zaprosić też Schuylera, ale uznaliśmy, że nie warto ryzykować. Lepiej uniknąć skojarzeń jego, powiedzmy, kapryśnej przeszłości z twoją osobą.

Schuyler. Zjawa. Człowiek, który powrócił zza grobu. Nieżywy i nieśmiertelny zarazem, obdarzony niezwykłą siłą i mocą. Uratował Nicholasa. Pomógł mi zniszczyć tablicę uroku, z pomocą której Blackwell chciał zgładzić Nicholasa. Schuyler ocalił życie nam wszystkim – wyprowadził nas z pałacu Blackwella i bezpiecznie pokierował na czekający już okręt Petera. Nie wolno jednak zapominać,

że pomimo tego wszystkiego Schuyler nie przestał być kłamcą, łotrem i złodziejem. Co prawda, pirat wyraził się oględnie, ale chodziło mu o to, że przeszłość Schuylera pełna jest przemocy i tajemnic. Zupełnie jak moja.

– Co do George’a – mówi dalej Peter. – Napisał fantastyczny list, który zostanie dołączony do materiału dowodowego. Oczywiście przedstawił cię w jak najlepszym świetle.

W czasie gdy uzurpator Blackwell przejął tron i uwięził króla Malcolma, lecz jeszcze nie zdążył zamknąć granic Anglii, George – niegdyś szpieg w przebraniu królewskiego błazna – zdążył wsiąść na statek płynący do Galii. Ma się tam spotkać z tamtejszym władcą i poprosić go o żołnierzy i broń. Nie ulega wątpliwości, iż wcześniej lub później, prawdopodobnie wcześniej, Blackwell zaatakuje Harrow. Mieszka tu zbyt wielu ludzi potężnych na tyle, by pokrzyżować mu plany. Dopóki Harrow istnieje, dopóty jest zagrożona pozycja Blackwella – niepewnego władcy na chwiejnym tronie.

– Jest jeszcze Nicholas – ciągnie Peter. – Rzeczywiście po ostatnich wydarzeniach – macha zdawkowo ręką, lecz wiem, że ma na myśli mnie – nieco zmalął w sensie politycznym, ale wciąż posiada spore wpływy w kręgach dawnych reformistów. Naturalnie, w radzie zasiadają też osoby, które twierdzą, że to działania Nicholasa pozwoliły Blackwellowi przejąć władzę. Gdyby nie uparł się pomóc tobie, nie starał się za wszelką cenę uratować ci życia... – w tym momencie Peter zerka na Johna, który krzywi się nieładnie – ... moglibyśmy mieć szansę na powstrzymanie przewrotu.

Koncepcja wydaje mi się tak absurdalna, że o mało nie wybucham śmiechem.

– Przecież Blackwell planował to wszystko od lat – przypominam. – Być może od dekad. Od kiedy wywołał epidemię zarazy, która zabiła króla i królową, a także moich rodziców i połowę mieszkańców kraju.

Peter unosi dłonie w pojednawczym geście. Jednak nie milknę.

– Nawet gdybyście o wszystkim wiedzieli, w niczym byście mu nie przeszkodzili. Powiedziałabym to samo, zanim jeszcze stało się jasne, że Blackwell jest czarownikiem.

Myślę o człowieku, którego kiedyś znałam, a raczej wydawało mi

się, że znam. Dawniej był inkwizytorem poświęcającym życie zniszczeniu i wypłenieniu wszelkich przejawów magii, a jednocześnie snującym tajne plany i okłamującym własnego władcę. Wykorzystał mnie, Caleba i wszystkich pozostałych łowców czarownic. Chwytałyśmy dla niego magów i wiedźmy po to tylko, by mógł stworzyć z nich armię, obalić króla – swojego bratanka – i przejąć władzę w Anglii.

– Nie znacie Blackwella tak dobrze jak ja – podkreślam. – Nie macie pojęcia, do czego jest zdolny.

Przystaję i teraz zamiast drzeć na chłodzie, pocę się pod wełnianym płaszczem. John lekko ściska moją dłoń i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że podniosłam na Petera głos.

– Rozumiem – odzywa się pirat. – Rada też musi to zrozumieć. Muszą się dowiedzieć, co zrobił Blackwell, muszą się dowiedzieć o wszystkim. Przy odrobinie szczęścia pozwoli nam to przeniknąć jego plany na przyszłość.

Tę strategię omawialiśmy już niezliczoną ilość razy. Nicholas chce, żebym wystąpiła przed radą i opowiedziała im o tym, o czym mówiłam dotąd tylko jemu jednemu i nikomu więcej. O swoim szkoleniu, o tym, jak zostałam łowczynią czarownic, o Calebie...

Caleb.

Czuję w brzuchu silny, bolesny skurcz. Taki właśnie, jaki pojawia się zawsze, gdy o nim myślę. A myślę o nim często... Wspominam chwilę, kiedy podniosłam miecz, by zgładzić Blackwella, a Caleb zasłonił go własnym ciałem. Zamiast Blackwella, zabiłam Caleba. On chciał się mnie pozbyć, teraz to rozumiem. Widział we mnie przeszkodę, która stała na drodze realizacji jego rozbuchanych ambicji. Niemniej ta świadomość nie wystarcza, by uciszyć pożerające mnie od wewnątrz wyrzuty sumienia, dręczące mnie codziennie przez dwa miesiące, które minęły od jego śmierci.

– ...i to wszystko – kończy Peter. – Niczego więcej nie musisz mówić. Wiem, że rozmawialiśmy o tym już ze sto razy, ale naprawdę jest ważne, żebyś była odpowiednio przygotowana.

Potakuję skinieniem głowy, mimo iż nie dotarło do mnie ani jedno jego słowo. Zawsze, kiedy porusza ten temat, moje myśli ulatują ku Calebowi i zamykam się na cały świat.

Resztę drogi pokonujemy we względnym milczeniu. Jestem za bardzo zdenerwowana, by rozmawiać, Peter jest zbyt spięty, a John nazbyt zmartwiony. Idzie obok mnie, ściąga brwi i raz po raz przeczesuje włosy dłonią, aż w końcu te starannie ułożone rano loki rozsypują się na wszystkie strony. W tej bezładnej fryzurze wygląda chłopięco, z pewnością nie na swoje dziewiętnaście lat.

Dróżka przed nami zaczyna się zwężać, przeciska się pomiędzy rosnącymi po bokach drzewami. Pnie są wysokie i sękaty. Pozbawione liści gałęzie wiją się i splatają niczym palce, tworząc nad naszymi głowami swoisty baldachim, rzucający cień na wilgotną ziemię i przesłaniający niebo.

– Uważajcie tutaj. – Peter wskazuje powalony pień, leżący na samym środku ścieżki. – Latem te drzewa wyglądają prześlicznie, ale gdy tylko spadną pierwsze zimowe deszcze, co najmniej połowa się przewraca... Mocno to irytu... Rany Boskie!

John gwałtownie wciąga powietrze. Podnoszę wzrok i widzę setki, może nawet tysiąc ludzi. Czekają przy drodze do domu Garetha. Przez moment wszyscy troje stoimy jak wryci, wpatrując się w oblicza mężczyzn i kobiet, na których maluje się cała paleta emocji. Od zaciekawienia przez odrazę aż po nienawiść.

Przepychamy się naprzód, drżąc pod wełnianymi płaszczami, kapeluszami, szalikami i rękawicami. Nie poznaję żadnego z tych ludzi, lecz dobrze znam takie spojrzenia, sposób, w jaki ich oczy omiatają moje zbyt eleganckie odzienie – sukienkę i płaszcz. Nagle cały wysiłek, jaki Fifer włożyła w to, bym wyglądała porządnie i niewinnie, okazuje się dla tych gapiów w najlepszym razie farsą, w najgorszym – obrażą. Nie jestem tutaj u siebie i oni wszyscy dobrze o tym wiedzą.

– Głowa do góry – szepce Peter. – Masz minę winowajcy.

– Bo czuję się winna – odpowiadam.

– Uczucie a jego okazywanie to dwie zupełnie różne sprawy – zauważa Peter. – Patrzcie, tam stoi Gareth. Wprowadzi nas do środka.

Bezkresne morze ludzi urywa się pod niskim kamiennym murkiem, otaczającym dom Garetha. To piętrowy budynek z cegły w kolorze piaskowca, otoczony ze wszystkich stron zadbanymi ogródkami, w których wszystkie rośliny zabezpieczono słomą przed zimowymi

chłodami. Z jednej strony dom graniczy ze zboczem wzgórza, gęsto porośniętym ciemnymi mocnymi drzewami, z drugiej znajduje się katedra. To oddzielna budowla, lecz wzniesiona z identycznej piaskowej cegły. Świątynię okala żelazny parkan, w którym otwiera się wysoka brama, a przed wejściem rozłożył się stary cmentarz, pełen niszczących nagrobków. Nieregularnie spękane płyty i krzyże. Wszystko omszałe i murszejące.

Gareth, odziany w czarną szatę radcy, z wyhaftowanym na przedzie czerwono-pomarańczowym symbolem reformistów, rusza ku nam rażnym krokiem. Wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętałam – jest patykowaty i siwy. Bładoniebieskie oczy pobłyskują zza okularów w drucianych oprawkach. Podaje rękę Peterowi, a potem wita się z Johnem, który ściska jego dłoń bez większego entuzjazmu.

– Ufam, że dotarliście bez większych niespodzianek? – zagaja Gareth.

– Widzisz przecież – mruczy pod nosem John.

Peter obrzuca syna ostrym spojrzeniem, lecz John nie zwraca na niego uwagi.

– Bez niespodzianek – potwierdza. – Chociaż myślę, że to raczej zasługa przypadku niż ludzkich zamiarów. Zdaje mi się, że chciałeś, by przesłuchanie odbyło się w kameralnej atmosferze, tymczasem mam wrażenie, że przyszli wszyscy mieszkańcy północnego Harrow.

Gareth odpowiada słabym, lekko przepraszającym uśmiechem.

– W Harrow wieści rozchodzą się błyskawicznie. Dobrze o tym wiesz. Zwłaszcza wieści tej wagi – zauważa.

Spogląda na tłum napierający tak bardzo, że praktycznie otacza nas ze wszystkich stron. Gapie zamilkli. Stojący w dalszych rzędach wyciągają szyje, próbują wychwycić słowa Garetha, który wyjaśnia:

– Wiele osób dopiero teraz dowiedziało się o chorobie Nicholasa. To naturalne, że przejęli się jego losem. W końcu to popularna osobistość. – W tym momencie uśmiech Garetha przygasa. – Jestem też pewien, iż wielu jest wdzięcznych Elizabeth za darowanie mu życia.

– Ona mu nie darowała życia, ona je ocaliła. – W tonie Johna słychać irytację. Ojciec kładzie mu dłoń na ramieniu, lecz on i na to nie zwraca większej uwagi. – A skoro ludzie są jej tak bardzo wdzięczni, to

dłaczego musimy uczestniczyć w przesłuchaniu?

– Obawiam się, że przepisy nie wyglądają tak, jak ci się wydaje. – Gareth rozkłada ręce, jakby nie miał wpływu na postępowanie rady, jakby nie był jej przewodniczącym. – Przesłuchania zarządza rada, nie mieszkańcy. Aczkolwiek jestem pewien, iż podczas głosowania zdanie ludzi zostanie wzięte pod uwagę.

W żadnym z wbitych we mnie spojrzeń nie jestem w stanie dostrzec czegokolwiek choćby zbliżonego do wdzięczności.

– Tak czy inaczej, wszyscy radcy czekają wewnątrz. Możemy już iść? – Gareth wskazuje nie na swój dom, lecz na gmach katedry. – Biorąc pod uwagę liczbę zebranych, musieliśmy zmienić miejsce obrad. Rozumiem, że nie macie nic przeciwko?

– A gdybyśmy mieli, to co? – warczy John.

– Nie mamy zupełnie nic przeciwko – rzuca wesoło Peter. – Chodźmy.

Gareth prowadzi nas ścieżką do bramy świątyni, tłum wciąż jest blisko, napiera z tyłu. Przewodniczący otwiera bramę i rusza żwawo do drzwi. Czarny płaszcz rozdyma się za nim niczym burzowa chmura. Peter zmierza za nim zdecydowanym krokiem, lecz ja się waham. Zmienacka opadają mnie złe przecucia. Te wszystkie bramy i wrota tak bardzo podobne do tych w Ravenscourt – wysokie i groźne. Ten tłum tak bardzo przypominający wściekłą ciżbę, zbierającą się przed tamtejszym pałacem. Wieńcząca katedrę wieża to z kolei wyciągnięty oskarżycielsko palec sędziego. A nagrobki – ławnicy szykujący się do wydania wyroku.

– Spokojnie, niedługo będziesz to mieć za sobą – szeptem mi na ucho John.

Na plecach czuję kojący dotyk jego mocnej dłoni.

Odwracam się do niego i wtedy to widzę: raptowne poruszenie, rozmyta w ruchu sylwetka w czerni. Słyszę znajomy dźwięk – skrzypnięcie drewna, jakie wydaje naprężony konopną cięciwą kawałek cisu. Gotowy do strzału łuk. Okrzyk wyrywa mi się z ust dokładnie w chwili, gdy pierzasty pocisk przeszywa gardło mężczyźnie stojącemu tuż obok Johna.



Rozdział 2

Trafiony otwiera szeroko usta, szok miesza się na jego twarzy z przerażeniem. Z rany w szyi tryska fontanna krwi, zalewająca koszulę, zanim jeszcze ciało padło z głuchym odgłosem na ziemię, bezwładne jak worek z rzepą.

Dokoła rozlegają się wrzaski. Kolejna strzała – nie, dwie strzały – rozcinają powietrze. Pada następny mężczyzna, zaraz potem – kobieta. Peter wyszarpuje miecz z pochwy, wolną ręką wskazuje katedrę.

– Dalej! Do środka! Oboje! Błyskiem! – Wymija nas pędem, wyskakuje za bramę i znika w tłumie.

John chwyta mnie za ramię żelaznym uściskiem i ciągnie ścieżką naprzód. Wyprzedzamy stłoczonych, krzyczących ludzi. John otwiera pchnięciem wrota katedry i ukazuje się nam stojąca na progu Fifer – blada i śliczna w szmaragdowozielonej sukience. Włosy ma splecione w ciasny koczek.

– Co się dzieje? – W jej zazwyczaj szorstkim głosie pojawia się piskliwa nuta strachu. – Słyszałam jakieś wrzaski...

– Atakują nas. – John wpycha mnie do wnętrza. Oblewają go strumienie tłoczących się ludzi, rozdzielają nas. Wypuścił mnie z uścisku i zniknął przed świątynią. – Zostańcie w środku! – dolatuje mnie jego wołanie. – Nie wychodźcie pod żadnym pozorem!

– John!

– Zostańcie w środku! – powtarza.

Słyszę go, lecz nie widzę. Raz jeszcze wołam go po imieniu, lecz rozpląnął się na dobre w tłumie.

Przemykam wzdłuż tylnej ściany katedry i dalej, boczną nawą, w stronę transeptu. Fifer depcze mi po piętach. Ludzie wypełniają główną nawę i przestrzenie między ławkami. Z krzykiem przepychają się jeden

przez drugiego.

– Gdzie Nicholas?! – wołam.

– Z członkami rady! – odpowiada równie głośno Fifer. – Przed przesłuchaniem zebrali się w krypcie. Mieli wyjść dopiero wtedy, kiedy się pojawisz.

Zatrzymuję się przy łukowato sklepionym, wysokim oknie, wychodzącym na cmentarz. Kilkunastu ludzi, wśród nich John i Peter, stoi tuż za bramą. Peter wciska synowi miecz do ręki i rozbiegają się, zanim dociera do mnie, co się dzieje, nim mam szansę pogodzić się z widokiem uzbrojonego Johna.

Zrzucam z ramion płaszcz i pozwalam mu opaść na posadzkę. Podnoszę przód spódnicy i oddzieram szerokie pasmo.

Zdjęta grozą Fifer otwiera szeroko usta.

– Co robisz?

– A jak myślisz? – odrzucam tkaninę kopnięciem. – Chcę pomóc.

– To widzę, ale dlaczego niszczysz moją sukienkę?

Gromię ją spojrzeniem.

– Nie możesz tam wyjść. – Fifer zmienia taktykę. – To niebezpieczne. – Rozgląda się ukradkiem dokoła, lecz kłębiący się ludzie nie zwracają na nas uwagi. A nawet gdyby zwracali, nie usłyszeliby wśród ogólnego jazgotu ani słowa. – Możesz zginąć.

– Właśnie dlatego potrzebuję broni – odpowiadam. – Ktoś tutaj na pewno przyszedł uzbrojony. Muszę zdobyć miecz lub noże, ale zadowolę się czymkolwiek.

Fifer krzywi się z wahaniem. Ostatecznie jednak zadziera rąbek ciężkiej aksamitnej spódnicy i wciska się w tłum. Odwracam się z powrotem do okna. Strzały fruują we wszystkie strony; mężczyźni – nie widzę ich wyraźnie, nie wiem, kto to – przemykają między drzewami, za żywopłotami, wśród nagrobków. Krzyki słychać na zewnątrz i w katedrze. Nie mam pojęcia, co się dzieje.

Po kilku chwilach wraca Fifer. W dłoni trzyma kilka noży o srebrnych trzonkach. Podaje mi jeden po drugim, rękojeścią naprzód.

– Nie wiem, czy o takie ci chodziło – mówi – ale musiałam je ukraść, więc nie chcę słyszeć narzekań.

Czując w dłoni krzepiący chłód i ciężar metalu, uśmiecham się

przelotnie. Podnoszę oderwany kawałek tkaniny i przewiążuję się nim w pasie. Zatykam za ten prowizoryczny pas noże, podchodzę do niewielkich drzwi obok okna i odsuwam rygiel.

– Kiedy wyjdę, zamknij – zwracam się do Fifer – a potem nikomu nie otwieraj.

– Tylko nie zrób jakiegoś głupstwa – przestrzega, po czym zatrzaskuje za mną drzwi i zasuwuje rygiel.

Przed sobą mam cmentarz, płot i bramę. Dalej widać drzewa i brązowe wzgórza. Z prawej strony zmagają się ze sobą krzyczący mężczyźni. Wypatruję wśród nich Petera. Johna nie widzę, lecz zauważam dwóch innych – to nie łucznicy w czerni, lecz zwykli wieśniacy w prostych zimowych strojach. Leżą na plecach w trawie. Z piersi sterczą im strzały. Obaj nie żyją.

Ukradkiem przemykam się na przód katedry. Już po kilku krokach tuż obok mnie świszczy strzała i wbija się w szczelinę między cegłami. Kolejna, i jeszcze jedna. Tworzą zgrabny szereg, nie dalej niż sześć cali przed moją twarzą. To nie był błąd w sztuce strzeleckiej, to musiała być przestroga. Padam na ziemię i czołgam się w trawie i błocie, aż wreszcie kryję się za zniszczonym omszałym nagrobkiem. Próbuję pozbierać i uporządkować myśli. Powinnam działać równie precyzyjnie jak niewidoczny łucznik.

Po pierwsze, muszę go znaleźć. Strzały nadleciały z wysoka, uderzyły nisko, zatem ukrył się gdzieś na drzewie. Po drugie, muszę go zabić. Wysuwam nóż zza pasa i gnam od jednego grobu do drugiego, nie odrywając wzroku od cienistych gałęzi. To zaproszenie. Prowokuję go. Chcę, żeby się ujawnił.

Gdzie jesteś? – pytam w duchu.

Odpowiedź przychodzi pod postacią kolejnej strzały. Pocisk trafia w kamienną płytę, dokładnie pomiędzy trzecim a czwartym palcem mojej zaciśniętej na niej dłoni. Wydaję z siebie stłumiony okrzyk i gwałtownie cofam rękę. Po palcach spływa mi strużka krwi, szkarłatne pasemko na bladej skórze. Odruchowo czekam, lecz nie dzieje się nic. Nie czuję żaru w żołądku, nie czuję łaskotania. Nawyk sprawił, że zapomniałam, że nie noszę już znamienia.

Ponownie kucam za nagrobkiem i oceniam sytuację. Krwawię.

Jeśli wyjdę, strzelec będzie mnie miał jak na dłoni. Jestem uzbrojona, lecz nie do końca tak, jakbym sobie tego życzyła. Nie widzę przeciwnika. Nie mam żadnego atutu. Niemniej przeszłam dwuletnie szkolenie łowcy czarownic i potrafię sobie radzić nawet w takich tarapatach. Nagle w głowie rozlega mi się nieproszonego głosu Blackwella: „Aby odzyskać utraconą przewagę, musisz zrobić coś nieprzewidywalnego”.

Ostatnie, co powinnam uczynić w pobliżu ukrytego wroga, to wstać, więc podnoszę się na nogi. I wtedy słyszę bardzo cichy dźwięk – szelest listowia, ledwie stłumiony pomruk zdziwienia. To mi wystarcza. Wypatruję go na nisko zawieszonym konarze dębu. Zamaskował się zielonymi gałęziami rosnącej opodal sosny. Wyciągam zza pasa ciężki srebrny nóż. Biorę zamach, mierzę i rzucam.

Pudłuję.

Jasna cholera.

Rwany drwiący śmiech. Odgłos uderzających o ziemię stóp. Ktokolwiek siedział na drzewie, już go tam nie ma. W tej chwili idzie prosto na mnie. Kroki. Szmer napinających cięciwę palców. Tym razem robię coś zupełnie przewidywalnego, zwłaszcza wobec ukrytego przeciwnika.

Odwracam się i uciekam.

Strzała śpiewa mi nad głową. Chybia o cal. Stopa przypadkowo zaplątuje mi się w sukience i padam jak długa na ziemię. Przetaczam się na plecy i sięgam po kolejny nóż. Za późno. Łucznik stoi tuż nade mną. Ciemnowłosa, przysadzisty, dwadzieścia kilka lat. Nie znam go, lecz on najwyraźniej zna mnie. Przypatruje mi się z lekkim uśmieszkiem. Kręci głową.

– Po wszystkim, co na twój temat słyszałem, liczyłem na godniejszego przeciwnika.

– Kim jesteś? – pytam.

Nie kłopotuje się odpowiedzią. Dobywa z kołczanu kolejną strzałę, spokojnie układa ją na cięciwie. Ani na mgnienie nie spuszcza mnie z oka.

– Lubię, żeby zdobycz była na moim poziomie – podejmuje. – Blackwell zapewniał, że właśnie taka się okażesz. Podejrzewam, że

kiedy mu opowiem, będzie mocno rozczarowany.

Cofam się przed nim, przed strzałą, której grot mierzy prosto w moją twarz. Nie udaje mi się dotrzeć zbyt daleko. Zderzam się plecami z jednym z nagrobków. Szorstki kamień drapie mnie w plecy.

Nieznajomy z wolna porusza łukiem, jakby oceniał mój wygląd.

– Masz takie ładne oczy – stwierdza. – Aż szkoda, ale najlepiej celować właśnie w oczy. Wtedy boli tylko przez chwilę.

W tym momencie zauważam symbol na jego czarnym wełnianym płaszczu. Emblemat jest groteskowy: czerwona róża dławiona przez własną kolczastą łodygę i przeszyta mieczem o zielonej rękojeści. Nigdy wcześniej tego znaku nie widziałam, ale wiem, czym jest. To nowy herb Blackwella.

– On nie wygra – szepczę. To moje ostatnie słowa. Powinny zabrzmieć dumnie, dostojnie. – Blackwell nie wygra. Jest przekonany, że zwycięstwo ma w kieszeni, ale to nieprawda.

Wzruszenie ramion.

– Już wygrał.

Nie odpowiadam. Czekam. Na strzałę, która przeszyje mi czaszkę, na śmierć. Zamykam oczy, jakby dzięki temu miało mniej boleć.

I wtedy, między jednym oddechem a drugim, coś się dzieje. Tupnięcie, szmer kroków w miękkiej trawie, trzask pękającej gałązki. Podnoszę gwałtownie powieki i widzę, że łucznik odwraca się na pięcie. Nie zdążył. Ostrze tnie go przez szyję i plecy, niemal rozplątując na pół. Ciemne oczy zalewa pustka. Krew bucha mu z ust, bryzga mi prosto na twarz, ramiona, sukienkę. Mężczyzna kołysze się raz, dwa, po czym pada na ściółkę niczym ścięte drzewo.

Za nim stoi John. Niebieska kurtka i spodnie straciły wcześniejszą elegancję, są wymięte i podarte. Biała koszula straciła biel, czerwienieje od krwi.

Pada obok mnie na kolana.

– Nic ci nie jest? – Ujmuje moją twarz w dłonie i delikatnie obraca z boku na bok. – Nie trafił cię, prawda?

Odrywam oczy od zabitego łuczника, którego krew barwi pobliskie nagrobki i zbiera się w kałuży pod zwłokami, i spoglądam na ociekający szkarłatem miecz w dłoni Johna.

– Elizabeth... – Przykłada mi palec do podbródka i zmusza do spojrzenia sobie w oczy.

– Trafił mnie w dłoń – odpowiadam wreszcie – ale wszystko w porządku.

John przesuwa kciukiem po wciąż krwawiącej ranie.

– Nie jest głęboka, potem obejrzę cię dokładniej. – Pomaga mi wstać. – Zauważyłem, że cię obserwuje. Siedział na drzewie i szył w nas strzałami, ale gdy tylko wyszłaś z katedry, przestał. Dlaczego to zrobiłaś? Mówiłem przecież, żebyś nawet nie wyściubiła nosa na zewnątrz. Mogłaś zginąć.

W milczeniu wymieniamy się spojrzeniami. Bez słowa uświadamiam sobie, jak wiele się zmieniło. Nie jestem tą samą osobą, którą byłam wówczas, gdy się poznaliśmy. Nie jestem taka jak jeszcze trzy miesiące temu. Wtedy byłam niezwykłą łowczynią czarownic, nosiłam zamię i mówiła o mnie przepowiednia. Byłam najbardziej poszukiwanym przestępcą w całej Anglii. A teraz? Teraz nie wiem, kim jestem.

– Nie powinnaś tu być – podejmuje John. – To zbyt niebezpieczne. Jeszcze nie wydobrzałaś. I nie jesteś... – Urywa, lecz nie pozwalam mu na unik.

– Jaka nie jestem? – odsuwam się. – Silna? Przydatna? Nie potrafię już walczyć, więc powinnam trzymać się z boku? – Słowa wylewają się ze mnie, zanim mogę je przemyśleć.

– Dobrze wiesz, że nie to miałem na myśli.

– Przepraszam – rzucam pospiesznie, ponieważ rzeczywiście wiem. – Nie powinnam była tego mówić i....

Tym razem ja milknę i w tym momencie dociera do mnie, że John posłużył się bronią. Uzdrowiciel, który dotąd poświęcał się ratowaniu życia, zabił człowieka.

– Zabiłeś go. – Zerkam na leżącego u naszych stóp łucznika.

– Tak – mówi John – ale nie żałuję. Gdybym musiał, zrobiłbym to ponownie, aby ochronić ciebie lub kogokolwiek innego.

Aż mrugam oczami, bo w jego głosie słyhać tyle zaciętości...

– Nie chcę, żebyś to robił – stwierdzam. – To nie twoja działka.

– Myślę, że zanim ta historia dobiegnie końca, wszyscy będziemy

zmuszeni uczynić to, czego w normalnej sytuacji wolelibyśmy uniknąć – zauważa John. – Chodźmy. Trzeba się przeliczyć. Sprawdzimy, czy kogoś nie brakuje.

Wracamy przez cmentarz do wrót świątyni, gdzie zastajemy grupkę mężczyzn. To Peter, Gareth, kilku nieznajomych. Stoją nad szeregiem zwłok, od których krwawe smugi ciągną się w trawę.

– Ilu? – pytam. – Kiedy wyszłam, zobaczyłam jednego zabitego, jednego z naszych. Dopadli kogoś jeszcze? A ich ilu?

– Piątka. – John posyła mi ponure spojrzenie. – Czterech mężczyzn, jedna kobieta. To nasi. Z tamtych udało nam się wykończyć tylko tego jednego. Reszta, naliczyliśmy jeszcze czterech, ulotniła się, gdy tylko za nimi ruszyliśmy.

Harrow zajmuje długą na dziesięć mil połąć terenu i otoczone jest magiczną barierą ochronną, przepuszczającą jedynie mieszkańców, bądź – jak w moim przypadku – osoby przez mieszkańców wprowadzone. Odkąd jednak Blackwell przejął tron i wyszło na jaw, że i on posiada magiczne zdolności, Harrow zaczęło być narażone na ataki. Od czterech lat, czyli od czasu, gdy rozpoczęła działalność inkwizycja, zaginęły setki czarownic i magów i nie ma obecnie sposobu, by stwierdzić, którzy z nich zginęli, a którzy zdradzili dobrowolnie bądź pod przymusem. Część jednak z pewnością przeszła na stronę Blackwella i teraz pomaga jego zwolennikom pokonać granice Harrow.

Pierwszy taki wypadek miał miejsce miesiąc temu. Znalaziono wtedy samotnego mężczyznę – szpiega czy też zwiadowcę – w wiosce More-on-the-Marsh, położonej w pół drogi między domem Johna w Whetstone a rezydencją Garetha w Hatch End. Nakryto go dzięki ślepemu trafowi. Spał na drzewie i spadł. Przestraszył dwóch czarowników, którzy o świcie wybrali się z wędkami nad pobliski staw. Niestety, szpieg uciekł, zanim zdołali go schwytać.

Druga sytuacja była znacznie bardziej groźna. Tym razem trzech obcych znalaziono, gdy przekradali się przez Mudchute, niemal bezludne rolnicze tereny, rozciągające się na południe od zaludnionych okolic Harrow aż ku granicy. Nieznajomi w momencie spotkania nie próbowali nawet rzucić się do ucieczki. Po prostu rozpląnęli się w powietrzu.

Mimo powszechnych obaw, jakie w Harrow wywołała wiadomość

o pojawieniu się służących Blackwellowi intruzów, zaświtał też promyk nadziei. Otóż wielu osobom sama myśl o tym, że ktoś bliski, kogo uważali za zabitego, może się okazać żywym zdrajcą, wydała się niezwykle krzepiąca. John jednak nie może się uczepić nawet takiej pociechy. Na własne oczy widział, jak jego matka i siostra giną spalone na stosie.

Minął już ponad rok, a on wciąż zмага się z tym wspomnieniem. Ja, aczkolwiek chyba nie brałam osobistego udziału w pojmaniu jego rodziny, jestem oczywiście współwinna. Wiem, że również dla niego stanowi to problem.

– Gdzie nauczyłeś się fechtunku? – pytam.

– Walczyć mieczem umiałem, właściwie zanim jeszcze nauczyłem się chodzić – odpowiada John z nikłym uśmiechem na ustach. – Tak to jest, kiedy masz ojca pirata.

– Naprawdę dobrze ci poszło – chwalę ostrożnie.

John niezobowiązująco kiwa głową.

– Nie miałem wielu okazji, by sięgać po broń, ale dzisiaj bardzo się z tej umiejętności cieszę.

Mam ochotę powiedzieć mu, by uważał. Chcę mu wytłumaczyć, jak to jest. Najpierw zabija się z konkretnych powodów, a potem wystarczy byle wymówka. Wreszcie zabija się ot tak, po prostu, i z każdym odebrany życiem traci się, kawałek po kawałku, własną duszę. Obserwowałam ten proces na przykładzie Caleba, sama też to czułam. Nie chcę, by coś podobnego spotkało Johna. Nim jednak udaje mi się dobyć z siebie choć słowo, w zasięgu wzroku pojawia się Nicholas. Na widok czarownika, żywego i zdrowego, zalewa mnie fala ulgi, lecz to uczucie szybko przechodzi w strach, gdy Nicholas dołącza do pozostałych mężczyzn. Wskazują to na mnie, to na katedrę. Gareth potakuje skinieniem.

Podchodzimy i Peter odłącza się od grupki. Nicholas idzie tuż za nim. Pirat zamyka syna w niedźwiedzim uścisku. Po chwili tuli także i mnie. Nicholas przygląda mi się uważnie. Bystre ciemne oczy suną po moim zakrwawionym ubraniu, zatrzymują się na krwi plamiącej mi dłoń. Oboje milczymy i zaraz potem otaczają nas pozostali, pogrążeni w ożywionej rozmowie.

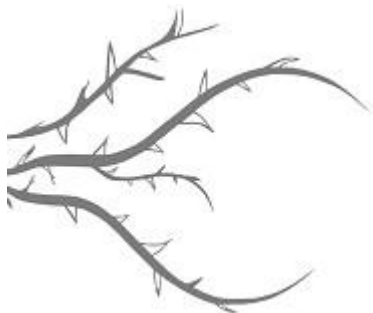
– Co się dzieje? – pyta John.

– Chciałem zebrać kobiety i dzieci, podzielić je na niewielkie grupki i odeskortować do domów – tłumaczy Peter. – Wymyśliłem też, że powinniśmy zorganizować stałe zbrojne patrole wzdłuż bariery chroniącej Harrow. Ludzie Blackwella będą mieli większy problem z przekraczaniem naszej granicy.

– Zgodziłem się z tymi propozycjami – wtrąca Nicholas. – Zgodziłem się również, że przesłuchanie Elizabeth może poczekać. W związku z dzisiejszymi wydarzeniami mamy pilniejsze sprawy na głowie.

Słyszając o odroczeniu wyroku, wydaję z siebie westchnienie ulgi. Pojawia się myśl, że dostanę na przygotowania kilka dodatkowych dni, może nawet tydzień. Nagle odzywa się Gareth.

– Wręcz przeciwnie, myślę że trudno o lepszy dzień niż dzisiejszy.



Rozdział 3

John staje przede mną, jakby chciał mnie obronić.

– To przesłuchanie naprawdę może się odbyć kiedy indziej – mówi. – Odłóżmy je.

– Niestety, prawo stanowi inaczej – odpira Gareth. – Rada stawiała się w komplecie, chrzcielnica została odpowiednio przygotowana do głosowania. W tej sytuacji wyrok musi zapaść. – Spogląda na Nicholasasa. – Powołując radę, sam te zasady ustanowiłeś.

– Jak dobrze wiesz, miały zapobiec oszustwom ze strony członków rady – przypomina czarownik. – Miały chronić przed zagrożeniami wewnętrznymi, nie zewnętrznymi.

– Właśnie – stwierdza Gareth. – Mieszkańcy Harrow zgromadzili się tu dzisiaj w nadziei uzyskania wyjaśnień i je otrzymają.

– Przyszli po wyjaśnienia, a tymczasem zostali napadnięci – zauważa Peter. – Boją się. Pozwól im rozejść się do domów.

– Jeśli prosisz, bym odwołał i przełożył spotkanie rady po to, by nasi przeciwnicy zyskali szansę zaatakować nas kiedy indziej, jeszcze większymi siłami, to muszę odmówić – oznajmia Gareth. – Nie przez przypadek akurat dzisiaj doszło do ataku. Ludzie Blackwella wiedzieli, gdzie zaplanowaliśmy przesłuchanie, jak również gdzie ją znajdą. – Obrzuca mnie spojrzeniem i uświadamiam sobie, iż ta odrobina życzliwości, jaką mógł czuć do mnie wcześniej, ulotniła się bezpowrotnie. – To jej szukali, co do tego nie ma cienia wątpliwości. Musimy zdecydować, co w tej sprawie począć, i to teraz. Niemniej, jeżeli zdecydujesz się nie wziąć udziału, nie będę cię powstrzymywał – ciągnie Gareth, zwracając się ku Nicholasowi. – Statut głosi, że w imieniu nieobecnego członka może zagłosować przewodniczący rady. Z przyjemnością cię w tym obowiązku wyręcę.

Czarnoksiężnik nie odpowiada, lecz gniew, który błysnął w jego ciemnych oczach mówi sam za siebie.

Kiedy spotkałam Garetha po raz pierwszy, uznałam go za zwykłego gryziopórka, skrybę. Dopiero Peter, jeszcze tamtej nocy, powiedział mi, że to ważny członek rady. Obecnie jest jej przewodniczącym. Ta kariera kojarzy mi się w pewien sposób z Blackwellem, wykorzystującym dla własnej korzyści cudze nieszczęścia. Właśnie dlatego podejmuję błyskawiczną decyzję. Być może rzeczywiście mogłabym na odroczeniu przesłuchania skorzystać, lecz nie chcę, by ucierpiało przeze mnie Harrow.

– Gareth ma rację – oznajmiam, patrząc na Nicholasa. – Przesłuchanie powinno się odbyć dzisiaj. Nie ma sensu dłużej zwlekać.

Niewykluczone, że czarnoksiężnik spodziewał się, że to powiem; możliwe nawet, że miał na to nadzieję. W każdym razie jego jedyną reakcją jest sztywne skinienie głowy.

– Wybornie. – Gareth zaciera ręce, po czym wskazuje katedrę. – Idziemy?

– Czy Elizabeth mogłaby się przynajmniej przebrać? – odzywa się John. – Jest cała we krwi. Nie ma potrzeby, by ktokolwiek oglądał ją w tym stanie.

Nie dodaje nic więcej, lecz nie musi – wszystkie usiłowania Fifer, która próbowała mnie ubrać i uczesać tak, bym wyglądała jak niewinna dziewczynka, poszły na marne. Stanę przed obliczem rady, prezentując się dokładnie w ten sposób, którego moi przyjaciele próbowali unikać.

Jak zabójczyni.

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Tym razem odpowiada Nicholas. – Jeżeli rada zebrała się w komplecie, a osoba powołana przed oblicze rady znalazła się fizycznie w wyznaczonym obiekcie, nie może już tego terenu opuścić, o ile nie dojdzie do przerwy w obradach.

– Zaiste, tak brzmią przepisy. – Gareth kiwa głową.

John zerka na mnie, po czym zsuwa z ramion płaszcz i okrywa nim moje ramiona. Piękna sukienka z błękitnego jedwabiu jest podarta i pokryta plamami trawy, ziemi i krwi. Schludnie zaplecione w warkocz włosy rozsypały się na ramiona. Strój Johna częściowo mnie osłania, lecz tak naprawdę znacznie więcej odsłania: ukazuje, jak bardzo jestem

od niego zależna oraz jak bardzo on jest mnie oddany. Ukazuje nasz związek, który dla niego stanowi źródło bólu w równym stopniu jak dla mnie źródło pociechy.

Gareth napiera na ciężkie wrota katedry i rozlega się suchy zgrzyt zawiasów. Wewnątrz panuje względny spokój i zauważam to, czego nie dostrzegłam wcześniej. W przedsionku stoi zdobna kamienna chrzcielnica. Woda w niej wiruje, jakby wiedziona własną wolą. Widzę też rzędy połyskliwych dębowych ław, krwawoczerwone poduszki do klękania, wiszące na maleńkich haczykach. Pod drewnianą powalą kołysze się czerwono-niebiesko-biała flaga Anglii w towarzystwie sztandaru reformistów – czarno-czerwono-pomarańczowego. Wnętrze wypełnione jest ostrą wonią kadzidła, mirry i żywicy. To zapachy przynoszące najczęściej ukojenie. Jednak nie dzisiaj.

W ławach, podobnie jak przedtem, tłoczą się ludzie. Zebrało się ich tak wielu, że zajmują też wolne przestrzenie między siedzeniami i miejsce z tyłu, przy drzwiach. Wszyscy wpatrują się we mnie.

Może to przez mieniące się niczym w kalejdoskopie mroczne światło, może z powodu panującego w katedrze chłodu lub strachu, który mnie obleciał, tak czy inaczej krawędzie świata ciemniejają mi w oczach i ogarnia mnie przemożna chęć ucieczki. Z powrotem przez te ciężkie wrota, tunel padających drzew, przez falujące łąki, daleko poza granice Harrow. Tylko dokąd miałabym się udać? To pytanie zadaję sobie od chwili, gdy zioła wysypały mi się z kieszeni, co sprawiło, że zostałam napiętnowana, uznana za czarownicę i wtrącona do więzienia. Stałam się zdrajczynią, a moje życie zmieniło się na zawsze.

Czyjaś dłoń opada mi na ramię i mnie odwraca. Nicholas podchodzi krok bliżej. Jego wysoka ciemna sylwetka majaczy wysoko nade mną.

– Z pewnością poczujesz taką pokusę, ale nie wolno ci kłamać – odzywa się cicho. – Usłyszysz pytania, na które nie będziesz chciała odpowiadać, lecz jeżeli nie wyjawisz prawdy, oni się o tym dowiedzą. Opowiedz o wszystkim ze swojej perspektywy. Dokładnie tak jak mnie. A reszta – kończy czarnoksiężnik – potoczy się swoim trybem.

„Reszta potoczy się swoim trybem”. Te słowa niczym katechizm wciąż wymagają ode mnie posłuchu. Najpierw Nicholas prosił, żebym

postępowała w zgodzie z cudzą przepowiednią, teraz prosi, bym pozwoliła, aby cudzy osąd zdecydował o moim losie. Swoją ufnością chciał zapewne dodać mi otuchy, lecz ta sama ufność wymaga, bym złożyła swoje życie w obce ręce, a przecież dotychczasowe doświadczenie nauczyło mnie, że to nigdy nie kończy się dobrze.

Gareth podchodzi i bierze mnie za ramię. John mnie uwalnia i niechętnie idę środkiem świątyni wraz z przewodniczącym. Mijani ludzie nie wstają. Czuję na sobie ich spojrzenia, słyszę szepty. Jestem niczym panna młoda, która ma lada moment wziąć z góry skazany na porażkę, nieszczęsny ślub.

Docieramy pod ambonę. Jest pokryta wyrafinowanymi grawerunkami i złotą farbą. Podstawa ma kształt kruka: posłańca prawdy, lecz zarazem symbolu nieszczęścia i oszustwa. Przed mównicą stoi rząd krzesel. To proste meble, z wyjątkiem jednego, czekającego pośrodku. Jest duże i sprawia wrażenie niewygodnego. Same ostre kąty i sfatygowane drewno, trójkątne oparcie kończy się cienkim szpicem. Cztery grube nogi zostały wyrzeźbione na kształt lwów.

Po chwili otwierają się drzwi za ołtarzem. Wychodzi z nich szereg mężczyzn. Wszyscy ubrani są identycznie jak Gareth i Nicholas. Sięgające posadzki proste czarne płaszcze z kapturami, ozdobione herbem reformistów: niewielkim słońcem zamkniętym w kwadracie, wpisanym w trójkąt, wokół którego owija się wąż pożerający własny ogon. Uroboros. Członkowie rady. Moi sędziowie i jednocześnie ławnicy.

Gareth prowadzi mnie ku temu środkowemu krzesłu i przykazuje gestem, bym zajęła miejsce. Ledwie siadam, z podparć i nóg mebla wysuwają się kajdany i zaciskają na moich przegubach i kostkach. Rzeźbione drewniane lwy z rykiem ozywają – kłapią paszczami, powarkują, prężą zjeżone drzazgami pazurów łapy.

Szarpię się, lecz nie mogę nawet drgnąć. John – siedzący w pierwszym rzędzie obok Fifer i Petera – zrywa się na równe nogi i protestuje. Ojciec łapie go za rękę i pociąga z powrotem na krzesło.

Gareth zajmuje miejsce na ambonie – siedemnasty członek rady, jedyna naprawdę licząca się w niej osoba – odchrząkuje i zabiera głos.

– Myślę, że zanim zaczniemy, powinniśmy uczcić minutą ciszy

pamięć osób zabitych podczas dzisiejszej napaści. – Odczytuje nazwiska piątki uśmierconych mieszkańców Harrow, czterech mężczyzn i kobiety, po czym wiedzie spojrzeniem po zebranych i podejmuje: – Jak wszyscy wiecie, zgromadziliśmy się tu dzisiaj, by ustalić, czy Elizabeth Grey powinna uzyskać przywilej pozostania w granicach Harrow, czy też może zasługuje na wygnanie bez prawa powrotu.

Z ław dolatuje mnie stłumiony pomruk.

– Dzisiaj po raz trzeci – ciągnie Gareth – Blackwell, świeżo obwołany, samozwańczy król Anglii, zdołał przeniknąć nasze granice. Zarazem jednak pierwszy raz wysłał swych ludzi po to, by odzyskali coś, co według mnie, uważa za swoją własność. Chociaż jest i zawsze było naszą polityką, polityką reformistów, udzielać schronienia potrzebującym, to obecnie musimy podjąć decyzję, czy wolno nam to czynić kosztem własnego bezpieczeństwa.

– Elizabeth nie jest winna napaści na Harrow – odzywa się Nicholas. – Słudzy Blackwella pojawiliby się tutaj, nawet gdyby jej wśród nas nie było.

– Mieszkaliśmy w Harrow przez wiele lat w spokoju i przez ten czas nie dochodziło do żadnych incydentów – odpiera Gareth. – Nie jestem w stanie uwierzyć, iż jej przybycie i te ataki nie są ze sobą powiązane.

– Przypomnę, że do niedawna nikt z nas nie był w stanie dać wiary, iż inkwizytor może się okazać utalentowanym magiem – zauważa Nicholas. – A jednak tak wygląda prawda.

– Dziewczyna jest niebezpieczna – zabiera głos jeden z pozostałych członków rady. Najstarszy wśród nich, starszy nawet od Nicholasa. Błada cera i cienkie kosmyki siwych włosów ostro kontrastują z czernią szaty. – Temu nie zaprzeczę. Niemniej ocaliła Nicholasowi życie i o tym również nie mogę zapominać. Gdyby nie ona, Nicholasa zabrakłoby dziś wśród nas.

Dwóch siedzących obok siebie radców kiwa zgodnie głowami.

– Nie inaczej. Ocaliła ludzkie życie – odzywa się jeden z nich. – Z drugiej jednak strony, można zauważyć, iż ocalenie jednego żywota nie do końca wyrównuje rachunek za życia, które odebrała. – Wbijają we mnie spojrzenie różnokolorowych oczu, jedno ma intensywnie

orzechowe, drugie żółte niczym kanarek. – A ileż to żyć odebrałaś, panno Grey?

Waham się przez chwilę, zastanawiam się, czy nie skłamać. Jak na zawołanie zauważam nieznaczny ruch głowy Nicholasa. Odradza mi kłamstwo. Czuję na sobie ciężar tysiąca spojrzeń, zaczynam się pocić pod grubym niebieskim płaszczem Johna. Odwracam spojrzenie i odpowiadam na pytanie, którego nawet on nigdy nie odważył mi się zadać.

– Czterdzieści jeden – mamrocę.

– Że co proszę? – W żółtym oku pojawia się jadowity błysk. – Nie sądzę, by ludzie z tylnych rzędów usłyszeli cię wyraźnie.

– Czterdzieści jeden – powtarzam głośniej.

Mężczyzna posępnie kiwa głową.

– Jak powiedziałem. Czterdzieści jeden żywotów odebranych, jeden подарowany.

– Ocalony – poprawia radcę Nicholas, tak samo jak John poprawił Garetha. – Elizabeth nie darowała mi życia, nie oszczędziła mnie. Ona mnie uratowała. Zresztą, nie mnie jednego. – Czarnoksiężnik spogląda na Fifer, lecz już nie na Johna. Nikt w radzie nie wie, co zrobiłam, by wyrwać go śmierci. – Jeśli otrzyma taką możliwość, to być może ocali kolejnych.

– Nie sugerujesz chyba, byśmy dozwolili łowczyni czarownic...

– Byłej łowczyni czarownic – wtrąca spokojnie Nicholas.

– ...walczyć u naszego boku? Razem z nami? – Obaj radcy nadymają się jak wrony i wymieniają spojrzeniami. – Skąd możemy mieć pewność, że to nie jest spisek? Pułapka? Plan, który uknuła wspólnie z Blackwellem, by przeniknąć do Harrow i ostatecznie się z nami rozprawić?

Zapada cisza. Wszyscy w katedrze rozważają usłyszane słowa. Ludzie zastanawiają się, czy mogą być współniczką Blackwella i czy wraz z nim planowałam zastawić śmiertelną pułapkę na mieszkańców Harrow. To niemożliwe.

A przecież możliwe.

– To nie jest spisek. – Mocno zaciskam dłonie na twardych prostokątnych oparciach krzesła. Mówię drżącym, słabym głosem, lecz

boję się go podnieść. – W życiu nie pomogłabym Blackwellowi. Nigdy więcej.

Radcy spoglądają po sobie, wymieniają się spojrzeniami. Na niektórych twarzach widnieje zaskoczenie, na innych niedowierzenie. Przeważa niedowierzenie.

– Nie pragnę niczyjej krzywdy. Nigdy jej szczerze nie chciałam – podejmuję. – Łowczynią czarownic zostałam właściwie jeszcze jako dziecko. Nie rozumiałam, co się z tym wiąże, ale... nie miałam pojęcia, co innego mogłabym w życiu robić... – Wymówka jest żałosna, najgorsza z możliwych. Niemniej, tak przecież wygląda prawda. – Wiedźcie, że bez względu na to, czy zostanę w Harrow, czy nie, Blackwell nie przestanie was prześladować – mówię dalej. – On chce Harrow zniszczyć lub sobie podporządkować. I nie spocznie, póki nie dopnie swego. Musicie coś zrozumieć, ten człowiek zawsze dostaje, czego chce.

Członkowie rady ponownie obrzucają się spojrzeniami.

– Jeśli pozwolicie mi zostać, będę w stanie was wesprzeć. Pomogę wam powstrzymać jego ludzi i pozbyć się samego Blackwella. – Z premedytacją nie używam słowa „zabić”. – Pracowałam dla niego przez trzy lata, dwa lata mieszkałam pod jego dachem. Miałam okazję go poznać.

– Moim zdaniem, nie znasz go zbyt dobrze – wtrąca radca z żółtym okiem. – Twierdzisz, że poznałaś go dogłębnie, a tymczasem jedna rzecz zupełnie ci umknęła. Mimo że miałaś ją tuż przed nosem.

– Byłam przekonana, że wykorzystuje jednego z was! – W mój głos wkrada się cienka, piskliwa nuta. Lwy ostrzegawczo szczerzą kły. – Myślałam, że posługuje się jakimś magiem, by dla niego czarował. Zawsze powtarzał, że sam magii nie cierpi! Nie miałam pojęcia, że kłamie!

– Jak mogłaś nie wiedzieć? – Pytanie pada z ust siwowłosego starego mężczyzny. Nie wydaje się zły, raczej głęboko zdumiony. – Nicholas zapewniał nas wszystkich, że jesteś wykształconą inteligentną dziewczyną.

– Wygląda na to, że jestem jednak dziewczyną zupełnie zwyczajną – odpowiadam spokojniejszym już głosem. – W każdym razie byłam

taka, kiedy zamieszkałam u Blackwella. Miałam ledwie trzynaście lat. Upatrywałam w nim nauczyciela, mistrza... – Na moment milknę przed kolejnym słowem, lecz postanawiam je z siebie wyrzucić. – Szukałam w nim ojca, którego tak wcześnie straciłam. Nie myślałam, że może być czarownikiem.

I od tego momentu wyjawiam im wszystko. Wyznam prawdę, tak jak oczekiwał tego Nicholas. Przyznaję, że byłam królewską kochanką. Opowiadam o aresztowaniu za posiadanie ziół, które nie pozwoliły mi począć jego dziecka, o uwięzieniu i skazaniu na śmierć oraz udzielonym mi przez Nicholasa ratunku. Mówię o odkryciu magicznych talentów Blackwella i o wyprawie w poszukiwaniu tablicy uroku, która miała odebrać życie Nicholasowi. Tłumaczę, iż odnalazłam ją – w tamtym mrocznym, wilgotnym, zapleśniałym, tchnącym śmiercią grobowcu – wyłącznie dlatego, że Blackwell chciał mnie zabić.

– Mnie również zdradził – dodaję na koniec. – Głęboko wierzyłam we wszystko, co mówił. Nie miałam powodu, by mu nie ufać. Inaczej niż teraz, nie węszyłam kłamstwa na każdym kroku. Teraz jednak wiem o wszystkim i mogę wam pomóc go powstrzymać. – Kieruję spojrzenie na Johna. Orzechowe oczy uzdrowiciela otwierają się szeroko; widocznie domyślił się, co chcę powiedzieć. – Mogę dla was wal...

John zrywa się jak oparzony, zanim zdążyłam dokończyć obietnicę.

– Ona nie może walczyć! – protestuje. – Nie doszła jeszcze do zdrowia. Nie odzyskała pełni sił. I nie ma już... – John gryzie się w język, tuż zanim wyjawiał wszem i wobec, że straciłam ochronne znamię.

To Nicholas zdecydował, iż powinniśmy tę wiadomość zachować w sekrecie. Obawiał się, że gdyby radcy poznali prawdę, dziś nie groziłoby mi jedynie wygnanie – zawisłoby nade mną widmo stracenia.

– Elizabeth była bliska śmierci – kończy John. Na miejsce siada dopiero po dłuższej chwili, gdy buńczuczność ustępuje rezygnacji.

– Obawiam się, że muszę się zgodzić – odzywa się milczący dotąd radca, siedzący po mojej prawej stronie. – To jeszcze dziecko. W dodatku chore dziecko, jak był uprzejmy zauważyć pan Raleigh. – Omiata mnie spojrzenie jego intensywnie błękitnych oczu. Patrzy czujnie, lecz wcale nie wrogo. – Nie jestem w stanie wyobrazić sobie

niczego, co mogłaby dla nas zrobić, a czego nie zdołamy uczynić sami.

Słyszając to, lekko się jeżę: nazwał mnie dzieckiem, najwyraźniej mnie nie docenia.

– Elizabeth zaliczała się do najlepszych łowców oddziału Blackwella – przypomina Gareth, na co czuję przyływ wdzięczności. Wziął mnie w obronę. Moment później dociera do mnie jednak, że to wstęp do kolejnego ataku. – Nie możemy zapominać, że ta dziewczynka zdołała przeniknąć do fortecy Blackwella, wydostała się z grobowca i zniszczyła tablicę uroku.

Z ust członków rady padają komentarze.

– Wykazała się niebywałą odwagą....

– Wróciła do grobowca, w którym niemal zginęła za pierwszym razem...

– Już raz zakradła się do pałacu Blackwella, być może powiedzie się jej i teraz...

– Elizabeth może nam pomóc na wiele sposobów – ucina Nicholas.

– Nie tylko walcząc. Może na przykład wspomóc szkolenie żołnierzy. Jest też w stanie przekazać nam dużo użytecznych informacji na temat strategii Blackwella, jego rezydencji, zabezpieczeń i samych łowców czarownic. Rozumiecie, że właśnie dlatego Blackwell na nią poluje. Wie, że tego rodzaju wiadomości mogą stać się w naszych rękach potężną bronią.

– Wspomniałeś o szkoleniu wojskowym – zwraca się do Nicholasa jeden z radców. – O jakim wojsku mówisz? Jak dotąd zebraliśmy tylko gwardzistów, garstkę piratów i nielicznych arystokratów. – Wymownie spogląda po siedzących w ławach ludziach. – Nie mamy znaczących sił i jest nas niewiele. Jedynym wyjściem byłoby zmuszanie do walki osób, które nie mają żadnego doświadczenia w boju.

– Zdobędziemy armię – zapewnia Nicholas. – Negocjacje jednak nie są rzeczą prostą. Galia zaproponowała nam pomoc wojskową, lecz ze zrozumiałych względów pozostaje ostrożna. Muszą chronić własne granice, a mimo iż żadną miarą nie sympatyzują z Blackwellem, wolą go nie prowokować. Władca Galii nie chce powtórzyć losu króla Malcolm.

W noc balu maskowego, po tym jak przybył po nas Peter i zniknęliśmy z Greenwich Tower, Malcolm wraz z królową Margaret

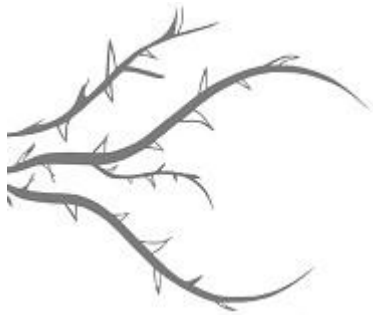
zostali aresztowani i wtrąceni do lochu w twierdzy Fleet, najcięższym więzieniu Anglii. Pojmanie królewskiej pary wywołało strach u wszystkich mieszkańców Harrow. Pomysł uwięzienia – a być może i zabójstwa – monarchy nie przyszedłby do głowy nawet najbardziej zagorzałym reformistom.

– A zanim to nastąpi? – Niebieskooki radca zwraca się do Nicholasa. – Nie możemy zakładać, że Blackwell zaczeka, aż zbierzemy wojska. Zaatakuje wcześniej, niż dotrą do nas posiłki, których możemy się spodziewać najszybciej za kilka tygodni. Co począć do tego momentu?

– Przygotować się – odpowiada Nicholas. – Gromadzić gwardzistów, rekrutować nowych ludzi. Doświadczonych i chętnych do dalszego szkolenia oraz tych, którym brakuje doświadczenia, lecz nie zapału. Należy też otworzyć granice dla ludzi z zewnątrz, którzy popierają naszą sprawę. – Sunie spojrzeniem po słuchaczach, siedzącym najbliżej patrzy prosto w oczy. – Nie wystarczy czekać, nie wystarczy zaprzeczać. Nie ma też sensu we wzajemnych pretensjach, wytykaniu się palcami i karaniu. – W tym momencie zerka kolejno na wszystkich członków rady. – Ukrywaliśmy się już dość długo. Wojna nie zagląda nam po prostu do okien, weszła już do środka i stoi z mieczem w dłoni w naszym przedsionku. Wygnanie Elizabeth nie zamknie drzwi przed wojną, podobnie jak w niczym nie pomoże oddanie jej w ręce nieprzyjaciół. Musimy pokazać Blackwellowi, że nie może tak po prostu brać wszystkiego, czego zapragnie. Musimy dowieść, że póki w Harrow są obrońcy, nikt tutaj się nie podda. A Elizabeth może nam w tym wszystkim pomóc.

Siedzący w ławach mężczyźni i kobiety, poruszeni słowami czarnoksiężnika, zaczynają szeptać i kiwać głowami. Gareth odrywa wzrok od Nicholasa, kieruje go ku mnie i wreszcie na pozostałych radców.

– Przygotujmy się do głosowania.



Rozdział 4

Członkowie rady podnoszą się z krzeseł i ruszają między ławami ku wejściu, gdzie przystają wokół wypełnionej wodą chrzcielnicy. Stojący najbliżej mężczyzna unosi dłoń, wyciąga ku niebu palec wskazujący. Drugą ręką podwija powłóczysty aksamitny rękaw i zanurza palec w kamiennej misie.

Ze swojego miejsca widzę, jak woda, krążąca w chrzcielnicy powoli, leniwie, zaczyna przyspieszać. Kilka kropeł tryska w powietrze. Po chwili z wiru bucha niewielki kłęb pary i radca wyciąga dłoń z misy. Podobnie postępują wszyscy pozostali.

Gdy ostatni z głosujących odstepuje od chrzcielnicy, wir nieruchomieje. Wkrótce tafla przypomina srebrzyste zwierciadło. To wcale nie jest chrzcielnica z wodą święconą, jak uznałam, wchodząc do katedry. To misa wróżbiarska.

Kilka podobnych widziałam już w domach aresztowanych czarowników, lecz nigdy nie oglądałam żadnej w działaniu. Tego typu narzędzia pozwalają czytać w myślach wielu osób naraz, w przeciwieństwie do wróżbiarskich luster, które są ograniczone do jednego człowieka. Woda jest przewodnikiem i żywiołem prawdy; wody nie można okłamać. Domyślałam się, że tę formę głosowania wprowadzono, by uniemożliwić manipulacje bądź oddawanie głosów pod przymusem. To zapewne kolejna z zasad ustanowionych przez Nicholasa – ta magia jest bardzo do niego podobna – prosta, uczciwa, niepodatna na wpływy.

Po chwili radcy podchodzą i zagląдают do środka. Jedni zerkają przelotnie, inni przyglądają się długo. Wszyscy jednak, zapoznawszy się z wynikiem, kiwają głowami i wracają na swoje krzesła. Aksamitne szaty wzdychają, ocierając się o drewniane meble.

Gareth wchodzi z powrotem na ambonę. Zanim zdążyłam otrzeć spocone dłonie o podparcia krzesła, oznajmia:

– Osiem do ośmiu. Remis.

Fifer patrzy na mnie i na Johna. Przez jej usta przełyka posępny uśmiech solidarności. Na twarzy Petera gości niepokój, rozumie, że moja banicja wciąż jest bardzo prawdopodobna, i wie, iż ze mną odejdzie jego jedyny syn. Wszystko dlatego, że remis musi zostać rozstrzygnięty, a jedyną osobą, która może to zrobić, jest Gareth, przewodniczący rady.

– Zostać bądź odejść – zaczyna, pławiąc się w spojrzeniach i uwadze zgromadzenia. Rozkoszuje się świadomością, iż w jego rękach spoczywa cudzy los. – Część z was niezaprzeczalnie widzi w Elizabeth Grey zagrożenie. Postrzegacie ją jako osobę niegodną zaufania, skorą do przemocy, nielojalną...

Fifer otwiera usta, zapewne chce zaprotestować, lecz szybko zamyka je na powrót. Nie może się sprzeciwić, ponieważ Gareth ma rację. Gdybym była lojalna, wciąż stałabym u boku Blackwella. Tak jak uczynił to Caleb, aż do samego końca.

– Inni natomiast uważają, że jej obecność jest dla nas korzystna, ponieważ naszym przeciwnikiem jest inna osoba niegodna zaufania, skora do przemocy i nielojalna.

Nicholas uważnie obserwuje przemawiającego Garetha. Ciemne, niemal obsydianowe oczy czarnoksiężnika spoglądają bardzo ostro. Dobrze tę minę pamiętam. Identyczny wyraz twarzy miał wtedy, kiedy wieszczka Veda wyjawiała mu, że jestem łowczynią czarownic. Tak właśnie patrzył, gdy dowiedział się, że nie jestem oszukaną niewinną dziewczynką, za jaką mnie miał. Wówczas przestraszyłam się go i pomimo wszystkiego, co dla mnie zrobił, nadal się go boję.

– Wbrew obawom, jakie początkowo żywiłem, ja również sądzę, iż obecność Elizabeth jest dla nas korzystna – ciągnie Gareth. – Będziesz mogła pozostać w Harrow, jednak nie tylko pod warunkiem, że staniesz wraz z nami do walki. Nie wystarczy, żebyś pomogła szkolić żołnierzy i podzieliła się z nami swą wiedzą. Chcę, byś wykorzystała swoje umiejętności przeciwko człowiekowi, który cię nimi obdarzył. – W tym miejscu robi pauzę. Cisza brzmi jak stal, aż brzęczy w milczącej katedrze. – Chcę, żebyś go zabiła.

Oto ja: siedzę przykuta do krzesła, ubrana w wilgotną od krwi sukienkę, dziewczyna o krwawej przeszłości, ponownie proszona, by w imię pokoju uciec się do przemocy. Spoglądam na Johna. Wytrzymuje moje spojrzenie, a intensywność jego wzroku pozwala mi zrozumieć, czego ode mnie oczekuje. Chce, bym odmówiła, zrezygnowała, żebym zgodziła się na wygnanie, na które moglibyśmy udać się wspólnie i znaleźć dla siebie bezpieczne miejsce z dala od Anglii.

Ale ja nie spełniałam niczyich oczekiwań.

– Dobrze – mówię. – Będę dla was walczyć. I dobrze – teraz ja na ułamek sekundy zawieszam głos, po czym dopowiadam z przekonaniem większym, niż w rzeczywistości czuję – zabiję go.

Zadowolony Gareth kiwa głową. Taką odpowiedź chciał uzyskać. John z kolei mówi coś, czego zupełnie się nie spodziewałam.

– W takim razie ja też będę dla was walczyć – oznajmia, podrywając się z miejsca.

W ławkach odzywają się poruszone głosy, z których wybija się jeden konkretny, najbardziej melodyjny.

– Nie możesz... Przecież on nie może...

Podobnie jak wszyscy obecni spoglądam w stronę, z której padły te słowa, i widzę Chime, śliczną ciemnowłosą dziewczynę, którą poznałam podczas festiwalu Zimowej Nocy i która, zanim się pojawiłam, rościła sobie prawa do Johna. Obrzuca wyczekującym hardym spojrzeniem radcę siedzącego po mojej lewej stronie, tego z intensywnie niebieskimi oczyma, równie błękitnymi jak jej. Natychmiast uświadamiam sobie, kim jest ten człowiek. Słyszałam o nim od Fifer. To ojciec Chime, lord Fitzroy Cranbourne Calthorpe-Gough.

– Muszę zaprotestować. – Arystokrata zerka na córkę i z powrotem na Garetha. Przystojną twarz wykrzywia nieładny grymas. – Nie rozumiem, co zamierzamy zyskać, pozwalając walczyć uzdrowicielowi.

– Ja zaś nie rozumiem, co moglibyśmy stracić – odpowiada przewodniczący. – Raczyłeś zauważyć, że nie mamy armii, że brakuje nam ludzi. Od dziś mamy jednego więcej. – Uśmiecha się szorstko, pobłaźliwie do Johna, który nie rewanżuje się tym samym.

– Przecież to wojna – podejmuje lord Cranbourne Calthorpe-Gough. – Pojawią się ranni. John Raleigh jest uzdrowicielem.

Jego zadaniem jest ratowanie życia, nie odbieranie.

– Pomimo to dzisiaj jedno odebrał, niemal bez wahania – przypomina Gareth. – Z tego, co widziałem, świetnie się spisał. On już zaczął walczyć.

Tego argumentu zbić nie można. Przewodniczący ma rację. John wplątał się w tę walkę w chwili, gdy się poznaliśmy, na dobre i na złe. Nie myli się jednak też i ojciec Chime. Odbieranie życia nie jest Johnowi przeznaczone.

– To po prostu bez sensu – stwierdza lord Cranbourne Calthorpe-Gough. – Potrzebujemy uzdrowiciela do opieki...

Gareth ucina zdawkowym machnięciem ręki.

– Mamy innych uzdrowicieli.

– Z pewnością istnieją jakieś...

– Dość. – Głos Johna, głęboki i tchnący przekonaniem, niesie się po całej katedrze. – Doceniam zastrzeżenia, lecz są zupełnie zbyteczne. Powiedziałem, że będę walczyć i zdania nie zmienię – oświadcza, po czym zwraca się do Garetha: – Skończyliśmy?

Czekam, by przewodniczący zganił go za bezczelność, może nawet odmówił jego prośbie. Gareth jednak się uśmiecha i mówi:

– Posiedzenie uważam za zamknięte.

Krępujące moje przeguby i kostki kajdany otwierają się i z głośnym brzękiem łańcuchów opadają na posadzkę. Lwy łagodnieją, owijają się wokół drewnianych nóg krzesła i na powrót nieruchomieją. Zebrani w milczeniu podnoszą się z ław i kolejno – rząd za rzędem – opuszczają świątynię.

Gareth zbiera księgi i wraz z pozostałymi członkami rady wychodzi bocznymi drzwiami, tymi samymi, którymi przyszedł. John wstaje z miejsca i przeciska się w moją stronę, ale co kilka kroków zatrzymują go mężczyźni i kobiety. Podchodzą, ściskają mu dłoń, dziękują.

Harrow cierpiało od dwóch lat, odkąd wybuchły rozruchy w Upminster – stolicy Anglii i obecnej siedzibie Blackwella. Azylu szukali tutaj magowie i wiedźmy z całego królestwa. Umykali przed inkwizycją i łowcami czarownic, uwięzieniem i torturami, przed ogniem i śmiercią. Większa liczba mieszkańców skutkowałą jednak niedoborem zapasów.

Od dawna brakowało jedzenia, ziemi, broni.

John jest tu powszechnie lubiany, to oczywiste. Pomaga chorym, często w zamian za symboliczne kwoty, jeszcze częściej za darmo. A teraz z mojego powodu stanie do walki i wiele osób z tłumu bez wątpienia zakłada, że z tej wojny nie powróci.

Jako pierwsza dociera do mnie Fifer, wynurza się z tłumu tuż przede mną.

Pomaga mi wstać z krzesła i razem ruszamy do drzwi prowadzących na cmentarz. Chcemy uniknąć spojrzeń tych, którzy jeszcze są w katedrze. Zatrzymujemy się w plamie cienia pod drzewem, niedaleko miejsca, gdzie zaszachował mnie łucznik Blackwella. Lepka plama jego krwi wciąż krzepnie w jasnych promieniach słońca. Tam Fifer spogląda mi w oczy i bierze się pod boki.

– Czyś ty kompletnie zwariowała?! – rzuca mi w twarz. – Walka? Zabójstwo Blackwella? Dlaczego na to przystałaś?

– Nie miałam wyboru.

– Owszem, miałaś – odpiera. – Mogłaś na przykład... No, nie wiem. Mogłaś się nie zgodzić.

– Gdybym wciąż nosiła znamię, zrobiłabym to znacznie wcześniej – mówię. – Odmawiając, ściągnęłabym na siebie więcej problemów. Radcy zaczęliby zadawać pytania i w końcu musiałabym wyznać prawdę.

Fifer rozgląda się dokoła, sprawdza, czy nikt nas nie podsłuchuje. W pobliżu nikogo nie ma, lecz ona i tak zniża głos.

– Możesz zginąć.

– Nie zginę – odpowiadam. Puste słowa – nie jestem w stanie jej tego obiecać i Fifer doskonale zdaje sobie z tego sprawę. – Nie zamierzam też siedzieć z założonymi rękoma. – Zwracam wzrok na wychodzących z katedry ludzi, wypatruję konkretnej osoby. – Nie wiem, co wstąpiło w Johna – dodaję.

– Ja wiem. Zrobił to dla ciebie.

– To nie ma znaczenia. Nie może walczyć.

– Wiem, co myślisz – przyznaje Fifer – ale szczerze mówiąc, wszystko mogło się skończyć znacznie gorzej. Przecież teraz on nosi twoje znamię, więc nie grożą mu rany. Z mieczem też radzi sobie

niezgorzej. Peter świetnie go wyszkolił.

– Zauważyłam.

– Na szczęście nie zrobiłaś z siebie skończonej idiotki jak ta blada topielica Chime – ciągnie Fifer. – Jakie ona ma prawo wypowiadać się za Johna? A tu proszę, wystąpiła przed całym Harrow, trajkocąc jak przekupa broniąca swojego straganu.

– Wcale nie trajkotała. Po prostu chciała go ochronić. Uczyniła to, co powinnam była zrobić ja.

– Ale to nie jej stragan. – Ton Fifer wyklucza wszelką dyskusję. – O, proszę! O wilku mowa. – Ruchem głowy wskazuje Johna, który wreszcie wy dostał się z katedry.

Znacząca jego białą koszulę krew zdążyła wyschnąć. Zostały sztywne ciemne plamy. Rękawy podwinął nad łokcie, czerwien pokrywa mu dłonie i przedramiona. Włosy ma rozczochrane i wilgotne od potu, twarz niespokojną, znękaną. Podchodzi do nas, obejmuje mnie ramieniem i tuli.

– Rozpaczliwie potrzebuję kąpieli – szepce, po czym składa na moich ustach pocałunek.

Uśmiecham się prosto w jego wargi. Fifer udaje, że zbiera się jej na wymioty. John odsuwa się ode mnie.

– Nie powinnaś była się zgadzać – mówi.

– Właśnie jej to tłumaczę – wtrąca Fifer.

– Nie miałam wyboru – powtarzam. – Rozkaz rady.

– Wiem, ale i tak nie chcę, żebyś...

– A ja nie chcę, żebyś ty walczył – przerywam mu. – Potrafisz się bić, ale to wcale nie znaczy, że powinieneś. Jesteś uzdrowicielem. Już to mówiłam, po prostu nie jesteś powołany do walki.

– A ja już ci powiedziałem, że teraz sprawy wyglądają inaczej – rzuca nieco ostrzejszym tonem John. – Zrobię, co muszę.

– Przecież to nie ma sensu.

– Świat stracił sens dawno temu. Nie wiem, czemu miałby go teraz nagle odzyskać.

– John... – zaczynam, lecz milknę uciszona innym znajomym głosem.

– John, czy mogłabym z tobą porozmawiać? – Chime stoi pod

rosnącym przy bramie drzewem, nieco obok ścieżki.

Ma na sobie niebieską jak niebo suknię z jedwabiu i aksamitu. Strój pasuje do jej oczu. Ramiona zdobią najprawdziwsze żywe motyle o błękitnych skrzydłach z czarnym deseniem. Łagodnie kołyszą skrzydełkami. Kruczoczarne włosy splotła w luźny kok i udekorowała skrzącymi się od klejnotów spinkami w kształcie niebieskich motyli. Efekt jest przepiękny, nieziemski – akurat jak ona. Doskonale rozumiem, co widział w niej John, aczkolwiek on upiera się, że kiedy byli razem, był na tyle pijany, że zbyt wiele nie zobaczył. Fifer twierdzi, że ta dziewczyna zwiastuje kłopoty, i choć może mieć rację, myślę, że w tej dziedzinie zdecydowanie ją przerastam.

– Oczywiście. – John tłumii irytację i przywołuje na twarz coś zbliżonego do spokoju.

– Na osobności? Bardzo proszę. – Chime zerka na mnie i Fifer. – Mam nadzieję, że to nie kłopot? – Jej głos jest wysoki i miękki, ciepły i melodyjny, to brzmienie letniego dnia.

– Naturalnie, że nie. – John zegna się ze mną uśmiechem, po czym oboje odchodzą.

– Zaczekamy – rzuca za nimi przymilnym tonem Fifer. Spoglądam na nią, a ona nagradza mnie kuksańcem w bok. – Dlaczego puściłaś ich samych? – syczy, kiedy tamci nie mogą nas usłyszeć.

– Chciała po prostu porozmawiać – przypominam. – To nic straszego.

Fifer wydyma usta, lecz powstrzymuje się od uwag.

John i Chime zatrzymują się pod drzewem, na drugim końcu ścieżki. Wygląda na to, że głównie ona mówi; on przygląda się jej uważnie i od czasu do czasu kiwa głową. Widząc ich razem, czuję ostre ukłucie zazdrości, lecz pojawia się też inna emocja – poczucie nieuchronności.

Na pożegnanie Chime muska dłoń Johna, rzuca kilka słów, po czym zerka na mnie. Niebieskie oczy omiatają całą moją sylwetkę, minę ma opanowaną, obojętną. Na Fifer w ogóle nie zwraca uwagi. Wreszcie odwraca się i odchodzi do ojca. Lord Cranbourne Calthorp-Gough pozdrawia skinieniem głowy mnie i Johna, ujmuje córkę pod rękę i odprowadza ją.

Wraca John. Nie potrafię odczytać jego spojrzenia.

– Czego chciała? – pyta natychmiast Fifer.

– Niczego. Choć nie do końca. Chciała porozmawiać o swojej babci. Podobno jest ciężko chora. – John spogląda na mnie. – To moja pacjentka. Leczę ją od wielu lat. Tak się właśnie poznaliśmy. Znaczy ja i Chime.

Fifer ponownie wydyma usta.

– W każdym razie pytała, czy zanim wydarzenia nie nabiorą tempa, mógłbym staruszkę odwiedzić.

Fifer wydaje z siebie dziwny dźwięk – prychnięcie skrzyżowane z wybuchem śmiechu.

– Nie może zaczekać, aż wszystko się uspokoi?

– Fifer! – rzucam z naganą.

– Nie może – odpowiada John. – Zresztą, lepiej, żebyś zajął się tym teraz. Na wszelki wypadek.

– Na jaki wypadek?

– Na wypadek, gdyby stało mi się coś złego.

– Nic złego cię nie spotka – zapewnia go Fifer.

John uśmiecha się lekko, lecz wesołość nie sięga jego oczu.

– Nie wydaje mi się, by ktokolwiek mógł mi to zagwarantować.



Rozdział 5

Wieczorem przy kolacji Peter prawie wcale nie poświęca mi uwagi. Jest zbyt zajęty dumnym wpatrywaniem się w Johna. Minę ma taką, jakby jego syn zdołał w ciągu jednego popołudnia spełnić wszystkie ojcowskie marzenia. John z kolei unika spojrzeń pirata. Zaprzatają go próby pochwycenia mojego wzroku. Wciąż wisi między nami widmo wcześniejszej sprzeczki. Ja zamierzam walczyć, John chciałby mi tego zabronić. Peter z kolei chce, żeby John walczył, ja wołałabym mu tego zabronić. John jest na mnie zły z powodów, które świetnie potrafię zrozumieć. A ja się na niego wściekam z powodów, których nie pojmuję.

Staram się nie patrzeć na żadnego z nich, wbijam wzrok w miskę wołowego gulaszu i pajdę chleba. Jedzenia prawie jeszcze nie tknęłam.

– Jasne, musicie teraz poczekać na oficjalne wezwanie, ale spodziewam się, że otrzymacie je w ciągu tygodnia. – Peter wymachuje szklaneczką brandy. To już trzecia, bo świętuje. – Potem powinniście się jak najszybciej zgłosić w Rochester Hall.

Rochester Hall. Rezydencja lorda Cranbourne Calthorpe-Gough. Rodzinny dom Chime. Właśnie tam powstanie wojskowy obóz, w którym po przybyciu rozlokują się galijscy żołnierze. Tam także mamy w przewidywalnej przyszłości zamieszkać John i ja – najnowsze nabytki armii Harrow.

– Czy Rochester Hall nadaje się na obóz? – Sięgam po chleb i odrywam niewielki kęs. – Są tam odpowiednie tereny do ćwiczeń? I miejsce dla tylu ludzi?

Przypominam sobie Greenwich Tower, siedzibę Blackwella. Ukrytą za wysokim na czterdzieści stóp murem, strzeżoną dniem i nocą. Z jednej strony chroni ją nurt rzeki Severn, z pozostałych trzech – fosa.

Myślę o magii, z jaką się tam zetknęłam. Uświadamiam sobie, że Harrow wykorzystuje czarodziejskie talenty swych mieszkańców w podobny sposób. Magia pomogła mi się wyszkolić, przerażała mnie, zahartowała i zmieniła w żołnierza. A wszystkiego tego dokonał najstraszliwszy i najtwardszy człowiek, jakiego poznałam w życiu.

John i Peter wymieniają się rozbawionymi spojrzeniami. Czuję narastającą irytację.

– Owszem – odpowiada Peter. – Dziadek Fitzroya, czwarty hrabia Abbey, był prawdziwym jasnowidzem, aczkolwiek nie w sensie magicznym. Po prostu miał dar obserwacji i spostrzegawczości. Przewidział problemy magów, przepowiedział, że czary przestaną w pewnym momencie być tolerowane. Widzisz, to on założył Harrow. Większość tutejszych ziem należy do rodu Cranbourne Calthorpe-Gough.

Zaskakuje mnie wiadomość, że Chime jest dziedziczką niemal całego Harrow, choć właściwie nie powinnam być zdziwiona.

– Część terenów sprzedał Nicholasowi, część Garethowi. Skrawek należy też, oczywiście, do mnie – ciągnie Peter. – Niemniej większość zamieszkałych tu ludzi to najemcy. Fitzroy jest twardy, ale to porządny człowiek. Nie powoła do wojska nikogo, kto sam nie zechce walczyć.

– Odwrotnie niż Gareth – mamroce pod nosem John.

Peter kiwa głową

– Przymusowy pobór nie będzie konieczny. Okazuje się, że jest mnóstwo ochotników. Zgłoszenia napływały przez całe popołudnie, od zakończenia przesłuchania. – Wskazuje gestem ręki swoje biurko, na którym piętrzy się wysoka na pół stopy sterta listów. – To od mężczyzn, którzy są gotowi strzec bezpieczeństwa naszych granic, póki nie dotrze tu prawdziwe wojsko. – Peter trąca szklaneczką kielich Johna. – Oczywiście czekają też na pewną dziewczynę – zwraca się do mnie, jakby po namyśle.

W tym momencie pojmuję, co mnie tak złości. Stałam się kwiatkiem u kozucha, dodatkiem do walki, która była przecież tylko moja.

– Oczywiście. – Na inną odpowiedź po prostu mnie nie stać. Osobie z zewnątrz ta wymiana zdań wydałaby się całkowicie

niewinna. Może nawet sympatyczna. John ma silną intuicję, jak również dostęp do magii leczniczej i to wszystko – jestem pewna – pozwala mu wyczuć ukryte pod cienką powłoką pozorów napięcie. Podrywa się z miejsca, tuż przed tym, nim ja wstaję.

– Późno już – mówi do ojca, choć zerka na mnie. – Mamy za sobą długi dzień. Jestem zmęczony. Elizabeth na pewno też pada z nóg.

– Nie jest tak źle – prostuję. – Chciałabym najpierw uprzątnąć ze stołu.

Od czasu przybycia do Młyna i od kiedy odzyskałam dość sił, wyręczam ich w sprzątaniu i gotowaniu. Oni się tym nie zajmują, nie są przyzwyczajeni. Mimo że wcale nie proszą i zwykle próbują mnie powstrzymać, po prostu im pomagam.

– Daj spokój – rzuca John i, widząc moje ostre spojrzenie, dodaje: – Przynajmniej do jutra, dobrze? Naprawdę powinnaś wypocząć.

Spiesznie zbieram naczynia ze stołu i tupiąc, zanoszę je do kuchni. Nie zamierzam słuchać jego rad. Wcale nie potrzebuję odpoczynku. Muszę rozpocząć trening, by nabrać sił. Muszę się ponownie nauczyć skutecznie walczyć mimo braku chroniącego znamienia. Odpoczynek mi w tym nie pomoże.

Wiedzeni wrodzoną ostrożnością Peter i John zostawiają mnie w spokoju. Gdy zabieram obrus i grzechoczę sztućcami, siedzą w milczeniu. Wreszcie kończę. Jadalnia jest wysprzątana i panuje w niej niezręczna cisza. Słyszę tylko trzask płomieni w palenisku, tykanie stojącego na kominku zegara i szelest zagląających do okien gałęzi. Niemal namacalnie wyczuwam na sobie intensywne spojrzenia dwóch par ciemnych oczu.

Nie wiem, co mogłabym im powiedzieć. Wstyd mi za swoje dąsy, lecz nie do tego stopnia, by przeproszać. A w dodatku jestem zbyt wściekła, by prosić o wybaczenie. Po chwili zadawałam się prostym „dobranoc”, zostawiam ich i wychodzę. Idę na górę, do swojego pokoju. Zgodnie z przewidywaniami, wkrótce słyszę, jak drewniana podłoga skrzypi pod czyimiś krokami, a po chwili, jak John delikatnie zamyka drzwi po drugiej stronie korytarza. I z jakiegoś powodu te dźwięki kojarzą mi się z samotnością.

Nie chce mi się spać, lecz przebieram się w koszulę nocną. Kolejny

z prezentów od Fifer. Jest Iniana – jasnozielona, z prostokątnym dekoltem i szerokimi rękawami, obrębionymi ciemnozieloną tasiemką. Niemal zbyt ładna, żeby w niej sypiać. Pochodzę do toaletki i siadam przed lustrem. Wyciągam z szuflady szczotkę, zaczynam rozczesywać włosy. Po raz kolejny nie poznaję samej siebie. Jeszcze sześć tygodni temu byłam śmiertelnie niebezpieczna. Dzisiaj mogę co najwyżej straszyć. Potwierdza to moje odbicie. Błada. Krucha. Słaba. Utrata znamienia pozbawiła mnie nie tylko siły i zdolności do błyskawicznego zdrowienia. Wraz z nim straciłam tożsamość.

Nie wiem, czy ją kiedykolwiek odnajdę, nie mam nawet pomysłu, gdzie jej szukać. Wrzucam szczotkę z powrotem na miejsce i mocno zatrzaskuję szufladę. Zauważam przy tym kartkę, która wysmyknęła się spod denka i spłynęła na podłogę.

Kiedy odzyskałam już przytomność, lecz zanim dni wypogodziły się na tyle, byśmy mogli spędzać czas na zewnątrz, John i ja całymi nocami pisywaliśmy do siebie liściki, które przekazywaliśmy sobie przez szparę pod drzwiami. W pewnych kwestiach Peter jest niewzruszony, po zmroku nie wolno nam się widywać na osobności. John jednak uznał, że „widywać” nie oznacza „kontaktować”.

System był prosty. John wytrzasnął skądś sznurek i splótł z niego pętlę, której koniec przeciągnął pod moimi drzwiami. Drugi był u niego. Mocował liścik do sznurka i lekko pociągał. Wtedy ja wciągałam korespondencję do siebie, a po przeczytaniu i odpisaniu dawałam mu znać szarpiąc za swój koniec. I notka wracała. Czasami mocowaliśmy na sznurku kilka karteczek naraz, by nie czekać beczynnym na odpowiedź.

Podnoszę karteczkę z podłogi i ją rozkładam. Na pergaminie widnieje kilka rysunków roślin, starannie opisanych po łacinie. *Angelica sylvestris* – delikatne listeczki i mgiełka białych kwiatków. *Salvia officinalis*, szarolistny krzew upstrzony intensywnie fioletowymi kwiatami. *Berberis vulgaris* – roślina odznaczająca się ostro zakończonymi liśćmi i pękatymi czerwonymi jagodami. Kruche piękno szkiców silnie kontrastuje z niemal nieczytelnym odręcznym pismem Johna. Narysował je po części dlatego, że często kpiłam z jego koślawego charakteru pisma. Drugim powodem, jak sam wyjaśnił, był fakt, iż wszystkie te zioła pomogły mi wrócić do zdrowia. Powiedział, że

uważa je za piękne, ponieważ dzięki nim odzyskał mnie.

Skrywam twarz w dłoniach. Kartka ponownie ląduje na podłodze. Nie mam zbyt dużego doświadczenia w byciu z drugim człowiekiem, tak jak jestem z Johnem. Prawdę mówiąc, nie mam żadnego. Nie wiem, jak żeglować po morzach, które raz po raz grożą mi śmiercią w odmętach. Wiem za to, że osoby, które nas kochają, można traktować inaczej, lepiej, niż rzucając w nie kawałkami gulaszu, zapadając w kamienne milczenie i wypadając jak furia z pokoju.

Na zewnątrz zrywa się mocniejszy chłodny powiew, okno trzaska o futrynę. Wstaję, by je zamknąć, i wyglądam przy tym na zalany wieczornym światłem ogród. Większość pieczołowicie zadbanych roślin Johna została przycięta i jest pogrążona w zimowym śnie. Niemniej na przymocowanej do zewnętrznej ściany domu kratownicy wije się zimowe kapryfolium, dzikie i kwitnące. Woń uderza do głowy, nawet teraz, w lutym.

Kratownica.

Niecałą minutę później jestem za oknem, a chwilę potem na ziemi. Przelotne spojrzenie przez frontowe okno. Peter siedzi przy biurku, na którym rozłożone są listy. Pochylam się i przemykam pod parapetem. Przechodzę na drugą stronę. Przez moment żwir na ścieżce zgrzyta cicho pod moimi bosymi stopami, aż wreszcie docieram do ogrodu pod oknem pokoju Johna. Tutaj również jest drewniana kratka, porośnięta tak samo bujnym zimowym kapryfolium.

Wspinam się i po kilku sekundach zaglądam do środka. John siedzi za biurkiem i czyta z głową podpartą na dłoni. Jest zmęczony. To widać. Oczy same mu się zamykają. W pewnym momencie powieki przesłaniają oczy, a głowa opada mu naprzód.

Pukam do szyby.

Podrywa głowę i spogląda na drzwi. Stukam raz jeszcze. John odwraca się gwałtownie i widzi mnie czekającą tuż za oknem. Uśmiecham się na widok jego otwartych szeroko ust i zdumienia malującego się na twarzy. Błyskawicznie podrywa się z krzesła, podchodzi, otwiera okno i wciąga mnie do środka. Gramolę się przez parapet, ściskając w dłoniach rąbek koszuli nocnej. Nie chcę się zaplątać.

Jego spojrzenie wędruje od moich włosów – luźno spływających na ramiona – w dół, ku ubłoconym bosym stopom, po czym wraca do twarzy. Po drodze zatrzymało się tylko na moment na głębokim prostokątnym dekolcie, który ukazuje ciut więcej niż powinien. A mogłam się przebrać...

– Elizabeth... – zaczyna.

– Zaraz, pozwól, że ja coś powiem.

Odsuwam się poza zasięg jego ramion. Koszulę ma rozpiętą prawie do końca, jego włosy wyglądają tak, jakby przed momentem pieściły je moje dłonie. Jak on na mnie patrzy! Z lekkim, nieco szelmowskim uśmieszkiem. A jak pachnie! Lawenda, korzenne przyprawy i coś jeszcze, coś nieodmiennie z nim związanego.

John podchodzi krok bliżej.

Powstrzymuję go, unosząc dłoń.

– Nie, zostań, gdzie jesteś. Nie chcę, żebyś mnie rozpraszał.

Odpowiada mi westchnieniem. Przeczesuje palcami zmierzwione loki. Wreszcie wskazuje na stojące przy biurku krzesło, na którym kilka chwil temu prawie zasnął.

– Siadaj, proszę.

Siadam i mówię:

– Przepraszam za to, jak się dziś zachowałam. Wcześniej. Tam na dole. No, wiesz... – Kręcę głową, słysząc, jak nieporadnie wypadły moje przeprosiny.

– Nie ma za co.

– Właśnie, że jest – protestuję. – Byłam okropna. A ty niczym sobie na to nie zasłużyłeś. Poza tym nie podziękowałam ci za to, co zrobiłeś dla mnie w trakcie przesłuchania. Przecież zgodziłeś się walczyć u mego boku. Wiem, że to nie była łatwa decyzja.

– Mylisz się. – John siada na skraju materaca, przodem do mnie, boscie stopy podciąga i opiera na ciemnej drewnianej ramie łóżka. – Była bardzo prosta.

– Teraz tak mówisz – stwierdzam. – Od tej pory już nic nie będzie proste.

– Miałem na myśli samo podjęcie decyzji.

– Wydaje ci się tak, bo nosisz znamię – zauważam.

– Znamię nie miało z tym nic wspólnego – oznajmia John, lecz po chwili zmienia zdanie. – Nie. Masz rację. Miało bardzo dużo wspólnego.

– Nie żałuję, że ci je przekazałam – zapewniam czym prędzej, zanim mogło w nim wykiełkować ziarno podejrzania. – Ani przez moment.

– Ale żałujesz, że już go nie masz.

– To prawda – przyznaję. – Skłamałabym, mówiąc inaczej. Dzięki znamieniu moje zadanie byłoby... wykonalne. Bez niego nie jest.

John milczy w sposób, który wskazuje, że myśli o czymś, czego nie chce powiedzieć na głos. Czekam, by rzekł, iż nie mogę zabić Blackwella. Czekam, aby po raz setny powtórzył, że ta misja jest zbyt niebezpieczna, że nie starczy mi sił.

– Spodziewasz się, że spróbuję cię powstrzymać – odzywa się wreszcie – a jednak tego nie zrobię.

– Nie? – Chwilowa ulga błyskawicznie przechodzi w zdenerwowanie. – Ach, czy to dlatego... nie chcesz, no wiesz... że ty i ja... i...

– Nie! – John podrywa się z łóżka, bierze mnie za rękę i przyciąga do siebie. Siadamy na materacu obok siebie. – Oczywiście, że nie. Zupełnie nie o to chodzi. Czy chciałbym zamknąć cię w jakimś ciemnym lochu i zmusić, byś przeczekała, aż będzie po wszystkim? Tak. Gdybym jednak tak postąpił, natychmiast byś mnie znienawidziła, a poza tym... Ty taka nie jesteś. A nie chciałbym, żebyś się zmieniła choćby o jotę.

– Nie? – Gwałtownie mrugam oczami.

– Nie.

– Czyli co...? To już wszystko? – dziwię się. – Nie będzie kłótni?

Awantury?

John tłumy wybuch śmiechu.

– Wolałabyś, żebym wyciągnął miecz i wyzwiał cię na pojedynek? Uśmiecham się.

– Noszę twoje znamię – mówi dalej John – ale niech mnie diabli, jeśli cię za jego pomocą nie obronię. W każdy możliwy sposób. Nie powstrzymam cię, ale nie chcę, żebyś ty próbowała mnie hamować.

Waham się, lecz tylko przez moment. Warunki zawieszenia broni nie są może idealne, lecz nie sądzę, bym zdołała wynegocjować lepsze.

– W takim razie wygląda na to, że wdepnęliśmy w to wspólnie.
Uśmiecha się.

– Właśnie to od jakiegoś czasu próbuję ci powiedzieć.
Parskam śmiechem. Nie mogę się opanować.

John przysuwa się trochę bliżej. W pokoju panuje półmrok. Senna świeczka na biurku zdążyła się dopalić. Ostatnia stoi na nocnym stoliku obok łóżka, płomyk chybcze się na wieczornym wietrze, który dostał się do środka przez otwarte okno. John wplata mi dłoń we włosy, obejmuje moją szyję, muska kciukiem policzek. Nachylam się ku niemu i nie wiem sama, które z nas całuje pierwsze, ale jakie to może mieć znaczenie?

Na pół popychamy się, na pół opadamy na łóżko. Splatamy się, całując i nieporadnie mocując się z ubraniami. Nie pamiętam, bym świadomie chciała ściągnąć z Johna koszulę, lecz oto proszę, już zdjęta. Jego dłoń wędruje ku mojej obnażonej nodze, zakrada się w górę, po udzie do biodra, unosząc ze sobą nocną koszulę. Wydaję z siebie cichy jęk, a John całuje mnie jeszcze bardziej namiętnie.

Wszystkie te doznania... Dłonie na moim ciele, dłonie na jego ciele. Wargi Johna na mojej szyi, kręcone włosy między moimi palcami, męski oddech na uchu. Nie jestem w stanie myśleć. Coś pęka. Może bariera, jaką między sobą postawiliśmy, mieszkając tak blisko, w jednym domu; może bariera, jaką musieliśmy dzisiaj pokonać. Moje serce gna naprzód jak oszalałe, oddech przyspiesza. Robimy to, co robiliśmy już wcześniej, lecz nigdy dotąd nie było tak... tak niecierpliwie, gorączkowo, beztróska i żarliwie. Chcę, by wszystkie te emocje poniosły mnie dalej i dalej...

Przez okno wpada mocniejszy podmuch wiatru. Świeczka na stoliku prychna sadzą i gaśnie. W pokoju zapada ciemność. Ostry, matowy zapach siarki ze zgaszonego płomienia, materac protestujący pod naporem naszych ciał, dotyk jego nagiej skóry stykającej się z moją...

Nagle już nie jestem w pokoju Johna, nie całuję go i nie czuję na sobie jego ciała. Jestem w pałacu Ravenscourt, w pokoju Malcolma. Zostałam zmuszona, nie chcę i bardzo się boję. Żar, jaki czułam jeszcze przed sekundą, ustępuje nagłej fali zimna. Odpycham go, zrzucam z

siebie. Podsuwam się spiesznie ku wezgowiu, koszulę ściągam w dół, osłaniając nogi. Oddech wciąż nie zwalnia.

W ciemności widać niewiele, ale światła jest dość, bym zobaczyła sylwetkę Johna. Siada. On również oddycha gwałtownie.

– Poczekaj... – John wstaje, szuka po omacku koszuli, ubiera się. Podchodzi do stolika. Słyszę trzask zapalniczki, widzę, jak zapala świeczkę. Spogląda na mnie, po czym zapala jeszcze trzy inne świece zawieszony w kandelabrach na ścianie. Pokój tonie w ich blasku.

– Przepraszam – odzywam się, uprzedzając Johna. – Nie wiem, co się stało. Nie rozumiem, dlaczego to zrobiłam.

– Nie musisz wiedzieć – odpowiada – i nie musisz też za nic przeproszać.

– Myślę, że to przez mrok – dodaję. – Przypomniał mi chwilę, gdy byłam gdzie indziej, z kim innym...

– Elizabeth. – John wraca i przysiadł na krawędzi łóżka, tak daleko ode mnie, jak tylko jest w stanie. – Naprawdę nie musisz się przede mną tłumaczyć.

Wyciąga dłoń po materacu, powoli, aż wreszcie koniuszki jego palców nieśmiało stykają się z moimi.

Przypomina mi się coś, co uczynił rankiem po mojej pierwszej wizycie u Vedy, po tym, czego doświadczyłam w tunelu pod jej domkiem, gdy wróciło do mnie wspomnienie ostatniego sprawdzianu u Blackwella. Strach przepęłnił mnie do tego stopnia, że nie byłam zdolna stać ani iść, mogłam jedynie zwinąć się w ciasną kulkę. Przypomina mi się, jak John zaniósł mnie na rękach do domu Nicholasa i spędził przy mnie całą noc. Już wówczas dbał o mnie tak jak nikt wcześniej.

Pamiętam również, że nie przyszło mu to łatwo. We mnie, w nas, w ogóle nie ma nic prostego. Wiem, że znacznie łatwiej byłoby, gdybym w ogóle nie pojawiła się w jego życiu, a on został z Chime. Gdyby wołał ją ode mnie. Mam poczucie winy, lecz nie mogę mu o tym powiedzieć. Obarczyłabym go w ten sposób jeszcze jednym ciężarem, a przecież dźwiga ich za mnie już tak wiele.

– Powinam już iść. – Stawiam nogi na podłodze.

– Zaczekaj. – Bierze mnie za ramię. – Zostań, proszę. Prześpię się na podłodze – dodaje pospiesznie. – Nie musisz zostać, jeśli nie chcesz,

ale wolałbym, żebyś nie wracała do swojego pokoju.

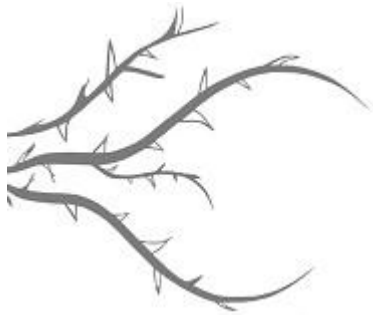
Już mam powiedzieć, że lepiej będzie, jak pójdę. Ale – jak zawsze, gdy zostaję, mimo iż wiem, że powinnam iść – nie wychodzę.

– Dobrze – mówię – lecz nie ma mowy, żebyś spał na podłodze.

Układam się na łóżku, wślizguję pod pachnącą lawendą czystą pościel.

John przez moment się waha, po czym dołącza do mnie i nakrywa nas kołdrą. Uważa przy tym, by mnie nie dotknąć. Za bardzo uważa. Po chwili odwracam się ku niemu i obejmuję go w pasie. Przyciąga mnie bliżej. Składam głowę na jego piersi. Twarz Johna ginie w moich włosach.

Zasypiamy.



Rozdział 6

Ekhem!

Kaszlnięcie wyrywa mnie przemocą ze snu, budzi. Otwieram najpierw jedno oko, potem drugie. Widzę wyłożone ciemną boazerią ściany, ciemnoniebieską pościel. Obejmujące mnie w talii ramię Johna. Leżymy w pozycji, w jakiej usnęliśmy, wtuleni w siebie.

– Ekhem!

Peter.

– No do stu par... – szepce John prosto w moje włosy.

– Jak myślisz? Od dawna tam jest? – pytam równie cicho.

Kolejne kaszlnięcie Petera. Chwila ciszy i następne.

– Sądząc po tym, jaki wszczyna hałas, już jakiś czas.

Nakrywam dłonią usta, tłumię cisnący mi się na wargi śmiech.

– Cii, jeszcze wszystko pogorszysz – ostrzega John, choć sam chichocze. – Chyba powinienem do niego wyjść. – Odrywa się ode mnie i wstaje z łóżka. Zabiera ze sobą ciepło swojego ciała i robi mi się zimno.

– Czekał – Siadam. – Nie możesz wyjść w tym stanie.

– Dlaczego? – John spogląda po sobie. Patrzy na pogniecione spodnie, wymiętą koszulę, która, zgodnie z prawdą, wygląda, jakby spędził w niej noc. Nie widzi skołtunionych włosów i uśmiešku, który od razu mówi całemu światu, że coś przeszkrobał. Albo naprawił – zależy od punktu widzenia.

– Dlatego że wyglądasz, jakbyś robił to, co twój ojciec ma na myśli.

– Ach! – Uśmiecha się. – Tyle że jeśli wyjdę gładko przyczesany i wystrojony, uzna, że mam coś do ukrycia. Gdybym naprawdę był winny, w życiu nie wyszedłbym tak jak teraz.

– Uhm. – Zastanawiam się przez chwilę i wreszcie się krzywię. – Czyli miał pan takie przygody już wcześniej, z innymi dziewczynami, tak?

– Nigdy nie robiłem tego z innymi dziewczynami. Tylko z tobą. – Nachyla się i muska moje usta wargami. – Zawsze będziesz tą jedyną. Uśmiecham się szeroko i go całuję.

– Ekhem!

– Pora na koń i do boju! – John podchodzi do drzwi i otwiera je zamaszystym gestem. – Rany, kaszlesz, jakbyś miał koklusz – rzuca, wychodząc na korytarz. – A to spore osiągnięcie. Koklusz występuje najczęściej u dzieci. U starych mężczyzn to rzadkość.

Drzwi się zamykają, lecz odpowiedź Petera dolatuje mnie całkiem wyraźnie.

– Już ja ci zaraz pokażę koklusz, młody mężczyzno.

Przyciskam dłoń do twarzy, duszę w sobie chichot. Ojciec z synem rozmawiają, ale teraz już nie słyszę dokładnie, co mówią. Dopóki stoją na korytarzu, nie jestem w stanie wyjść i wrócić do swojego pokoju. Mogłabym naturalnie skorzystać z drogi przez okno, ale teraz nie miałyby to większego sensu. Postanawiam poczekać na Johna i poznać wymiar kary.

Wstaję z łóżka, przyglądam się przez chwilę zmietoszonej pościeli, po czym doprowadzam ją do porządku. Zaraz potem przypominam sobie, co John powiedział o postępowaniu winnych i ponownie mierzwię kołdrę i poduszki.

Okno wciąż jest lekko uchylone, do pokoju wślizgują się podmuchy rzeńskiego porannego wiatru. Przechadzam się w tę i z powrotem. Teraz, w dziennym świetle, zauważam, jak bardzo prześwitująca jest moja koszula. Przez cienki len widać w zasadzie wszystko. Siadam więc przy stole roboczym Johna i wsuwam się najgłębiej, jak tylko pozwala mi krzesło. Na blacie panuje istny rozgardiasz. Książki, pergaminy, atrament i gęsie pióra leżą w nieładzie. Wagi, moździerz, sitka i mieszadełka drewniane, szklane i metalowe. Połowa szuflad jest otwarta, w środku mieszają się ze sobą zioła, proszki, korzenie i liście. Ogarnia mnie przemożna pokusa, by tu posprzątać, lecz się powstrzymuję. Widywałam już Johna przy pracy i

dobrze wiem, że w tym szaleństwie jest – dość specyficzna, przyznaję – metoda.

Kolejny podmuch niesie ze sobą znajomy zapach. Zwodniczo delikatny i słodki, trochę jak perfumowany talk, lecz pozostawiający w nozdrzach drażniącą woń – przestrozę. Zaglądam w głąb szuflady i znajduję. *Aconitum*. Ziele znane również jako tojad bądź mordownik. Szalenie trująca roślina. Powoduje paraliż i problemy z oddychaniem, jest w stanie zatrzymać bieg ludzkiego serca. Świeży tojad można rozpoznać po zapachu, lecz po wymieszaniu z innymi ziołami traci go bezpowrotnie i wtedy jest niewykrywalny: trucizna idealna. Poza zabijaniem nie ma żadnego zastosowania.

Przeglądam zawartość kilku kolejnych szuflad. Przekopuję się przez sakiewki, słoiczki, butelki. Znajduję więcej trucizn. Belladonna. Mandragora. Naparstnica. Co one robią u Johna? I co więcej, gdzie je zdobył? Tego rodzaju zioła są przecież zakazane nawet w Harrow, gdzie magia nie została wyjęta spod prawa. Fifer opowiadała, że Hexham, lokalne więzienie, w pewnym momencie pękało od magów, którzy próbowali rozstrzygać między sobą zatargi za pomocą trujących substancji. Garść mordownika do zupy, proszek z naparstnicy między kartkami listu.

Ustawiam trucizny na stole, zamierzam wypytać o nie Johna. Nie, rozmyślam się. Skoro sam mi się nie przyznał, na pewno ma ku temu powód. Dlatego z wprawą zyskaną przez lata przetrząsania domów czarowników – gdzie znajdowałam rzeczy, które woleliby ukryć, po czym układałam wszystko jak było, składałam oficjalny raport w siedzibie inkwizycji i wreszcie nieodmiennie wracałam, by ich aresztować – wrzucam zabójcze zioła z powrotem do szuflad.

Kiedy po kilku chwilach John pojawia się z powrotem w pokoju, siedzę na łóżku, na niebieskiej narzucie, mocno naciągniętej na materac. Włosy splotłam w opadający na plecy warkocz i związałam znaną na stole wstążką. Dłonie ułożyłam grzecznie na podolku. John zatrzymuje się w progu, obrzuca mnie spojrzeniem i wybucha śmiechem.

– Chyba jeszcze nie widziałem nikogo bardziej winnego niż ty teraz.

Nie odzywam się, w każdym razie nie od razu.

– Co powiedział twój ojciec? – pytam ostatecznie.

John zamyka drzwi i opiera się o nie plecami. Uśmiecha się od ucha do ucha.

– Dowiedziałem się, że muszę pamiętać o dobrym wychowaniu i mieć na uwadze twoją skromność. Poza tym zamiast o terażniejszości powinienem myśleć o przyszłości, tamować pochopne impulsy i zanim cokolwiek uczynię, zawsze zastanowić się dwa razy. Dodatkowo należy wystrzegać się ulotnych kaprysów i sprośności. Na koniec uprzedził mnie, że życie nie polega na spełnianiu wszelkich zachcianek, a raczej na wyrzekaniu się dziwactw i stałym dążeniu do cnoty.

– Dość długa litania.

– To i tak skrócona wersja.

– Peter lubi sobie pogadać, prawda?

– Nawet nie pytaj. – John pochyla głowę. Wesołość ustępuje współczuciu i trosce. – Masz taką przygnębioną minę. Niepotrzebnie. Powiedziałbym ci, gdyby z tej sprawy miał wyniknąć jakikolwiek kłopot. Ojciec po prostu chciał mi pokazać, jak bardzo mu na mnie zależy. Wiem, że to dziwne. Wierz mi, kłopotów zacząłbym się obawiać, gdyby zachował się inaczej.

– Skoro nie ma problemu, to dlaczego wciąż stoisz tam, zamiast przyjść tutaj?

Uśmiech powraca na twarz Johna.

– Dlatego, że on wciąż czeka, żebym odprowadził cię do pokoju.

– Ach.

Wstaję, podchodzę do drzwi. Zatrzymuję się przed Johnem. Patrzy na mnie z góry. W jego oczach dostrzegam ciepło, rozbawienie i jeszcze coś: miłość. Kiedy nachyla się, żeby mnie pocałować, odpędzam od siebie poczucie winy tak daleko, jak tylko potrafię. Zarzucam mu ramiona na szyję i całuję.

– Ulotny kaprys – szepce.

– I sprośność! – dopowiadam.

Następnego dnia dochodzi w Harrow do kolejnego ataku. Pięciu łuczników, dokładnie jak poprzednim razem. Tyle że teraz dotarli znacznie dalej, aż do Gallion's Reach, czyli do samego serca Harrow. Tam znajduje się główna ulica, sklepy i karczmy, tam było też około

setki ludzi, między których zamachowcy wpadli w wirze czarnych jak smoła płaszczy, szyjąc dokoła strzałami. Ofiary wybierali losowo. Zabili dwóch bezbronnych mężczyzn, konia (jeźdźca chybili) i jednego z członków pirackiej braci Petera (w tym przypadku trafili bezbłędnie).

Napastnicy umknęli równie szybko, jak się pojawili, zanim jeszcze nasza skromna gwardia zdążyła zorganizować pościg. Kilka grup przez cały ranek przeszukiwało okoliczne wioski, lecz wrócili z pustymi rękoma. Łucznicy bez wątpienia udali się do Upminster, by przekazać Blackwellowi nowe informacje na temat Harrow. Rozkład budynków, rozstawienie straży bądź ich brak, popularne miejsca spotkań, okolice, których nikt nie odwiedza.

Nicholas wraz z pozostałymi członkami rady spędzają cały tydzień na usprawnianiu działania magicznej bariery, chroniącej Harrow. Wcześniej wstępu wzbraniano tylko osobom działającym pod cudzymi rozkazami. Teraz chronią nas trzy magiczne zasłony, sprawdzające samodzielność, motywy i zamiary przybyszów. Trzy szanse na pomyślne przekroczenie granicy, trzy możliwości porażki.

Jednak, jako że ludzie Blackwella również posługują się magią, czary to za mało. Dlatego w tym samym tygodniu powstaje też straż – grupa dwustu zbrojnych, którzy dzień i noc patrolują długie na trzydzieści kilka mil granice Harrow, z silnym postanowieniem, by nie dopuścić do następnych zamachów. Peter i John zgłaszają się jako jedni z pierwszych. Nie chcąc naruszyć kruchego pokoju, jaki między nami zapanował, popieram ten pomysł. Kiedy pakują bagaże, czyszczą broń i wreszcie opuszczają Młyn, ukrywam swoje zastrzeżenia pod maską uśmiechu i życzę Peterowi powodzenia, a Johna żegnam pocałunkiem i czułym słówkiem.

Kiedy Peter, John i wszyscy zdolni do noszenia broni mieszkańcy Harrow zajmują się albo pilnowaniem granic, albo pomocą przy zakładaniu obozu w Rochester, Schuyler i Fifer chcą wykorzystać czas i przygotować mnie do nadchodzących walk.

Przychodzą po mnie któregoś dnia o świcie. Wpadają do pokoju bezceremonialnie, trzaskając drzwiami i kopiąc w nogi łóżka.

– Wstawaj, skarbenku! Pobudka!

Siadam i, mrużąc oczy, przyglądam się wysokiej, bladej sylwetce

Schuylera. Fifer stoi obok niego. Kontrast między nimi jest... ognisty.

– Która godzina? – pytam. Przez zasłonę nie przedziera się ani jeden promyk światła.

– Godzina trudu i łez. – Fifer rzuca mi kilka ubrań. Spodnie, bluzę, buty i pas ze stalową klamrą, która prawie zdzieliła mnie w głowę.

– Ej, uważaj! – pryham.

– Blackwell nie pieścił się z tobą, więc my też nie zamierzamy. – Fifer zrywa ze mnie kołdrę i padam ofiarą napaści zimnego powietrza przedświt.

– Dajcie mi choć minutę. Muszę się obudzić – rzucam. – I może zjem śniadanie? Chyba nie każecie mi pracować o pustym brzuchu?

Schuyler ciska coś w moją stronę i chwytam to coś tuż przed twarzą. Kawalek chleba.

– Według moich źródeł – znacząco stuka się w skroń, przypominając o zdolności czytania w myślach – to właśnie jadałaś każdego ranka przed treningiem. To i tylko to. Gdybyś zjadła więcej, dopadłyby cię wymioty, gdybyś zjadła mniej, zabrakłoby ci sił. Przełykaj więc szybko i ruszamy.

– Zaczekamy w korytarzu – dodaje Fifer i wychodzą.

Wygrzebuję się z łóżka, gdzieś głęboko w brzuchu wzbiera przecucie grozy. Identyczne towarzyszyło mi codziennie rano podczas pobytu u Blackwella. Zastanawiałam się, z czym przyjdzie mi się zmierzyć, jak bardzo zaboli, czy mogę zginąć. Spoglądam na kromkę chleba. Nawet ona wygląda tak samo jak wtedy. Żadna tam miękka biała bułeczka z dobrej mąki. Prosty szary chleb. Odgryzam kęs – smakuje jak żużel.

Zbieram z podłogi ubrania. Nagle je rozpoznaję i przebiega mnie lekki dreszcz. Czarne spodnie, biała koszula, płowy płaszcz, czarne buty. A pas, który omyłkowo uznałam, za pasek do spodni, to bandolier. Służy do noszenia broni. Strój łowców czarownic.

Przeklęty Schuyler.

Przebieram się. Włosy związuję jak dawniej w ciasny koczek na karku. Podchodzę do toaletki i przeglądam się w lustrze. Piegi wyraźnie odcinają się od bladej cery, jasnoniebieskie oczy wydają się jeszcze bledsze niż zwykle – wpływ mającej w nich niepewności. Czuję

strach i zdenerwowanie, ale nie próbuję ich od siebie odsunąć – te uczucia są mi znajome i w pewien sposób kojące.

Zgodnie z obietnicą, Schuyler i Fifer czekają w korytarzu. Bez słowa sprowadzają mnie na dół. Mijamy jadalnię, kuchnię i wychodzimy tylnymi drzwiami. Słońce właśnie wychyło ponad horyzont, niebo jest szare i zimne, w wilgotnym powietrzu unosi się mgła. Żywym krokiem idę za nimi przez ogród Johna, poza kamienny murek, prosto na falujące łąki, gdzie pod naszymi butami chrzęści oszroniona trawa.

– Dokąd idziemy?

Fifer wskazuje palcem przed siebie, gdzie łąka przechodzi w zbocze wzgórza.

– Potrzebujemy prywatności – stwierdza. – Myśleliśmy, żeby zrobić to u Nicholasa, ale tam często zagląda Gareth. Normalnie jak jakaś zjawia na przeszpiegach. Tutaj nigdy nie przychodzi. Zresztą, tutaj praktycznie nikt nie przychodzi.

– Ale dlaczego właściwie potrzebujemy prywatności?

– A co? Boisz się? – Fifer spogląda mi prosto w oczy. Uśmiecha się lekko złośliwie.

– Chciałabyś – odpowiadam, ale się boję. I ona o tym wie.

Wspinamy się na wierzchołek wzgórza i tam, w płytkim zagłębieniu, widzę, co dla mnie przygotowali. Plac treningowy. Szranki. Nie ma piasku ani trybun i tłumów, lecz mimo wszystko to szranki. Długie i wąskie, oznaczone niewielkimi chorągiewkami i zastawione bronią. Rzędy tarcz, stojaki z włóczniami, kusze i miecze. Jest też duża drewniana skrzynia i domyślam się, że w niej także czeka broń. Mimo lęku zaczynam czuć lekką ekscytację.

Oboje podchodzą na skraj placu. Idę za nimi. Schuyler unosi wieko skrzyni i wyciąga z niej maczugę, topór bojowy i kilka sztyletów. Wszystko to rzuca na ziemię. Stal upada w trawę z wilgotnym plaśnięciem. Na koniec wyjmuje z kufra kolczugę – kaptur i bluza z długim rękawem, wzmocnione niezliczonymi żelaznymi kółkami, poczerniałymi od rdzy.

– Zbroja? Tylko paziowie noszą zbroje. W życiu czegoś takiego nie zakładałam, nawet jako rekrut, kiedy niczego nie umiałam. Nawet gdy byłam chora i nie mogłam...

Jednym szybkim ruchem Schuyler podrywa leżący na ziemi nóż i ciska nim we mnie. Sztylet wiruje, mierząc w moje serce. Padam na ziemię i słyszę świst powietrza. Głowę podnoszę dopiero, kiedy ostrze zagłębiło się w pniu młodej brzoźki, dziesięć stóp dalej. Drzewko jest szerokie ledwie na trzy cale.

– Oszalałeś!?! – Wściekłym ruchem ocieram rękawem błoto z twarzy. – Mogłeś mnie zabić!

– Chyba lepiej, żebyś nałożyła kolczugę.

Zrywam się na równe nogi. Spodnie mam już brudne i wilgotne, podobnie wyglądają moje dłonie i twarz. A jeszcze nawet nie zaczęliśmy.

Fifer podaje mi tę absurdalną zbroję. Zsuwam z ramion płaszcz i narzucam ją na koszulę.

– Nie zapomnij o kapturze – mówi Schuyler, podkreślając słowa stosownym gestem.

Wsuwam kaptur na głowę. Klnę w duchu, ponieważ metal ociera mi uszy, tłumi dźwięki, kóleczka szarpia włosy. Przeklinam Schuylera wszystkimi znanymi sobie wulgaryzmami.

– Przestań narzekać. – Fifer wyciąga z kieszeni naszyjnik. Poznaje – mosiężny łańcuszek, ampułki z solą, rtęcią i popiołem. Zakłada mi go na szyję. – Dzięki temu Schuyler nie będzie słyszeć twoich myśli w trakcie walki – wyjaśnia i uśmiecha się szeroko. – I nie mów, że nigdy niczego dla ciebie nie robię.

Schuyler przygląda mi się z beznamiętną miną. Po chwili podnosi z trawy miecz i rzuca go mnie, po czym podchodzi do stojaka i wybiera jaskółkę – długie, obustronne ostrze. Zaczyna nim obracać. Raz za razem, błyszcząca stal rozmywa się w powietrzu. Wchodzimy na środek wyznaczonego placu. Schuyler zaczyna mnie powoli okręzać. Dubluję każdy jego krok. Uderza. Raz i drugi. Pierwsze dwa ciosy paruję. Wtedy trafia, wytrąca mi broń z dłoni. Ostrze sunie po trawie.

– Punkt. – Fifer unosi rękę.

– Walczymy na punkty? – dziwię się, podnosząc miecz.

– Tak. – Kiwa głową. – Jeżeli wygrasz, to zyskasz prawo wyboru następnej próby.

– A jeśli Schuyler zwycięży?

– Wtedy on wybierze.

– No dalej, złotko – ponagla zjawą i rusza w moją stronę.

Skaczę naprzód i atakuję. Schuyler jest jednak przygotowany. Blokuję pierwsze cięcie, blokuje też drugie. Poirytowana padam na ziemię i próbuję go podciąć. Tego się nie spodziewa: zatacza się, a ja wymierzam kopniak drugą nogą, trafiam go w krocze. On pada na kolano, jęki mieszają się z litanią przekleństw. Odrzucam miecz na bok i skaczę na niego. Tego się nie spodziewał. Padamy w zwarcu na ziemię i toczymy się. On zaciska ramię na mojej szyi, odwraca mnie na plecy i przygniata. Wbijam mu kciuk w oko, jedna ze starych sztuczek. Wyje jak dziecko, ryczy i atakuje. Pada na mnie, chwyta moje przeguby i próbuje mnie ponownie przygwoździć do podłoża. Wcześniej jednak udaje mi się wyszarpnąć nóż zza pasa i przytykam ostrze do jego krtani. Stal nacina skórę, na rozcięciu pojawia się bąbelek czarnej krwi. Nic dziwnego, przecież Schuyler jest zjawą.

– Punkt – ogłasza Fifer.

Rzucam na nią okiem. Stoi z szerokim uśmiechem na twarzy.

Schuyler podnosi się z ziemi, przez jego twarz przemyka cień bólu. Ociera krew z szyi, patrzy na ciemną smugę na palcach, po czym przenosi wzrok na mnie. W jego błękitnym spojrzeniu pobłyskuje pragnienie rewanżu.

– Jeszcze raz.



Rozdział 7

Podobnie jak dawniej, treningi mnie wykańczają. Najczęściej padam na łóżko i zasypiam jeszcze przed zachodem słońca, a budzę się o świcie, gdy ciężki but otwiera kopniakiem drzwi mojej sypialni. Schuyler i Fifer wspólnie ponaglają mnie, bym wstała, ubrała się i poszła z nimi na miejsce kolejnej wymyślonej przez nich próby. Z każdym dniem ćwiczenia są trudniejsze, bardziej bolesne i krwawe, jednak ja staję się silniejsza, pewniejsza siebie, mniej wylękniona.

John napisał do mnie dwa razy w ciągu tygodnia od początku szkolenia i odkąd wstąpił do straży. Oba listy przyniósł mi w swych ostrych szponach Horacy, jego sokół. Czytam o patrolach wzdłuż granicy: nic się nie dzieje. Czytam o tym, jak się miewa: jest zmęczony. Horacy siedzi na moim parapecie i cierpliwie czyści piórka, czekając, aż odpiszę. John czyta o moich treningach z Schuylerem i Fifer. Nie narzekam, że są ciężkie, nie wspominam o obolałym ciele. W odpowiedzi John nie namawia mnie, bym przestała trenować; pisze jedynie, jak bardzo za mną tęskni.

W wieczór, kiedy John ma wrócić do domu, upieram się, że nie zasną i doczekam jego przyjazdu. Dzisiejsze starcie z Schuylerem przegrałam, za co ukarał mnie dziesięciomilowym biegiem w pełnym rynsztunku, przez wzgórze Whetstone. Wszystkie mięśnie wołają o odpoczynek, lecz jak dotąd udaje mi się powstrzymać sen.

Leżę w białym łóżku. Poćwiartowany ramkami w oknie księżyc posyła blade smugi światła na podłogę i ciemniejące ściany. Dzisiejszej nocy w domu panuje cisza. Deszcz nie bębni o dach, nie słychać szelestu skrzydeł mieszkającej w stodole sowy, gałęzie nie postukują o szyby. Nasłuchuję, czekam, by wreszcie skrzypnęły drzwi, by rozległ się odgłos znajomych kroków na jęczących schodach. Ciszę mąci jednak tylko

cykanie zegara stojącego piętro niżej, na kominku. Mechanizm powoli odmierza upływające godziny. Północ. Pierwsza. Druga.

Nie pamiętam, by zegar wybił trzecią, więc zapewne przysnęłam. Wreszcie jednak dolatuje mnie cichutki szept, rozlega się tuż nade mną. Czuję, że na moje wargi wypływa rozleniwiony uśmiech.

– Wróciłeś... – mówię sennym głosem, jeszcze na wpełni świadomie. – Chciałam na ciebie zaczekać, ale... – Urywam. Czekam na dotyk dłoni na włosach, na znajomy ciężar ciała Johna, gdy ułoży się obok na materacu.

– Bawimy się w domek z nowym ukochanym, co? Jakże to wzruszające... – Głos jest śliski, ocieka sarkazmem. Nie należy do Johna.

Gwałtownie podnoszę powieki.

Nade mną majaczy ciemna sylwetka. Czarny płaszcz z kapturem, ciężkie czarne buty i głupekowaty czarny uśmiech. Znam tę postać: Fulke Aughton, łowca czarownic.

Próbuję się poderwać, usiąść, ale Fulke kładzie mi dłoń na gardle i przyciska do poduszki. Osiągnął najniższą rangę wśród wszystkich rekrutów Blackwella. Najwolniejszy, najbardziej niezdarny, zawsze wylękniony. Caleb i pozostali nazywali go Fulke Niedojda – według nich przebrnął przez szkolenie wyłącznie dzięki kombinacji osobistego szczęścia i pomyślnych zbiegów okoliczności. Teraz, gdy widzę go we własnej sypialni, moją pierwszą reakcją nie jest strach, lecz poczucie zniewagi.

Wbijam mu kciuk w oko. Fulke zaciska zęby i tłumi zboląle jęknięcie, po czym chwyta moją dłoń i odgina kciuk tak mocno, że słyszę suche zgrzytnięcie wyskakującej ze stawu kości. Sapię głucho, ale nie krzyczę. Nie będę krzyczeć, nie dam mu tej satysfakcji.

Wyciągam obie ręce, łapię intruza za głowę i uderzam go czołem w twarz. Fulke, skończony idiota, bardzo mocno przygryza sobie język i z jego ust wyrywa się zdławiony okrzyk. Cofa się. Wykorzystuję tę chwilę – błyskawicznie staję na materacu, wybijam się i skaczę na niego. Nie zdążył zareagować i szepieni wpadamy na białe ceglany kominek. Odrywam się od przeciwnika, znów chwytam go za głowę i uderzam nią o cegły. Ponownie słyszę jego krzyk. Pada na kolana. Podrywam leżący

w palenisku pogrzebacz i przyciskam ostry koniec do tętnicy na szyi Fulkego. Wpadł w potrzask – z jednej strony ja, z drugiej kominek, równie nieustępliwe przeszkody.

Nie ma zbyt wielu metod na pozabawienie życia łowcy czarownic. Niemniej skręcony kark, rozcięta tętnica bądź trafienie w oko lub ucho ostrzem – tak aby dosięgło ono mózgu – to wszystko obrażenia, z którymi nie poradzi sobie nawet znamię.

– Co tu robisz? – Nie odrywam od niego wzroku. Póki na mnie patrzy, niczego nie spróbuje. To kolejny powód, dla którego nigdy nie został dobrym łowcą. Nie ma na tyle sprytu, by cokolwiek zaplanować bez odrywania spojrzenia od celu, co oczywiście stanowi w tej chwili mój atut.

– Nie muszę ci niczego mówić.

– To ja mam w ręku broń i to ja ustalam zasady – zauważam. – Jeśli chcesz zobaczyć jutro wschód słońca, powiesz mi, co tutaj robisz.

– Nie.

Napieram na pogrzebacz i jego końcówka – z cichutkim młaśnięciem – rozcina skórę. W bladej poświacie księżyca ledwie widzę krew, cieniutka strużka spływa mu po szyi.

– Czeka! – skamle wysoko, piskliwie.

– Co tu robisz? – powtarzam.

– A jak myślisz? – Brązowymi oczami wpatruje się w moje oczy. – Przyszliśmy zabrać cię do Blackwella.

Moment milczenia. Nagle sobie uświadamiam co powiedział: „Przyszliśmy”.

Fulke zerka przelotnie w stronę okna. Odwracam się akurat w chwili, w której się otwiera i widzę na parapecie drugą sylwetkę w czerni: Griffin Talbot. Krótko przystrzyżone jasne włosy, ciemnoniebieskie oczy, przystojny i obdarzony charyzmą, przyjaciel Caleba i ulubieniec Blackwella. W odróżnieniu od Fulkego, Griffin nie jest ślamazarny. Nie jest też głupi, nieporadny ani strachliwy. Jest właśnie taki, jaki powinien być łowca czarownic: mądry, silny, szybki oraz śmiertelnie niebezpieczny.

– Fulke, kretynie. – Griffin ześlizguje się z parapetu. Ciężkie buty złowieszczo stukają o deski podłogi. Podchodzi ku nam bez zbędnego

pośpiechu. Jego spojrzenie wędruje od kolegi – wciąż klęczącego pod kominkiem z moim pogrzebaczem przy krtani – do mnie, przykucniętej obok w obszytej ciemnozieloną lamówką cienkiej lnianej koszuli nocnej z głębokim dekoltem. Włosy spływają mi po plecach.

– Wyładniałaś ostatnimi czasy, Elizabeth – chwali ze znaczącym uśmiechem. – Nigdy nie byłem przesadnym wielbicielem twojego typu urody, ale być może się pomyliłem.

Oczy Griffina omiatają całe moje ciało. Wyłupię je, jeśli dostanę choć cień szansy.

– Najwyraźniej zdrada ci służy – dodaje.

Odpowiadam potokiem przekleństw.

– Ujmująca jak zawsze. – Griffin skupia się na Fulkem. – Dostałeś jedno, jedyne zadanie – rzuca. – Miałeś obserwować śpiącą dziewczynę, dopóki nie sprawdzę domu. Fulke, Chryste Panie. Zapędziła cię w kozi róg w niecałą minutę, a nie jest nawet ubrana i nie ma przy sobie broni. Chyba że sypia z pogrzebaczem pod poduszką.

– Wiesz, kim ona jest – dąsa się Fulke.

Griffin wzrusza ramionami i zwraca się na powrót do mnie.

– Nie sądziłem, że stać cię na takie numery, Grey. Twój uzdrowiciel ginie, a ty przymilasz się do jego tatuśka?

Fulke parska śmiechem, wyraźnie stara się przypochebić koledze.

– Właśnie! Za kogo ty się masz? Za Myrrę?

– Źle, Fulke – ucina Griffin. – Myrra zakochała się we własnym ojcu, nie w ojcu kochanka.

– Czyli co? Jokasta?

– Też nie, Jokasta z kolei poślubiła swojego syna.

Przestaję słuchać, ściska mnie w dołku. John zginął? Przecież to niemożliwe. Nosi moje znamię, nie mogli go zabić. John żyje, żyje. Nagle kojarzę fakty i wydaję z siebie ciche westchnienie ulgi, którego tamci nie słyszą. Noc balu maskowego. Blackwell dźgnął Johna, a potem zniknął, zanim Fifer pomogła przekazać rannemu moje znamię. Oni wciąż myślą, że John nie żyje, i nadal są przekonani, że jestem tym, kim byłam. Zaczynam się gorączkowo zastanawiać. W pokoju jest ze mną dwóch łowców czarownic. Jeden, którego mogłabym bez większego trudu pozbawić życia, i drugi, który bez większego wysiłku może mnie

zabić. John i Peter jeszcze nie wrócili, ale to akurat może się lada moment zmienić. Przynajmniej przez jakiś czas John dotrzymałby im pola w walce. Peter również. Tyle że Griffin jest dobry – zbyt dobry. A przy tym to wyśmienity taktyk. Jedyłą jego słabością jest nadmiar agresji w ogniu walki, co sprawia, że niekiedy popełnia głupie błędy. Tylko to nie byłaby prawdziwa walka, a zwykła masakra. Chyba że...

„Schuyler” – przywołuję w duchu imię zjawy. Wykrzykuję je bezgłośnie. „Schuyler! Są tutaj! Łowcy czarownic. Dwóch, w moim pokoju. Przyszli po mnie!”

– ...nie. Nyks i Ereb byli rodzeństwem. Jezu, Fulke, przypomnij mi po akcji, żebym powiedział o tym Blackwellowi. Trzeba ci zorganizować jakieś lekcje wyrównawcze.

– Przymknij się, Griffin, dobra?

– Blackwell musi cierpieć na brak chętnych do pomocy, skoro przysłał tutaj Fulkego – włączam się w ich nedorzeczną rozmowę. Może jeśli zagadam Griffina, zyskam nieco czasu i Schuyler zdąży z odsieczą.

– Blackwell na nic nie cierpi – odpiera Griffin. – A służba prawowitemu królowi to zaszczyt.

– Blackwell nie jest prawowitym królem.

– Zasiada na tronie. To chyba o czymś świadczy, prawda?

– Co porabiacie teraz, kiedy okazało się, że Blackwell jest czarownikiem, a magia nie jest już zakazana? – pytam. – Nadal nazywacie się łowcami czarownic?

– Teraz jesteśmy rycerzami – tłumaczy Griffin. – Rycerzami Monarszego Imperium Anglii.

– Fulke rycerzem? – Zerkam na widniejące na ich płaszczach, wyszyte pod herbem galijskie motto. *Honte r celui qui ne peut pas atteindre*. „Wstydem jest osiągać jeno przeciętność”. Prycham wzgardliwie. Nie mogę się powstrzymać.

– Ze wstydem rzeczywiście mają rację.

Griffin nie reaguje.

– Ilu was teraz jest? – podejmuję. – Tylko sami dawni łowcy czarownic? Czy może Blackwell przyjmuje nowych rekrutów?

– Nie wysilaj się, Grey – paruje. – Niczego ze mnie nie wyciągniesz.

– A co chcecie zrobić? – pytam. – Uśmiercić mnie? Bo mogę cię od razu zapewnić, że dobrze się to dla was nie skończy.

– Aż tak cię ciągnie do bitki, co? – Griffin cmoka. – Nie przychodzimy cię zabić. Poza tym nigdy nie zabijaliśmy. Tylko ty zabijałaś.

„Tylko ty zabijałaś” – rozbrzmiewa mi w głowie jak echo.

– Widziałem zwłoki Caleba – ciągnie łowca. – Blackwell je przyniósł. Zawsze odnosiłem wrażenie, że czujesz do niego miętę. Znaczą, do Caleba. Chodziłaś za nim krok w krok, robiłaś do niego maślane oczy. Wszyscy to widzieli. A potem zobaczyliśmy jego ciało. Rozplatałaś go prawie na pół, wybebeszyłaś. W głębi ducha musiałaś go nienawidzić. Musiało tak być. Może dlatego, że nie odwzajemniał twoich uczuć. A przynajmniej nie te, na których ci zależało najbardziej.

Griffin stara się mnie poruszyć, wstrząsnąć mną. I to mu się udaje. Wyczuwam, że klęczący tuż obok Fulke rozluźnia mięśnie, zaraz czegoś spróbuje. Czuję, że odpływam z teraźniejszości i przenoszę się w przeszłość. Inną wersję przeszłości, taką, w której zauważam Caleba, powstrzymuję cios, nie zabijam go...

– Fulke, bierz ją!

Zanim łowca zdąży drgnąć, wbijam mu w szyję pogrzebacz. Pcham do momentu, kiedy ostrze przeszywa mu gardło na wylot.

Rozlega się obrzydliwy chlupot i krew tryska mi na twarz. Fulke pada na deski, szarpie się i podryguje. Próbuje chwycić pręt pogrzebacza, stara się zatamować sikającą z rany krew.

Udaje mi się wstać, lecz Griffin atakuje w mgnieniu oka. Stał uniesionego do ciosu sztyletu migoce w blasku księżyca niczym błyskawica. Pierwszego uderzenia unikam, przy drugim ratuję się, kucając. Za trzecim razem nie chybi. Wycofuję się i wpadam na szafę. Przeciwnik rzuca się naprzód. Otwieram drzwi szafy i słyszę trzask, gdy jego twarz trafia w drewno. Słysząc stłumione przekleństwo. Przeskakuję na drugą stronę łóżka, zrywając po drodze prześcieradło. Zwijam je w dłoni w ciasną kulę. Pędzę do okna i rozbijam je pięścią. Szkło rozpada się na odpowiednio duże kawałki. Podrywam je i wyciągam przed siebie niczym sztylety.

Griffin ociera z wargi kropelkę krwi. Musiał złamać sobie nos o

szafę, lecz znamię zdążyło go już uzdrowić. Krokiem drapieżnika obchodzi łóżko, nie odrywając ode mnie spojrzenia. Oczy mu lśnią za sprawą gniewu i podniecenia polowaniem. Znam to uczucie, w każdym razie znałam. Swoista mieszanina. Po części zdenerwowanie, nieco strachu, ekscytacja. W tej chwili zupełnie tego nie czuję.

Łowca atakuje i odskakuje, ledwie unikając przy tym leżącego na podłodze szkła. Na mgnienie tracę równowagę i to wystarcza. Griffin upuszcza sztylet, chwytając mnie za nadgarstki i wciąga na łóżko. Próbuje go ciąć, lecz on mocno wykręca mi rękę, żebym wypuściła szklany odłamek. Nie puszczam. Szamoczemy się na materacu, on na górze, ja zwijam się pod nim. Kopię go w krocze, słysząc jęk bólu. Stacza się na podłogę, pociągając mnie ze sobą. W pewnym momencie szkło wymyka mi się z dłoni i kaleczy mi przedramię. Gładkie, ostre cięcie. Przyciskam dłoń do rany, lecz jest już za późno. Krew przesącza się między palcami, spływa po ramieniu i miesza się z wcześniej wylaną krwią – moją i Fulkego – plamiąc mi koszulę.

Griffin odpycha mnie od siebie i staje przy łóżku. Trwa tak przez chwilę bez słowa, wskazując palcem moją ranę.

– Twoja... twoja ręka. Nie goi się – odzywa się wreszcie. Otwiera szeroko oczy. – Dlaczego?

Zanim mogę się zastanowić nad odpowiedzią, łapie mnie za szyję, podrywa z podłogi i przyciska gwałtownie do ściany.

– Gdzie ono jest? – Znów trzaska mną o ścianę. I jeszcze raz. – Co się z nim stało?

Czuję zawroty głowy. Wcale nie tylko dlatego, że Griffin traktuje mnie jak szmacianą lalkę. Już wie, że nie mam znamienia, a to nie oznacza dla mnie nic dobrego. Tylko dlaczego zachowuje się, jakby sam coś stracił? Skoro chce mnie dostarczyć Blackwellowi, ma mnie przecież jak na talerzu.

Znów skrzypi parapet. Kolejna para butów stuka o podłogę. Cmoknięcia – niecierpliwe, rozbawione, poirytowane, bądź wyrażające wszystko jednocześnie. Przy oknie stoi Schuyler. Splecione na piersi ramiona, uniesione pytająco brwi. Przygląda się krwawej scenie i kręci głową.

– Proszę, proszę, jaki rarytas. Łowca czarownic zawitał do Harrow.

– Rozpalone wyczekiwaniem oczy zjawy skupiają się na Griffinie. – Czyli udało się wam zmylić naszą straż, tak?

Łowca zwalnia chwyt, a ja osuwam się na podłogę, z trudem chwytając powietrze.

– Wasi strażnicy muszą się jeszcze wiele nauczyć – odpowiada.

Schuyler zerka na Fulkego, wykrwawionego i bladego jak księżyc. Leży rozciągnięty pod kominkiem, pogrzebacz wciąż tkwi w martwej szyi.

– Nie dramatyzowałbym. – Schuyler wzrusza ramionami. – Jak powiadają, nie liczy się, jak zaczynasz, ale jak kończysz. A z tego, co widzę, wasza drużyna nie może liczyć na szczęśliwe zakończenie.

Griffin – do wtóru koszmarnego pluśnięcia – wyrwa pogrzebacz z ciała Fulkego i podchodzi na krok do zjawy. Powoli kołysze żelaznym prętem. Na podłogę skapują kropelki krwi, czarne niczym atrament.

– Pyrrusowe zwycięstwo – oznajmia Griffin. – Wasze drobne sukcesy nigdy nie przeważą waszych strat. – Mierzy Schuylera spojrzeniem od stóp do głów, chłodnym, szacującym. – Chociaż, prawdę mówiąc, kiedy cię zabiję, wątpię, by ktokolwiek uznał to za stratę.

Oto ten moment: agresja Griffina, nadmierna pewność siebie, niezdolność do przeniknięcia rzeczywistej natury sytuacji. Łowca nie dostrzega tego, co widzę ja – groźby czającej się pod pozorem spokojnego zachowania Schuylera, połysku brutalności i przemocy, które u zjaw nigdy nie pokrywają się patyną.

Griffin unosi pogrzebacz niczym oszczep i miota nim w przeciwnika. Schuyler odtrąca żelastwo na bok. Łowca w tym samym momencie wyciąga miecz z pochwy ruchem tak szybkim, że stal rozmywa się w srebrnej smudze. Skacze ku zjawie, zadając cios. Mierzy w szyję, jednocześnie sięgając do zawieszanej u pasa sakiewki. Ma w niej sól i sypie nią prosto w twarz Schuylera. Tego triku nauczył nas Blackwell. Sól oślepia i dezorientuje zjawy, pozwalając trafić ostrzu w cokolwiek. Sól nie zabija – jej zadaniem jest oszołomić przeciwnika na czas dostatecznie długi, by umożliwić ucieczkę. Podobnie postąpiłam przy pierwszym spotkaniu z Schuylerem, w grobowcu Zielonego Rycerza.

Tyle że Griffin wcale nie zamierza uciekać.

Zjawa usuwa się z drogi słonego deszczu, unika większości ziarenek. Mgnienie później łowca ściska już w dłoni sztylet, po sztuce broni w każdej ręce. Dźga, lecz Schuyler paruje i z łatwością odbija pchnięcie. Nóż wypada z dłoni Griffina i sunie po podłodze. Zaraz potem – drugą dłonią – zjawa chwyta ostrze miecza, oplata je palcami. Aż się krzywię, gdy stal wgryza się w ciało – ta intrygująco czarna krew leje się dokoła – lecz Schuyler napiera i zgina, dosłownie zgina klingę przeciwnika. Griffin wypuszcza rękojeść i ostatnia jego broń ląduje z brzękiem pod nogami walczących.

Zjawa rozcapierza skaleczoną dłoń, po czym zaciska ją w pięść, jakby chciała wyżąć ją z własnej krwi. Nieuzbrojony podchodzi do Griffina. Bez broni, lecz nie bezbronny.

Griffin sięga po kolejny sztylet.

Przyglądam się im, jakbym oglądała zabawę kotka z myszką. Kot trąca mysz łapką, raz po raz, przewraca ją, bawi się, sprawia, że ofiara myśli, iż to tylko sport i są sobie równi. Lecz obserwator wie coś, o czym mysz nie ma pojęcia – od początku nie miała nawet cienia szansy.

Wszystko odbywa się błyskawicznie.

Sztylet zostaje wytracony z ręki łowcy. Daremna próba sięgnięcia po inne z leżących w palenisku narzędzi. Cios pięścią, również chybiony. Rzut meblem w przeciwnika – niecelnie. Świtające na twarzy Griffina zrozumienie – nie zostało mu już nic więcej.

Dłonie zamykające się po bokach głowy. Błyskawiczne dzikie szarpnięcie i trzask. Griffina już nie ma. Leży bezwładnie na podłodze, ma otwarte oczy i usta. Porażka zastygła w jego oczach zdumieniem wyraźnym nawet po śmierci. Przez chwilę w sypialni panuje cisza równie głucha jak wcześniej. Deszcz nie bębni, nie poświstują sowe skrzydła, gałęzie nie muskają szyb. Nawet zegar z parteru nie przerywa swoim kurantem odgłosu mojego rwanego oddechu.

Podeszwy Schuylera zgrzytają na potłuczonym szkłe, podchodzi i ogląda mnie. Ma lekko rozszerzone nozdrza, to odruch. Wyczuwa unoszącą się w powietrzu ciężką żelazistą woń.

– Wszystko w porządku?

– Chyba tak. – Unoszę rękę. – Skaleczyłam się, ale to raczej nic poważnego.

Zjawa podnosi z podłogi zakrwawione prześcieradło, odrywa pasmo tkaniny i podaje mnie.

– Nie wstawaj. Jest ciemno, a na podłodze pełno szkła. Znów się skaleczysz. – Rusza do drzwi. – Zaraz wracam.

Kilka chwil potem pojawia się ze świecami i zapalkami. Niebawem pokój ożywa światłem i świadectwami niedawnej rzezi. Zjawa rozgląda się dokoła, kręci głową.

– Diabelsko piękna masakra.

Prawie wybucham śmiechem.

– Łowcy czarownic, tak? – Schuyler trąca czubkiem buta ciało Griffina, spogląda na zwłoki Fulkego. – Myślałem dotąd, że ludziom Blackwella chodzi po prostu o Harrow, ale tym razem wygląda na to, że przyszli konkretnie po ciebie. – Na moment zawiesza głos. – Wiesz może dlaczego?

– Oczywiście, że nie – odpowiadam rozdrażnionym tonem. Skaleczenie piecze jak jasna cholera. – Gdybym wiedziała, coś bym w tej sprawie zrobiła. Choćby po to, żeby żadni idioci nie włamywali mi się do sypialni.

– A co chcesz zrobić teraz? – Schuyler sunie spojrzeniem po pokoju. – Jeśli chcesz się ich pozbyć, zanim przybędą strażę, to lepiej się pospieszyć, bo... O!

Kilka sekund potem drzwi otwierają się z rozmachem i w progu stają Peter z Johnem, trzymając w dłoniach pałasze. Na ich krótkich szarych płaszczach widnieje haftowany herb straży – prosty pomarańczowy trójkąt. Symbol stabilności. Ich oczy niemal zgodnym ruchem omiatają sypialnię. Widzą taką scenę: Griffin leży na podłodze, wpatruje się w sufit martwym wzrokiem. Głowę ma wygiętą pod nienaturalnym kątem. Fulke, z którego ciała wypłynęła już chyba ostatnia kropla krwi, spoczywa niczym wyciśnięta po kąpieli, sucha gąbka.

– Co tu się stało? – Peter podbiega do okna i wygląda na zewnątrz, jakby spodziewał się, iż lada moment pojawią się kolejni przeciwnicy. – Nie zamknęli frontowych drzwi – mówi. – Potem zobaczyliśmy ślady błota na schodach. Co się stało? – powtarza.

Schuyler przedstawia im skróconą wersję wydarzeń.

John klęka przy mnie. Nie widzieliśmy się ledwie przez tydzień, a zauważam, że zdążył się nieco zmienić. Włosy ma bardziej uładzone niż zwykle, zaczesane loki nie zakradają mu się do oczu. Nie golił się co najmniej od kilku dni, oczy ma głęboko podkrążone, a zmarszczka między brwiami nie znika ani na moment. Być może rozgościła się na dobre. Odkłada miecz i sięga po moją rękę. Łagodnym ruchem odwija lniiany bandaż. Kiedy widzi ranę syczy i klnie pod nosem.

– Wygląda paskudnie, ale to błahostka – mówię. – Draśnięcie.

– Nie, to nie jest tylko draśnięcie – odrzuca skrwawioną tkaninę. – Szwów raczej nie potrzebujesz, ale i tak muszę się tym zająć. Dasz radę wstać?

Pomaga mi się podnieść. Tymczasem Schuyler przegląda zawartość szafy i wyjmuję z niej moje czarne skórzane buty. Wręcza je Johnowi. Uzdrowiciel przez moment patrzy niepewnie, lecz zjawa pokazuje mu usłaną okruchami szkła podłogę.

– Mówili może coś więcej? – Peter odrywa się od okna i patrzy na mnie. – Wyjaśnili, dlaczego po ciebie przyszli?

– Nie. – Zakładam buty. – Schuyler o wszystkim opowiedział. Włamali się, stwierdzili, że chcą mnie zaprowadzić do Blackwella. Doszło do walki, zostałam ranna. Potem powiedział coś takiego... Sama nie wiem...

– Kto co powiedział? – Peter podchodzi bliżej.

Nie wiem skąd, ale w jego dłoni pojawia się czysta chusteczka. Uciska nią moje ramię, które znów zaczęło krwawić. Szukam spojrzeniem Johna, lecz on znów przygląda się leżącemu na podłodze trupom.

– Griffin. – Wskazuję na wystające zza łóżka nogi. Niczego więcej nie widzę. – Kiedy mnie ranił i nie zaczęłam się goić, zrozumiał, że straciłam znanie. Chciał się dowiedzieć, co się z nim stało.

– Nie przejmuj się, skarbie. – Peter klepie mnie po dłoni. – Nikomu już nie wygada.

– Nie w tym rzecz – odpowiadam. – Spodziewałam się, że się ucieszy. Zacznie drwić z mojej słabości albo mnie pobije, wiedząc, że nie mogę się odegrać. Oczekiwałam wszystkiego, ale nie tego, co zrobił.

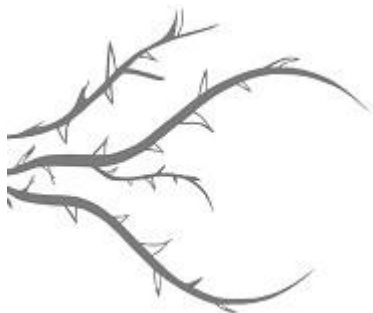
– A co zrobił?

– Przestraszył się. Nie możesz o tym wiedzieć, bo nie znałeś Griffina, ale on nigdy niczego się nie bał. Niczego i nikogo, z wyjątkiem Blackwella. A zachował się tak, jakby sam coś stracił.

– Elizabeth? Do czego zmierzasz?

Wymieniamy z Schuylerem przelotne spojrzenia. Na twarzy zjawy pojawia się wyraz zaskoczenia. Odczytał moje myśli, zanim zdążyłam wypowiedzieć je na głos.

– Wydaje mi się, że przyszli tu po moje znamię.



Rozdział 8

Peter wsuwa miecz do pochwy.

– Doprowadź się do porządku – rzuca. – Potem zabiorę cię do Nicholasa.

– Teraz? – dziwi się John. – Po co?

– Elizabeth została napadnięta we własnym łóżku przez dwóch łowców czarownic – odpowiada Peter. – Mało brakowało, a straciłaby życie. Musi się zobaczyć z Nicholasem, ponieważ uważa, że Blackwell przysłał ich po znamię, którego już nie ma, a które nosisz ty. Wystarczy?

– Mamy obecnie pilniejsze problemy, nie sądzisz? – protestuje John. – Ramię Elizabeth i tych dwóch... – Spogląda na rozciągnięte na podłodze ciała. – Nie możemy ich tu zostawić. Skąd wiesz, że byli sami? Nie powinniśmy rozejrzeć się po okolicy?

– Kiedy tu przybyłem, okolica była czysta – wtrąca jeszcze Schuyler.

– Chyba jednak nie do końca – oponuje John.

Zjawa unosi brwi, lecz nie komentuje.

– Domem zajmę się sam – stwierdza Peter. – John, najpierw zadbaj o Elizabeth, a potem zaprowadź ją do Nicholasa. Schuyler, może mógłbyś wybrać się do niego wcześniej? Opowiesz o wszystkim i uprzedzisz o naszej wizycie. Po drodze sprawdzisz, czy w okolicy nie kręcą się intruzi.

Zjawa potakuje skinieniem głowy. Odwraca się do okna i w mgnieniu oka jest już po drugiej stronie parapetu. John jednak nawet nie drgnie, nie odzywa się słowem.

– John! – ponagla Peter i dopiero wtedy jego syn odrywa wzrok od zakrwawionej podłogi. – Słyszałeś, co powiedziałem? Poradzisz sobie sam?

Pirat marszczy brwi, podchodzi i chwyta Johna za ramiona. Potrząsa nim lekko.

– Chcę, żebyś pomógł Elizabeth – mówi łagodnie. – Przynieś trochę wrzątku. Przygotuj lekarstwa i jakieś bandaże. Spotkacie się u ciebie w pokoju.

John obrzuca mnie spojrzeniem. Kiedy widzi chusteczkę ojca, wilgotną i szkarłatną od krwi, rozszerzają mu się oczy.

– Naturalnie. Tak. Natychmiast. – Rusza do drzwi, lecz zaraz cofa się ku mnie. Postępuje niepewnie to w jedną, to w drugą stronę, wreszcie jednak wychodzi. Słyszę skrzypienie schodów, kiedy schodzi na parter.

Peter rzuca mi słaby uśmiech.

– Oczywiście, że jest zdenerwowany – stwierdza. – Wydarzenia tej nocy mogły się potoczyć zupełnie inaczej. Ty mogłaś teraz leżeć w kałuży krwi. Ciężko to przeżył. Obawiam się, że jest w szoku.

Nie jestem pewna, czy tylko o to chodzi, ale potakuję skinieniem.

– A ty? Dobrze się czujesz? – Peter obejmuje mnie po ojcowsku.

– W porządku – odpowiadam prosto w jego ramię. – Może jestem troszkę roztrzęsiona, ale to wszystko. I przepraszam.

– Nie przepraszaj. – Uwalnia mnie z objęć. – To ja powinienem cię przeprosić. Zostawiliśmy cię tu samą. Ale proszę, pozwól Johnowi sobie pomóc. Z całą resztą dam sobie radę.

Kiedy pirat zajmuje się pakowaniem zwłok, wyjmuję z szafy naręczne ubrań i przechodzę na drugą stronę korytarza. Pokoju Johna nie odwiedzałam, odkąd spędziłam w nim noc. Coś się zmieniło. Ostatnim razem panował tam, delikatnie mówiąc, nieporządek: na podłodze walały się wymięte koszule, stół pod oknem usłany był chaotycznie ziołami, proszkami i sakiewkami. Na biurku mieszały się ze sobą książki, pergaminy, gęsie pióra i kałamarze.

Teraz jest czysto. Książki stoją na biurku w równym rzędzie, blat stołu jest pusty. Wszystko powędrowało do szuflad bądź na półki. Zmienił się nawet zapach – poprzednio czułam oszałamiającą mieszaninę woni przypraw, ziół i Johna. Teraz dolatuje mnie wyłącznie sterylne woń świeżego powietrza.

Odsuwam krzesło i siadam przy biurku, czekam na jego powrót. Nie trwa to długo. Wpada przez drzwi, niesie wiaderko wody. Bez słowa

podchodzi do umieszczonej na stoliku miski i ją napełnia. Jest jednak nieuważny, nie do końca skupiony. Ochlapuje siebie, trochę wody trafia na podłogę. Nie zwraca uwagi na wilgoć w butach, nie zwraca uwagi na mnie. Wreszcie wiaderko jest puste. Tego również nie dostrzega, wciąż trzyma je w dłoniach, mimo że w pokoju słychać już tylko plusk pojedynczych kropli.

– John... – wyrywa mi się szept.

Odwraca się do mnie. Jego twarz rozświecła się i zaraz gaśnie. Zupełnie jakby zobaczył mnie po raz pierwszy w życiu.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– To ja powinienem cię o to zapytać. – Odrzucone wiaderko z grzechotem turla się po podłodze. – Dzisiejsza napaść w ogóle nie powinna się była wydarzyć. Gdybym był w domu, nic by się nie stało. Poradziłbym sobie z nimi. Nie pozwoliłbym cię skrzywdzić.

John odsuwa się gwałtownie od miednicy i podchodzi do stołu pod oknem. Przez chwilę szuka czegoś w szufladach i wyciąga niewielką bursztynową buteleczkę. Ze swojego miejsca ledwie mogę odczytać etykietkę zapisaną tym jego niechlujnym pismem. Olejek jaśminowy. Wraca do mnie i dodaje do wody kilka kropelek aromatycznego płynu.

– Jaśmin jest bardzo pożyteczny. Między innymi łagodzi kaszel, zapobiega chrapaniu – tłumaczy. – Ciebie to, oczywiście, nie dotyczy. Pomaga również kobietom uśmierzać bóle porodowe, ale to też nie twój problem. Prawdę mówiąc, jaśmin w ogóle nie jest ci potrzebny. Po prostu bardzo lubię jego zapach. Zawsze mi się z tobą kojarzy.

Mrugam oczami, zdziwiona nagłą zmianą tematu i jego nerwową paplaniną. To wszystko bardzo do niego niepodobne.

– Dziękuję – mówię z miną pośrednią między uśmiechem a zmarszczeniem czoła. – Mnie ta woń również bardzo się podoba. – Wstaję z krzesła i podchodzę do stojącego przy miednicy Johna.

Nie ma tu kąpielowych prześcieradeł, gąbek ani ręczników, ale i tak zanurzam ramię w wodzie. Posykuję cicho, kiedy piekący jaśminowy olejek dostaje mi się do rany. Przypominam sobie pierwszy raz, kiedy John opatrywał mi ranną rękę. Dowiedziałam się wtedy, że Caleb został nowym inkwizytorem, i tak mocno zacisnęłam dłoń na kieliszku wina, że szkło pękło. Pamiętam woń mięty i przyjemne łaskotanie, jakie

poczułam, gdy zamoczył moją rękę w misce wody. Pamiętam, jak długimi palcami delikatnie oplótł moje, drobniejsze.

Dziś jest zupełnie inaczej.

John wpatruje się tępy wzrokiem w miednicę. Woda zmieszała się z krwią i przybrała różowy odcień. Być może Peter ma rację, może zachowanie Johna wynika z szoku. Przez cały tydzień patrolował granice Harrow. Jest zmęczony i myślał, że po powrocie do domu będzie mógł wreszcie odpocząć, a tymczasem zastał widok jak w rzeźni i dowiedział się, że ludzie Blackwella mogą poszukiwać znamienia, czyli jego.

– Jeżeli rzeczywiście próbują ustalić, co stało się ze znamieniem, nie dopuszczę, by je odszukali – obiecuję. – Nie pozwolę, żeby ciebie znaleźli.

Moje słowa wyrywają go z odrętwienia.

– Nie musisz mnie chronić. Wystarczy, że mi powiesz, co robić, jeżeli mnie znajdą. Naucz mnie posługiwać się znamieniem. – Obrzuca mnie przenikliwym ostrym spojrzeniem. – Spałaś. Nie miałaś przy sobie broni. Nie byłaś nawet ubrana, a i tak udało ci się ich powstrzymać. W dodatku jednego zabiłaś. Jak tego dokonałaś?

Wszystkie te uwagi tak bardzo nie przystają do normalnego zachowania Johna, że na moment osłupiałam.

– Uczyniłam to, do czego zostałam wyszkolona – odpowiadam po dłuższej chwili. – Wiem, jak w takich sytuacjach postępować. Nie wszystkie umiejętności zawdzięczałam znamieniu. Pamiętaj, że ćwiczyłam przez trzy lata i przez trzy lata codziennie stawałam oko w oko z niebezpieczeństwem. Dzień w dzień patrzyłam śmierci w oczy.

– Sugerujesz, że ja nie mierzyłem się codziennie ze śmiercią?

– Owszem – potakuję – ale to coś innego. Sam wiesz, że mam rację.

John wydaje z siebie wzgardliwe prychnięcie.

– Nie dostałam znamienia za darmo – dodaję. – Zasłużyłam na nie. Co prawda nie należy już do mnie, lecz wciąż pozostaje częścią mnie. I tak będzie już zawsze. Zasłużyłam na nie – powtarzam, ponieważ muszę ten fakt podkreślić.

– Nie powiedziałem, że nie zasłużyłaś.

– Nie musiałeś – zauważam. – Dałeś mi to jasno do zrozumienia.

Obaj, ty i twój ojciec, sądzą, że moja wartość sprowadzała się do znamienia. Myślisz, że nie jestem w stanie zrobić tego, czego oczekuje ode mnie rada. – Ponownie rozpała się we mnie gniew, który tlił się od dnia przesłuchania. – Proponuję, żebyś wrócił do mojego pokoju i raz jeszcze się przekonał, do czego jestem zdolna.

Żałuję tych słów już w chwili, gdy je wypowiadam. John się wzdryga, twarz mu ciemnieje.

– Doskonale wiem, do czego jesteś zdolna. – Cofa się przede mną.
– Nie zapominam o tym ani na chwilę.

– John...

– Zaczekam na ciebie w korytarzu. – Zatrząskuje za sobą drzwi tak mocno, że trzęsie się futryna.

Ręce zaczynają mi dygotać, woda w misce faluje. Dopiero teraz dociera do mnie, że jest zimna. Nie wystygła dopiero teraz, była zimna od początku. Wyciągam ramiona i otrzepuję je, machając w powietrzu. Podchodzę do stołu Johna, przeszukuję szuflady i wyciągam prosty ostry nóż. Zdejmuję koszulę nocną i tnę ją na kilka pasków, którymi owijam ranę. Przestała krwawić, lecz wciąż jest brzydka i zaczerwieniona. Nie goi się. Pozostaje jeszcze kciuk. Opuchnięty, siny i dziwnie wygięty, boli tak bardzo, że prawie przestaję go czuć. Biorę głęboki oddech, naciskam na palec i zagryzam zęby, tłumiąc jęk bólu, kiedy kość wskakuje z powrotem w staw. Kolejnym pasmem lnu ciasno opatruję palec i bez pośpiechu zaczynam się ubierać. Zakładam zwykłe brązowe spodnie, jasnoniebieską bluzę i długi granatowy płaszcz. Wilgotną dłonią przeczesuję włosy, zwijam je na karku w kok.

Wychodząc na korytarz, wcale nie spodziewam się go zastać, lecz jest tam, stoi oparty o ścianę, ze splecionymi na piersi ramionami i wbitym w podłogę spojrzeniem. Nie podnosi wzroku, kiedy podłoga skrzypi pod moimi krokami ani gdy szcękają zamykane drzwi.

– John...

Odpycha się od ściany i rusza w dół po schodach. Czuję pokusę, by za nim wołać, przeprosić go, dać znać, że nie chciałam tego powiedzieć.

Tyle że przecież chciałam.

Schodzę za nim ociężała. Na progu widzę ślady pary ubłoconych butów – tędy dostał się do domu Fulke. W pobliżu zauważam też

maleńkie kropelki krwi – tędy został też wyniesiony.

Wychodzę na zewnątrz, prosto w zimną księżycową noc.

Na przeciwległym do Młyna brzegu rzeki, na ciągnącej się całymi milami łące, Peter stoi nad ciałami Griffina i Fulkego. W ręku trzyma łopatę. John czeka obok w bezruchu. Patrzy. Przebrał się w stary czarny płaszcz, szary strój członka straży zostawił w domu. Kołnierz postawił wysoko, więc nie widzę jego twarzy, ale za przestrożę wystarczy mi sama jego postawa – sztywna, nieprzystępna. Mam się trzymać na dystans.

Przystaję i obserwuję pracującego Petera. Słucham dźwięków wgrzyżającego się w ziemię żelaza, spoglądam na zakrwawione prześcieradła i bezwładne, wyzute z życia ciała pod nimi. Nagle coś sobie uświadamiam – ile kłopotów sprowadziłam, odkąd pojawiłam się w życiu Johna. Nie tylko na jego głowę, ale na głowy wszystkich, którzy go otaczają, jego bliskich i znajomych. Przyjęli mnie i ujęli się za mną, mimo że mogli mnie odtrącić. Przyszłoby im to bez trudu. Blackwell i Caleb odtrącili mnie przecież bez cienia żalu.

Zwracam się do Johna. Chcę mu o tym powiedzieć, chcę ponownie przeprosić za to, że po raz kolejny nie doceniłam czegoś, co dla mnie zrobił. Jednak John, nie czekając na mnie, bez jednego słowa rusza ścieżką wiodącą z Młyna do miasta, w kierunku domu Nicholasa.

Niechętnie idę za nim.



Rozdział 9

Od domu Nicholasa w Theydon Bois dzielą nas trzy mile i cały ten dystans pokonujemy w milczeniu – John prowadzi, ja idę za nim.

Nie pyta mnie, jak się czuję, nie próbuje mnie pokrzepiać. Ja z kolei nie mam pojęcia, co mogłabym powiedzieć temu niememu Johnowi, gapiącemu się przed siebie w grobowym milczeniu, niewypuszczającemu z dłoni miecza, jakby lada moment spodziewał się napaści.

Dlatego nie odzywam się słowem.

Kroczymy po otwartej drodze, biegnącej wśród łagodnie falujących łąk. Pęknięty na pół księżyc pomaga trzymać się trasy, którą John i tak doskonale zna. Koniec końców docieramy do łukowatego drewnianego mostka, wiodącego ponad niemal nieruchomą ciemną strugą. Po drugiej stronie stoi dom, który, jak się domyślam, należy do Nicholasa. Wygląda inaczej niż jego rezydencja w Crouch Hill, dokąd trafiłam, kiedy uratował mnie z lochów Fleet. Tamten budynek był duży, wytworny, wzniesiony z myślą o wywoływaniu u gości zachwyty. Ten jest mniejszy, bardziej przytulny, po prostu zwykły wiejski domek. Ściany z grubo ciosanego kamienia, drewniany dach, od frontu widać tuzin kwadratowych, ukrytych za okiennicami okien.

John prowadzi mnie wąską dróżką do wejścia. Po drodze mijamy gąszcz różanych krzewów. Zakłete kwiaty rozkwitają wszystkimi barwami tęczy mimo zimowych chłódów. Po ścianach pną się czerwony bluszcz i różowe kapryfolium. Pod nimi eksplodują krzewy lawendy. Spoglądam na Johna, chcę mu powiedzieć coś o tym ogrodzie, o jego delikatnej dzikości – wiem, że potrafiłby to docenić. On jednak wchodzi do środka, nie poświęcając roślinom ani mnie choćby jednego spojrzenia. W drzwiach przeciska się obok Schuylera, który wyszedł mi

na powitanie. Ma na sobie ten sam czarny strój, co wcześniej, tylko dłonie, twarz i włosy zdążył oczyścić z krwi. Mimowolnie zastanawiam się, czy pomogła mu w tym Fifer. Czy przyniosła świeże ręczniki i wrzątek, czy może stała beczynn timer, patrząc, jak jej przyjaciel obmywa się nieprzyjemną zimną wodą i wyciera paskami brudnej, zakrwawionej tkaniny.

– Potrafię sobie przypomnieć kilka przyjemniejszych nocy, a ty? – zagaja Schuyler.

– Ja pamiętam kilka bardziej przyjemnych miesięcy – mamroczę pod nosem.

W tej samej chwili przed dom wybiega Fifer i rzuca mi się na szyję, niemal mnie przy tym przewraca.

– Schuyler już o wszystkim nam opowiedział. Nie stało ci się nic poważnego, prawda? – odsuwa się i ocenia mnie badawczym spojrzeniem. – Nie do wiary! Łowcy czarownic w Harrow! Zaraz, jak oni się teraz nazywają?

– Teraz są rycerzami Monarszego Imperium Anglii – odpowiadamy jednocześnie z Schuylerem.

Fifer lekko się krzywi.

– Nicholas czeka na ciebie w środku. A John... – Zawiesza głos, zastanawia się. – Dlaczego właściwie nie ma go przy tobie? – Spogląda na mnie uważnie, mrużąc zielone oczy. – Wszystko z nim w porządku? A między wami?

– Wszystko w porządku – kłamię. – Ma za sobą długi tydzień służby. Myślę, że jest po prostu wycieńczony i nieco wstrząśnięty. Między nami też w normie.

Fifer zaciąga mnie do domu. Mijamy krótki korytarzyk i wchodzimy do salonu. Pomieszczenie sprawia wrażenie wesołego, przytulnego. Obite miękką tapicerką fotele i kanapy stoją na dywanach haftowanych w roślinne desenie, mieniących się jaskrawymi odcieniami żółci, zieleni i barwy pomarańczowej. Na bielonych ścianach wiszą kobierce ukazujące leśne pejzaże. W prawdziwie wiejskim stylu pod sufitem widać odsłonięte krokwie. Prawie całą szerokość jednej ze ścian zajmuje wielki kamienny kominek. Trzaskające płomienie wypełniają pokój światłem i ciepłem.

Nicholas podchodzi i kładzie mi dłonie na ramionach. Wokół jego oczu zauważam zmarszczki niepokoju.

– Schuyler powiedział nam, co się stało. Cieszę się, że jesteś już bezpieczna i zdrowa. – Ostatnie słowa czarnoksiężnik akcentuje niemal jak pytanie.

Usadza mnie wygodnie na sofie obok Fifer, po czym spogląda na Johna, który siedzi przy kominku i wpatruje się w ogień, jakby spodziewał się coś z niego wyczytać.

– John?

Zagadnięty odwraca głowę

– Czy przygotujesz Elizabeth tonizującą miksturę? – Nicholas się uśmiecha, lecz w jego spojrzeniu nie ma wielkiej wesołości. – Jest blada i chyba ma dreszcze.

W salonie zapada cisza. Odnoszę wrażenie, że wszyscy mnie obserwują, obserwują nas, próbując zrozumieć, co się właściwie dzieje.

– Możesz skorzystać z moich składników – zachęca Nicholas. – Wszystkie znajdziesz tam, gdzie zawsze.

John podnosi się z fotela i wreszcie patrzy prosto na mnie.

– Oczywiście, że coś ci przygotuję. Zaraz wracam.

Fifer trąca mnie łokciem w żebra. Przyglądamy się Johnowi, który wychodzi z salonu z dłońmi w kieszeniach płaszcz, którego wciąż nie zdjął mimo bijącego z kominka ciepła. Być może ma nadzieję, że nie będzie musiał tu zostać zbyt długo.

Nicholas zwraca się ku mnie.

– Rycerze Monarszego Imperium Anglii... – Właśnie w ten sposób zaczyna. Żadnych pytań. – To ciebie szukali. Wiedzieli, gdzie cię znaleźć. Wiedzieli również, że zastaną cię samą.

– Nie wiedzieli, że będę sama – prostuję. – Nie byli pewni. Fulke, ten, którego zabiłam i który pojawił się jako pierwszy, miał mnie pilnować. W tym czasie Griffin sprawdzał resztę domu, chociaż spodziewali się jedynie Petera. Byli przekonani, że John nie żyje.

Fifer chce coś powiedzieć, lecz Nicholas ucisza ją gestem.

– Mów dalej, Elizabeth.

– Fulke twierdził, że mają rozkaz sprowadzić mnie z powrotem do Blackwella – ciągnę. – Nie zapytałam po co. Wydawało mi się, że

chodzi o to, że po prostu za dużo wiem o nim i o tobie. Sądziłam, że dlatego chciał mnie pojmać. Zresztą, powiedziałeś coś podobnego w trakcie przesłuchania. Teraz wcale nie jestem tego pewna.

Milknę i wracam myślami do Griffina. Przypominam sobie wyraz jego twarzy, gdy zauważył, że krwawię.

– Na początku Griffin zachowywał się jak zawsze – podejmuję. – Nie był ani trochę wylękniony pobylem na obcym terytorium, w Harrow, wśród wrogów. Nie obawiał się, że zostanie schwytany. Nie przejmował się niczym, dopóki nie zobaczył mojej rany i nie zrozumiał, że straciłam zamię. – Opowiadam o tym, jak uderzał mną o ścianę, dopytując się właśnie o zamię. – Tylko dlaczego? Dla niego nie powinno to mieć żadnego znaczenia.

Nicholas podchodzi do okna wychodzącego na ogród przed domem. Księżycowa poświata podkreśla rysy jego twarzy. Wygląda zupełnie inaczej, niż kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, w celi we Fleet. Wtedy był mężczyzną chudym i wyniszczonym, teraz promienieje energią, bije od niego życie. W jego oczach znać powagę, i to się nie zmieniło.

– Elizabeth – odzywa się wreszcie – chcę, żebyś opowiedziała mi o Blackwellu.

Otwieram usta, choć nie wiem, co powiedzieć, ale zamykam je, ponieważ do pokoju wraca John. W dłoni trzyma miedziany kielich. Ma zaczerwienione policzki, zmierzwił włosy. Nareszcie pozbył się płaszcza, rękawy batystowej niebieskiej koszuli podwinął nad łokcie. Oczy mu błyszczą i szeroko się uśmiecha. Wygląda i zachowuje się prawie jak John, którego znam. Dzięki temu i mnie udaje się zdobyć na uśmiech.

– Przepraszam, że tak długo marudziłem. – Podaje mi parujące naczynie. W nozdrza uderza mnie zapach, od którego kurczy mi się żołądek. – To piołun, koperek i szanta. Wszystko gotowane w winie – tłumaczy. – Dobrze, sądzę, że ci posmakuje. Na pewno powinno cię rozgrzać.

Piołun. Pamiętam zapiski Johna na tyle dobrze, by wiedzieć, że choć owszem, stosuje się to ziele w tonizujących naparach, jest ono również głównym składnikiem absyntu, który z kolei okazał się

głównym składnikiem piwa, jakim upiłam się w noc, gdy upuściłam tuż przed królewskim gwardzistą magiczne zioła, wskutek czego zostałam aresztowana i omal nie straciłam życia.

Fifer po raz kolejny dźga mnie łokciem.

Opornie kiwam głową w geście podziękowania, lecz John tego nie widzi. Wraca na swój fotel przed kominkiem. Po dłuższej chwili spoglądam z powrotem na Nicholasa.

– Czego chciałbyś się o nim dowiedzieć? – pytam, odstawiając kielich na stolik.

Czarnoksiężnik odrywa oczy od Johna i patrzy na mnie.

– Opowiedz mi o waszym związku.

– O związku? – W odniesieniu do Blackwella to słowo wprawia mnie w zakłopotanie. – Chyba nie do końca rozumiem.

– Czy w trakcie szkolenia w jakikolwiek sposób cię wyróżniał? Trenowałaś inaczej niż pozostali? Traktował cię szczególnie? Dostałaś od niego coś, cokolwiek? Może broń? Może rady, przestrogi, podpowiedzi, których nie słyszeli pozostali rekruci?

– Nie – odpowiadam od razu, ale zaczynam się zastanawiać. – Właściwie nie, chociaż pamiętam coś, co od niego usłyszałam po kolejnej zaliczonej próbie. Zbliżał się koniec szkolenia, a wtedy już dość dobrze go znałam. I to, co powiedział, wydawało mi się bardzo do niego niepodobne. Dlatego ten moment zapamiętałam.

Nicholas wpatruje mi się głęboko w oczy.

– Co to było?

Waham się. Nie lubię opowiadać o szkoleniu. Nie przepadałam za tym dawniej, nie przepadam i teraz. Nie tylko z tego powodu, że wracanie do tamtych dni zmusza mnie do wspomnienia o sprawach, o których wolałabym zapomnieć, lecz dlatego, iż przypomina wszystkim pozostałym, kim naprawdę jestem. A ja nie chcę, by pamiętali, że powinni mnie nienawidzić. Mam nadzieję na uśmiech Johna, na kojące spojrzenie, na cokolwiek, co sygnalizowałoby, że wszystko będzie dobrze. On jednak na powrót zamknął się w sobie. Zwiesił głowę, dłonie splótł razem. Odciął się. Radzę więc sobie bez niego.

To była próba labiryntu, przedostatnia przed ostatecznym sprawdzianem. Ci, którzy dotrwali do tego momentu – była nas

osiemnastka – otrzymali na przebycie labiryntu cztery dni. Nie mieliśmy ze sobą prowiantu ani sprzętu. Żadnego jedzenia, wody czy broni. Musiały nam wystarczyć spryt, wiedza, odwaga i pomysłowość. Oczywiście oznaczało to, że nie wszyscy mieli równe szanse.

Zaprowadzono nas tam o północy. Próby zawsze rozpoczynały się o północy. Ta noc była aż gęsta od mgły. Czułam się, jakbyśmy brnęli przez chmury. A potem je zobaczyliśmy – wielkie ściany żywopłotu, ciągnące się za wysoko i zbyt daleko, byśmy mogli dostrzec ich koniec. Mgła kleiła się do nich niczym mokry śnieg, wiła się i oplatała gałęzie, które zdawały się ożywać, oddychać. Miałam wrażenie, iż tylko czyhają, by nas pożreć.

Trzy dni. Właśnie tyle zajęło mi przebycie tego labiryntu. W trakcie próby zostałam dwukrotnie zaatakowana przez istoty, których nie potrafię nazwać. Stworzenia wyglądające jak wilki, lecz wypełzające zza zakrętów niczym węże. Monstra fruujące niczym jastrzębie, lecz o wyglądzie niedźwiedzi, kłapiące niedźwiedzimi kłami, drapiące niedźwiedzimi pazurami. Ubranie wisiało na mnie w strzępach, podobnie jak skóra na prawym ramieniu. Gdy coś – do dzisiaj nie wiem, co to było – złapało mnie od tyłu i nie chciało puścić, straciłam but i garść włosów.

Kiedy wreszcie wyszłam, było wcześnie. Świt lub tuż przed nim. Trawa perliła się rosą, niebo pokrywał róż. Widziałam ptaki i słońce, czułam wolność i radość z sukcesu. Wyczołgałam się na czworakach, zakrwawiona, spocona, wygłodniała i spragniona. I tak bardzo zmęczona! Dopełzłam, jak mogłam najdalej – dziesięć stóp, może dwadzieścia – po czym padłam. Miałam ochotę płakać. Chciało mi się spać. A jednak, sama nie wiem dlaczego, wybuchnęłam śmiechem. Może była to radość, może obłęd. Wiedząc, że posłano mnie do tego labiryntu z oczekiwaniem, iż już z niego nie wyjdę, poczułam coś więcej niż zwykłą ulgę.

I wtedy to usłyszałam. Niemal niedosłyszalny szelest, kroki w trawie, trzask gniecionej obcasem gałązki. Odwróciłam się na plecy i zobaczyłam Blackwella. Stał nade mną – cień odgradzający mnie od słońca. Zmienił światło w ciemność, jak to tylko on potrafi.

– Mój panie... – Dźwignęłam się na słabe nogi.

– Elizabeth...

Czekałam. Spojrzeniem zimnych jak wilgotne węgle oczu zmierzył mnie od stóp do głów. Zauważył podarte ubranie, brak buta, łyse miejsce na głowie. Zaczesałam kosmyk włosów, by je zakryć. Kiedy opuściłam dłoń, była czerwona.

– Dobrze się spisałaś – dodał wreszcie.

– Dziękuję, panie – odparłam ochryplym szeptem, w niczym nie podobnym do dzikiego, szaleńczego śmiechu, jakim zanosilałam się jeszcze kilka chwil wcześniej.

Zbliżył się. Nie cofnęłam się przed nim, choć wymagało to niemałego wysiłku woli. Podszedł o krok i jeszcze jeden, aż wreszcie miałam przed oczyma jego kaftan: delikatna złocista tkanina, obrębiona szmaragdowymi aksamitnymi taśmami; rękawy niosące przegubów, ukazujące biel lnianej koszuli.

– Spójrz na mnie – polecił.

Posłuchałam.

Wysoki. Sporo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Ciemne włosy przyszyrzyżone niemal przy samej skórze. Dobrze utrzymany krótki zarost. Przystojny, gdyby komuś nie przeszkadzałyby te okrutne zimne oczy.

– Byłaś pomyłką – stwierdził.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, nie miałam pojęcia, czy w ogóle powinnam reagować.

– Tak, panie – odparłam po namyśle.

– A mimo wszystko jesteś tutaj. Znowu. Wciąż. Tutaj. – Zaczęła dokoła mnie krążyć, niczym obchodzący ofiarę wilk. I teraz nie drgnęłam, lecz musiałam się wspiąć na wyżyny opanowania. – Jak sądzisz, Elizabeth, dlaczego tak się stało? Dlaczego tu jesteś?

Przyszły mi do głowy tysiące odpowiedzi, choć żadnej nie mogłam wypowiedzieć na głos. „Z twojego powodu? Wbrew tobie? Na pewno nie dzięki tobie?” Stanęło na:

– Żeby uczyć się, mój panie.

– Uczyć się – powtórzył. – Zdradź mi zatem, z łaski swojej, czego się uczysz?

W tej chwili stał za moimi plecami. Nie widziałam go, tylko czułam. Wszystkie co do jednego włoski na karku zjeżyły mi się

ostrzegawczo. Słowa Blackwella brzmiały łagodnie, lecz wyczuwałam ukrytą w nich irytację, złość. Nie rozumiałam, w jaki sposób go zawiodłam. Ale tak było przecież zawsze.

– Uczę się tobie służyć.

Ponownie mnie okrążył i znalazł się przede mną. Nie odprężyłam się i nie spojrzałam mu w oczy. Wpatrywałam się w ten złocisty kaftan, wschodzące leniwie słońce muskało promieniami błyszczącą tkaninę.

– Zatem muszę być szczęśliwcem, skoro mam taką dobrą służkę.

Prowokował mnie, to było pewne. Znów zabrakło mi odpowiedzi, więc po prostu powtórzyłam:

– Tak, panie. – Te dwa słowa zabrzmiały zupełnie jak mantra.

Blackwell spojrzał w stronę labiryntu. Nie miałam pojęcia, kto z rekrutów wciąż jest w środku, a komu udało się wrócić. Zastanowiłam się, czy Blackwell czekał specjalnie na mnie? Dlatego tu się znalazł? A może czekał na kogoś innego?

– Myślisz, Elizabeth, że uda ci się zakończyć szkolenie?

Na to pytanie odpowiedź znałam. Nie musiałam jej szukać i nie wahałam się ani chwili.

– Tak, panie.

Skinął głową.

– Tak, widać, że w to wierzysz. I widzę, że chcesz, bym i ja w to uwierzył.

Uśmiechnął się, a przynajmniej przybrał minę najbardziej zbliżoną do uśmiechu, spośród tych, które kiedykolwiek widziałam na jego twarzy. Zaszła w nim nagła przemiana. Z osoby budzącej strach przeobraził się w człowieka, któremu prawie można było zaufać. Prawie.

– I wiesz co? Po tym, co dziś zobaczyłem, już prawie w to wierzę.

W sercu wezbrała mi duma, poczułam w członkach falę przyjemności, wypełniła mi policzki. Byłam rozpalona tą najwyższą pochwałą, na jaką mógł się zdobyć.

– Wydaje mi się, że z czasem okażesz się albo moją największą pomyłką, albo mym największym sukcesem.

– I co się stało potem? – Głos Nicholasa przenosi mnie z powrotem do teraźniejszości.

Przez moment byłam tam: u Blackwella, przed wejściem do

labiryntu. Niemal czułam na dłoniach wilgoć rosy, pieczenie skóry na głowie, ciepłe promienie słońca na twarzy. Rozglądam się. Wszyscy patrzą prosto na mnie.

– Nic – mówię. – Odszedł i tak się skończyło. Potem już go nie widziałam ani z nim nie rozmawiałam. Aż do nocy ostatniego sprawdzianu.

– Do próby w grobowcu, po której otrzymałaś znamię – przypomina Nicholas.

– Tak. – Przecieram oczy. Wieczór ciąży mi na powiekach, chcę już tylko, by dzień dobiegł końca.

Czarnoksiężnik jednak nie daje za wygraną.

– Elizabeth, czy wiesz, w jaki sposób powstają tego rodzaju znamiona?

Po tych słowach coś się zmienia, cały pokój przepelnia napięcie. Wyczuwam je w sztywniejącej nagle u mego boku Fifer, dostrzegam je w Schuylerze, który do niej podchodzi. W ruchu głowy Johna, który odrywa spojrzenie od paleniska, sunie nim po mnie i patrzy na Nicholasa.

Drzwi stają otworem i z korytarzyka wychodzi Peter.

– Przepraszam za spóźnienie. – Pirat strząsa z ramion płaszcz i wyciąga go na bok, gdzie przejmuje go czyjaś niewidzialna ręka. To Hastings, duch, który służy Nicholasowi. Po chwili płaszcz wypływa z salonu. – Ziemia jest zmarznięta na kość i niełatwo w niej kopać. Przy drugim grobie prawie zniszczyłem łopatę... – Peter urywa. – A co u was?

– Tajemnice – odpowiada spokojnie Nicholas. – Właśnie staramy się je naświetlić.

Peter sięga po krzesło i ustawia je obok fotela Johna, który nijak nie reaguje na przybycie ojca.

– Nie wiem, jak powstają znamiona – odpowiadam na wcześniejsze pytanie. – Przed nami nikt ich nie nosił, więc nikt nie mógł nam o nich opowiedzieć. Oczywiście zastanawialiśmy się, ale wszystkie te domysły były albo nieprawdopodobne, albo po prostu bezsensowne. Byliśmy zgodni tylko co do jednego: że tworzy się je za pomocą zaklęcia.

Nicholas potakuje skinieniem.

– Magia, wszelka magia, działa w oparciu o jedną naczelną zasadę – wyjaśnia. – Polega na przeniesieniu mocy czarownika w zewnętrzny przedmiot bądź osobę. Może to być zaklęcie miłosne, umieszczone w liściku. Albo czar leczący, którym natchnięta zostaje mikstura. Urok ochronny umieszczony w pierścieniu. Klątwa w tablicy. Znamię na ciele łowcy czarownic.

Włoski na karku ostrzegawczo stają mi dęba.

– Magia, porządek, którym ona w istocie jest, polega na dążeniu do jedności i równowagi wszechrzeczy – tłumaczy dalej Nicholas. – Zawarta w twoim znamieniu moc: siła, zdolność uzdrawiania, chronienia przed śmiercią siebie czy w niektórych sytuacjach innych – rzut oka na Johna – zaburza ową równowagę. Pozwala czynić rzeczy, do jakich żaden człowiek, choćby mag, nie powinien być zdolny. Rzucenie czaru tak silnego pozbawia zaklinacza magicznej mocy. Całej mocy.

– Czyli magiczna moc może się wyczerpać?

Nicholas kiwa głową.

– Gdy czarownik rzuca zaklęcie, kiedy przekazuje je przedmiotowi, powiedzmy listowi mającemu zauroczyć obiekt westchnień, bądź maści, która ma leczyć rany, traci pewną porcję własnej energii. To, jak szybko ją odzyska, i stopień, w jakim ją odzyska, zależy od konkretnego czaru, lecz także od osoby maga. Stary czarownik lub czarownik z jakiegoś powodu osłabiony, może nigdy nie odzyskać dawnej mocy w pełni. To samo tyczy się klątw. Moja moc spadła wskutek klątwy, jaką obłożył mnie Blackwell. Jeszcze i teraz jest mniejsza niż dawniej, choć niewiele już brakuje. – Spogląda na Fifer, która odpowiada słabym uśmiechem.

– Skoro zaklęcie tworzące znamię wymaga takiej energii, że rzucający je mag mógłby stracić całą swą moc, jak mogły powstać? – dziwię się. – Była nas szesnastka. Szesnaście znamion, czyli szesnaście czarów. Szesnastu czarowników, którzy musieli zrezygnować z mocy, byśmy mogli... – Urywam, bo przychodzi zrozumienie. – Oni z tej mocy nie zrezygnowali dobrowolnie, prawda? Została im odebrana, skradziona.

W ciszy, jaka po tych słowach nastaje, dociera do mnie całość

planu Blackwella. Początek już znałam: wykorzystać schwytyanych przez nas magów i czarownice do stworzenia armii, dzięki której mógł przejąć władzę. Teraz znam też drugi element: wykraść opornym magiczną energię i przekazać ją własnym ludziom, dzięki czemu staliby się niemal niepokonani.

– Wciąż jednak nie rozumiem, dlaczego Blackwell potrzebuje mojego znamienia – odzywam się. – Nie jest w żaden sposób szczególnie. Nie jest bardziej potężne niż znamiona innych łowców. Griffina, Fulkego, Caleba...

– Czyżby? – wtrąca Nicholas. – Jesteś tego pewna?

Moment wahania. Myślę o rzeczach, które potrafię, a raczej potrafiłam. O swojej sile, szybkości reakcji, o tym, że byłam łowczynią skuteczniejszą i bardziej zaciętą w walce od pozostałych. Przypominam sobie, że wspięłam się na szczyt, stałam się najlepszym z łowców Blackwella. Ustępowałam jedynie Calebowi. Ale wszystko to osiągnęłam przecież wyłącznie dlatego, że chciałam, dążyłam do tego, walczyłam o to. Sama to osiągnęłam. Prawda?

– Zauważyłaś, że byliście pierwsi – podejmuje czarownik. – Nikt wam nie wyjaśnił, w jaki sposób tworzone są znamiona. Nie przyszło ci do głowy, że Blackwell musiał mieć do dyspozycji jakiegoś królika doświadczalnego?

„Wydaje mi się, że z czasem okażesz się moją największą pomyłką bądź mym największym sukcesem”.

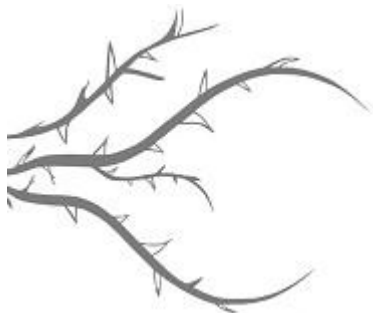
– Magiczna moc nigdy się nie kumuluje – tłumaczy Nicholas. – Blackwell nie mógł zwiększać własnej siły, odbierając energię kolejnym ofiarom. Nie zezwalają na to prawa magicznej równowagi. Przejmuje się zawsze, i wyłącznie, moc o większym potencjale. A nie zaryzykowałby pomniejszenia swoich zasobów, biorąc energię słabszego maga. Dlatego Blackwell nie dąży teraz do wzmocnienia swojej mocy. – Zawiesza głos i po chwili dodaje: – Moim zdaniem, on stara się odzyskać jej pełnię.

Prawda jest na wyciągnięcie ręki. Zaczynam rozumieć to, co Nicholas już wie. Chce, bym i ja to pojęła.

Zrywam się na równe nogi. Peter również wstaje z miejsca i zwraca się do Johna. Fifer łapie mnie za rękę i mówi coś kojącym tonem, lecz nie słyszę jej słów. Słyszę tylko szum krwi w uszach i kolejne

zdanie Nicholasa.

– Według mnie twoje znamię zostało stworzone dzięki osobistej mocy Blackwella. Z powodów, których w tej chwili nie umiem przeniknąć, potrzebuje ją teraz odzyskać.



Rozdział 10

Następny tydzień upływa w koszmarnej atmosferze. Staramy się dociec, co właściwie znaczy fakt, że Blackwell poszukuje znamienia. Co się za tym kryje?

Sprzeczki między Peterem a Johnem wybuchają praktycznie co godzina. John nie przestraszył się wieści, że nosi w sobie magię Blackwella i że może się stać jego celem. Przeciwnie, chce tę moc wykorzystać. Uczynić to, do czego zobowiązał mnie Gareth: zgładzić Blackwella. Peter, do niedawna bardzo przecież zadowolony z decyzji syna o przystąpieniu do walki, zmienił nastawienie. Usilnie namawia Johna do opuszczenia Anglii. Chce, by zabrał mnie ze sobą na statek i byśmy razem popłynęli jak najdalej stąd.

John jednak nie rezygnuje, nie może ustąpić, bo nie pozwala mu na to znamień. Szale magicznej równowagi zaczynają się przechylać, niestety, nie na korzyść Johna. Teraz rozumiem, z czego wynika zmiana w jego zachowaniu. Skąd ten dystans, ta agresja. Z każdym dniem mniej czasu poświęca leczeniu, więcej uwagi przykłada do wojskowych ćwiczeń. Jego opór stopniowo słabnie. Coraz bardziej ulega wpływowi magii Blackwella.

Na razie tajemnica Johna – nasza tajemnica – pozostaje bezpieczna. Jak długo to potrwa? Dzień w dzień ćwiczę pod kierunkiem Fifer i Schuylera i dzień w dzień staję się silniejsza, zręczniejsza, coraz lepiej przygotowana do walki. Teraz trenuje ze mną John i jego postępy przerastają moje co najmniej dziesięciokrotnie. Powiększającej się różnicy między naszymi umiejętnościami nie można już ignorować, nie można jej ukryć.

Problem wydaje się nierozwiązywalny. W każdym razie ja żadnego rozwiązania nie dostrzegam. A mam coraz mniej czasu. Dzisiejszego

ranka do Młyna dotarły dwa grube listy, zapieczętowane woskową pieczęcią z symbolem podwójnej koniczyny – herbem lorda Cranbourne Calthorpe-Gough: nasze powołania. Służba Johna w straży oficjalnie dobiegła końca i w ciągu dwudziestu czterech godzin mamy się oboje stawić w obozie w Rochester.

Dwór Rochester Hall znajduje się w najdalej na północ wysuniętej części Harrow, w mieście nazwanym od dworu: Rochester. Od domu Johna i Petera idzie się tam dwie godziny urokliwą wiejską drogą, której strzegą żywopłoty i porośnięte jeżynami drewniane ogrodzenia. Pejzaż usiany jest drzewami. W dolinkach stoją domki o czerwonych dachach. Po polach wałęsają się stadka owiec pokrytych brudnym i skołtunionym zimowym runem.

Wędrujemy już od godziny. Prowadzi Peter, John i ja zostajemy nieco z tyłu, oboje obciążeni pospiesznie spakowanymi tobołami z ubraniami i bronią. Jak dotąd nie zdążyłam poznać Harrow dokładnie, obejrzałam tylko mapę, którą nakreślił dla mnie John. Pamiętam ją jednak na tyle, by wiedzieć, że Rochester od północy otoczone jest przez wzgórze, od wschodu graniczy z Anglią, a od zachodu z Cambrią. Dziwny wybór miejsca na obóz. Gdyby ludzie Blackwella w jakiś sposób zdołali w większej liczbie pokonać magiczną barierę, znaleźlibyśmy się w potrzasku, bez możliwości ucieczki.

– Myślałam o szpiegu – odzywam się. To pierwsze zdanie, jakie dziś wypowiadam. – O tym, który wpuszcza ludzi Blackwella w granice Harrow. Sądzę, że wszyscy możemy się zgodzić, że ten człowiek wciąż wśród nas mieszka. Nie ma innej możliwości. Za dużo wiedzą. Dokąd się udać, jak trafić do celu, a czasami nawet, kiedy się pojawić.

Przypominam sobie pierwszego intruza: łuczniaka odkrytego w pół drogi między domami Garetha i Nicholasa. Drugi taki wypadek miał miejsce w Mudchute, trzeci w dzień mojego przesłuchania, czwarty w mojej sypialni, piąty dzień później, na głównej ulicy handlowej. A teraz to: obóz.

– A jeśli to on? Ten lord... trojga nazwisk? – Nie jestem w stanie nazywać go dłużej lordem Cranbourn Calthorpe--Gough. To zbyt komiczne. – Może dlatego obóz zlokalizowano właśnie u niego, w tak odległym miejscu? A jeśli postanowił zebrać wszystkich tam, by

wprowadzić nas w pułapkę bez wyjścia? Wtedy mógłby po prostu wręczyć Blackwellowi klucze do Harrow. – Na tę myśl przechodzi mnie dreszcz. Jeśli mam rację, realizacja takiego planu byłaby niezwykle prosta. Błyskawiczna. Jeden zdrajca, jedna bitwa, żadnych ocalałych.

Peter otwiera usta, lecz uprzedza go John.

– On nie jest szpiegiem – oznajmia i spogląda na mnie. – Wiem, jakie robi na ludziach wrażenie. Wydaje się aroganckim, bogatym... dupkiem – rzuca mi lekki uśmiech – ale w Rochester spędziłem z Fitzroyem... Nie, nie dokończę nazwiska, jest zbyt długie... i jego rodziną wiele czasu. Znam go od dawna i wiem, że za nic by nas nie zdradził. Bez względu na ewentualne korzyści nie naraziłby swoich bliskich.

Chcę zauważyć, że ludzie nie zawsze działają w imię korzyści, niekiedy po prostu nie chcą czegoś stracić. Zdarza się, iż ktoś wplątuje się w przerastającą go sytuację i nie próbuje już wstać, aby nie pograżyć się bardziej.

– John ma rację – stwierdza Peter. – Dla swojej córki i reszty rodziny Fitzroy zrobiłby wszystko. A wobec Harrow jest równie lojalny jak Nicholas. Powierzyłbym mu własne życie, co zresztą właśnie robię. – Pirat mówi uspokajającym tonem, za wszelką cenę stara się utrzymać niełatwy pokój między sobą a synem. – A co do lokalizacji obozu, sprawa jest prosta. Nie ma w Harrow innego odpowiednio dużego ani bezpiecznego miejsca, w którym mogłaby stacjonować armia. Na południu mamy tylko otwarte pola i lasy, wioski i mniejsze siedliska. Rochester Hall to największa i najlepiej chroniona rezydencja w Harrow. Właściwie to zamek jak się patrzy.

– Jest też sporo innych zalet – dodaje John. – Gdyby stało się coś złego, istnieje mnóstwo dróg ucieczki. Pod Rochester Hall są podziemne tunele, prowadzące za granicę, do Cambrii. Jest też wąska zatoczka, mniej więcej o milę stąd, połączona z morzem. A co najważniejsze, Rochester obłożone jest co najmniej tyloma zakłęciami ochronnymi co dom Nicholasa w Crouch Hill. Chociaż niektóre z nich są... Stać!

John wyciąga rękę i razem z Peterem zamieramy w pół kroku, a on wypuszcza się naprzód. Wpatruje się w ziemię, aż wreszcie znajduje kamień wielkości pięści. Podnosi go i rzuca na środek drogi, jakby grał

w bule.

Wtem, zupełnie niespodziewanie, rozlega się głośny szum, po czym gwałtownie spada ciśnienie, jak przed burzą. W naszą stronę pędzi potężny podmuch powietrza. Poderwane z drogi kurz i gałęzie układają się w szary cyklon. Odruchowo cofam się o krok, lecz John wyciąga rękę przed siebie.

– Bycze Pastwisko. Pod Górą. Pod Śnieżnym Wzgórzem.

I – zupełnie po prostu – wicher cichnie, powietrzny lej znika. Okruchy, piach i kamyki spadają na ziemię. Uzdrowiciel rusza w dalszą drogę i ponagla nas gestem.

– Co to było? Co powiedziałaś? – Kaszlę i przecieram przykurzone powieki. – Brzmiało jak nazwy karczm.

– Bardzo dobrze. – John przeczesuje włosy palcami, strąca na trakt kilka listków. – Należy wymienić trzy działające w Harrow puby, żeby przejść przez ten cyklon. Trzy puby, jakie odwiedziło się osobiście – podkreśla. – Fitzroy wyznaje zasadę, że nie należy spotykać się z ludźmi, którzy nie wstąpili na kufelek do co najmniej trzech różnych lokali.

Peter wybucha śmiechem. Ja również się uśmiecham. Pierwszym szczerym uśmiechem od wielu dni.

Idziemy dalej. Krajobraz wygląda tak samo jak przez całą drogę – wzgórze, doliny, drzewa, owce. Powoli zaczynam powątpiewać w ów słynny przepych Rochester Hall. Skoro rezydencja jest tak duża, jak twierdzi Peter, powinnam ją już zobaczyć. Tak jak widywałam na horyzoncie Greenwich Tower, niewzruszoną skazę na sylwetce Upminster.

John ponownie podnosi rękę i dwukrotnie pstryka palcami, po czym gwizdże. Zaczyna mnie drażnić teatralność zabezpieczeń tego miejsca, która wydaje się nie mieć pokrycia w efektach. Ale wtedy coś się zaczyna: powietrze przede mną migoce, matowieje i nagle wszystkie wzgórze, doliny, drzewa i owce – tak wyraźne jeszcze przed sekundą – znikają, okazują się zwykłą uludą. Ich miejsce zajmuje coś innego: Rochester Hall.

Mimowolnie szeroko otwieram oczy.

Peter nazwał tę posiadłość zamkiem, lecz ja mimo wszystko spodziewałam się budynku przypominającego dom Garetha czy nawet

rezydencję Humberta otoczoną fosą i ogrodami, z mocną kratą w bramie. Nie przypuszczałam, że ujrzę fortecę.

Jest wielka. Wzniesiona z intensywnie czerwonej cegły i chroniona wysokimi na sto stóp murami. W licznych połączonych blankami wieżach i basztach zieją otwory strzelnicze. Wokół twierdzy rozlewa się zduszone glonami rozległe jezioro, a jedyna droga do wejścia – bramy strzeżonej po bokach przez mocno ufortyfikowane wartownie – wiedzie przez długi na co najmniej pół mili most.

Za jeziorem tereny Rochester Hall ciągną się w dal, aż po gęsto zalesione wzgórza.

Peter zauważył moje mimowolne zdumienie i uśmiecha się pod nosem. John prowadzi przez most. Stukot naszych kroków jest jedynym dźwiękiem pod dziwnie milczącym błękitnym niebem.

– Gdzie są wszyscy? – pytam. – Tak tu cicho. I jak mamy wejść? Raczej nikt nas nie oczekuje. – Wskazuję dłonią górującą przed nami żelazną bramę. Zamkniętą i niedostępną.

– W Rochester nie powinnaś ufać wszystkiemu, co widzisz – tłumaczy John. – Nie warto też ufać temu, co się słyszy.

Natychmiast powraca moja wcześniejsza irytacja.

Uzdrowiciel podchodzi do bramy i przykłada do niej dłoń. Spodziewam się, że zgrzytną zawiasy i wrota staną otworem, znikną lub że pojawi się jakiś upiorny duch odźwierny i zaprosi nas do środka. Nie spodziewam się jednak tego, że otwór strzelniczy, który jeszcze chwilę temu widziałam osiem stóp wyżej, znajdzie się tuż przede mną. I że nie będzie już wąską szczeliną w murze, lecz gościnnym szerokim przejściem.

Peter pogwizduje z aprobatą, a John wchodzi do środka i przywołuje nas do siebie machnięciem ręki. Zanurzamy się w prowadzący w mrok kręty tunel. John odnajduje drogę bez trudu, skręca to w lewo, to w prawo. Wchodzi i schodzi kolejnymi schodami, jakby robił to już setki razy – zresztą zapewne tak było. Wreszcie znów stajemy na świeżym powietrzu. Oczy przyzwyczajają się do jaskrawego słońca dopiero po chwili. Widzę obóz tak wielki, że można go właściwie nazwać miasteczkiem.

Zielony park ciągnie się całymi milami, każdy cal zajęty jest przez

ludzi, kufry, wozy, psy i konie. Niebo przesłania dym bijący z tysiąca niewielkich ognisk; wokół stoją namioty i altany wszelkich możliwych kształtów i rozmiarów, niektóre pomalowane są w kolorowe pasy i podtrzymują je liczne tyczki, inne są proste, białe i opierają się na jednym tylko kiju.

Wszędzie piętrzą się sterty skrzyń, z których wysypują się naczynia, sztucce, latarnie, tkaniny.

Poza parkiem, nieco w dole rozciągają się tereny ćwiczebne, poligon. Widzę dwie areny do pojedynków konnych, wysypane piachem i zaopatrzone w zadaszne płótnem wygodne trybuny. Tuż obok – strzelnica. Szeregi starannie ustawionych na drewnianych podpórkach łuków i kołczanów. Wielobarwne tarcze wymalowane na rozciągniętych na belach siana tkaninach. Jeszcze dalej widzę kawałek otwartej łąki, gdzie zauważam kilkadziesiąt drewnianych skrzyń z bronią: nożami i łańcuchami, kosami i maczugami, sztyletami i toporami.

Spostrzegam też – choć możliwe, iż nie powinnam – sylwetki kilkudziesięciu katapult. Czają się na skraju lasu. Czekają, by je naładować i napiąć, a potem – w wypadku napaści – rozmieścić w strategicznych punktach obozu.

Peter ponownie gwizdże z uznaniem.

– Widzę, że Fitzroy przeszedł sam siebie.

– Tu jest chyba tysiąc ludzi – stwierdzam.

– Aha, Fitzroy twierdzi, że prawie tysiąc – potakuje Peter. – Galów prosiliśmy o dwa tysiące i ci też się pomieszczą.

– A co z mieszkańcami Harrow? – Mijamy trzy wozy, z których kilkunastu mężczyzn wyładowuje właśnie towary. – Na ilu ludzi możemy liczyć? Dla nich też wystarczy miejsca?

– Trzy tysiące, mniej więcej – odpowiada John. – Nie wszyscy przeniosą się tutaj, nawet gdyby rzeczywiście zagroziła nam otwarta wojna. Natomiast, jeśli zajdzie taka konieczność, terenu wystarczy i dla nich.

Sześciotysięczna armia. Wydaje się niemożliwe, by w Rochester mogło się schronić aż tylu żołnierzy. Ponownie wracam myślami do szpiega, zdrajcy w naszych szeregach. Zastanawiam się, do czego mogłoby dojść, gdyby Blackwell zdołał się wdrzeć do Harrow.

Pamiętam to, co powiedział John, a także słowa Petera – zgodnie twierdzą, że ojciec Chime nie jest zdrajcą. Możliwe, że mają rację. Nie zapominam jednak o tym, co zwykł powtarzać Blackwell: „Wojna jest sztuką podstęp. Aby zwyciężyć, należy sprawić, by przeciwnik postrzegał cię tak, jak sam chce cię postrzegać”. Powinnam była słuchać go wtedy uważniej. Przecież praktycznie wyjawiał nam swój największy sekret.

Czego nie słyszę teraz?

Jak na zamówienie pojawia się on: lord Trojga Nazwisk we własnej osobie.

Z bliska okazuje się wyższy i bardziej przystojny, niż wydawał się w dniu mojego przesłuchania. Jest dobrze ubrany – włożył bryczesy z brązowej skóry, szarozielony kaftan, a do pasa ma przytroczoną skórzaną pochwę, tyle że pustą. Jest głównodowodzącym armii, lecz wygląda, jakby tylko bawił się w wojsko, jakby wcale nie planował prowadzenia prawdziwej wojny.

Klepie Johna po plecach, serdecznie ściska jego dłoń. Podobnie wita się z Peterem. Na koniec zwraca się do mnie. Kiedy mnie ogląda, błękitne oczy rozświetlają się jasnymi ognikami. Wpatruję się w nie uważnie, jakbym mogła wypatrzeć ukryty w spojrzeniu podstęp.

– Panno Grey. – Podaje mi rękę, a ja ją ujmuję.

– Lordzie Cranbourne Calthorpe-Gough.

– Ależ proszę bez ceregieli, mów mi Fitzroy – rzuca. – Cieszę się, że możemy się ponownie spotkać. W dodatku w okolicznościach bardziej przyjemnych niż sztywne posiedzenie rady. I raduję się, że mogliśmy połączyć siły. Z tego, co słyszę, z panną należy się liczyć.

Otwieram usta do odpowiedzi, lecz wyręcza mnie Peter.

– Niezgorzej radzi sobie z nożem – mówi. Uśmiecha się przy tym szeroko, lecz dostrzegam, że robi to z wysiłkiem. – Fechtuje jak mało kto i nie mogę się doczekać, kiedy zabiorę ją na strzelnicę. Skromność nie pozwoli jej tego powiedzieć, ale ja się ośmielę. Myślę, że z łuku szyje celniej niż ty, Fitzroy.

Niezręczna sytuacja. Pirat wychwala moje umiejętności, które posiadałam po to, by chwycić i zabijać mieszkańców Harrow, a dopiero od niedawna służące ich sprawie. Umiejętności, które prawie już

straciłam. Jednak Peter – podobnie jak ja – ma w tym wszystkim swoją rolę do odegrania.

Zaraz potem od strony placów do walki na miecze dolatuje nas harmider. Słysząc męskie śmiechy i wiwaty. Kilkunastu ludzi obserwuje dwóch przeciwników krążących wokół siebie na piasku. Ostrza ich mieczy rzucają w popołudniowym słońcu jasne refleksy.

– O, turniej! – zauważa nie bez zadowolenia Peter.

– Jak co dzień – odpowiada Fitzroy. – Wyćwiczą się, walcząc między sobą, a potem zaczną szukać prawdziwych przeciwników. – Poklepuje mnie po ramieniu. – W zakładach krąży tam już niemała fortuna, a ja chętnie postawiłbym swoją na Elizabeth.

Uśmiecha się. John się krzywi. Peter głośno przełyka ślinę.

Odpowiadam uśmiechem.

Fitzroy podnosi rękę i jakby znikąd pojawia się przy nas młody chłopak w białej liberii.

– Zanieś bagaże do namiotów, proszę. Elizabeth Grey i John Raleigh. Jak sądzę, wyznaczyliśmy im miejsca w piątym kręgu.

Młodziak kiwa głową, zbiera nasze toboły i odbiega.

– Zdolni do walki zajmują białe namioty – tłumaczy Fitzroy, gdy ruszamy w kierunku pojedynkujących się wojaków. – Kręgi wyznaczają rangę. Ja mieszkam w samym środku wraz z marszałkiem polowym, kapitanem i porucznikiem. Poznacie ich później. Szeregowi żołdacy zajmują zewnętrzne kręgi. – Obrzuca mnie spojrzeniem. – Czy Blackwell podobnie szeregował swych ludzi?

Pozwalam sobie na uśmieszek.

– Hołdował zasadzie „pierwszy wśród równych sobie”.

Fitzroy znów się uśmiecha i jego twarz się rozświecila. Jest naprawdę przystojny, męska uroda niemal zapiera mi dech w piersiach.

– Nie dziwię się – mówi.

– Elizabeth! – Ponad ogólny zgiełk wybija się znajomy głos. – John!

Odwracam się i widzę machającą do nas Fifer. Schuyler idzie tuż za nią.

– Co wy tu robicie? – pyta John, kiedy podchodzą bliżej.

Fifer wskazuje kciukiem Schuylera. Zjawia dźwiga na ramieniu

cztery pękate worki i przygląda się nam z miną, w której rozbawienie miesza się z irytacją.

– Wszystko przez niego – odpowiada Fifer. – Powiedział Nicholasowi, że jego dom nie jest dla mnie wystarczająco bezpieczny. Zwłaszcza po niedawnych atakach i napaści na Elizabeth. Dlatego Nicholas odesłał mnie tutaj. – Rozgląda się i marszczy nos. – Znam wiele lepszych miejsc. Nie cierpię spać w namiocie. To nieprzystojne i takie... barbarzyńskie.

– Ja też zamieszkać w namiocie – przypominam.

– Właśnie mówię, barbarzyńskie. – Fifer uśmiecha się szeroko.

Stajemy na skraju areny i obserwujemy pojedynek aż do końca: szybki wypad i pchnięcie w pierś, które w prawdziwej walce byłoby zabójcze, lecz tu poskutkowało tylko draśnięciem. Na białej lnianej koszuli wykwitła czerwona plama. Pokonany miota przekleństwami, zwycięzca głośno się śmieje. Dołączają do nich widzowie, wymieniając się pieniędzmi i obelgami. Zwycięzca – wysoki, barczysty mężczyzna o ospowatej twarzy rozgląda się dokoła. Wreszcie jego spojrzenie zatrzymuje się na Johnie.

– Chodź no tu, synu! – woła wesoło. – Zobaczymy, czy robisz mieczem równie dobrze, jak się prezentujesz! – Wrywa z dłoni pokonanego kord i rzuca w kierunku uzdrowiciela.

John bez trudu wyławia broń z powietrza. Na jego wargach pełga uśmieszek – ten uśmieszek, który dobrze już poznałam i nauczyłam się go bać.

– Na pewno lepiej od ciebie, brzydalu – odpowiada.

Zebrani wokół rechocą i kpią. Nawet Peter się śmieje. Pojawia się kilkunastu innych zwabionych hałasem ludzi.

Zerkam na Fifer, ona zerka na mnie.

– John – szepce – nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. Nie możesz wygrać, nie powinieneś w ogóle próbować w obecności tylu ludzi...

On obrzuca ją spojrzeniem, w którym pojawia się wyraźny cień pogardy.

– Co? Ty też?

Fifer otwiera szeroko oczy. Nie wiem, czy John kiedykolwiek

wcześniej spojrział na nią w ten sposób lub odezwał się do niej takim tonem. Zsuwa z ramion płaszcz i odrzuca go na trawę. Obraca kordem w dłoni, raz, drugi, i wychodzi na piasek. Mężczyzna, który go wyzwał – pirat sądząc po stroju i zachowaniu – zbliża się i pokazuje nowemu przeciwnikowi obsceniczny gest. W odpowiedzi John podrywa butem chmurę piasku, który obsypuje mężczyznę.

Tłumek widzów woła i gwizdże.

– No i zaczęło się – mruczy Fifer.

John i pirat krążą wokół siebie z wysoko uniesionymi mieczami. Słońce dziś jest bardzo jasne, zbyt jasne. Odwracam się, by nie świeciło mi prosto w oczy, i kątem oka, po drugiej stronie placu, zauważam wielobarwną plamę. To grupka krzykliwych dziewcząt w jeszcze bardziej krzykliwych sukienkach – błękity, zielenie i szkarłaty. Wśród nich stoi Chime. Chwyta moje spojrzenie, lecz szybko przesuwa wzrok i zatrzymuje go na Johnie. Na dobre.

Skupiam się na powrót na pojedynku. Pozostali widzowie obstawiają lub przyjmują zakłady, przerzucają się monetami, uszczypliwościami, gwizdami i przekleństwami. John nie zwraca na nich uwagi, jest bez reszty skoncentrowany na przeciwniku, który napiera, zasypując go ciosami. John paruje je wszystkie. Wiem, co robi. Mnie również tego nauczono: pozwolić, by rywal zużył całą energię na bezowocne popisy, nie tracąc przy tym własnej.

Cizba gęstnieje. Żołnierze w czerwono-niebieskich kurtkach, paziowie w białych liberiach, służący w brązowych kaftanach i jeden mężczyzna w czerni: Gareth. Stoi z dala ode mnie ze splecionymi na piersi rękoma, wpatrzony w walczących.

John przyjmuje na siebie kolejne uderzenia, odbija je raz i drugi, po czym przechodzi do kontrataku. Wykonuje taki ruch, jakby chciał rzucić się do przodu, lecz tylko tupie w miejscu: finta. Pirat tnie, John usuwa się w bok. Przez moment stal ściera się ze stalą, aż wreszcie uzdrowiciel zadaje pchnięcie.

Gareth spogląda to na mnie, to na Johna. Mam wrażenie, że zaczyna kojarzyć fakty. Nie jest w tym osamotniony. Chime oderwała się od przyjaciółek i staje przy ojcu. Szarpie go za rękaw. Zamieniają dwa słowa, po czym patrzą z powrotem na Johna. Oboje przyglądają mu

się spod przymrużonych powiek. Nabrali podejrzeń.

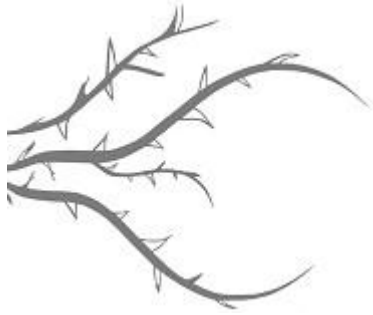
– Za dobrze sobie radzi – szepce do mnie Fifer. – Musi to przerwać. Zaraz się domyślą.

Bez słowa odsuwam się od areny i przechodzę jakieś dwadzieścia stóp dalej. Nikogo tu nie ma, tylko jakichś dwóch chłopców mocije się ze sobą na piasku. Widząc mnie, podrywają się z ziemi i odbiegają.

Zerkam w stronę Johna, który krąży wokół przeciwnika. Jest gotów do ataku.

Wieści w Harrow rozchodzą się błyskawicznie – coś w tym duchu powiedział podczas mojego przesłuchania Gareth. Miał na myśli setki ludzi, którzy zebrali się w katedrze. Jeżeli teraz zrozumie, że za szermierczą sprawnością Johna stoi coś więcej niż tylko ojcowskie lekcje, to jak szybko powie o tym reszcie członków rady? Ile czasu minie, nim tamci rozgłoszą nowinę wszem i wobec? I kiedy ta informacja dotrze do szpiega Blackwella, który wyśle swych ludzi na poszukiwanie Johna? Zdejmuję płaszcz i rzuca go na piach.

Schuyler, mówię w duchu, uderz mnie.



Rozdział 11

Schuyler, podobnie jak wszyscy inni, w zapamiętaniu śledził walkę, i teraz gwałtownie odwraca się ku mnie i patrzy ponad areną. Nawet stąd widzę malujące się na jego twarzy zdziwienie. Niepewność jednak szybko ustępuje zrozumieniu. Musimy odwrócić uwagę tłumu. Musimy zainteresować ludzi czymkolwiek lub kimkolwiek. Nawet mną.

Na co czekasz? – pytam w myślach. – Strach cię obleciał? – dodaję na zachętę.

Nie udaje mi się nawet mrugnąć. Schuyler wpada na mnie z siłą obłędniczego taranu.

Przewracam się na ziemię, padam bez tchu. Ból oszałamia, lecz otrząsam się, tak jak otrząsałam się za każdym razem, gdy bił się ze mną przez ostatnie dwa tygodnie. Zrywam się na równe nogi. Najbliżej stojący zaczynają szemrać; ktoś zobaczył, ktoś zwrócił uwagę.

Wciąż za mało. Chcę, żeby patrzyli na mnie wszyscy.

Jeszcze raz.

Schuyler, niczym rozdrażniony lew, rozgarnia nogą piasek i kiwa na mnie palcem – drwiąco, wyzywająco. Skaczę na niego, chwytam go w pasie, przyciągam i kopię w najbardziej wrażliwe miejsce wszystkich mężczyzn i chłopców, nawet stuletnich zjaw. Jęczy i zatacza się w tył. Zadaje przy tym cios pięścią z dołu. Uderzeniu brakuje energii i bez trudu usuwam się z drogi. Traktuje mnie ulgowo, a nie powinien, nie wolno mu. Zebrani już przestali się naszą bójką interesować. Głośno dopingując, obserwują starcie Johna.

Sięgam do pasa z bronią, na którym noszę sztylety. Schuyler doszedł już do siebie i ponownie atakuje. Niewiele się zastanawiając, wyciągam nóż, celuję i wbijam mu ostrze w pierś.

Gwałtownie chwyta powietrze, choć przecież nie oddycha, przez

twarz przemyka mu cień. W drwiący uśmiezek wkrada się groźba. Widzę to: ten dziki płomień, który pojawia się w oczach zjaw, gdy pozwalają się ponieść emocjom walki, kiedy wyczuwają krew. To odruch, jakiego nabierają, wracając z zaświatów, instynkt nakazujący posłać tam wszystkich pozostałych.

Schuyler wyrywa sobie nóż z ciała i ciska go na bok. Rzuca się na mnie, bije na odlew w twarz, mocno. Siła uderzenia sprawia, że krawędzie świata ciemnieją. Unoszę stopę i kopię go w lewe kolano. Słyszę trzask kości i zjawa z jękiem kuli się na ziemi. Przystojna twarz krzywi się z bólu. Odskakuję, lecz robię to zbyt wolno. Chwyta mnie za nogę, przekręca i z głuchym stuknięciem łąduje na ziemi.

Natychmiast podnosi się i wymierza mi kopniak w żebra. Kiedy bierze drugi zamach, obracam się i unikam ciosu. Za trzecim razem nie mam już tyle szczęścia. Ciężki czarny but trafia mnie prosto w brzuch. Turlam się po piasku i ostatecznie zamieram na plecach, z rozrzuconymi rękoma i nogami. Mimowolnie zamykam oczy. Wyczuwam drżenie podłoża. Tupot. Schuyler ruszył do ataku. Ruszyć się, muszę się ruszyć!

Gdy podnoszę powiekę, okazuje się, że to wcale nie on. To John.

Szarżuje i wpada na zjawę z równą siłą, z jaką ona mnie zaatakowała. Przewraca ją na piach. Unosi rękę i bije pięścią w twarz. Raz. Dwa razy. Zaraz potem wbija kciuk w ranę pozostawioną przez mój sztylet.

Schuyler chwyta Johna za koszulę i odpycha go, a w każdym razie próbuje. John wywija się zwinnie i uderza przeciwnika kolaniem w żołądek.

John, cholera jasna! – irytuję się w duchu. Zepsujesz wszystko, co próbowałam osiągnąć. Zepsujesz, a nawet pogorszysz!

– John! Schuyler! – wołam i rzucam się na walczących. –

Przestańcie! – Tarzamy się w plątaninie rąk, nóg, wśród przekleństw.

– Elizabeth! Złaź! – John łapie mnie za rękę i strąca z siebie.

Skaczę na niego ponownie, tym razem chwytam go za szyję i przyciągam do siebie. Zmuszam, by na mnie popatrzył. Twarz Johna zatrzymuje się kilka cali od mojej. Czuję jego przyspieszony oddech, wilgotne od potu ciemne loki lepią mu się do czoła. Wpatruje się we mnie bardzo intensywnie. Na moment zapominam, co chciałam

powiedzieć.

Ktoś odrywa go ode mnie, i to bardzo niedelikatnie. Zanim dociera do mnie, co się dzieje, podlatuję ku górze i staję na równych nogach.

– Zbieramy się stąd! – To Peter i Nicholas. – Natychmiast!

Pirat, nie uwalniając mojego ramienia, popycha mnie lekko naprzód. Nicholas trzyma Johna. Prowadzą nas po trawie niczym parę złąjanych uczniów. Schuyler i Fifer idą za nami. Zerkam przez ramię i ku swemu przerażeniu widzę tłum gapiów. Nie tuzin, dwa czy nawet trzy. Nie. Ludzi są całe setki. Chciałam odwrócić ich uwagę, a zamiast tego podarowałam im atrakcję.

Powłócząc nogami, idziemy przez pole, oddalamy się od namiotów, od harmidru, dymu i rojących się tłumów. Zmierzamy pomiędzy drzewami na płaską trawiastą łąkę, i dalej po obsadzonej cisami długiej alei prosto na przestronny wewnętrzny dziedziniec Rochester Hall.

Gdybym była mniej wściekła, mniej zmartwiona, mogłabym zapewne docenić urok tego miejsca. Starannie rozplanowany ogród, fontanny, marmurowe posągi, pnący się po murach bluszcz, kolorowe witraże w skrzących się na słońcu oknach. W obecnym nastroju mogę jednak tylko przyglądać się Johnowi. Już chwilę temu wyszarpnął ramię z uścisku Nicholas. Z chmurnym, burzowym wręcz czołem kroczy przed nami, nie patrząc na nikogo, bez słowa.

– Prywatny salonik jest chyba w zachodnim skrzydle, prawda, John? – pyta Nicholas. – Tam będziemy mieć spokój.

John nie odpowiada. Prowadzi nas przez jedną z dziesiątków arkad. Docieramy do strzeżonych zamkniętych drzwi. Na widok Johna wartownik natychmiast ustępuje nam z drogi. Po kilku zakrętach korytarza wędrówka kończy się w przytulnym pokoju z oknami wychodzącymi na dziedziniec, skąd przyszliśmy.

Nicholas przywołuje jedną z krzątających się w pobliżu służek, po czym wyczekująco patrzy na Johna.

– No co? – John rozkłada ręce. – Na litość boską, czego ode mnie chcesz?

– Ziół – odpowiada czarnoksiężnik spokojnym tonem, spoglądając podopiecznemu prosto w oczy. – Dla Elizabeth – dodaje. – Trzeba

opatrzyć jej rany. Czego potrzebujesz?

John obrzuca mnie lekko oceniającym spojrzeniem i zwraca się do pokojówki.

– Arnika na sińce. Nagietek lub rumianek na opuchliznę. Woda. Dwie miski. Jedna z wrzątkiem, druga z zimną. I czyste szmatki. – Milknie na moment. – Przynieś też trochę męczennicy, jeśli macie. Powinna ją uspokoić.

– Mnie wcale nie trzeba uspokajać! – wrzeszczę.

Wszyscy wbijają we mnie spojrzenia.

– W takim razie, po co, na rany Chrystusa, to zrobiłaś? Bić się z Schuylerem? Oszalałaś? – John niecierpliwie macha ręką. – Popatrz tylko na siebie! Na swoją twarz! Do stu par beczek kartaczy! Jak ja mam to teraz ukryć? A, do diabła, nieważne zresztą. Przecież on mógł cię zabić.

– Nie zabiłbym jej – odzywa się Schuyler.

Dokładnie w tej samej chwili mówię:

– Nie zabiłby mnie. Wszystko było pod kontrolą – dodaję. – Po prostu... ćwiczyliśmy. – Opieram się pokusie, by przycisnąć dłoń do gwałtownie puchnącej powieki.

– Ale dlaczego, Elizabeth? – Spokojny głos Petera brzmi zupełnie inaczej niż wściekły ton jego syna. – Wciąż nie jesteś gotowa. Nie do walki wręcz. Mogłabyś sobie poradzić w pojedynku na miecze. Udało mi się też namówić Fitzroya, by postawił na ciebie w konkursie łuczniczym. Ale nie możesz się wdawać w bezpośrednie starcia. Naprawdę nie musiałaś tego robić.

– Chodzi o Garetha. – Spoglądam na drzwi, upewniam się, czy są zamknięte. – Przyglądał się twojej walce, John. Chime też. I Fitzroy. Widzieli, jak świetnie fechtujesz.

– I co z tego? – syczy John. – Byłem dobry. Jakie to ma znaczenie? Nie twoja sprawa.

Stojąca obok mnie Fifer cicho, piskliwie protestuje:

– Oczywiście, że to jej sprawa.

– Jasna cholera! – John zaczyna chodzić w tę i z powrotem po pokoju, wplata palce we włosy. Koszula wyszła mu ze spodni, z przodu jest rozdarta. Spodnie ma uwalane piachem i krwią – nie jego krwią,

moją. – Jeżeli nie przestaniecie gadać o tym znamieniu...

– Dosyć! – ucina zdecydowanie Peter. – Wystarczy!

– Nie chcę o tym słyszeć ani słowa więcej! – rzuca John. – Znamię jest moje. Oddałaś mi je. – Zerka na mnie. W jego oczach nie widać wdzięczności ani czułości. Tylko gniew i przekonanie o własnej racji. – Skoro chcesz je odzyskać, to znaczy, że chcesz, bym zginął. O to ci chodzi?

Sposób, w jaki on manipuluje rozmową, jak zmusza mnie do udzielenia konkretnej odpowiedzi, na której mu zależy, przypomina mi kogoś innego. Tak właśnie rozmawiał ze mną Caleb.

– Nie – odpowiadam, z całego serca żałując, że nie toczymy tej dyskusji na osobności. – Oczywiście, że nie o to mi chodzi.

– To przestań! Nie próbuj mnie na siłę chronić! – krzyczy. – Wtrącasz się w moje sprawy na każdym kroku, a ja cię nie potrzebuję!

Równie dobrze mógłby mnie zdzielić pięścią w brzuch. Zasycha mi w ustach, wstyd i upokorzenie sprawiają, że płoną mi policzki. Wszyscy to słyszeli. Próbuję raz jeszcze, po raz ostatni.

– Nie rozumiesz, z czym wiąże się posiadanie znamienia – mówię. – Wiem, jak silny się czujesz, niczym niezwyknięty. Jednak to nieprawda... – Urywam, odmierzając słowa, jakbym odmierzała porcje prochu strzelniczego. – Ani przez moment nie żałowałam, że przekazałam ci znamię. Mówiłam ci już o tym. Powiedziałam też, iż na znamię należy zasłużyć. Nie wspomniałam o tym, co się dzieje z człowiekiem, który je nosi. – Jestem w pełni świadoma, że moje słowa rozchodzą się echem po pokoju, czuję na sobie spojrzenia każdego z obecnych. – Traci się człowieczeństwo, zdolność odczuwania współczucia. Stracisz wszystko, co sprawia, że jesteś tak wspaniałym uzdrowicielem, że jesteś sobą.

John wzrusza ramionami.

– Przecież mówiłem ci, że wszystko się zmieniło. Co do współczucia. Nie czuję go wcale. Na pewno nie wobec Blackwella. Zabicie go nie ma żadnego związku z człowieczeństwem. To kwestia zemsty. I niech mnie cholera, jeśli pozwolę tobie lub komukolwiek powstrzymać mnie przed tym. – Okręca się na pięcie i wypada na korytarz.

Peter natychmiast rusza za synem.

– On nie chciał tego powiedzieć. – Fifer patrzy mi w oczy, jej twarz zastygła w przerażeniu. – Jest po prostu zły. Potrzebuje chwili, by ochłonąć. Pomówię z nim, może mnie zechce wysłuchać.

Nawet ja słyszę w jej głosie brak przekonania. Rzuca mi jeszcze blady uśmiech, po czym idzie za Johnem i Peterem. Zaraz potem wychodzi za nią Schuyler, a ja zostaję sam na sam z Nicholasem.

– Co się z nim dzieje? – Osuwam się w miękki złoty fotel i chowam twarz w dłoniach. – Zupełnie nie rozumiem, co w niego wstąpiło.

– Magia Blackwella. Przejmuje nad nim kontrolę – tłumaczy czarnoksiężnik. – Magia Johna, którą otrzymał przy narodzinach, jego własny talent, nie może istnieć na jednej płaszczyźnie z magią Blackwella. Znamię jest po prostu zbyt potężne i zaburza naturalną równowagę. – Siada w sąsiednim fotelu, jakby bliskość mogła złagodzić wymowę następnych słów. – Niszczy przyrodzoną magię Johna.

– W takim razie przenieś je z powrotem na mnie. – Podnoszę głowę. Sama nie wiem, dlaczego nie wpadłam na to wcześniej. W tej chwili jestem jednak zdesperowana. – Twoja magia umożliwiła to wcześniej, teraz też sobie poradzisz. Zwróć mi znamię.

– Nie mogę – odpowiada Nicholas. – Po pierwsze, John się na to nie zgodzi. A gdybym go zmusił, postąpiłbym tak samo jak Blackwell odbierający energię pojmanym czarownikom. Zresztą, nawet gdybym mógł – dodaje, wyczuwając mój sprzeciw – przeniesienie nie odniosłoby zamierzonego skutku. Magia Blackwella zanadto już zmieszała się z naturalną mocą Johna. Nie istnieje teraz sposób na ich rozdzielenie.

– A jeśli zabiję Blackwella? Czy kiedy zginie i źródło siły znamienia zniknie, zniknie i z Johna?

Nicholas przecząco kręci głową.

– Magia znamienia nie jest związana ze źródłem, inaczej niż moja klątwa powiązana z Trzynastą Tablicą. Gdyby znamię działało na tej samej zasadzie, byłoby od źródła całkowicie zależne. Czyli gdyby mag, którego energią zostało stworzone, umarł, łowca czarownic straciłby moc. A równie dobrze jak ja wiesz, że Blackwell nie dopuściłby do tego, by jego machinacje były uzależnione od czystego przypadku.

Z powrotem kryję twarz w dłoniach. Jedyнным dźwiękiem w pokoju jest szmer wahadła odmierzającego upływające sekundy.

– Tak czy inaczej, muszę go zabić. – Nie wypowiadam tych słów wiedziona rozpaczą ani gniewnie. Mówię, siląc się na spokój. – Muszę to zrobić, zanim John zrealizuje swoją groźbę i przy okazji sam zginie.

– Nie jesteś gotowa zmierzyć się z Blackwellem.

– Jestem, do cholery! – Na moment tracę panowanie, lecz zaraz je odzyskuję. – Moim zdaniem, to on nie jest gotów zmierzyć się z nami. Dlaczego ucieka się do pomocy rycerzy, łuczników, szpiegów? Skoro tak bardzo zależy mu na znamieniu, dlaczego nie przyjdzie odebrać go osobiście?

– Widziałaś kiedykolwiek, by Blackwell zajął się czymś osobiście, jeśli mógł posłużyć się innymi?

– Nie – przyznaję.

– Właśnie. Nieobecność nie świadczy o braku jego gotowości – podejmuje Nicholas. – Nasze źródła donoszą, że gromadzi wojska w Eastleigh, Spellthorne, Portsmouth, Somerset i, naturalnie, w swoim rodzinnym hrabstwie Blackwell.

– Czyli właściwie na całym południu – szepczę.

– Tak. Działa szybko nawet zimą. Szczególnie zimą. Myślę, że jest obecnie bardziej niż gotowy do starcia z nami.

– Tym bardziej powinnam go usunąć, zanim się tu pojawi – zauważam. – A ty musisz mi w tym pomóc, nieważne jak. Oblóż mnie jakimś zaklęciem, klątwą, daj mi armię lub chociaż swoje błogosławieństwo. Daj mi cokolwiek. – Milknę, ponieważ coś sobie uświadamiam. Sama nie wierzę, że zrozumiałam to dopiero teraz. – Daj mi Azotha. Już raz go tym mieczem raniłam. Tym razem doprowadzę sprawę do końca. Dam radę zakraść się do Ravenscourt. Zabiję go we śnie...

– Nie! – sprzeciwia się Nicholas równie surowo jak ojciec, którego ledwie pamiętam. – Magia Azotha przerasta mnie i ciebie także. Jest nawet silniejsza niż magia twojego znamienia. Gdybyś się nim posłużyła, dostałabyś się w jego władanie, straciłabyś bez reszty całą swoją moc.

– Chyba wspomniałeś, że we mnie nie ma mocy – mamrocę pod

nosem.

Nicholas rzuca mi ostre spojrzenie.

– Powiedziałem to już podczas twojego przesłuchania i zdania nie zmieniam. Możesz nam bardzo pomóc, ale nie rzucając się na oślep w objęcia śmierci. Rozumiem, że jesteś przyzwyczajona, iż właśnie tego od ciebie oczekiwano, ale my działamy inaczej. Ja tego od ciebie nie wymagam.

– Ale John...

– Nie pomożesz mu, jeśli on nie zechce – tłumaczy Nicholas, po czym wychodzi z pokoju.

– Akurat! – szepczę. Oczy zaczynają mnie piec w znajomy sposób. Jak zwykle, gdy wcześniej coś mnie w znajomy sposób zabolalo.

Służka wraca z tacą zastawioną zamówionymi przez Johna ziołami i przyborami. Stawia ją obok mnie. Trzy niewielkie woreczki, dwie miski z wodą – gorącą i zimną. Nie mam pojęcia, co miałabym z tym wszystkim zrobić, więc nie robię niczego. Już chcę jej powiedzieć, by zabrała tacę z powrotem, gdy słyszę czyjś cichy melodyjny głos.

– Wszedł, nie opatrując twoich ran.

Podnoszę wzrok i widzę stojącą w drzwiach Chime. Przygląda mi się. Z bliska jej żółta sukienka wygląda jeszcze piękniej. Opalizująca spódnica połyskuje, stan jest gęsto obszyty drobnymi perełkami. Na jej twarzy maluje się jednak zmartwienie, a nawet lęk.

– Tak. – Ocieram oczy dłonią.

– Jak na niego, to raczej dziwne zachowanie.

– Owszem.

– A ty się nie goisz.

– Owszem – powtarzam łamiącym się głosem.

Chime wchodzi do środka – do wtóru szelestu jedwabi i szmeru bucików na posadzce – zamyka za sobą drzwi i siada w fotelu obok. Odprawia gestem służącą i pokazuje mi tacę.

– Zacznij od nagietka na opuchliznę. To te pomarańczowe kwiatki. Musisz je najpierw namoczyć, ale nie w ciepłej wodzie. Temperatura zniszczy płatki. Zanurz je w zimnej.

– Gdzie się tego nauczyłaś? – pytam, nabierając podejrzeń. Pamiętam, że według Fifer, Chime specjalizuje się w magii miłosnej.

– Prawdę mówiąc, nie umiem zbyt wiele – przyznaje Chime – ale często obserwowałam Johna przy pracy i wiem mniej więcej, co on by zrobił. Poza tym nie sądzę, że mogłabym ci bardziej zaszkodzić.

Wiem, że chciała zażartować, ale z jakiegoś powodu żadna z nas się nie uśmiecha.

Z nieprzyjemną rezygnacją uświadamiam sobie, iż Chime jest jedyną osobą na świecie, której zależy na Johnie, podobnie jak mnie. Ona również zwróciła uwagę na zachodzące w nim zmiany. Nie ma pojęcia o znamieniu, lecz wie dostatecznie wiele, by dostrzec, że on jest inny niż zwykle.

Fitzroy zrobi dla swojej córki wszystko. Chime nie jest moją przyjaciółką i nigdy nie będzie, ale jednak może się stać kimś więcej, co w ostatecznym rozrachunku okaże się bardziej wartościowe. Mogłabym znaleźć w niej sojuszniczkę.

Siedzimy w pustym pokoju, w ciszy mąconej jedynie pluskiem palców Chime w miseczkach, poszeptywaniem ziół. Moczę i wyciskam szmatki, przyciskam je sobie do oka, policzka, nosa.

Opowiadam jej o wszystkim.



Rozdział 12

Wieczorem, jak codziennie przez cały tydzień od naszego przybycia, trzy uderzenia żelaznego dzwonu, wiszącego w urządzonych w dużym namiocie kantynie, wzywają nas na kolację.

Życie i ćwiczenia w Rochester Hall wyglądają zupełnie inaczej niż w Greenwich Tower. Tam mieliśmy do dyspozycji własne kwatery. Ciepłe łóżka, huczące płomieniami kominki, wonne siano na podłogach, dzień w dzień zmieniana, pachnąca lawendą pościel. Jadaliśmy wystawnie: pięcio- a nawet sześciodaniowe posiłki podawane na srebrnej zastawie. Cynowe sztucce, wino w kryształowych kieliszkach. Przy stołach zachowywaliśmy wszelkie zasady dobrego wychowania – stanowiło to część naszej edukacji i było surowo wymagane. Przestrzegaliśmy tych reguł starannie, za ich złamanie groził wstyd i zesłanie do kuchni, gdzie musielibyśmy jadać w towarzystwie służby.

Tutaj, w Rochester, siadamy przy zatłoczonych stołach, posiłki serwuje się na drewnianych miskach, często bez jakichkolwiek sztuczków. Kieliszków też nie ma – pijemy ze wspólnych bukłaków. Kucharze nie przyrządzają przepiórek, jagnięcych pieczeni ani nawet kurczaków. Najczęściej dostajemy owsiankę i fasolę, kapustę i rzepę, chleb i ser. Raz na tydzień, w soboty, pojawia się mięso, takie jakie uda się akurat upolować w okolicznych lasach. Nie do takich warunków jestem przyzwyczajona, ale rozumiem, że wypełnienie tysiąca brzuchów stanowi nie lada wyzwanie nawet z pomocą armii ochotników i służących Fitzroya. W dodatku zgromadzona w zamku żywność musi być trwała i powinno jej być tyle, by jedzenia starczyło dla kilku tysięcy nowych żołnierzy.

Mieszam właśnie twardą kromką chleba z prosa w misce kaszy jęczmiennej z cebulą, kiedy pojawia się John w otoczeniu

umundurowanych chłopaków. Wciskają się na miejsca po przeciwnej stronie stołu. Wszyscy spoceni i umorusani po kolejnym treningowym starciu na miecze. Znam ich z widzenia, lecz nie z imienia: wysocy, dobrze zbudowani, przystojni. Mniej więcej rówieśnicy Johna. Roześmiani i pewni siebie. Niektóre z siedzących w pobliżu dziewcząt obrzucają ich zaciekawionymi spojrzeniami. Rekruci siadają, sięgają po naczynia i zaczynają pałaszować chleb i kaszę niczym ekstrawaganckie frykasy.

John siada obok mnie i wskazuje kolejnych młodzików.

– Elizabeth, poznaj Seba, Tobeya i Ellisa. – Chłopcy przyglądają mi się badawczo. Jeden puszcza do mnie oko. – A to jest Bram. – Pokazuje kolegę siedzącego dokładnie naprzeciwko mnie. Czarne włosy, ciemne oczy i krzywy nos, zapewne kilkakrotnie złamany. – Jego ojciec jest jednym z poruczników Fitzroya.

– Pamiętam cię. – Bram patrzy mi w oczy ponad blatem. – Z festiwalu Zimowej Nocy. Zapomniałaś? Gratulowałem ci zaręczyn z Johnem.

Nie odpowiadam. Pozostali zaczynają się śmiać i pogwizdywać. Kpią z Johna, wołają, że już niedługo dostanie się pod mój pantofel, straci przeze mnie rozum.

– Ja się nie ożenię – oznajmia John. – Nigdy nie miałem takiego zamiaru. To były tylko żarty.

Słyszając jego ton, tę lekceważącą nutę, czuję, jak ściska mnie w gardle. Zaczynają mnie piec policzki. Wbijam spojrzenie w miskę, ale straciłam resztki apetytu. Sposób, w jaki John traktuje mnie przez cały ten tydzień, od czasu scysji po jego pojedyńku, mocno daje mi się we znaki. Bez przerwy otacza się chłopakami, nieustannie walczy. Przestał szukać mojego towarzystwa, właściwie wręcz mnie unika. Zeszłej nocy zauważyłam go z grupką nowych przyjaciół. Była wśród nich Chime. On też mnie widział, co do tego nie mam wątpliwości. Jednak mnie nie zaprosił, a ja nie podeszłam. Po prostu ich wyminęłam.

– Aha – podejmuje Bram. – Żarty czy nie, miło mi się z tobą rozmawiało. Pamiętam też twoją sukienkę. Biała z kwiatkami. Naprawdę ładna.

Spoglądam mu w twarz i jego uśmiech sprawia, że czuję się

jeszcze gorzej niż dotąd. Współczuje mi, a nie znam większego upokorzenia niż cudze współczucie. Wciąż jednak siedzę cicho. Nauczyłam się tej sztuczki w trakcie szkolenia: jeśli będę niewidzialna, zagrożenie może minąć samo z siebie. John i jego koledzy jedzą, pozerają wszystko w zasięgu rąk. Seb, wysoki chłopak o rudych włosach i nieprzyjemnym uśmiechu, wyjmuje spod kurtki butelkę i wyciąga z niej korek. Ostry zapach whiskey snuje się nad stołem. Podają sobie alkohol z rąk do rąk. John, kiedy nadchodzi jego kolej, pociąga głęboki haust. Otwieram usta, by mu przypomnieć, że nie pije, przynajmniej nie wtedy, kiedy kogoś leczy. Zaraz uświadamiam sobie, że przecież przestał już leczyć, więc nie odzywam się słowem.

– Nie jesz – zauważa wreszcie, trącąc mnie ramieniem.

Dochodzi dopiero czwarta po południu, lecz słońce nurkuje już ku horyzontowi, malując okolicę czerwonymi promieniami. Nastaly krótkie i dojmująco chłodne zimowe dni. Mrozu nie rozprasza nawet ciepło tysiąca ognisk. Niektóre są prawdziwe – ogień tańczy wśród chrustu i gałęzi – inne magiczne, a płomień unosi się po prostu w powietrzu.

– Chyba nie jestem głodna – tłumaczę i czekam z bezsensowną nadzieją, by mi przypomnieli, że powinnam jeść, żeby nie opaść z sił, nie zachorować.

– To znaczy, że mogę dokończyć? – pyta tylko i przysuwa sobie mój talerz, nie czekając na odpowiedź. – Po walce mógłbym zjeść konia z kopytami. Bez przerwy chodzę głodny. – Chwila ciszy. – Może powinnaś częściej trenować. Wróciłby ci apetyt.

Niebawem chłopcy hałaśliwie wstają z miejsc, przypinają broń, dojadają walające się na stole resztki chleba. John wkłada do ust ostatnią porcję mojej kaszy i mówi:

– Wybieramy się na plac. Zobaczymy, czy uda się nam wziąć udział w ostatniej turze pojedynków. Ech, piraci. Mają więcej pieniędzy niż rozumu. Można na nich nieźle się dorobić i wcale nie trzeba się namęczyć. – Kręci głową i dodaje: – Kretyni.

Jego koledzy wybuchają śmiechem. Ciekawe, co powiedziałby Peter, gdyby usłyszał, co John opowiada o jego przyjaciółach.

– Ty pewnie nie zechcesz się przejść, co?

Te słowa, tak podobne do tych, jakich używał Caleb, gdy chciał się

mnie pozbyć, kiedy zapraszał mnie dokądś z nawyku, nie z chęci, uderzają mnie ostro jak wymierzony policzek.

Kręcę głową.

– Jak wolisz. – John podnosi się z ławy, a ja wtedy ich zauważam.

Grupka mężczyzn idzie wąskim przejściem między stołami. Nie są członkami straży, to na pewno gwardziści. Czarne płaszcze, srebrne piki, czerwono-pomarańczowe herby reformistów na klapach. Chyba nie są też Prześladowcami – Blackwell rozwiązał tę jednostkę. Jednak przestępcy nie zniknęli i ktoś musi prawo egzekwować.

Otoczający nas ludzie rozstępują się, przepuszczają ich, śledzą speszonymi spojrzzeniami. Przybysze zatrzymują się przede mną, lecz wiem, że nie mnie szukają.

– John Raleigh? – rzuca jeden z nich.

– Tak? – John mierzy gwardzistę wzrokiem, przerasta go o dobre trzy cale. – Czego chcecie?

– Na mocy postanowienia rady przychodzimy cię aresztować za posiadanie substancji zabronionych w granicach parafii Harrow-On-The-Hill.

John otwiera usta, lecz zaraz je zamyka i zaciska. Widzę, jak drgają mu mięśnie szczęki.

– Jakich znowu substancji? – Tobey staje u boku Johna. Jego dłoń wędruje ku rękojeści miecza. Agresywny gest.

– Nie wtrącaj się, synu – mówi gwardzista.

Inny ze zbrojnych wyciąga z płaszcza pergamin, rozwija go i zaczyna czytać. Robi to niemal identycznie, jak jeszcze niedawno ja postępowałam wobec wszystkich chwytanym czarowników i wiedźm. Przechodzi mnie dreszcz.

– Tojad, znane zioło paraliżujące – mówi. – Powodujący konwulsje pokrzyk wilcza jagoda. Mandragora, z pomocą której można zatrzymać oddech. Naparstnica zwana niekiedy trupim dzwonkiem, sprowadzająca drgawki, ataki epilepsji, delirium i śmierć.

Tobey zwraca się do rudowłosego kolegi, Seba.

– Przyrowadź ojca Johna. Nazywa się Peter Raleigh. Powinien być wśród piratów na placu. Leć!

Seb odchodzi od stołu i znika wśród tłumu.

John blednie. Widzę, jak krew odpływa mu z twarzy. Powoli, bardzo powoli, odwraca się ku mnie.

– To ty – rzuca ze zdumieniem wyraźnie słyszalnym nawet w tak cichym głosie. – To ty je znalazłaś w moim pokoju, prawda? Ty im powiedziałaś! – Macha gwałtownie ręką i roztrąca miski oraz bukłaki z winem.

Otoczający nas ludzie umilkli. Jest cicho do tego stopnia, że prawie słyszę bicie własnego rozszalałego serca. Chciałabym móc zaprzeczyć, lecz nie mogę. Ma rację we wszystkim. Powiedziałam Chime i zawarłam z jej ojcem umowę. John zostanie aresztowany, skazany i wtrącony do więzienia, gdzie zostanie. Nie pójdzie na wojnę, nie będzie walczyć, nie spróbuje zabić Blackwella, nie będzie musiał oddać znamienia, nie zginie. Będzie bezpieczny, ale mnie znienawidzi. To była ta druga, niedopowiedziana część umowy.

Wciąż patrzymy sobie prosto w oczy – on z rozgoryczeniem zdradzonego człowieka, gniewnie; ja z żalem i cierpieniem. Gwardzista mówi dalej:

– W myśl panującego w Harrow prawa posiadanie którejkolwiek z tych substancji skutkuje karą w postaci uwięzienia na rok.

Słysząc kroki i ogólne szemranie. Pojawia się Peter, idzie przez namiot między stołami. Zatrzymuje się przed Johnem i zbrojnymi.

– Nie możecie aresztować mojego syna. On jest uzdrowicielem. Ziola, które posiadał, wykorzystywał do leczenia, nikomu nie zaszkodził. Jeżeli zamkniecie go na rok...

– Cztery lata – prostuje strażnik. – Posiadał cztery różne trucizny. Mocą postanowienia rady oznacza to łączny wyrok czterech lat więzienia.

Chwyta Johna za ramię, ale on się wyrywa. Znowu odwraca się do mnie. Wściekłość sprawia, że jego orzechowe oczy stają się niemal czarne. Jakże różne spojrzenie od tego, którym obdarzył mnie, gdy kilka miesięcy temu ranna, krwawiąca leżałam przed nim na stole. Kiedy odkrył, iż jestem łowczynią czarownic, i musiał podjąć decyzję, czy powinien mnie uratować, czy pozwolić mi umrzeć. Nie, to spojrzenie jest zupełnie inne. Znacznie bardziej bolesne.

– Nie wolno wam! – Peter podbiega do gwardzisty i jednym

ruchem nadgarstka pozbawia go broni. Muska ostrzem miecza pierś strażnika. – Nie zabierzecie mojego dziecka!

– Jeżeli nie chcesz wraz z nim trafić do Hexham, to natychmiast odłóżysz broń – mówi zbrojny.

– To twoja broń, idioto – mamroce Peter.

– Mamy rozkaz dostarczyć pana Raleigha do więzienia Hexham, gdzie usłyszysz oficjalny wyrok i, jeśli zechce, przedstawi argumenty na swoją obronę.

– Przedstawi argumenty! – warczy pirat. – Zanim ta sprawa się skończy, to wy będziecie potrzebować obrony.

– Ojciec – John spogląda na Petera – chodźmy. Im szybciej tam dotrzemy, tym szybciej wrócę. To po prostu pomyłka. – Rzuca mi ostatnie spojrzenie. – Jedna wielka pomyłka.

Gwardziści ponownie wyciągają ku niemu ręce, a on tym razem nie protestuje. Skuwają mu dłonie żelaznymi kajdanami i wyprowadzają z namiotu. Peter trzyma się tuż za nim.

Koledzy Johna, dziewczęta siedzące na drugim końcu stołu, wszyscy obecni, odprowadzają ich wzrokiem. Kiedy John znika im z oczu, spoglądają na mnie. Niektórzy z gniewem, inni z niepewnością, część błyska wygłodniałymi, łapczywymi oczyma, jakby rozgrywający się tu skandal mógł zastąpić im deser.

Podrywam z blatu miski – swoją i Johna. Idę między ławami. Nie wszyscy schodzą mi z drogi, niektórzy zmuszają, bym się przepychała, wyczuwam bijącą od nich nieprzychylność.

U wejścia oglądam się na krótko przez ramię i widzę ją. Chime. Stoi z przyjaciółkami. Wszystkie szepczą, wydają z siebie stłumione okrzyki, na wargi wypływają im ledwie skrywane uśmiešky. Jednak Chime ma nieszczęśliwą minę i w odróżnieniu od Brama, nie patrzy na mnie po prostu ze współczuciem. Spoglądamy sobie w oczy i na krótką chwilę jednoczymy się w bólu.

Wychodzę z kantyny i podchodzę do sąsiedniego namiotu kuchennego, gdzie grupka kobiet pochyła się nad kadziami z wodą. Zmywają. Rzucam miski na stos u ich stóp i ruszam na łąkę. Nie wiem, dokąd idę, lecz po chwili pod szybko ciemniejącym niebem docieram do cisowej alejki i kieruję się w stronę Rochester Hall tą samą trasą, którą

tydzień temu szłam z Johnem.

Nie wchodzę do tego samego prywatnego salonu, co wówczas. Nie wolno mi przebywać w zachodnim skrzydle rezydencji – nikomu nie wolno z wyjątkiem członków rady, przyjaciół i rodziny Fitzroya i – naturalnie – Johna. Na użytek mieszkańców obozu przeznaczono skrzydło wschodnie: bibliotekę, pokój muzyczny, kaplicę, salę balową. Biblioteka i kaplica są często używane. Pokój muzyczny i sala balowa raczej nie.

Pilnujący drzwi strażnik schodzi mi z drogi. Podobnie jak całe Rochester Hall, wschodnie skrzydło jest urocze, może tylko odrobinę zbyt kiczowate. Ściany pokryte są drogimi żółtymi obiciami. Czarno-białą posadzkę wyłożono niebiesko-czerwonymi kobiercami. Spod łukowatych sufitów zwieszają się ociekające kryształami złote kandelabry. Pod ścianami stoją żelazne zbroje. Mijam pokój za pokojem, lecz nie wchodzę do żadnego. Nie zaglądam do biblioteki z jej strzelistymi wieżami książek, nie zwracam uwagi na ozdobioną freskami i złoceniami salę balową, mocno kojarzącą się z podobną salą w Greenwich Tower, gdzie odbył się pamiętny bal. Mijam też pokój muzyczny, w którym bawi tylko spleciona w kącie para młodych ludzi. Wszystkie te miejsca przypominają mi o Johnie.

Została już tylko kaplica. Poznaje ją po żółtym krzyżu na szklanych drzwiach. Otwieram je. Marmurowa posadzka, dębowe ławy, gwiazdozbiory odmalowane na granatowym tle sufitu. Kiedy wchodzę, na ścianach ozywają tysiące świec, magicznie świadomych mojej obecności.

Wsuwam się w pustą ławę – wszystkie są puste – i podciągam kolana pod brodę, Obejmuję je rękoma, opieram na nich głowę. Nie płaczę – po tym, co zrobiłam, płacz wydaje mi się zbyt mało znaczący, zbyt samolubny. Musiałam to zrobić, co jednak nie znaczy, że nie żałuję i że jest mi w tej chwili lekko.

Wtem coś szeleści, szepczą zawiasy. Słyszę ciche kroki dwóch osób, lecz tylko jeden oddech. Odwracam się i widzę Fifer, za którą stoi Schuyler.

Fifer siada obok mnie bez słowa. Nie musi nic mówić. Po chwili przysuwa się bliżej, ujmuje moją dłoń i z głębokim westchnieniem

składa mi głowę na ramieniu.

Schuyler sadowi się po mojej drugiej stronie. Przelotnie gładzi mnie po karku, po czym pochyla się i opiera przedramiona na ławie przed nami.

Trwamy tak razem, niema trójca nieszczęśników, aż w końcu dopala się i gaśnie ostatnia świeca i zostaje już tylko ciemność.



Rozdział 13

Przychodzimy na widzenie z Johnem Raleighem.

Stoimy z Fifer przed wejściem do Hexham. Opowiedziała mi, że zanim budynek przerobiono na więzienie, znajdowały się tu stajnie. Jest kamienny. Długi i niski, kwadratowe okna i zaokrąglone drzwi. Jedynym świadectwem obecności przestępców jest otaczający więzienie wysoki mur. Ale i tak nic tutaj nie przypomina Fleet: miejsce nie wygląda na powstałe z myślą o zadawaniu tortur czy przetrzymywaniu oczekujących na egzekucję skazańców.

Na widok stojącej na dziedzińcu drewnianej platformy lekko się wzdrygnęłam, lecz Fifer zapewniła, że to nie szafot, a miejsce aukcji, gdzie kupcy handlowali zwierzętami. W Hexham nie ma niebezpiecznych osób. Większość osadzonych stanowią dłużnicy. Zdarzają się też drobne złodziejaski i paru pijanych rozrabiaków.

Jest też pewien uzdrowiciel, którego najpoważniejszym – straszliwym – błędem było związanie się z łowczynią czarownic.

Uzbrojony wartownik, ubrany na czarno, z płonącym na piersi czerwono-pomarańczowym symbolem reformistów, patrzy kolejno na nas obie.

– Mogę wpuścić tylko jednego odwiedzającego.

– Ty idź – mówi Fifer. – Zaczekam.

Strach ściska mi żołądek. Strażnik zaczyna mnie obszukiwać, sprawdza, czy nie mam broni. Nie mam. Po chwili wyciąga klucz i otwiera wrota. Skrzypienie zawiasów niesie się po całym dziedzińcu. Wprowadza mnie do środka, na szeroki, pusty korytarz. Światło sący się przez okna, w których nie ma krat. Mimo że budynek nie przypomina Fleet, to cuchnie tak samo: pleśnią i wilgocią, gniewem i samotnością.

Wchodzimy po krętych schodach, ruszamy kolejnym korytarzem.

Nie słychać tu odgłosów umierania, w kątach nie zalegają posiniaczone, pobite ciała. Jest jednak zimno, otwarte okna wpuszczają surowe podmuchy wiatru. Fifer twierdziła, że ponieważ większość winnych skazuje się w Hexham na krótkie wyroki, więzienie jest zupełnie puste.

Otóż niezupełnie.

Wartownik prowadzi mnie wzdłuż cel, aż docieramy do ostatniej. Zastępująca drzwi krata jest zamknięta na cztery spusty. Za nią, na stojącej pod ścianą pryczy, widzę Johna.

Siedzi oparty o mur, podciągnięte nogi oparł na krawędzi materaca. Obejmuje ramionami kolana, głowę ma zwieszoną. Ubrany jest w szare spodnie i długi szary płaszcz. Uciekając przed zimnem, nasunął na głowę kaptur.

Słyszał, że nadchodzimy, musiał usłyszeć; wokół panuje cmentarna cisza i nikogo poza nami tu nie ma. Jednak nie podniósł wzroku. Nawet gdy strażnik odchrząknął. Raz, dwa razy.

– Masz widzenie – odzywa się wreszcie strażnik.

John zadziera głowę, ale nie patrzy na mnie, tylko na niego. Wciąż milczy.

Strażnik ponownie chrząka.

– Dwadzieścia minut.

John mamrocze coś niedosłyszalnie pod nosem. Strażnik odchodzi, znika na schodach, zostawia nas samych.

– Jak się miewasz? – pytam niezręcznie.

Prychnięcie. Innej odpowiedzi nie otrzymuję.

– Chciałam się z tobą zobaczyć – dodaję. – Porozmawiać.

Przyniosłam ci to. – Z wiszącego na ramieniu worka wyjmuję książki: *Physika kai mystika* i *Monas hieroglyphica*. Dwa traktaty alchemiczne, które pożyczyłam ze świetnie wyposażonej biblioteki Rochester Hall.

– Nie chcę cię widzieć ani z tobą rozmawiać. Przez ciebie trafiłem tutaj – mówi John. – Nie kłopotz się zaprzeczeniami. Przejrzałaś moje rzeczy i znalazłaś zioła. A potem mnie wydałaś.

– Tak – wyznaję. – Przeze mnie cię aresztowano. Zrobiłam to, by ci pomóc. Wiem, że w tej chwili tego nie rozumiesz, ale ja naprawdę chcę tylko twojego dobra.

Rzuca jedno wyzwisko, potem drugie.

– Myślę, że książki też ci pomogą – podejmuję. – Dzięki nim przypomnisz sobie własną magię, tę, z którą przyszedłeś na świat. Przypomnisz sobie o własnym darze. – Posługuję się słowami Nicholasa nie po to, by manipulować Johnem, lecz by przywrócić mu pamięć. – W tej chwili nie jesteś sobą i tego też nie rozumiesz, ale my owszem. Twój ojciec, Fifer, Schuyler, nawet Chime. – Słyszając jej imię, on marszczy lekko brwi. – Nie jesteś Johnem, jakiego poznałam.

– Nie wiesz, kim jestem – fuka. – Nie masz bladego pojęcia.

– To nieprawda. – Pochyłam się, przytykam czoło do krat. – Znam cię. A w każdym razie znałam.

Przypominam sobie liściki, które John do mnie pisał. Mam je wszystkie przy sobie, schowane w torbie. Liściki, które czytałam ostatnio setki razy, szukając pociechy i ukojenia, jakiego nie mógł mi już dać osobiście. I po to także, by dowieść sobie samej, że ich nie wymyśliłam.

– Magia Blackwella, znamię, stały się częścią ciebie – znów powtarzam słowa Nicholasa. – Jeżeli mu na to pozwolisz, przejmie nad tobą kontrolę. – Mocniej chwytam zimne pręty. – A ja chcę, żebyś z tym walczył, byś wykorzystał czas spędzony tutaj do uprzytomnienia sobie, kim jesteś.

John zrywa się i biegnie przez celę tak szybko, że nie mam szans na reakcję. Wyciąga ręce przez kraty i chwytają mnie za nadgarstki. Mocno.

– Czy wiesz, co narobiłaś? – Potrząsa mną. – Czy ty to w ogóle rozumiesz?

– Tak! – Próbuję się uwolnić, lecz uścisk jest zbyt silny. – Doskonale wiem, co uczyniłam. Uchroniłam cię. Nie pozwoliłam, byś wyrządził komuś krzywdę. Dopilnowałam, żeby nikt nie poznał twojej tajemnicy, by nie poznał mojej. Ponownie ocaliłam ci życie, ale zmieniłeś się już za bardzo, aby to dostrzec.

– Nie miałaś prawa! – krzyczy. – Nie rozumiesz?! Nie jesteś moją matką. Nie jesteś moją siostrą. I, cholera jasna, nie jesteś moją przyjaciółką. – Hardo, okrutnie patrzące oczy zmieniają się w wąskie szparki. – Nie będziesz mi tłumaczyć, co się ze mną dzieje.

Opuszczam powieki tylko na chwilę. Próbuję sobie przypomnieć

muśnięcia jego oddechów na moim policzku, dotyk jego warg, ciepło i miłość, jakimi dawniej mnie otaczał. Wspomnienia są w tym momencie zwiewne, ulotne. Wymykają mi się niczym duchy.

– Nie jesteś osobą, za jaką cię miałem – ciągnie. – Tamta dziewczyna cieszyłaby się moim powodzeniem. Poszłaby walczyć u mego boku. Nie zamknęłaby mnie w klatce jak zwierzę, które trzeba oswoić i ułożyć.

Mam ochotę powiedzieć: „Wcale nie o to mi chodzi”, ale nie mówię tego, ponieważ właśnie do tego dążyłam.

– Zrobiłam to właśnie dlatego, że mi na tobie zależy – podkreślam.

Oczywiście powodów jest więcej i są poważniejsze, znacznie bardziej poważne. Ale słowa, jakie powinno się wypowiadać na osobności, szeptem i z miłością, nie mają tu wstępu.

– Ciekawe, co się przytrafia ludziom, na których ci podobno zależy – odpiera John, okrutnym, ostrym, raniącym do głębi tonem. – Zależało ci na Calebie, a jednak go zabiłaś. Pewnie powinienem się cieszyć, że w moim przypadku skończyło się na więzieniu, co?

Odsuwam się tak raptownie, jakby mnie spoliczkował. John nie próbuje mnie zatrzymać.

– Jak śmiesz mi wyrzucać śmierć Caleba?! – Wstrząs błyskawicznie przeradza się w gniew. – Dobrze wiesz, co się tamtej nocy wydarzyło. Byłaś tam. Wiesz, że nie chciałam go zabić.

John, zupełnie nieporuszony, wzrusza ramionami.

– Wtrąciłaś mnie do więzienia, i to bez żadnego powodu. Straciłaś prawo do oburzenia. A teraz chcę, żebyś już poszła. Im szybciej wyjdiesz, tym prędzej będę mógł o tym wszystkim zapomnieć. Cokolwiek, do diabła, między nami było. – Niemal rzuca się na drzwi celi. Wzdrygam się, lecz John uderza po prostu dłonią o kraty, raz po raz.

– Strażnik!

Zbrojny nadchodzi za szybko. Nie mam wątpliwości, że ukrył się na schodach, tuż za zakrętem, i podsłuchał naszą rozmowę.

– Zabierz ją stąd i dopilnuj, by już nigdy nie przyszła – rzuca John i odwraca się do mnie plecami.

– John... – zaczynam, lecz zaraz milknę. Nie będę go błagać. Nie

sprawie, by odwołał to, co właśnie powiedział, aby popatrzył mi w oczy i zapewnił, że nie chciał tych słów użyć. Kocham cię, myślę, ale z moich ust pada jedynie krótkie: – Żegnaj.

Fifer czeka przed wejściem. Przechadza się tam i z powrotem, nerwowo ogryzając paznokcie. Gdy słyszy brzęk klucza w zamku, przystaje w pół kroku i podbiega.

– I jak poszło? – Obrzuca strażnika nieprzyjemnym spojrzeniem, po czym bierze mnie za ramię i prowadzi przez pusty dziedziniec w kierunku bramy.

– Wyprosił mnie – odpowiadam. – Oznajmił też, że nie chce mnie już nigdy widzieć na oczy. – Dociera do mnie ostateczność tych słów, zaczyna mi się łamać głos.

– Elizabeth...

– Nie – ucinam. – Nie próbuj mi nawet tłumaczyć, że powiedział to, bo nie jest sobą. Bo jest. Właśnie taki jest teraz.

– Właśnie na to chciałam ci zwrócić uwagę – wyjaśnia Fifer. – Lepiej, że jest taki i żywy, niż jakikolwiek inny i martwy.

Przekraczamy otwartą bramę więzienia i wchodzimy na wąską bitą dróżkę, wiodącą na północ do Gallion's Reach, poza Whetstone i jeszcze dalej, do Rochester. Okolica to niemal bezludne pustkowie. Widać jedynie oszronione zimowe pola, rzadkie kępy nagich drzew, płoty i – od czasu do czasu – samotną farmę. Z nielicznych kominów snują się pod chmury grube, rwane pióropusze dymu. Kojarzą mi się z sygnałami wysyłanymi przez proszących o pomoc ludzi.

Mniej więcej milę dalej zauważam grupę kilku mężczyzn. Stoją kilkaset stóp od drogi. To członkowie straży; rozpoznaję szare płaszcze i ten agresywnie pomarańczowy trójkąt na klapie. Z tej odległości nie widzę wyraźnie ich twarzy, nie wiem, kim są, lecz wygląda na to, że mają problem z pojmanymi więźniami. Dwóch mężczyzn w szarych strojach przytrzymuje trzeciego, w czerni. Głowa tego ostatniego zwisa bezwładnie na piersi, stopy ciągną się po ziemi. Jest nieprzytomny, możliwe nawet, że martwy. Inna para strażników w szarych płaszczach mocuje się z kolejnym pojmanym człowiekiem w czerni. Co prawda, ten jest przytomny, lecz mam wrażenie, iż to tylko kwestia czasu – potyka się, pada na kolana, wstaje i znów się potyka. Postękiwanie i

przekleństwa rozcinają nieruchome zimne powietrze.

Wymieniamy się z Fifer krótkim spojrzeniem.

– Ludzie Blackwella. Znowu – mówi ona. – O, spójrz! Czy to nie Peter? – Wskazuje gestem dłoni mężczyznę o kręconych ciemnych włosach, który prowadzi przez pole przytomnego jeńca.

– Tak – Schodzę z drogi w trawę i ruszam w ich stronę.

– Zaczekaj... – Fifer przytrzymuje mnie za rękaw. – Myślę, że nie powinniśmy tam iść. To może być niebezpieczne.

Uwalniam rękę szarpnięciem. Nie odpowiadam. Jestem zbyt zapatrzona w człowieka, którego prowadzi Peter. Przeguby i kostki ma skute kajdanami i jest pobity, poważnie pobity. Porusza się niezbornie, nieporadnie, a kiedy po raz kolejny ląduje na kolanach, z ust wyrywa mu się głośny jęk i pluje krwią.

To w oczywisty sposób jeden ze sługusów Blackwella. Rozpoznaję znajomy czarny płaszcz i wyhaftowany z przodu herb – przekłętą różę, zaduszoną przez własną łodygę i przebitą ostrzem z zieloną rękojeścią. Jednak nie tylko strój jest znajomy. Także jego gesty, ton głosu. Wtem coś ściska mnie w piersi: groza i narastająca pewność.

Peter popycha więźnia na ziemię. Mężczyzna pada i głucho stęka. Pirat tymczasem sięga po miecz, zaśpiew wysuwanego z pochwy ostrza niesie się echem po martwym polu. Jakby w odpowiedzi w pobliżu zrywa się do lotu stado ptaków. Skrzek odlatujących stworzeń frunie pod niebo.

Zostawiam Fifer. Coraz szybciej biegnę po zmrożonej trawie. Peter chwytając jeńca za włosy i podciąga go, zmuszając do klęku. Ujmuje miecz oburącz i unosi wysoko nad głowę. Klęczący przed nim mężczyzna próbuje wytrwać w bezruchu. Nawet stąd jednak widzę, że dygoce, całe jego ciało kołysze się jak źdźbło pszenicy na wietrze.

To Malcolm. Król – były król – Anglii.

– Peter... – wyrywa mi się spomiędzy warg zduszonym szeptem. Próbuję raz jeszcze, głośniej. Odgłos moich kroków dudni w zgodnym rytmie z biciem serca. – Peter! Stój!

Pirat mnie nie słyszy. Jest zanadto pochłonięty przemocą czynku, jakiego zamierza się dopuścić, nadmiernie ogarnięty żądzą krwi i myślami o sprawiedliwości, którą chce wymierzyć. Ponownie

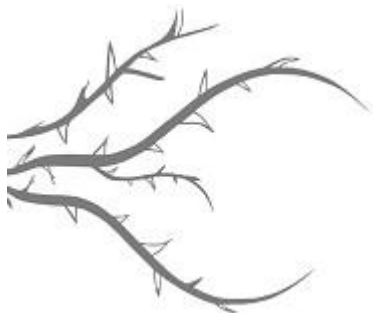
wykrzykuję jego imię.

– Elizabeth! Nie podchodź! – Krzyczy ostrzegawczo Peter.

Pozostali również zauważyli, że nadbiegam, widzą też depczącą mi po piętach Fifer. Niektórzy, niepewni, kim jestem, dobywają broni. Nie wiedzą, jakie mam zamiary.

– Nie! – wydieram się. Moja prośba nie zostaje jednak wysłuchana. Peter ponownie ujmuje rękojeść w dwie ręce i zwraca się ku Malcolmowi.

Malcolm zamyka oczy. Peter bierze zamach. I tnie.



Rozdział 14

Skaczę przed Petera i odpycham Malcolma poza zasięg ostrza. Tego się Malcolm nie spodziewał; stęka i oboje ze stukotem padamy na ziemię. Tuż nad głową czuję pęd rozcinanego powietrza. Włoski na karku stają mi dęba. Naprawdę mało brakowało.

Gdzieś z tyłu krzyczy Fifer.

Malcolm próbuje coś powiedzieć. Niewyraźnie, nie rozumiem słów, lecz brzmienie jego głosu i rozpaczliwe dyszenie w jednej chwili sprowadzają tysiąc wspomnień. Napływają szeroką falą wraz z tysiącem doznań. Dotyk jego smukłego, silnego ciała, zapach, intrygująca kombinacja woni mydła i jodłowych igieł, zmieszany w tej chwili z ostrą metaliczną nutą krwi. Widok skołtunionych ciemnych włosów, jego dłoni, szyi i nieogolonych policzków napawa mnie odrazą. Jak dawniej, jak zawsze. Jednak – podobnie jak dawniej – przełamuję się i zostaję przy nim. Boję się, co mogłoby się stać, gdybym się odsunęła.

– Na Boga i jego matkę! – ryczy Peter. – Co ty, do diabła, wyprawiasz?

– Nie możesz go zabić – odrywam się od Malcolma i dźwigam na równe nogi. – Nie wiecie, kim on jest. – Toczę spojrzeniem po twarzach zbliżających się mężczyzn. Patrzę na górującego nade mną Petera, na jego gotów do uderzenia piracki kord.

Malcom odwraca ku mnie głowę powoli, jakby bał się zwrócić uwagę na fakt, że wciąż nosi ją na karku. Wreszcie spogląda prosto na mnie. Natychmiast otwiera szeroko oczy – jasnoszare, nabiegłe krwią, dzikie.

– Elizabeth. O mój Boże. Bess!

Wzdrygam się, słysząc to zdrobnienie, zbyt intymne, by posługiwać się nim publicznie, aby w ogóle się nim posługiwać.

– To naprawdę ty. Słyszałem twój głos, ale byłem przekonany, że to wyobraźnia płata mi figle. – Chwiejnie klęka, najpierw na jedno kolano, potem na oba. Patrzy na mnie z dołu. – Co tutaj robisz?

– Mój panie... – zaczynam. Dawny nawyk powraca gładko, tak gładko jak gładka jest jedwabna pościel. – Nie pora teraz...

– Słyszałem, że uciekłaś – ciągnie – ale stryj nie powiedział, co cię spotkało. Pytałem, domagałem się wyjaśnień, lecz nie dowiedziałem się niczego. – Malcolm kręci głową. – O tym, że trafiłaś do lochu, usłyszałem dopiero, kiedy już cię tam nie było. I wciąż nikt nie chciał mi nic powiedzieć. A powinni mnie informować o wszystkim!

Malcolm zaczyna bezładnie paplać – skutek szoku, strachu i ciężkiego, niemal śmiertelnego pobicia tuż przed egzekucją. Mówi, jakby nie miał pojęcia, że nie jesteśmy sami, jakby zapomniał, iż otaczają go mężczyźni chłonący każde jego słowo.

– Mój panie – odzywam się cicho, nie chcę, by ktokolwiek usłyszał. – Przestań, proszę...

– Nie wiem, czy choć jedno jego słowo było prawdziwe. – Malcolm nie milknie. – O tym, że jesteś czarownicą. Zresztą, to nie ma znaczenia. Gdybym tylko wiedział, nie dopuściłbym... powstrzymał... Wiesz o tym, prawda? Wiesz, że nie pozwoliłbym cię nikomu skrzywdzić?

W tym momencie ujmuje moją dłoń, układa moje palce na swoich i unosi je do ust. Tym razem nie zaciskam zębów, nie znoszę tego cierpliwie. Odsuwam rękę gwałtownie i ten gest wreszcie zwraca jego uwagę. Opuszcza dłoń i dostrzega – w końcu – otaczających nas ludzi z gotowymi do uderzenia nagimi mieczami. Otrząsa się i wraca do teraźniejszości. Szok i świadomość sytuacji najpierw barwią mu policzki szkarłatem, potem powlekają je bladością.

– Co to ma znaczyć? – Peter wbija we mnie spojrzenie czarnych oczu. – Elizabeth, kim jest ten człowiek?

Teraz rozumiem. Aż drgnęłam. Peter naprawdę go nie poznaje, nie poznali go również pozostali członkowie straży. Nie wiedzą, że ich jeniec, człowiek, którego niemal stracili, jest królem – obalonym władcą Anglii.

– To jest... – zaczynam i milknę. Myśli ścigają się w mojej głowie.

Czy lepiej będzie, jeśli się nie dowiedzą? A może gorzej? Czy odważyliby się zgładzić króla? Czy raczej ta wiadomość tylko przyspieszy koniec Malcolma? On również nie jest pewien. Wciąż nawet nie drgnął, nie poruszył się o cal. Dolatują mnie jego rwane oddechy, mieszają się z moimi. I wtedy wypadki zaczynają się toczyć błyskawicznie. Stojący obok Petera strażnik skacze naprzód, łapie mnie za rękę i odciąga od Malcolma. Peter ponownie gotuje się do ciosu i w ten sposób wracamy do punktu wyjścia.

– To król! – krzyczę. – Nie możesz go zabić. Nie jest człowiekiem Blackwella. To król!

Wokół zapada straszliwa cisza, głucha jak uderzenie katowskiego topora o pień.

– Kłamiesz. – Trzymający mnie mężczyzna mocno mną potrząsa. – On nie jest królem. To łowca czarownic. Jeden z twoich przyjaciół, a ty próbujesz go ocalić.

– Nie kłamię. – Spoglądam na Malcolma. – Powiedz im, jak się nazywasz, powiedz, kim jesteś.

Odpowiada mi niepewną miną. Wciąż nie wie, czy wyznanie go wybawi, czy ostatecznie skąże na potępienie.

– Jeśli chcesz żyć, musisz im to wyjawić.

Malcolm chwiejnie podnosi się z klęczek, z policzków odpłynęły resztki koloru. Nie jest w stanie stać, nie powinien nawet siedzieć, lecz to nie ma znaczenia. Za nic nie wypowiedziałby następnych słów z kolan.

– Nazywam się Malcolm Douglas Alexander Hall. – Teraz już bez cienia wahania patrzy na otaczających go zbrojnych. – Jestem synem Williama Hyde'a Alexandra Halla z rodu Stuartów oraz Catherine Johanny Louise Hesse-Coburg z rodu Sasów. Oto moje tytuły: jestem księciem galijskiego Farthing, księciem Cheam w południowo-wschodniej Anglii, naczelnikiem i panem Airann. – Moment pauzy. – Prawowitym monarchą Anglii i Cambrii, obecnie bezprawnie pozbawionym tronu.

Bezprawnie pozbawionym tronu przez własnego stryja – Thomasa Charlesa Alberta Louisa Halla, również z rodu Stuartów, noszącego oficjalnie tytuł księcia Norwich, lecz mieniącego się najczęściej lordem

Blackwellem, od nazwy jego największej posiadłości w południowo-zachodniej części kraju.

Bezprawnie pozbawionym tronu, a teraz ocalonym przed pewną śmiercią. Przeze mnie.

– O mój Boże – szepce Fifer. – Elizabeth, coś ty zrobiła?

Dokoła wybuchają podniesione głosy. Odzywają się naraz wszyscy członkowie straży, z wyjątkiem Petera. Opuszcza miecz i wpatruje się w człowieka odpowiedzialnego za śmierć jego żony i córki. Mógł wymierzyć sprawiedliwość, mógł je pomścić. Niemal dopiął swego, a ja temu zapobiegłam.

– Malcolm jest władcą Anglii – mówię. – Zabicie go oznaczałoby królobójstwo. To wbrew prawu. To zdrada stanu, karana śmiercią.

Natychmiast dociera do mnie, że akurat tego nie powinnam była powiedzieć.

– Wbrew prawu! – Głos Petera, który zawsze dotąd zwracał się do mnie spokojnym, uprzejmym tonem nawet wtedy, gdy doprowadziłam do aresztowania jego dziecka, przeradza się w krzyk. – Karana śmiercią! – Zbliża się do mnie. W ciemnych oczach pełga gniew, lecz również poczucie straty. – To prawo oznacza wyłącznie śmierć. Zabił moją żonę, zamordował mi córkę. Zabił je!

– Owszem, zrobił to – rozlega się czyjś głos osłabiony bólem – i jest skończoną kanalią, bez dwóch zdań. Oszczędzić kogoś takiego nie jest łatwo, ale żywy będzie wart znacznie więcej niż martwy.

Wszyscy, w tym ja, odwracają spojrzenia. Porzucony w polu jeniec. Ten, o którym zdążyliśmy zapomnieć, a ja uznałam go za martwego. Wcale jednak nie jest martwy. I wcale nie jest mężczyzną. To młoda kobieta.

Kobieta sprawiająca wrażenie mężczyzny – wysoka, barczysta, wręcz muskularna. Końcówki gęstych jasnorudych włosów sięgają jej uszu. Gdybym miała obstawiać, powiedziałabym, że niedawno skończyła dwudziestkę. Płeć zdradza jednak głos: słodki, wysoki i dziewczęcy. Klęczy na ziemi i zauważam sterczącą z jej ramienia rękojeść noża. Strażnicy obrzucają się wzajem zdumionymi spojrzeniami.

– Kim jesteś? – Peter podchodzi do rannej. Opuszcza miecz, unosi

go i znów opuszcza. Wyraźnie nie jest pewny, czy powinien grozić bronią kobiecie.

– Keagan Hearn. – Dziewczyna podaje mu skutą dłoń. Pirat jej nie przyjmuje, ręka opada. – Pochodzę, naturalnie, z Airann, z cudnego nadrzecznego miasta Dyflin.

– Wszystko ładnie, pięknie, Keagan z Airann – odpowiada Peter – ale co robisz w Anglii? W dodatku razem z nim. – Ostrzem miecza celuje w Malcolma.

– Myślę, że to dosyć oczywiste, nie? Wyciągnęłam go z więzienia w Upminster, z Fleet. Paskudne miejsce. – Keagan siada na piętach i krzywi się. – Prowadzę go do Airann. Znaczący, prowadziłam, ale wpadliśmy na was. Nie ma przypadkiem szansy, żebyście nas puścili, co?

Miecz Petera muska krtań dziewczyny. Podjął decyzję.

– Nie wydaje mi się.

– Dlaczego go uratowałaś? Jesteś jego stronnicek? Zdrajczynią? Prześladowczynią?

– Ależ nie, panie – odpowiada Keagan. – Nic z tych rzeczy. Zresztą, te pojęcia to już chyba pieśń przeszłości, nieprawda? Prześladowców rozwiązano. Po zmianie władzy nastąpiły inne porządki.

– Nie igraj ze mną, panienko – rzuca pirat. – Już teraz masz poważne kłopoty. – Zerka na Malcolma, wciąż słaniającego się na nogach. – Dlaczego postanowiłaś zabrać go do Airann? Co planowaliście? Zebrać wojska? Najechać Anglię? Odebrać tron siłą?

– Człowiek nie może odebrać czegoś, co przez cały czas należy do niego – zauważa Malcolm. – Tron jest mój. Zabrano mi go przemocą i zrobię wszystko, by ponownie na nim zasiąść.

– Ejże! – Keagan obrzuca go krzywym spojrzeniem. – Co ja ci na ten temat mówiłam? Nie zaczynaj od zagrania tą kartą. Pod żadnym pozorem.

– To po prostu prawda – odiera wyniośle Malcolm. – Władza króla pochodzi z boskiego nadania i wszystko, co władca mówi, jest słuszne. Roztropnie postąpisz, jeśli mnie wysłuchasz.

– Widzisz? Właśnie przez takie nastawienie skończyłeś tutaj – Keagan wskazuje na puste pole – a powinieneś być tam. – Jej kciuk

mierzy za plecy, mniej więcej w kierunku Upminster.

– Twój brak szacunku stanowi dla mnie obrazę – prycha Malcolm.

– A dla mnie obrazę stanowi twój niedostatek pokory – syczy Keagan. – Na Boga, chłopie, jeżeli zamierzasz wynieść z tej sytuacji głowę na karku, powinieneś lepiej odczytywać nastroje.

Malcolm otwiera usta i zaraz je zamyka. Czuję, jak moje brwi wędrują wysoko na czoło. Jeszcze nigdy nie słyszałam, by ktoś zwracał się do Malcolma tym tonem. Nie rozmawiali z nim w ten sposób członkowie królewskiej rady, doradcy ani nawet stryj, który go przecież nienawidził i pragnął jego śmierci. Keagan jednak wyraźnie się tym nie przejmuje: ani kwestią szacunku, ani konsekwencjami.

– Chyba mamy towarzystwo. – Dziewczyna wskazuje brodą na drogę i prostuje się. Jedynym świadectwem, że w jej ramieniu wciąż tkwi sztylet, jest nieznaczny grymas.

Przez pole zmierzają ku nam żywym krokiem Nicholas, Gareth i Fitzroy, poły ich płaszczy łopocą w zgodnym rytmie. Tuż za nimi dostrzegam Schuylera. Zerkam na Fifer, która potakuje skinieniem. To ona przyzwała zjawę. Dała znać, co zaszło, i poprosiła, by sprowadził Nicholasa.

Malcolm rozpoznaje czarnoksiężnika w jednej chwili. Zna go z okresu, gdy Nicholas należał do rady jego ojca, a także z czasów, kiedy osobiście ogłosił go najbardziej poszukiwanym zbrodniarzem w królestwie.

Prostuje się dumnie; nie może się pochwalić szczególnie imponującym wzrostem, przerasta mnie ledwie o kilka cali.

Trójka przybyłych przystaje przed nami, rozeznają się w sytuacji.

– Ach, wy zapewne jesteście odsieczą... – zauważa Keagan z sarkazmem i wyraźnym akcentem swoich rodzinnych stron.

– Schuyler był uprzejmy poinformować nas o tym, co się tu dzieje – odzywa się Fitzroy. – Wciąż jednak nie wiemy, dlaczego ani jak do tego doszło. Ciebie również nie znamy. – Podchodzi do Keagan.

– Panienska pochodzi z Airann – tłumaczy jeden z członków straży. – W dodatku to zdrajczyni.

– Ejże – mamroce pod nosem Keagan. – Wyjaśniałam już, że dawne pojęcia straciły sens. Nie jestem zdrajczynią, tylko bojowniczką.

Należę do Zakonu Róży.

Mężczyźni wymieniają się bystrymi spojrzeniami; nawet mnie zaskoczyła. Zakon Róży jest organizacją powstałą cztery lata temu na Uniwersytecie w Airann, w odpowiedzi na zakazujące magicznych praktyk prawa Blackwella, który objął wówczas urząd inkwizytora. Co jednak nijak nie tłumaczy, skąd ta cała Keagan znalazła się tutaj, w Harrow. Nadal pozostaje też tajemnicą, co robi z Malcolmem.

O ile dobrze pamiętam, Zakon Róży został założony przez studentów i zrzesza głównie myślicieli. Ich działalność polega na rozpowszechnianiu ulotek i broszur oraz pisaniu żarliwych artykułów do prasy podziemnej. Uczni nie porywają królów.

– Zakon! – odzywa się Fitzroy. – Oczywiście. Prześwietne stowarzyszenie. Śledziłem wasze poczynania od samego początku. Lektura waszych traktatów zawsze jest wielce pouczająca. – Kołysze się lekko na piętach. – Szczególnie upodobałem sobie *Łaziebną przypowieść*. Kiedy ten brat w poszukiwaniu życiowego przewodnictwa uciekł się do wewnętrznego światła, a na koniec zjadł wszystkie swoje świeczki i chodził po świecie z zamkniętymi oczyma. Przezabawne.

Usta Keagan rozciągają się w szerokim uśmiechu.

– Niemniej ostatnimi czasy wasze akcje protestacyjne wykroczyły już poza granicę satyry, prawda? – ciągnie Fitzroy. – Podstawowe materiały wybuchowe. Palenie kukieł. Akcje propagandowe w różnych postaciach na budynkach, a zupełnie niedawno również na mostach.

Keagan wybucha głośnym śmiechem.

– Akcja propagandowa, cudne określenie. To ostatnie to moja robota. Zakradłam się na Most Upminsterski i przyszpiliłam ulotki do zatkniętych tam uciętych głów. Myślę, że właściciele się nie obrazili. W końcu i tak już nie żyją.

– Ucięte głowy? – wtrąca Gareth. – Czyje?

– Ludzi Blackwella – Keagan wzrusza ramionami – oraz waszych ludzi. I takich, którzy po prostu znaleźli się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie.

Gareth nie odpowiada.

– A teraz pojmałaś króla.

Dziewczyna kiwa głową. Jej beztroska znika bez śladu.

– To dopiero początek.

– Banda intelektualistów – mruczy pod nosem Peter. – Rany Chrystusa.

– Nie wzywaj imienia nadaremno – zauważa spokojnie Keagan. – No dobra, chętnie bym pogawędziła choćby i cały dzień, ale mam pewną dość nagłą sprawę. – Unosi skute dłonie i wskazuje kciukami swój bark. – Ten sztylet, którym raczyliście mnie dziabnąć, pali jak sam diabeł.

Fitzroy rusza ku dziewczynie.

– Momencik! – Gareth powstrzymuje go ruchem dłoni. – Nie wiesz, co to za jedna. Twierdzi, że należy do Zakonu Róży, ale gwarancji nie mamy. Równie dobrze może kłamać i okazać się szpiegiem Blackwella.

– Powiedziałaś wam prze... – zaczyna Keagan.

– Dziewczyna nie kłamie – wyręcza ją Fitzroy. – Na dowód mamy jej działania. Gdyby służyła Blackwellowi, nie pomogłaby w ucieczce jego bratankowi, tylko go zabiła. Nie ruszaj się pod żadnym pozorem. – Kładzie dłoń na ramieniu Keagan, w drugą ujmuje rękojeść noża. – Na trzy – dodaje. – Raz, dwa... – Wyrywa jej ostrze z barku, zanim padło „trzy”.

Keagan jęczy z cicha i osuwa się na ziemię. Fitzroy wyławia z wewnętrznej kieszeni kaftana chusteczkę i przyciska do jej ramienia, by zatamować krwawienie.

– Powiedziałaś, że porwanie króla... – Nicholas zerka na Malcolma, który bardzo rozsądnie nie odezwał się słowem od przybycia czarnoksiężnika – ...to dopiero początek. – Podchodzi do dziewczyny i muska palcem jej plecy. Z jego dłoni wypływa lekka biała poświata i rana znika, jak ręką odjął.

Zdjęta ulgą Keagan przymyka powieki.

– Początek czego? – pyta Nicholas.

– Planu zmierzającego do obalenia Blackwella, naturalnie – tłumaczy dziewczyna. – Czego się spodziewaliście?

Myśl o grupce żaków przekonanych, że są w stanie pozbawić władzy Blackwella, wydaje mi się dość zabawna. Właściwie śmiech sam ciśnie mi się na usta. Nicholas jednak nie sprawia wrażenia

rozweselonego.

– Rozumiem – mówi. – A Malcolma uwolniłaś, ponieważ sądzisz, że powinien wrócić na tron?

– On? Ależ skąd. Przecież miał już szansę, nie? – Keagan rzuca okiem na Malcolma. Na jej piegowatej różowej twarzy maluje się wyraz gorzkiej pogardy.

Malcolm odpowiada jej całkiem innym spojrzeniem. Zaciska szczęki i pięści. Wcześniej nie widziałam w nim aż tyle złości i prawie – choć tylko prawie – robi mi się go żal.

– Nie wykorzystał jej najlepiej – podejmuje Keagan. – W przeciwnym wypadku nie stalibyśmy dziś w tym polu, tak? Tak – odpowiada na własne pytanie. – Niemniej może okazać się przydatny. Gdyby zginął, Blackwell przestałby być uzurpatorem. Jest w końcu prawowitym następcą angielskiego tronu i żaden kraj na świecie nie zechciałby nam pomóc w jego usunięciu. Szansę mamy jedynie wtedy, gdy Malcolm będzie żywy. Po jego śmierci nie moglibyśmy się już nazywać ruchem oporu, stalibyśmy się zwykłą konkurencją. I myślę, że po chwili zastanowienia zrozumiecie, iż w takim wypadku nie pożyjemy zbyt długo.

Nicholas kiwa głową, patrzy na nią bystrym wzrokiem.

– Zamierzaliście go przetrzymywać w charakterze więźnia politycznego. Macie ku temu środki? Straże? Wojsko?

– W pewnym sensie – odpowiada Keagan.

– Przyjęcie pod swoje skrzydła obalonego króla naraża was, uniwersytet, miasto i cały wasz kraj na poważne niebezpieczeństwo – tłumaczy Nicholas głosem zdecydowanym, lecz nie wrogim. – Kiedy tylko wieść o tym, że Malcolm znalazł się w waszych rękach dotrze do Blackwella, grozi wam napaść jego armii. Co więcej, mogą was również atakować ci obywatele Airann, którym nie spodoba się jego obecność, oraz żądni zemsty Anglicy. Grożą wam także akcje odwetowe ze strony innych krajów. Zarówno sprzyjających Blackwellowi, jak i sympatyzujących z Malcolmem. Kraje neutralne też mogą zwietrzyć w sytuacji okazję i spróbują wywołać chaos, wysyłając do was szpiegów i łowców nagród.

Po raz pierwszy od początku rozmowy w jasnych oczach Keagan

pojawia się cień zwątpienia.

– Tutaj na pewno nie może zostać – odzywa się Gareth. – Nie możemy ryzykować, że to wszystko zwali się na nasze barki. I tak stanowimy dla Blackwella wyraźny cel. Najpierw ona... – zerka na mnie – ... a teraz jeszcze Malcolm.

– Nie możemy go też zabić – przypomina Fitzroy.

– Nie – potakuje Nicholas – ale możemy go przez pewien czas przechować, dopóki nie przemyślimy dalszych kroków.

– Nie sugerujesz chyba, że powinniśmy przechować go u siebie? – rzuca Peter. – Nie chcesz tego człowieka umieścić w jednym więzieniu z moim synem, prawda? – W tym momencie coś w nim pęka.

Pęka, ponieważ przeze mnie jego dziecko zostało uwięzione i przeze mnie Malcolm wciąż ma głowę na karku. Pirat wsuwa miecz do pochwy, okręca się na pięcie i rusza przez pole ku drodze.

– Fitzroy, czy moglibyście z Garethem odeskortować oboje naszych gości do Hexham? – prosi Nicholas. – A ty, Schuyler, dotrzyмай im z łaski swojej towarzystwa. Schuyler jest zjawą – dodaje – ze wszystkimi tego konsekwencjami. Dlatego też zdecydowanie odradzam jakiegokolwiek próby ucieczki.

Malcolm głośno przełyka ślinę. Keagan ponownie otwiera szeroko oczy. Nicholas spogląda na pozostałą piątkę członków straży.

– Chciałbym, żebyście udali się z nimi do Hexam i wzmocnili na dzisiejszy wieczór załogę. Upraszam też, by ta sprawa pozostała wyłącznie między nami. – Zwraca się do mnie i Fifer. – Jesteście wolne.

Zbrojni podchodzą do Keagan i Malcolma, chwytają ich za skute ramiona i odprowadzają. Dziewczyna idzie bez słowa sprzeciwu, lecz Malcolm odwraca się, na ile może w ich uścisku, i patrzy przez ramię prosto na mnie. Na jego twarzy maluje się błaganie: chce, bym się do niego odezwała, wystąpiła w jego obronie, żebym z nim została.

Ale teraz nie jest już królem, a ja nie jestem jego kochanką. Odwracam się po prostu i – po raz pierwszy – zostawiam go.



Rozdział 15

„Jesteście wolne”! – Fifer dogania mnie, jeszcze zanim wydostaję się na drogę. – Ostatni raz zwrócił się do mnie w ten sposób, gdy miałam dwanaście lat – dodaje. – Byłam wtedy na niego zła i obrzuciłam go zaklęciem, przez które wypadły mu brwi. Wyglądał przekomicznie. Oczywiście wściekł się co niemiara, ale to było takie zabawne... – Urywa i po chwili podejmuje: – Tak czy inaczej, jeszcze ze mną o dzisiejszej sytuacji porozmawia. Z nami obiema. I to raczej nie będzie przyjemna rozmowa. – Kolejna chwila milczenia. – Przy tobie człowiek zawsze powinien się spodziewać kłopotów, co?

Nie odpowiadam.

– Co o tym wszystkim myślisz? – Fifer zmienia podejście. – Ta Keagan... Odważna dziewczyna. Wybrała się w pojedynkę do Upminster i włamała do Fleet. Ciekawe, w jaki sposób?

Wciąż nie odzywam się słowem.

– I jeszcze Zakon Róży. Oczywiście słyszałam o nich jak każdy. W Harrow ponoć jest całkiem spora grupa ich członków, ale nikt nie wie niczego na pewno. Kryją się z tym, podobnie jak ukrywają magiczne zdolności. Naturalnie, da się to zrozumieć, prawda? Gdyby działali jawnie, podaliby się inkwizycji jak na tacy.

Docieram na skraj pola, wchodzę na trakt i idę dalej przed siebie. Po kilkunastu krokach czuję jej dłoń na rękawie.

– Elizabeth – Fifer jest lekko zdyszana. – Rochester jest w tamtą stronę.

Odwracam się i ruszam w przeciwnym kierunku.

– Elizabeth! – Zastępuje mi drogę i łapie mnie za ramiona. Pochyliła się i wpatruje mi badawczo w oczy. – Co się dzieje? To przez niego, prawda? Przez Malcolmą?

Otwieram usta i zaraz je zamykam. Fifer ciężko wzdycha.

– Tak właśnie myślałam. – Ujmuje mnie za rękę i prowadzi z powrotem. – To musiała być dla ciebie spora niespodzianka...

To spore niedomówienie. Zaśmiałabym się, gdyby tylko było mi do śmiechu.

– Naprawdę nie sądziłam, że jeszcze go kiedykolwiek zobaczę – przyznaję. – Nie chciałam. A tu proszę. I w dodatku uratowałam mu życie. Sama nie wiem, dlaczego to zrobiłam.

– Ja też nie wiem – odpowiada Fifer – ale dobrze, że go uratowałaś, prawda? Nie miałam pojęcia, jakie konsekwencje pociągnęłyby za sobą śmierć Malcolma. Dopiero Keagan otworzyła mi oczy. Podejrzewam, iż żadne z nas się nad tym nie zastanawiało.

Konsekwencje... Nie o nich myślałam, ratując go przed mieczem Petera, lecz zachowuję to dla siebie.

– Za to Blackwell na pewno wszystko dokładnie zaplanował – stwierdzam. – No, inaczej nie wtrąciłby Malcolma do Fleet. Chciał, żeby tam umarł. Z Fleet się nie wychodzi. – Chyba że na stos, dopowiadam w duchu.

– Tobie się udało – przypomina zwięźle Fifer. – Zresztą Malcolm przecież też uciekł. To niemały wyczyn. Zakon musi dysponować potężną magią. O wpływach i powiązaniach w samym Upminster nawet nie wspomnę.

– Pewnie tak.

– Muszę przyznać, że nie tak go sobie wyobrażałam – mówi Fifer. – Sposób, w jaki na ciebie patrzył, jak się do ciebie zwracał... Chyba spodziewałam się czegoś innego.

– To znaczy? – W mój ton wkrada się ostrzejsza nuta.

Fifer ciągnie niezrażona:

– Myślałam, że okaże się osobą okrutną. Kimś, kto cię wzywał i oddalał wedle kaprysu. Traktował cię jak... no, wiesz... – patrzy na mnie znacząco – jak służącą. Ale jego dzisiejsze spojrzenia... Moment, kiedy wziął cię za rękę. Na litość boską, nawet próbował cię pocałować i nazwał Bess.

– Był w szoku. – Przystaję i schylam się do sznurówek. Wcale się nie rozwiązały, ale mogę dzięki temu ukryć twarz i malującą się na niej

niepewność. – Był przekonany, że zginie, a kiedy ludzie są pewni śmierci, robią i mówią dziwne rzeczy.

Prostuję się. Fifer wpatruje się we mnie z uniesioną brwią.

– Na mój gust było w tym coś więcej niż tylko szok.

– Nic więcej. Zupełnie nic – ostatnie słowa rzucam przez ramię.

Znów maszeruję naprzód. Ona dogania mnie w mgnieniu oka.

– I co teraz zrobimy?

– To samo, co robiłyśmy do dzisiaj – odpowiadam. – Muszę zabić Blackwella. Z tym że teraz muszę się do tego zabrać natychmiast. Jak sądzisz, ile czasu potrzeba strażnikom, by rozgadać wszystkim znajomkom, że Malcom trafił do Harrow? Wtedy dowie się też szpieg i Blackwell naśle na nas jeszcze więcej swoich ludzi.

– Nicholas przykazał strażnikom dochować tajemnicy – przypomina Fifer.

Rzucam jej wymowne spojrzenie.

– Uznał, że wciąż nie jesteś gotowa. – Fifer próbuje ponownie. – Chce, byś się skoncentrowała na ćwiczeniach. Powinnaś nabrać sił, a zamartwianie się Blackwellem zostawić radzie. Wiem o tym od Schuylera – dodaje pospiesznie. – Słyszał waszą rozmowę w Rochester.

– Nicholas nie musi wiedzieć o wszystkim, prawda? – Otulam się ciaśniej płaszczem. Podmuchy wiatru coraz mocniej kłują moje i tak przemarznęte policzki. – Chyba mi nie powiesz, że nigdy nie uczyniłaś niczego bez jego zgody, co? Że nigdy mu się nie przeciwstawiłaś, nie postąpiłaś wbrew temu, co...

– Jasne, rozumiem, co chcesz powiedzieć – ucina Fifer – ale ty nie pojmujesz tego, co ja mówię. Nie jesteś gotowa.

Zatrzymuję się. Spoglądam na nią. Nie jestem pewna, co zobaczyła w moich oczach, lecz wystarczyło, by zmieniła zdanie.

– Dobra, dobra. – Unosi ręce w geście kapitulacji. – Zachowaj się jak głupia. Zabij Blackwella i daj się przy tym sama zabić. Proszę uprzejmie, służę pomocą.

– Teraz mówisz do rzeczy. – Rozpromieniam się. – Potrzebuję Azotha. I chcę, żebyś pomogła mi go zdobyć.

– Co ty! Nawet nie wiem, gdzie jest – odpowiada szybko, zbyt szybko.

Uśmiecham się, Fifer robi kwaśną minę.

– Nigdy go nie dostaniesz. Nicholas ukrył go u siebie w domu i nawet mnie nie wolno się do tego miecza zbliżyć. Dodatkowo obłożył go specjalnymi zaklęciami ochronnymi. Pozostaje też problem Hastingsa. Nawet gdybyś dostała się do środka, on cię powstrzyma.

– Zapominasz chyba, kim jestem.

– Raczej kim byłaś – prostuje Fifer. – Nie, nie zapominam o tym nawet na moment.

Odkąd się zaprzyjaźniłyśmy, jeszcze nigdy nie byłyśmy tak bliskie prawdziwej kłótni. Droga przed nami, otaczające nas pola, szarpiący nasze ubrania wicher – nic z tego nie dorównuje chłodem naszym spojrzeniom.

– Zdobę Azotha i zabiję nim Blackwella – oznajmiam zdecydowanie. – I chcę, by towarzyszył mi wtedy Schuyler.

Tym razem to Fifer wysuwa się naprzód. Podmuchy przywiewają w moją stronę stek przekleństw.

– Ty naprawdę nie spocznesz, póki nie zrazisz do siebie wszystkich dokoła, co?

– Nie spocznę, póki nie zobaczę martwego Blackwella – odpowiadam, lecz ona jest za daleko, by mnie usłyszeć.

Przez trzy dni od aresztowania Johna – trzy dni od pojmania Malcolma – trzymałam się na uboczu. Ukrywałam się, praktycznie rzecz biorąc.

Wiść o mojej zdradzie rozeszła się szybko. Wszyscy dowiedzieli się, że podpowiedziałam strażnikom, gdzie szukać nielegalnych ziół Johna; że byłam zazdrosna, gdy zaczął się interesować Chime; że postanowiłam się na nim zemścić. Skala tego skandalu wystarczyła, by przesłonił skandal prawdziwy: osadzenie obalonego władcy Anglii, niegdyś najbardziej zagorzałego przeciwnika Harrow, w więzieniu odległym od obozu o niecałe dziesięć mil.

Nie nocuję już w swoim namiocie. Pierwszej nocy po powrocie zastałam go w opłakanym stanie – wyrwane z ziemi paliki, zdeptane i pocięte płótno. Jadam w innych porach niż wszyscy. Drugiego wieczoru, kiedy usiadłam przy stole, współbiesiadnicy odeszli, jakbym mogła zarazić ich dżumą, a w powietrzu poniosły się szeptania: zdrajczyni,

kłamczucha... i wiele gorszych. Czas spędzam więc na treningach, odpoczynku w kaplicy, planowaniu i czekaniu na dogodną okazję, żeby zakraść się do domu Nicholasa, zdobyć Azotha, przywołać Schuylera, wybrać się do Upminster i zabić Blackwella.

Czekam na dzisiejszą noc.

Przełykam powoli kolejną potrawkę z owsa, groszku i kaszy jęczmiennej, zagryzam ją kromką twardego jak cegła chleba, zwracam miskę w namiocie kuchennym i wychodzę na pole. Wokół nie ma zbyt wielu ludzi, wszyscy są albo na kolacji, na placu treningowym, w bibliotece, bądź – jak w przypadku Nicholasa – na spotkaniu u Garetha, gdzie próbują ustalić, co począć z Malcolmem.

Przy boku kołysze mi się worek z nielicznym dobytkiem. Noszę go teraz cały czas przy sobie, nie mam dla niego bezpiecznego miejsca. Mój bagaż nie wywołuje niczych podejrzeń – nie wyglądam inaczej niż przez dwa poprzednie wieczory.

Słońce chyli się z wolna ku horyzontowi. Przeżykam przez most, na drugi brzeg jeziora. Oglądam się po raz ostatni na Rochester, po czym ruszam w stronę domu Nicholasa. Fifer została, wciąż jest na mnie wściekła, tym bardziej że Schuyler powitał mój plan z niekłamany entuzjazmem.

– Blackwell już raz próbował wykraść Azotha! – wykrzyknęła mi w twarz wczorajszej nocy, zanim przeniosła całą siłę gniewnego ataku na zjawę. – A gdy dostanie go ponownie w swoje łapy, co jest bardzo możliwe, jeżeli zginiesz – rzuciła mi ostre spojrzenie – stanie się niezwyciężony, i to z twojej winy.

– Skoro Elizabeth zamierza go zabić, to Azoth stanowi najlepszy wybór – Schuyler próbował przemówić Fifer do rozumu. – Najlepszy i w zasadzie jedyny.

– A fakt, że chcesz jej pomóc, nie ma oczywiście nic wspólnego z tym, że sam chciałbyś ten miecz dostać.

– Absolutnie nic.

Fifer zaplotła ramiona na piersi, nie zamierzała poddać się bez walki.

– Tak? To przysięgnij.

W ten sposób osiągnęliśmy kompromis. Ustaliliśmy, iż Schuyler

wyberze się ze mną do Upminster i do Ravenscourt w roli zwiadowcy i obrońcy. Przynależ jednak, że nie pomoże mi w kradzieży Azotha i że nie dotknie go ani razu, gdy już miecz zdobędę. Karą za złamanie obietnicy ma być śmierć lub gniew Fifer – cokolwiek dosięgnie go wcześniej.

Po trzech godzinach docieram do domu Nicholasa i postępuję dokładnie według wskazówek niechętnie przekazanych mi przez Fifer. Staję przed frontowymi drzwiami, wyciągam z kieszeni wiązkę szalwii i sosnowych gałązek i podpalam ją. Gdy pojawiają się płomyki i trzaskają iskierki, kiedy podnosi się gęsty wonny dym, kołyszę dłonią przed sobą, kreśląc dwie długie, przecinające się ukośnie linie. Dym zawisa w ciemniejącym powietrzu na kształt litery X.

Liczę w myślach do sześćdziesięciu, po czym wchodzę do środka.

Dom jest pusty i nie chodzi tylko o nieobecność Nicholasa. Widmowe dłonie nie pomagają mi zdjąć worka z ramienia, nie odbierają płaszcza i nie wynoszą go z salonu. Hastings zniknął i nie pojawi się z powrotem, póki moje zioła nie obrócą się w całości w popiół. Szalwia i sosnowe igielki, jeżeli spali się razem, wpływają silnie na duchową energię, rozpraszając ją i rozrzedzając niemal do poziomu unicestwienia. Nie zapytałam Fifer, czy nie jest to okrutne, lecz wcale nie musiałam. Wypędzanie kogokolwiek z domu zawsze jest okrutne, bez względu na motywację.

Przypominam sobie pozostałe instrukcje Fifer. „Podejź do trzeciej deski w ścianie, obok obrazu ze srebrną paterą i brzoskwiniami. Kopnij ją, tak jak ja chętnie kopnęłabym ciebie, a odblokujesz zawias. Wtedy pchnij. Dzięki temu trafisz do azylu i znajdziesz Azotha”.

Azyle. Niewielkie tajne pomieszczenia, znajdujące się w domach magów jak Anglia długa i szeroka. Budowane dla ochrony przed inkwizycją i takimi jak ja łowcami czarownic. Widywałam azyle, do których wchodziło się przez szczeliny pod schodami i takie, dokąd trafiało się przez fałszywe kominy lub nawet wygodki. Większość była zamaskowana bez polotu i prosta w odszukaniu. Azyl w domu Nicholasa ukryty został po mistrzowsku.

Wyjmuję z worka świecę i rozpalam ją zapałką, po czym przeciskam się przez wąską szczelinę pod deską. Po chwili staję w

małym pokoiku – najwyżej sześć stóp kwadratowych. Nie ma tu niczego, żadnych mebli czy ozdób. Zupełnie pusto, z wyjątkiem drewnianej skrytki wprawionej w ceglana ścianę – wąskiej i zamkniętej na cztery spusty.

W szczelinie między skrytką a murem tkwi liścik od Nicholasa. „Elizabeth, jeżeli czytasz te słowa, proszę cię, byś raz jeszcze przemyślała, co chcesz zrobić. Niektóre sprawy na tym świecie przerastają nawet ciebie”.

Treść notki sprawia, że mój zapal nieco stygnie.

Odkąd wkroczyłam do jego życia, otacza mnie troskliwą opieką. Nie spodziewałam się takiego traktowania po człowieku, który był w przeszłości moim wrogiem. Przecież byłam gotowa go zabić. Nie stał się dla mnie jak Peter drugim ojcem; do tego by się nie posunął. Jest jednak moim stróżem i wybawicielem, a takich ludzi mam ostatnio w swoim otoczeniu jak na lekarstwo. Mimo wszystko przestroga czarnoksiężnika nie ma wystarczającej mocy.

To wciąż za mało, by mnie powstrzymać.

Składałam starannie karteczkę i dołączam ją do pliku liścików od Johna. Wyławiam z worka kilka srebrnych ostów. Fifer zapewniła mnie, że skrytka będzie obłożona czarem, który ma mnie powstrzymać, jeśli nie posłucham słów Nicholasa, a oset powinien zminimalizować negatywne skutki. Nie omieszkała wspomnieć, że i tak zaboli, ale skoro chcę zdobyć miecz, muszę być gotowa na odrobinę cierpienia.

Kaleczę sobie kciuk – głębokie ukłucie – sterczącym z ostu kolcem. Kropla krwi rozbudza drzemiącą w łodydze magiczną moc. Sięgam do drewnianych drzwiczek. Ledwie muskam klamkę, w powietrze strzela iskra, bucha gorący błękitny płomień i w azylu rozlega się głośnie skwierczenie. Energia klątwy wdziera się gwałtownie pod moją skórę, wspina przez ramię prosto do głowy, huczy, trzęsie, wibruje i ogłusza. Mam wrażenie, że znalazłam się we wnętrzu kościelnego dzwonu. Zaciskam zęby – przeżywałam o wiele trudniejsze i bardziej bolesne chwile – po czym przekręcam tarcze zamka. Ustawiam kolejne liczby – 25, 12, 15, 42.

Dwudziesty piąty grudnia tysiąc pięćset czterdziestego drugiego roku. Data urodzin Fifer.

Skrytka staje otworem. Z pewnymi kłopotami odrywam dłoń od klamki. Dźwięki w głowie przycichły na tyle, że mogę przytomnie spojrzeć i widzę go – leży w mroku, samotny, niczym stalowe zwłoki w drewnianej trumnie.

Azoth.

Sięgam i zaciskam palce na rękojeści. Czuję to natychmiast, rozplywa się po moim ciele jakby na powitanie dawno niewidzianego przyjaciela: żar i energia zawartej w mieczu klątwy, pod której wpływem znalazłam się już ostatnim razem, kiedy miałam tę broń w ręku. Wówczas próbowałam zabić Blackwella, a zamiast tego odebrałam życie Calebowi.

Słyszę i czuję nagle miarowe pomrukiwanie, początkowo chaotyczne, a potem odnajdujące właściwy rytm, puls zgodny z biciem mojego serca. Przez moment gwałtowny i stopniowo, w miarę upływu sekund, zwalnający, stabilizujący się, uspokajający.

Przez usta przemyka mi szeroki uśmiech.

Wsuwam miecz do ukrytej pod płaszczem pochwy, biorę do ręki świecę i wychodzę z domu na zewnątrz. Na progu wciąż dymi wiązka ziół. Wyciągam z kieszeni listek mięty i wsuwam go między gałązki. Mięta wzmaga magiczną energię i ułatwi Hastingsowi powrót. Tego kroku nie zaplanowała Fifer, sama to wymyśliłam w ramach mizernych przeprosin.

Z Schuylerem jestem umówiona kilka godzin przed świtem na odludnym rozdrożu pomiędzy Theydon Bois a Gallion's Reach. Potem udamy się na południe, przez Mudchute, dalej na wschód, poza Harrow, w stronę Upminster. W tej chwili jednak nie nastąpiła nawet północ, a miejsce spotkania nie jest odległe – najwyżej trzy kwadransy marszu. Mam kilka godzin dla siebie. Przechodzę zatem do drugiej części planu, którą opracowałam sama i o której Fifer nie ma pojęcia.

Wybiorę się do Hexham, gdzie odszukam Malcolma i tę studentkę Keagan. Oboje dopiero co uciekli z Upminster, z samych trzewi Fleet, i dokonali tego niezauważeni. Mogą mi przekazać nieco cennych informacji o mieście, o Blackwellu, o jego strażach i innych zabezpieczeniach. Informacji, które zdecydują o tym, czy powrócę zwycięska, czy nie wrócę wcale.



Rozdział 16

Przed bramą Hexham kręci się grupka strażników. Naliczyłam sześciu: czterech w szarych płaszczach, dwóch w czarnych. Obserwuję ich zachowanie, sposób, w jaki się przechadzają, jak trzymają broń. Wyławiam urywki rozmów, dolatujące mnie echem pod wciąż czarnym nocnym niebem. Oceniam, że są zmęczeni, lecz nie wyczerpani. Znudzeni, ale nie poirytowani. Nie są też zniecierpliwieni. Inaczej mogliby stać się nerwowi, uwrażliwieni nawet na nieistniejące zagrożenia oraz na te jak najbardziej realne. Zniecierpliwienie sprzyja hazardowi, pojedynkom i bójkom.

Przemykam na północ, skręcam w lewo i po chwili stoję przed tylną ścianą więziennego muru. Sunę dłonią po kamieniu: szorstki, nierówno ciosany i suchy. Inny niż mury Fleet. Tamtejsze były nieodmiennie wilgotne i śliskie od czarnej pleśni. Zarzucam sobie worek na plecy, miecz przytraczam mocniej do boku. Wciskam dłonie w ziemię, brudzę je, by dodatkowo zwiększyć przyczepność.

Wreszcie wsuwam rozpoczynam wspinaczkę.

Mur jest wysoki, mierzy sobie przynajmniej trzydzieści stóp wysokości, lecz sunę w górę bez większego trudu i po kilku chwilach jestem na miejscu. Kucam na wąskim zwieńczeniu muru. Rozglądam się, nasłuchuję. Wartownicy mnie nie usłyszeli, nie zauważył mnie ani jeden z członków straży. Dostrzegam w tym pewną ironię i na moje usta wraca uśmiech.

Poniżej, przed sobą, mam kawałek wolnej przestrzeni pomiędzy murem a ścianą budynku więzienia, szeroki może na sześć stóp. Po tej stronie nie ma drzwi, tylko kilkanaście okien – dużych i niechronionych kratami. Niewykluczone, iż któreś będzie otwarte. Pamiętam, że gdy odwiedziłam Johna, na korytarzu hulało zimne powietrze.

Schodzę po murze. Chwila bezruchu i bieg do najbliższego okna. Zamknięte. Drugie również, podobnie jak trzecie i czwarte. Moje serce bije nieco szybciej, przyspiesza też oddech. Gdyby strażnicy postanowili obejść budynek, ujrzeliby mnie niechybnie i musiałabym się gęsto tłumaczyć, co tu robię w środku nocy. Mogliby mnie zatrzymać, dowiedzieć się, dokąd zmierzam, odebrać mi Azotha. Podkradam się do ostatniego okna, szóstego z kolei, przykładam palce do ramy i napieram. Uchyła się. Z ulgi niemal parskam śmiechem. Podciągam się i wchodzę do środka. Trafiam do pustej celi. Jest zamknięta, lecz to żaden problem. Wyciągam z włosów szpilkę – nie bez powodu wpięłam ją w kok – i wsuwam do dziurki od klucza. Szczęknięcie. Obracam klamkę i pociągam. Krata otwiera się bez trudu. Kręcę głową. Zakłęcia, którymi obłożono Hexham, mają na celu utrzymać więźniów wewnątrz, a gości i strażników – czy w tym wypadku intruzów – na zewnątrz. Niemniej w życiu nie widziałam tak słabo chronionego więzienia. Jeśli przeżyję konfrontację z Blackwellem, będę musiała porozmawiać o tym z Nicholasem.

Wychodzę na korytarz i szukam Keagan i Malcolma. Na parterze ich nie znajduję; wszystkie cele zieją pustkami. Docieram do schodów i wchodzę po nich bezszelestnie. Ruszam przez kolejny, zalany księżycową poświatą szeroki korytarz. Mijam celę za celą, z każdym krokiem czując narastającą niepewność. Czyżby wcale ich tu nie osadzono? Może jednak Peter przekonał radców, by umieścili więźniów gdzie indziej, z dala od Johna. Na przykład u Garetha? A może to Nicholas kazał ich usunąć, ponieważ domyślił się, że zechcę zaczerpnąć od nich informacji, podobnie jak odgadł, że spróbuję ukraść miecz?

Przychodzi mi do głowy jeszcze gorsza ewentualność: być może dzisiejsze spotkanie rady było tylko przykrywką, pod której pozorem przeprowadzono kolejne przesłuchanie. Może Malcolm zasiadł dziś na twardym krześle z kajdanami na przegubach i powarkującymi lwami przy nogach. Może i jego osądzili, i podjęli decyzję po głosowaniu w magicznej chrzcielnicy. Tyle że przecież on jest królem Anglii, prawowitym władcą kraju. Nie jest pospolitym rzezimieszkiem ani zdrajcą. Nie jest kimś takim jak ja.

Rozglądam się dalej. Kiedy zbliżam się do końca korytarza,

zwalniam krok, ponieważ z każdą mijaną celą zbliżam się do tej ostatniej. Do celi Johna. W końcu przystaję, waham się, czy powinnam iść dalej, czy wracać.

– Wiem, że tam jesteś – rozlega się dziewczęcy głos, naznaczony wyraźnym akcentem z Airann. Dobiega z końca korytarza. – Nie ma sensu się chować. Chodź, pokaż się.

Kolejny moment niepewności, po czym staję przed celą, z której doleciały mnie słowa. Dwie cele przed ostatnią. Keagan stoi za kratą, oparta o ścianę.

– Proszę, nasz wróbelek. Bess, jeśli się nie mylę, prawda?

Zerkam w kierunku celi Johna, po czym patrzę z powrotem na nią.

Przygląda mi się uważnie. Szeroki uśmiech sprawia, że piegi toną w policzkach.

– Elizabeth – poprawiam – jeśli łaska.

– Naturalnie, tak masz przecież na imię. – Keagen wzrusza ramionami. – Nazwałam cię Bess dlatego, że tak mówi o tobie jego była wysokość.

– Bess!

Zauważam twarz Malcolma, przyciśniętą do krat celi pomiędzy celą Keagan a Johna. Zmierzwiłone ciemne włosy wyglądają dokładnie tak, jak wtedy kiedy się budzi. Odrywam od nich spojrzenie.

– Co tu robisz? Jak się tutaj dostałaś? – Rzuca okiem na korytarz. – Gdzie straż?

– Wartownicy są akurat bardzo zajęci – odpowiadam. – Nie chciałam ich niepokoić.

– Ach, tak – rzuca Keagan. – Ciekawe czemu? Jest późno, a to jest więzienie. Powinnaś być w domu i słodko spać.

– Dopiero co wróciliście z Upminster – przechodzę od razu do rzeczy. – Muszę się dowiedzieć, co się tam dzieje. Jak miasto jest strzeżone, przez kogo. Co robi Blackwell. W jaki sposób udało ci się przeniknąć do Fleet i wymknąć.

Uśmiech, który rozświetlał piegowatą twarz Keagan, znika bez śladu. Zmiana miny postarza ją niczym klątwa. Wesoła panienska zamienia się w podejrzliwą kobietę.

– Bardzo jestem ciekawa, do czego wykorzystasz tego rodzaju

wiedzę.

– Dowiesz się, jak już mnie oświecisz.

Kolejne przenikliwe spojrzenie. Omiata wzrokiem moje obcisłe czarne spodnie, wysokie czarne buty, ciasno upięte włosy, przerzucony przez ramię worek. Wreszcie jej oczy zatrzymują się na wypukłości pod płaszczem, na rękojeści Azotha.

– Co ty kombinujesz, wróbelku?

– No, dobra. Będę zgryźliwa – rzucam. – Dlaczego mnie tak nazywasz?

– Jesteś malutka i drobna, tak? Niektórzy powiedzieliby, że zbyt drobna, by zwracać na ciebie uwagę. Moim zdaniem, jest troszkę inaczej. – Przechyliła głowę na bok. – Myślę, że właśnie ta pozorna nieszkodliwość stanowi o twojej przewadze. – Milknie na moment. – Dlaczego chcesz wiedzieć, jak obecnie funkcjonuje Upminster?

– To moja sprawa. Nie twoja.

– Kolejną dotyczącą wróbli ciekawostką jest to, że w niektórych kulturach uznawane są za zwiastuny śmierci.

Obrzucam ją hardym spojrzeniem. Odpowiada uśmiechem.

– Przyszłaś, żeby nas uwolnić? – Malcolm wciąż wciska twarz między kraty, nie odrywa ode mnie wzroku. Nie dostrzega tego, co widzi Keagan, choć ma tuż przed nosem. Oczywiście nigdy tego nie widział. – Uwolnisz nas, prawda? Wiedziałem, że po mnie przyjdiesz. Po prostu wiedziałem.

– Cii! – syczy Keagan, machając ręką. – Wybierasz się tam, co? – zwraca się do mnie. – Do Ravenscourt. Chcesz go znaleźć. – Ponownie zerka na mój ukryty pod płaszczem miecz. – Znaleźć i zabić.

– Co? Nie! – Malcolm wyciąga ku mnie rękę.

Odruchowo, niewiele myśląc, cofam się o krok. Oczy Keagan bacznie śledzą moje ruchy, przygryza dolną wargę, robi osobliwą minę.

– Nie możesz tego zrobić – mówi. – To zbyt niebezpieczne. Nie masz pojęcia, jak teraz jest w Upminster.

– Właśnie dlatego tu przyszłam. Chcę się dowiedzieć. – Podchodzę do Keagan, ona zbliża się do mnie. – Blackwell chce nas dopaść, wiecie o tym. Chce dopaść... – Urywam. Prawie powiedziałam „mnie”, „Johna”, omal nie powiedziałam „chce odzyskać zamię”. – Chce

dopaść ich wszystkich – podejmuję – i nie spocznie, póki nie postawi na swoim. Ktoś musi go powstrzymać.

– Interesujące. – Keagan chwyta się krat. Ma długie i szczupłe palce, lecz jej paznokcie są krótkie i nierówne, ogryzione. – Nas czy ich chce dopaść, wróbelku?

– Nie mam czasu na takie gierki – rzucam gniewnie. – Jeżeli mi zdradzisz, co wiesz, pomożesz też sobie i swojemu Zakonowi Róży. Oczywiście możesz zachować te informacje dla siebie, co nie przyda się nikomu. Masz minutę do namysłu. Potem wychodzę.

Dziewczyna waha się ledwie pięć sekund.

– Powiem ci o wszystkim – oznajmia – ale najpierw ty odpowiesz na każde moje pytanie.

Wyczuwam w niej przebiegłość, chytryść. Chce wymienić się informacjami dokładnie tak, jak robią to hazardziści, szpiedzy, agenci. Coś mi jednak mówi, że akurat ona nie będzie pytać o politykę.

– Dobrze. Odpowiem na twoje jedno pytanie. – Próbuję się targować.

– Co tu robisz? – rzuca Keagan. – I nie chodzi mi o więzienie, tylko o Harrow. Co robisz z nimi, z nami. – Uśmiech znika ponownie. Znowu mam przed sobą kobietę. – Co łowczyni czarownic, była łowczyni czarownic, robi wśród swoich wrogów?

Krzywię się, jej słowa są równie zdradzieckie jak język żmii.

– Zostałam aresztowana. Nicholas mnie uratował – tłumaczę zwięźle.

– O tym wiem – niecierpliwi się Keagan. – Wszyscy o tym wiedzą. Twoja historia powoli przeradza się w naszym świecie w legendę. Wiadomo, że legendy rzadko bywają prawdziwe. A mnie zależy na prawdzie.

– Czemu? Co to ma wspólnego z informacjami, po które przyszedłam?

– Muszę zyskać pewność, że mogę ci zaufać – stwierdza Keagan. – Bez tego nie dowiesz się ode mnie niczego.

Odwracam się, zamierzam wyjść.

– S płaciłaś swój dług – mówi Keagan, patrząc na moje plecy. – Tak przynajmniej słyszałam. Ale nikt cię tutaj nie lubi, ciebie nie można

polubić. A mimo to zostałam. I teraz jeszcze to. – Milknie na chwilę. – Wiem, że powiesz, iż ściga cię Blackwell, ale wiem również, że to jedynie część prawdy. A chciałabym poznać całą.

– Zostałam, ponieważ wydawało mi się, że tu jest moje miejsce. – Nie widzę Johna, ale i tak o nim myślę. Nie patrzę na celę na końcu korytarza, w której siedzi człowiek, którego zatrzymałam własnym znamieniem, za co mnie znienawidził.

– A teraz?

Nie mam pojęcia. Powinnam znać odpowiedź, ale zależy ona od tego, czy John znajdzie w sercu przebaczenie, czy Blackwell pozwoli mi żyć, czy Schuyler pomoże mi wrócić i czy Nicholas zezwoli mi po powrocie zostać.

– Odpowiedziałam na twoje pytanie – mówię. – Twoja kolej. Umowa to umowa.

– Nie chodzi mi o umowy, tylko o zaufanie. Zawsze chodzi o zaufanie, wróbelku. Nigdy o tym nie zapominaj. – Keagan się uśmiecha. – I tak, ufam ci. Jesteś twarda i to mi się w tobie podoba. Gdybyś zmasała z twarzy tę pozorną niewinność, mogłabyś zostać prawdziwą wojowniczką.

Podchodzę do krat, mocno zaciskam na nich palce. Azoth wyczuwa moją złość i solidarnie się rozgrzewa. Wyraźnie czuję jego obecność i ciężar.

– Wydaje ci się, że coś o mnie wiesz. Tymczasem nie wiesz niczego – rzucam wściekłym tonem. – Zresztą, dla mnie to zupełnie nieważne. Odpowiesz na moje pytania albo, przysięgam, uwięzienie będzie najmniejszym z twoich problemów.

Sięgam pod płaszcz, składam dłoń na rękojeści miecza, odsuwam tkaninę na tyle, by zobaczyła połyskujące w półmroku szmaragdy. Skoro zna moją historię, wie też, czym jest Azoth. W końcu żadna porządna legenda nie może się obyć bez magicznego ostrza.

Keagan otwiera szerzej oczy. Milczy przez dobrą chwilę, cholerna intelektualistka.

– Wojsko – odzywa się wreszcie. – Blackwell ma dużą armię. Świeżo powołanych rekrutów, których gromadzi na południu. Twoi dawni koledzy z oddziału łowców czarownic otrzymali tytuły rycerskie,

ale wciąż pozostają łowcami.

– O tym już wiem – mruczę. – Mów dalej.

– Ravenscourt jest strzeżone dzień i noc. Od zachodu przy bramie.

Od północy, w miejscu gdzie mury spotykają się ze Starym Targowiskiem. Południe, nad brzegiem rzeki Severn, nie jest pilnowane przez gwardzistów, ale obłożone zostało zaklęciami. Pamiętasz te rzeźby gargulców na murach? Teraz, gdy tylko zobaczą intruza, zaczynają skrzeczeć.

Błyskawicznie przebiegam w myślach rozkład pałacu.

Zamierałam wkraść się na teren właśnie przez południowy ogród nad rzeką. Chyba że...

– Jak daleko sięgają wzrokiem? – pytam. – Aż do Severn? Może dalej?

– Nie dostaliśmy się na tyle blisko, by się przekonać – tłumaczy Keagan. – Fleet pęka w szwach od ludzi, którzy zanadto się zbliżyli.

– Czy Blackwell spędza tam cały czas? To znaczy, w Ravenscourt? Nie bywa już w Greenwich?

Dziewczyna potakuje skinieniem.

– Od pewnego czasu staramy się śledzić wszystkie jego ruchy. Od ostatniego balu maskowego nie pojawił się w Greenwich ani razu. Nikt go od tamtej pory nie widział. Przestał się pokazywać publicznie. Z jednym wyjątkiem – dnia koronacji w Opactwie Leicesterskim.

Zatem zrobił to, oficjalnie objął tron. Malcolm gładzi szczękę pokrytą trzydniowym ciemnym zarostem. Nie jest to gest rezygnacji, to wyraz gniewu.

– Mogę ci pomóc. – Keagan mówi cichym przekonującym tonem.

– Ułatwiłabym ci dostanie się do miasta, a potem ucieczkę. Robiłam to już nieraz. Pomogę ci go zabić.

Cofam się i ukrywam pod płaszczem Azotha.

– Nie. Nie chciałabym twojej pomocy, nawet gdybyś była w stanie mi jej udzielić. Dałaś się złapać. – Pozwalam sobie na lekki drwiący uśmieszek. – Być może kiedy indziej opowiesz mi o drodze prawdziwego wojownika.

– Wróbelku przebiegły jak sroka. – Uśmiech Keagan wydaje się niemal dziki. – Cofnij się.

– Co?

– Cofnij się, Bess – rozlega się władczy głos Malcolma.

Wykonuję polecenie.

Keagan unosi ręce i przysuwa wyprostowane dłonie do krat.

Zaczyna coś mamrotać pod nosem. Słowa brzmią jak magiczna inkantacja, lecz nie słyszę ich wyraźnie. Mimowolnie zaintrygowana przyglądam się skórze jej dłoni, która robi się pomarańczowa, czerwona i wreszcie biała. W powietrzu wokół palców dziewczyny pojawia się drżenie – migoce światłem, rozgrzewa się. Wzrost temperatury odczuwam nawet ze swego miejsca.

Wtem: ogień.

Sznur płomieni wypływa najpierw z jednej dłoni, potem z drugiej. Spotykają się pośrodku i splatają niczym liny, po czym strzelają ku drzwiom. Pręty przybierają te same odcienie, co ręce Keagan – pomarańcz, czerwień, biel – i w końcu do wtóru odgłosu przypominającego skwierczenie tłuszczu na patelni znikają, spływają na podłogę w kałuży roztopionego, dymiącego metalu.

– Chodźmy, wróbelku. – Keagan wychodzi na korytarz. –

Najwyższa pora polatać.



Rozdział 17

Staję przed nią, zastępuję jej drogę.

– Nie pójdziesz ze mną.

– Biorąc pod uwagę, że i tak już uciekłam, nie pozostaje mi nic innego – odpowiada. – Jeżeli będę się tu kręcić, znajdą mnie i z powrotem wtrącą do celi, a stanowczo wolałabym tego uniknąć. – Keagan podnosi z ławy pożyczony czarny płaszcz, mija mnie i idzie dalej przez korytarz.

Krzywię się nieładnie. Sytuacja coraz szybciej wymyka mi się spod kontroli.

– Nie wydostaniesz się – zauważam. – Hexham strzegą nie tylko wartownicy. Jest też zakłęcie. Wchodzić i wychodzić swobodnie mogą tylko osoby, które nie są więźniami. Nie możesz wyjść.

– Wszystkimi problemami zajmiemy się po kolei.

– Jeśli cię zobaczą, to schwytają.

– Jacy oni? O kim ty właściwie mówisz?

– O wszystkich! – wołam, po czym obniżam głos do bardziej rozsądnego poziomu. – Jeżeli cię znów złapią, gwarantuję, że pożałujesz, iż nie zostałam w celi. Jego udało mi się uratować przed mieczem – wskazuję ruchem głowy celę Malcolma – ale dla ciebie tego nie zrobię.

– Nie zabiją mnie – stwierdza Keagan – i nie złapią nas. Nie ma szansy, by się domyślili, że wracamy tam, skąd właśnie uciekłam.

– Nie ma żadnych nas! – syczę.

Podchodzi do celi Malcolma. Tym razem wyciąga tylko jedną dłoń, celuje w zamek. Zanim mam szansę zaprotestować, rozlega się skwierczenie, coś dźwięcznie brzęczy i krata otwiera się na oścież. Natychmiast zatrząskuję mu ją przed nosem.

– Bess!

Nie zwracam na niego uwagi.

– Co ty robisz? – zwracam się do Keagan. – Malcolm nie może z nami iść. Zapomniałaś już, że miałaś dopilnować, by pozostał przy życiu? Przecież sama powiedziałaś, że jeśli zginie, Blackwell zyska pełne prawo do tronu.

– Owszem – przyznaje Keagan. – Skoro wybierasz się do Upminster zabić jednego króla, będzie ci potrzebny drugi, który zajmie miejsce poprzednika. Królobójstwo pociąga za sobą określone konsekwencje. Gdy Malcolm się tam nie pojawi, władzę przejmie jako regent któryś z ludzi Blackwella i cała zabawa zacznie się od początku. Nie do końca tak przedstawiał się mój plan, ale plany wykazują niekiedy tendencje do samodzielnych zmian.

– Czy tego właśnie chcesz? Do tego dąży Zakon Róży? – Nie jestem w stanie wypowiedzieć na głos zdradzieckich słów, które powinny teraz paść. Teraz, gdy Malcolm stoi tuż obok, nie mogę jej zapytać, czy chce ponownie zobaczyć go na tronie.

Tyle że wcale nie muszę o nic pytać.

– To, czego chce Zakon Róży, nie ma żadnego znaczenia – wtrąca Malcolm. – Nie mają wyboru.

– Słusznie. – Keagan odrywa moją dłoń od krat. – Wybierać możemy jedynie między obecnym królem Thomasem a byłym królem Malcolmem. Owszem, to swego rodzaju Scylla i Charybda, ale tym razem wszystko będzie wyglądało inaczej. – Szeroko otwiera drzwi celi. – Jeśli Malcolm ponownie zasiądzie na tronie, nie zapomni, kto go ocalił i kto mu pomógł odzyskać władzę. Chyba się nie mylę, wasza wysokość?

Spojrzenie Malcolma jest ostre niczym rżnięte szkło.

– To jedna z wielu rzeczy, o których nie zapomnę. – Okręca się na pięcie i maszeruje więziennym korytarzem takim krokiem, jakby szedł przez własną salę tronową.

Keagan unosi lekko brew i rusza w ślad za nim.

Nie od razu idę za nimi, dlatego że bardzo wyraźnie czuję na sobie wzrok Johna. Odwracam się i widzę go, jak stoi przy kracie swojej celi. Pół sylwetki niknie w cieniu. Przez chwilę wpatrujemy się w siebie. Wciąż nie mogę się pogodzić ze zmianą, jaka w nim zaszła. Oczywiście ma

ciemne i podkrążone, jakby ktoś podkreślił je błotem, spojrzenie zimne; głęboka zmarszczka pomiędzy brwiami nie jest już jedynie gościem, a stałym mieszkańcem. Nie daję mu szansy, by odwrócił się ode mnie pierwszy, żeby zranił mnie kolejnym słowem. Poprzednie były dostatecznie bolesne. Odchodzę, zanim stojący na końcu korytarza Malcolm zdoła po raz kolejny wyszeptać nagłace „Bess!”.

Wraz z Keagan i Malcolmem kryjemy się u podnóża schodów. Z naszego miejsca widać prowadzące na dziedziniec drzwi – są zamknięte i strzeżone przez tego samego wartownika, którego spotkałam tu wcześniej. Stoi na zewnątrz oparty o kraty i przygląda się zabawiającym się jakąś grą kolegom. Co chwila słyhać, jak coś ciężkiego upada na ziemię, po czym rozlegają się wybuchy śmiechu i wiwaty.

– W kręgle grają? – pyta półgłosem Malcolm.

Keagan kopie w ścianę. Raz i drugi. Strażnik odrywa się od drzwi, marszczy czoło, dobywa miecz. Sięga po klucz i z bronią w ręku wchodzi do środka.

– Co robisz? – syczę. – Nie wiemy przecież, czy jest czarownikiem. Nie wszyscy w Harrow potrafią czarować. Być może nie będzie w stanie nas wypuścić.

Mężczyzna zbliża się coraz bardziej. Trzy stopy od nas, dwie, i wtedy Keagan wyskakuje zza ściany, chwytając go ramieniem za głowę i wciąga na klatkę schodową. Oczy wartownika rozszerzają się gwałtownie, zrozumiał, co się dzieje.

– Zdejmij czar! – rozkazuje Keagan. – Uwolnij nas.

– Nie mogę – jęczy żałośnie strażnik. – Nie jestem magiem, nie znam ani jednego zaklęcia.

– Oj, kłamczuszek – rzuca Keagan. – Przed chwilą rzuciłeś urok na kolegę. Sprawileś, że nie trafił do celu. A zrobiłeś to, żeby wygrać zakład z innym wartownikiem, tym po drugiej stronie dziedzińca.

– Skąd... skąd ty to wiesz?

Równe białe zęby Keagan błyszczą w szerokim uśmiechu.

– Jeśli dorosły człowiek obserwuje partię kręgli z takim zacięciem, jakby obserwował pojedynek na miecze, to muszą za tym stać pieniądze. No dobrze, wypuść nas, a pozwolę ci zachować twój sekrecik i wygraną.

Wartownik odpowiada bezgłośnym przekleństwem. Zaraz potem

mamroce magiczną formułę. Po schodach niesie się przez moment dźwięk przypominający brzęczenie osy i wszystko na powrót milknie.

– Macie dziesięć minut – mówi.

Keagan łapie strażnika za poły płaszcza i popycha w głąb korytarza. Wprowadza go do pustej celi, po czym magicznie stapia zamek, by strażnik nie mógł się wydostać. Pokazuję im drogę do celi z otwartym oknem, przez które dostałam się do środka.

– No to prowadź, wróbelku – zwraca się do mnie.

Wychodzimy na zewnątrz i podbiegamy do zewnętrznego muru więzienia.

– Tędy się wspięłam – tłumaczę Keagan. – W drugą stronę raczej się nam nie uda. Ty może dałabyś radę, ale on... – Wskazuję ruchem głowy Malcolma.

– Jeszcze mógłbym cię niejednym zaskoczyć – rzuca on.

– Nie wątpię, mój panie.

Keagan krzywi się, słysząc mój oficjalny ton. A to przecież moja jedyna broń, jedyna, jaką kiedykolwiek mogłam się przeciw niemu posłużyć.

Malcolm podchodzi do muru z tą swoją niezmienną arogancką miną. Pluje w dłonie, zaciera je i przytyka do kamienia, szuka uchwytu. Keagan rzuca mi znaczące spojrzenie. Wzruszam ramionami. Cóż, może jednak sobie poradzi.

Malcolm zaczyna się wspinać. Ku memu wielkiemu zdumieniu idzie mu to sprawnie. Jest już trzy stopy nad ziemią, pięć, dziesięć... Podchodzę do muru. Worek zarzucam na plecy, po czym przeciągam dłońmi po piasku. Keagan robi to samo i wchodzi na ścianę obok Malcolma. Ja zostaję na razie na dole.

Mniej więcej dwadzieścia stóp nad ziemią Malcolm trafia stopą na obłuzowany kamień. Natychmiast przesuwa ciężar na drugą nogę, lecz mur i tak się kruszy. Wyłamany kawałek frunie bezszelestnie w powietrzu i z głuchym stukotem upada na piasek. Malcolm zawisa na dłoniach, stopy kołyszą się na wszystkie strony, poszukują oparcia.

Nie znajdują. Spada bez słowa skargi. Z zapartym tchem wyliczam w myślach, co może sobie połamać: kości stóp, piszczele, stawy w kolanach, może nawet kręgosłup. On jednak ląduje na stopach, po czym

przewraca się i przetacza, by zmniejszyć energię zderzenia. Dla mnie to nic nowego, lecz nie miałam pojęcia, że on też to potrafi.

Malcolm podnosi się i otrzepuje brud ze spodni. Nie wygląda na rannego, nie wydaje się nawet zawstydzony.

– Mogłeś sobie coś złamać – zauważam. – Gdzie się nauczyłeś tak wspinać?

– Kiedy miałem trzynaście lat, noc w noc odwiedzałem karczmy na Starym Targowisku – odpowiada ze wzruszeniem ramion. – Zapewniam cię, że nie były to oficjalne wizyty.

– Poruszająca opowieść. – Keagan opada na ziemię obok niego, zwinnie niczym kotka. – Straciliśmy przez ciebie sporo czasu. Gdybyś się połamał, stracilibyśmy jeszcze więcej. A bądź pewien, że nie zamierzam cię nosić. – Zamyśla się i przygryza wargę. – Będę musiała odwrócić ich uwagę.

Ruszamy wzdłuż ściany więzienia, aż dochodzimy do końca. Śmiechy strażników i stukot kręgli niosą się echem po tonącym w cieniu pustym dziedzińcu. Keagan wskazuje niską stróżówkę pod murem.

– Podpalę tę budę – mówi. – Niewielki pożar, żeby nie wyglądał na umyślną robotę. Oczywiście i tak dość szybko się połapią.

– I co potem? – pytam.

– Zaczekajcie na mój sygnał – wyjaśnia. – Zorientujecie się. A wtedy co sił w nogach biegnijcie prosto do bramy.

– Tylko nie rób nikomu krzywdy – napominam.

– Nie zrobię. – Keagan przemyka przez dziedziniec i rozplywa się w mroku. Ledwie widzę zarys jej pochylonej sylwetki, gdy zakrada się do wartowni. Nie odrywam od niej wzroku, lecz wciąż wyraźnie i ostro odczuwam bliskość Malcolma. Stykamy się ramionami.

– Bess... – Słyszając jego szept w ciemności, natychmiast cała się napinam, zupełnie jak okrętowa lina.

– Mój panie? – Nie odwracam się.

– Naprawdę chcesz go zabić? Stryja? – Chwila ciszy. – Nie mogę prosić, byś to dla mnie zrobiła.

– Nie zrobię tego dla ciebie – wypowiadam te słowa, nim dociera do mnie, że powinnam milczeć. – Ta sprawa nie ma z tobą nic wspólnego.

Znów milczenie. Dotykające mnie ramię sztywnieje.

– Wasza wysokość – odwracam się pośpiesznie i nieporadnie dygam. – Proszę o wybaczenie. Nie chciałam odezwać się w ten sposób. Ostatnio jestem... – Urywam i rozpaczliwie szukam w głowie gładkich słówek. Od dawna nie miałam okazji szlifować dworskich umiejętności. – Przemęczona – kończę.

Malcolm mruga. Dwa razy, szybko, jakby coś wpadło mu do oka.

– Nie masz za co przepraszać. – Trąca mnie łokciem i pokazuje za plecy. – Spójrz.

Pod niebem frunie samotny, utkany z płomieni ptaszek. Kieruje się zygzakiem ku więziennej bramie. Osiada na żelaznym zamku i rozżarza się jeszcze bardziej. Metal jarzy się bladą czerwienią: topi się. Ptaszek migoce i znika. Mimo że niczego nie widać, wiem, że brama została otwarta.

– Myślisz, że to był ten nasz sygnał? – pyta stłumionym głosem Malcolm. – Mamy biec już teraz?

Waham się. Strażnicy nadal zabawiają się kręglami, niecałe trzydzieści stóp od bramy. Jeżeli ruszymy teraz, to nas zobaczą. Ale drugiej szansy możemy już nie dostać.

– Mój panie – rzucam. – Chodu!

Przebiegamy pięć kroków, może dziesięć. Wtedy rozlega się głośny hurgot, trzask i drzwi wartowni eksplodują na zewnątrz, a ze środka biją płomienie.

– Ej! – krzyczy jeden ze strażników. Wszyscy porzucają kręgle i pędzą w stronę płonącego budynku. Tyle że nie wiedzą, co zrobić, wahają się. Zatrzymują się w pół drogi, skonsternowani mrużą oczy przed żarem. Nie spostrzegli nas, więc biegniemy dalej.

Dzieli nas od nich dwadzieścia stóp. Dziesięć. Spoglądam przelotnie na Malcolma i widzę, że zwalnia. Łapię go za rękaw i pociągam za sobą. Chwilę potem tuż obok wyrasta ściana ognia, wysoka, szeroka i bardzo gorąca. Przed nami wolna droga. Słysząc tupot, pojawia się Keagan i całą trójką wybiegamy za bramę. Keagan zamyka ją za sobą i kolejną falą płomieni roztapia zamek, zatrzymując wartowników na dziedzińcu. Płomienie pożaru unoszą się coraz wyżej pod chmury.

– Nie możemy ich tam zostawić – mówię. – Spalą się, całe

więzienie spłonie. John... – Zawracam i ruszam z powrotem.

Keagan wykonuje zamaszysty gest i syczące czerwone niebo natychmiast ciemnieje. Niewiele już widzę, ale czuję: gęsta woń dymu, kwaśny odór, który wywołuje we mnie wspomnienia z Tyburn, przynosi ze sobą myśli o śmierci.

– Obiecałam przecież, że nikogo nie skrzywdzę. – Keagan chwytam mnie za płaszcz i popycha w pole. – A ja zwykłam dotrzymywać słowa.

– Ale dym...

– Rozwieje się. Za mało go, żeby się udusili. Nie pozwolę ci tam wrócić. Założę się, że najdalej za kwadrans zrozumieją, co się stało. A wtedy powinniśmy już być daleko.

Prowadzę ich po falujących ciemnych łąkach, między drzewami, aż docieramy na rozstaje, gdzie mam się spotkać z Schuylerem.

Po drodze kilka razy się zatrzymujemy, Malcolm potrzebuje wytchnienia. Twierdzi, że wyszedł z upadku bez najmniejszego szwanku, lecz wyraźnie widać, że jest inaczej. Utyka na jedną nogę.

Sądząc po położeniu księżycy, który zaczął się już opuszczać nad zachodnim horyzontem, oceniam, że dochodzi druga w nocy. Z Schuylerem umówiłam się na piątą. Kiedy jednak stajemy u zbiegu dwóch wąskich dróg, bez większego zdziwienia zauważam, że zjawa jest już na miejscu. Siedzi wygodnie na kruszącym się niskim murku – blada sylwetka na tle nocnego nieba. Na nasz widok zeskakuje na ziemię. Pod jego podszwami trzaskają pękające gałązki i źdźbła zmarzniętej trawy.

– Fiu, fiu! Przechodzisz sama siebie, skarbenku – rzuca na powitanie. – Uwalniasz więźniów, puszczasz z dymem Hexham. Tego, zdaje się, nie było w planach?

– Nawet nie pytaj.

Obrzuca spojrzeniem Keagan, w jego oczach pojawia się ostrzegawczy błysk.

– Ty... Masz poważną skłonność do pakowania się w kłopoty – mówi. – A ja bardzo nie lubię kłopotów.

Keagan parska śmiechem, nie ma w niej ani cienia strachu.

– A jesteś przecież zjawą. O ile mi wiadomo, kłopoty to wasza specjalność.

Schuyler ignoruje tę uwagę, odwraca się i spogląda na Malcolma,

który ani drgnie, nie cofa się o krok.

– A ty? – pyta zjawa. – Czy z tobą też będę mieć kłopoty?

– Nie muszę się przed tobą spowiadać – stwierdza spokojnie Malcolm. – Byłbym też niezmiernie zobowiązany, jeśli w przyszłości będziesz się do mnie zwracać per „wasza wysokość”, „wasza miłość” lub po prostu „panie”.

– Prędeż moja noga w piekle postanie.

– Jesteś zjawą. – Malcolm powtarza kwestię Keagan, z identyczną ironią w głosie. – O ile mi wiadomo, oznacza to, że nawet w piekle nikt cię nie chciał.

– Dość – wkraczam między nich. – Jeśli ta wyprawa ma się powieść, a Bóg wie, że to z góry było mocno wątpliwe, nie możecie się przekomarzać jak banda dzieciaków.

Malcolm mruga gwałtownie, w jego spojrzeniu znów pojawia się najszczerze zdumienie. Owszem, dawniej mnie nie rozumiał, lecz teraz, gdy jestem zarówno poza pałacem, jak i zasięgiem jego władzy, kiedy nie gram już roli, którą tak chętnie dla mnie pisał, rozumie mnie jeszcze mniej.

Schuyler pochyła się i podnosi dwa płócienne tobołki, których wcześniej nie zauważyłam. Jeden rzuca Keagan, która chwyta go bez trudu, drugi Malcolmowi, który nawet nie próbuje. Worek upada na ziemię i zawartość rozsypuje się w trawie: ubrania, bukłak, lniane zawiniątko z prowiantem i broń.

– To pomysł Fifer – tłumaczy Schuyler, zanim zdążyłam zapytać. – Powiedziałem, jej, co się stało. Wciąż jest na ciebie wściekła, nie myśl sobie, że nie. Uznała jednak, że nie możesz zabrać ich do Upminster w takim stanie. Dlatego spakowała kilka rzeczy. – Wyjmuje ze swojego worka jeszcze jeden, starannie owinięty tłumoczek i wręcza go mnie.

– Twoja dama to dla nas zrobiła? – Keagan ciekawie zagląda do worka i z szerokim uśmiechem wyławia z wnętrza chleb, ser i kilka owoców. Podnosi jabłko do ust i z jękiem zachwyty odgryza spory kawałek. – Musi być dobrą i przepełnioną współczuciem osobą. Anioł wcielony.

– Ależ skąd. Wprost przeciwnie – kwituje zwięźle zjawa. – Pospieszcie się z jedzeniem. Dzisiaj musimy dotrzeć jak najdalej, na

wypadek gdyby straż umyśliła ruszyć za nami w pogoń.

Być może Fifer rzeczywiście jest na mnie nadal zła, ale nie mogę nie zauważyć, iż spakowała same moje ulubione przysmaki: truskawki, pieczoną przepiórkę, miękki chleb i twarde ser. Nie zdobyła tego w obozie w Rochester, to wiem na pewno. Nieoczekiwanie moją pierś wypełnia fala ciepłych uczuć – myślę o trudzie, jaki sobie zadała, żeby przysłać mi takie frykasy. Całą trójką – zjawy nie muszą jeść – posilamy się naprędce, po czym pakujemy bagaże i ruszamy przez rozległe pola Mudchute. Po drodze mijamy nieliczne farmy i stadka zwierząt. Idziemy aż po brzask, dopóki szare niebo nie barwi się pomarańczowo i żółto, a powieki nie zaczynają nam opadać z chłodu i wyczerpania.

Znajdujemy niewielką dolinkę, przez którą płynie wąska struga. Rozsiadamy się w małym zagajniku. Młode drzewa zapewniają nam wystarczającą osłonę przed wiatrem i deszczem, który zaczął siąpić z ołowianych chmur.

Schuyler wyjmuje z worka brezentową płachtę i rozpina ją między dwoma pniami. Keagan fałą magicznego ciepła osusza trawę, po czym rozpala niewielkie niedymiące ognisko, dzięki któremu robi się nam ciepło jak w letnie południe.

Układamy się wygodnie na ziemi, tobołki wsuwamy sobie pod głowy. Ciepło, trzask płomieni i bębnienie deszczu o brezent uspokajają mnie i rozluźniają. Zamykają mi się oczy i już prawie śpię, gdy dolatuje mnie szept:

– Bess...

Gwałtownie podnoszę powieki. Głos Malcolma, cichy i tak bliski, nawet w blasku dnia sprawia, iż cała sztywnieję. Schuyler obserwuje mnie czujnie z drugiej strony ogniska.

– Śpisz?

Mogłabym nie odpowiadać. Mogłabym powiedzieć: „idź do diabła”. Nie jest już królem, a ja nie jestem jego kochanką. Niczego mu nie zawdzięczam i nie jestem mu nic winna. Posłuszeństwo jednak zakorzeniło się we mnie niezwykle głęboko, niczym z dawna utarty nawyk. Nie umiem zachować się wobec niego inaczej.

– Nie śpię. – Podnoszę się i siadam obok niego.

Malcolm oplata kolana ramionami. Cały dygocze, mimo że ubrany

jest w wełniany płaszcz i jest ciepło.

– Stało się coś? – pytam.

– Nie – zaprzecza. – Właściwie to nie. Chciałem ci tylko zadać pytanie. Coś mnie dręczy.

Niepewność w jego głosie sprawia, iż zaczynam się mieć na baczności.

– Chciałbym się dowiedzieć – zaczyna – dlaczego nie powiedziałaś mi o ziołach, przez które trafiłaś do lochu. Gdybyś mi tylko powiedziała, mógłbym ci pomóc. Naprawdę mogłem coś zrobić.

Jakby wcześniej nie zrobił już wystarczająco wiele.

– Co takiego? – pytam jednak. – Byłeś królem ostro sprzeciwiającym się stosowaniu magii. Ja byłem łowczynią czarownic. Zarabiałam na życie, wymuszając stosowanie twoich praw.

– Dla mnie byłaś kimś więcej niż tylko łowczynią czarownic.

W jego oczach i tonie wyczuwam prośbę, błaganie.

– Wciąż jesteś – dodaje Malcolm. – Wydawało mi się... miałem nadzieję... że i ja dla ciebie jestem kimś więcej niż tylko królem. Mogłaś mi powiedzieć – powtarza uparcie. – Zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, by cię uratować.

W słowach Malcolma zawiera się bezmiar naiwności. Nie uratował własnego tronu, nie potrafił pomóc sobie ani własnej żonie. W jaki niby sposób miałby uchronić mnie?

– Mogłeś mnie uratować, dając mi spokój – rzucam, decydując się wreszcie na szczerość. – Kiedy po raz pierwszy mnie do siebie wezwałeś, miałam ledwie piętnaście lat. Bałam się, a ty byłeś królem. Wcale nie chciałam zostać twoją kochanką, lecz nie pozostawiłeś mi wyboru.

Malcolm otwiera usta i zaraz je zamyka. Po drugiej stronie ogniska pojawia się druga para oczu. Keagan i Schuyler przyglądają się nam z niemą fascynacją.

– To nieprawda – odpowiada wreszcie. – Owszem, zaprosiłem cię do swoich komnat, ale mogłaś przecież powiedzieć „nie” lub w dowolnym momencie odejść.

W tej chwili jestem w stanie tylko wbić w niego spojrzenie. Sama myśl, iż mogłam mu się wtedy sprzeciwić, odmówić czegokolwiek,

wydaje mi się do tego stopnia nierealna, że nie pojmuję, jak on może w to wierzyć.

– Wiedziałem, że masz wątpliwości – przyznaje Malcolm – ale uznałem, przynajmniej na początku, że to po prostu naturalne zdenerwowanie. Tak bardzo chciałem cię uspokoić! Byłem przekonany, że mi się udało, że stajemy się przyjaciółmi. A potem stwierdziłem... – Urywa i przeciąga dłonią po policzkach. – Nie zauważyłem czegoś, czegoś ważnego, prawda? – Ostatnie słowa kieruje bardziej do siebie niż do mnie.

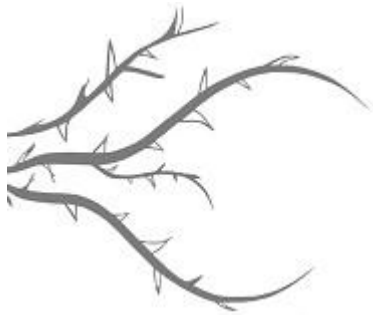
– Wasza wysokość...

– Nie nazywaj mnie tak.

– Przecież jesteś królem. – Nie odpowiada, więc dodaję. – Jesteś królem.

– W takim razie jako król ogłaszam, że jesteś wolna – oznajmia. – Możesz odejść.

Podnosi się i wychodzi spod daszku na deszcz, mija Keagan, Schuylera i zostawia nas samym sobie.



Rozdział 18

Następne dwie doby mijają w kalejdoskopie nocnych marszy i przesypanych dni. Od czasu gdy mnie uwolnił, Malcolm odzywa się rzadko, właściwie wcale nie rozmawia ani ze mną, ani z nikim innym. Trzyma się na uboczu: samotnie sypia, jada, samotnie wędruje. Jednak to milczenie stanowi dla mnie przestrożę i bez przerwy staram się mieć Malcolma na oku. Bacznie zwracam uwagę na to, gdzie jest, co robi i co może zrobić za chwilę.

Fifer za pośrednictwem łączącej ich mentalnej więzi daje Schuylerowi znać, że straż wie już o naszym zniknięciu, lecz nie mają pojęcia, dokąd się udaliśmy. Podejrzewają, iż Keagan z Malcolmem wyruszyli do Cambrii, i w tamtą stronę posłali zbrojny oddział. Większość mieszkańców Harrow jest zdania, że przeszłam na stronę przeciwników, że po tym, co zrobiłam Johnowi, dostrzegłam szansę na ucieczkę i skrętnie z niej skorzystałam. Co do Schuylera, uważają, że po prostu zdezerterował. Ani Fifer, ani Nicholas nie wyprowadzają nikogo z błędu.

Rankiem trzeciego dnia przekroczyliśmy magiczną barierę ochronną Harrow, oznaczoną licznymi ostrzegawczymi tablicami, pokrytymi rysunkami trupich czaszek, płomieni i krzyży. Do Upminster został nam już tylko dzień drogi na południowy wschód, przez Hainault i południowy skraj Walthamstow. Na przedmieścia docieramy tuż przed zachodem i tu rozbijamy obóz na noc.

O świcie zjadamy resztki prowiantu od Fifer i osuszamy buklaki. Następnie kolejno chowamy się za drzewami i przebieramy w stroje przewidziane specjalnie na tę część podróży.

Schuyler i Malcolm otrzymali szorstkie wełniane spodnie, muślinowe bluzy, znoszone buty i zakaz porannego golenia. Keagan i ja

zakładamy sfatygowane sukienki z brązowej wełny i proste skórzane cizemki. Głowy nakrywamy białymi lnianymi czepkami. Wyglądamy pospolicie, niczym grupka służących – a konkretnie, służących zatrudnionych w Ravenscourt.

Pod wierzchnim odzieniem natomiast sprawiamy zupełnie odmienne wrażenie. Wszyscy czworo uzbroiliśmy się po zęby: sztylety trafiają do cholew, za ukryte pod sukienkami i koszulami pasy. Azotha wsuwam do zawieszanej pod spódnicą pochwy. Zew magicznego ostrza czuję wyraźnie. Gorącym, pulsującym rytmem na udzie nakłania mnie do przemocy. Nie mogę powiedzieć, że to nieprzyjemne doznanie.

– Jak dotąd szczęście nam sprzyjało. – Keagan krzywi się, zaciągając wstążki czepka. Teraz, gdy ukryła zmierzwione krótkie włosy, wygląda bardziej kobieco, dziewczęco nawet, i dobrze o tym wie. – Odkąd opuściliśmy Harrow, nikogo nie spotkaliśmy, nic się nie działo. Nie chciałabym siać niepokoju, ale coś tu jest nie tak.

Schuyler stoi nieco z boku, raz po raz sprawdza broń.

– Myślisz, że Blackwell spodziewa się naszej wizyty? – Spogląda na mnie pytająco.

Zastanawiam się. Kilka miesięcy temu, kiedy zakradliśmy się do Greenwich Tower w tłumie balowych gości, byłam przekonana, że uda nam się zaskoczyć Blackwella. Sądziłam, że wystrychnęliśmy go na dudka, podczas gdy on wiedział o wszystkim od samego początku. Czekał tylko na dogodny moment.

– Nie wiem – przyznaję. – Też się dziwię, że nie wpadliśmy po drodze na nikogo. Spodziewałam się żołnierzy, gwardzistów... Kiedy byłam łowczynią czarownic, Blackwell noc w noc wysyłał nas na rekonesanse. Patrolowaliśmy wszystkie wioski w promieniu pięćdziesięciu mil od Upminster.

– Cóż, teraz chyba zmieniło się prawo – zauważa zjawą.

– Na pewno nie do tego stopnia – rzucam.

Idziemy przez maciupkie osady, gdzie drewniane chaty i kamienne domy tulą się do ubłoconych uliczek. W miarę jak zbliżamy się do miasta, budynki stają się stopniowo coraz większe i gęściej wzniesione. Wciąż jednak nie dzieje się nic niecodziennego. Napotykanii ludzie zajmują się zwykłymi sprawami: handlarze pchają wózki z towarem,

praczki taszcą kosze bielizny, we wszystkich mijanych przez nas gospodach i sklepach drzwi i okna stoją otworem. Jak na razie zupełnie nic nie wskazuje, by ktokolwiek nas śledził. Ponownie jednak przypominam sobie noc balu, wtedy również nic nie zwiastowało problemów.

Upminster wygląda tak, jak kiedy oglądałam je po raz ostatni, ostatniego dnia wolności. Chociaż, poprawiam się w myślach, jednak o niebo lepiej. Dzisiaj nikt nie protestuje, na ulicach nie zbierają się tłumy, nikt nie płonie na stosie. W powietrzu unosi się woń błota i gnoju, skóry i zwierzęcych ciał. Słysząc pokrzykiwania i śmiechy, terkotanie kół na bruku.

Zerkam na Schuylera. Jego sztywna, wyprostowana postawa świadczy o tym, że nasłuchuje. Bada myśli otaczających nas ludzi, próbuje wyłowić niebezpieczeństwo wprost z powietrza, niczym dziecko starające się złapać nasionka dmuchawca. Keagan również ma się na baczności; jej sukienka, czepek i świeża piegowata twarz zupełnie nie pasują do bystrych spojrzeń myśliwego na łowach. Zagląda w każdy zaułek, obok którego przechodzimy. Zewsząd spodziewa się zasadzki.

– Nic niepokojącego – odpowiada Schuyler, zanim zdążyłam spytać na głos. – Wszyscy zdają się spokojni. Nie wyczuwam w pobliżu gniewu, żadnych myśli o oszustwie. W każdym razie nie są gorsze niż zazwyczaj. Widzisz tego gościa? – Wskazuje ruchem głowy stojącego na rogu kupca. Mężczyzna opiera się na miotle. – Zastanawia się właśnie, w jaki sposób powiedzieć żonie, z którą żyje od dwudziestu lat, że zostawia ją dla dwudziestoletniego chłopaka. A jego żona... – kiwa palcem w kierunku kobiety, po drugiej stronie ulicy opierającej się o drzwi, która ma zamknięte oczy, wygląda na chorą – ... zbiera odwagę, by powiedzieć mężowi, że jest w piętnastym tygodniu ciąży. To jej piąte dziecko. Tyle że tym razem nie ich wspólne.

– Kłopoty nie pojawią się ot tak, po prostu na naszej drodze – zauważa Keagan. – Podkradną się od tyłu, w cieniu, zza winkla. Dopadną nas wtedy, gdy się rozluźnimy, kiedy uwierzmy, że jesteśmy bezpieczni.

– Dokąd więc mamy pójść? – pyta Malcolm. – Skoro niebezpieczeństwo czyha na każdym kroku?

– Najlepszą kryjówką jest pozostać na widoku. – Keagan obniża głos. – Tak właśnie zrobimy. Wejdziemy do Ravenscourt główną bramą.

– Wybacz – spogląda na nią Schuyler – spodziewałem się po tobie mądrych wskazówek. Zamiast tego częstujesz nas bredniami.

– Naprawdę nie ma sensu próbować się chować – tłumaczy Keagan. – Cały pałac obłożony jest magicznymi zabezpieczeniami. Dosłownie cały. Nie dostrzegasz ich, ponieważ są przemyślnie zamaskowane. Widzicie latarnie na bramie? Zakłęcie zmieni barwę płomieni na zieloną, gdy tylko wykryje podstępne myśli. A posągi wzdłuż promenady? Wystarczy cień zagrożenia, a ożyją i zaatakują.

Przyglądam się im: kamienni rycerze z mieczami w dłoniach siedzą na kamiennych koniach, gryfy ściskają w szponach magiczne różdżki, wielkie rumaki podnoszą łby o rogach ostrych niczym włócznie.

– Widziałam kiedyś, jak przebijały tymi rogami ludzi – ciągnie Keagan. – Widziałam też, jak gryfy poderwały się do lotu tylko po to, by gwałtownie opaść i porwać przechodniów wprost z ulicy. Bóg jedyny raczy wiedzieć, dokąd ich zanosły.

Wymieniamy się z Schuylerem przelotnymi spojrzeniami.

– Wcześniej o nich nie wspominałaś – zauważam. – Mówiłaś tylko o gargulcach.

– Czy gdybym ci powiedziała, zmieniłabyś plany? Nie – odpowiada za mnie. – Niczego by to nie zmieniło.

Idziemy brzegiem Severn. Rzeczne życie tętni w najlepsze: właściciele kryp przewożą pasażerów wzdłuż nabrzeża, dalej, gdzie nurt jest głębszy, tłoczą się flotylle większych statków. Maszty strzelają wysoko, żagle furkocą pod słonym szarym niebem. Przemierzamy Stare Targowisko – zawiły labirynt wąskich, mrocznych alejek, gdzie roi się od karczm i jaskiń hazardu, od pijaków i rajfurek naganiających klientów do domów rozpusty. Malcolm naciąga czapkę głęboko na oczy. Nie chce, by ktoś go rozpoznał.

Wreszcie docieramy do Westcheap Road, szerokiej arterii prowadzącej prosto do Ravenscourt. Kłębią się tu ludzie i zwierzęta, sprzedawcy i kupujący. Mijamy dawniej tłoczny plac w Tyburn. Teraz jest tu pusto – nie ma ludzi, szafotu, nie ma łańcuchów i kajdan. Przed nami widnieje pałacowa brama – jest szeroko otwarta, lecz nie sprawia

zachęcającego wrażenia.

Ravenscourt jest ogromny, to największa z królewskich rezydencji Malcolma, obecnie należąca do Blackwella. Wzniesiony z czerwonej cegły i kamienia gmach opatrzono licznymi łukowato sklepionymi oknami i wrotami. Ściany ozdobiono eleganckimi rzeźbionymi rozetami i wysokimi witrażami. Ponad budowlą strzelają wieże i iglice, upstrzone powiewającymi na wietrze flagami. Całość zajmuje pięćdziesięcioakrowy szmat terenu nad brzegiem Severn, mieszka tutaj i pracuje ponad tysiąc dworzan.

Gdy byłam tu ostatnim razem, stałam wśród protestujących mężczyzn i kobiet, słuchałam wymierzonych przeciwko królowi okrzyków. Demonstranci przynieśli ze sobą ciężkie młoty, którymi niszczyli wiszące na żelaznym ogrodzeniu kamienne tablice, na których spisano panujące w Anglii prawa. Teraz tych tablic nie ma. Zniknęły, podobnie jak prawa, jak król, podobnie jak rozumny porządek w kraju.

– Nie zatrzymujcie się – rzuca Keagan, idąc prosto przed siebie. – Nie zwalnijcie, nie wahajcie się, nie rozglądajcie. W miarę możliwości starajcie się nie myśleć o niczym. A przede wszystkim nie rozmyślajcie o przemocy.

– A latarnie? – Spoglądam na nie. Oświetlają ciągnącą się przed nami promenadę, płomyki kołyszają się lekko, mieniąc się rozmaitymi odcieniami żółci, różu i czerwieni. – Mówiłaś, że jeśli wykryją fałsz lub podstęp, zaświecą na zielono. Przecież wydadzą nas, gdy tylko wejdziemy.

– Fałsz przynoszą ze sobą wszyscy odwiedzający Ravenscourt – odpowiada Keagan. – Latarnie reagują dopiero na odpowiednio wysoką intensywność tego rodzaju emocji. Niewierni mężowie przechodzą bez problemu. Przebrani za służących królobójcy nie. Chyba że się postarają i nie będą myśleć o swoich planach. Skupcie się więc na czym innym.

– Skąd wiesz, że to pomoże?

– Nie wiem – przyznaje Keagan. – A teraz przestań już gadać, oczyść umysł i idź.

Wchodzimy pod bramę. Maszerujemy szybko, niesieni udawaną pewnością siebie. Wielkie wrota opierają się na dwóch kolumnach z czerwonej cegły, wysokich na dziesięć stóp i szerokich na cztery. Na

nadprożu siedzi kamienny lew. Nieruchomy strażnik, nieruchomy z wyjątkiem czujnych oczu, które niezmordowanie omiatają kłębiący się dokoła tłum. Wszystkowidzące, nieczułe ślepia. Magia wrze wszędzie, gdzie nie spojrzę. Flagi na wieżyczkach łopocą wesoło na tle szarego nieba, mimo że wiatr ucichł już jakiś czas temu. Nad naszymi głowami krążą stada kruków niczym burzowe chmury – ich oczy nie są wcale żółte, lecz krwistoczerwone – zakłete i rozumne.

Keagan zaciska mocniej pięści, to jedyne świadectwo jej napięcia. Schuyler fałszywie nuci nieznaną mi piosenkę. Idący obok mnie Malcolm coś szepce. Nie rozumiem słów, lecz ich rytm wydaje mi się w pewien sposób znajomy. Wreszcie przekraczamy łukowate wrota pałacu i wchodzimy na wewnętrzny dziedziniec. Niebezpieczeństwo jest tu niemal namacalne. Czuję jego zapach w powietrzu, dodatkowo zaostrzony wonią dymu z kuchni, kojarzącego mi się z płonącymi stosami. Słyszę je w marszowym stukocie butów na kocich łbach; w krokach dworzan, petentów, paziów i służących, brzęcących jak kroki nadchodzących inkwizytorów. Zagrożenie otacza nas zewsząd. Toniemy w nim.

Na środku dziedzińca stoi fontanna – biały marmur, wyrzeźbione na kształt lwich łbów dysze. Za panowania Malcolma dzień i noc tryskało z nich czerwone wino. Uważał, że to wielce zabawne. I takie było – wokół zawsze tłoczył się rozbawiony, roześmiany tłum. Teraz wesołość znikła, a z fontanny nie strzela nic. Smugi winnego osadu na białym kamieniu przypominają plamy zakrzepłej krwi.

Wtem Schuyler milknie, przestaje nucić. Zanim zdążyłam się zastanowić, z jakiego powodu, dolatują mnie dźwięki: okrzyki, donośny tupot, stłumiony i prędko narastający pomruk paniki wśród ludzi. Odwracam się i widzę gwardzistów: sześciu uzbrojonych mężczyzn w czerni maszeruje w naszą stronę. Ciężba rozstępuje się przed nimi, niczym mrówki uciekające przed cieniem ciężkiego buciora.

Malcolm sięga pod bluzę i szuka rękojeści sztyletu. Schuyler, zamiast śpiewać, wyrzuca z siebie litanię szeptanych przekleństw. Keagan tymczasem stoi jak wryta, jeszcze mocniej zaciska pięści. Tylko ja jedna widzę wykwitające na nich pomarańczowe, czerwone i białe przebarwienia – zakłęcie ognia jest gotowe.

Zbrojni kierują się ku mężczyźnie stojącemu tuż przy fontannie, niecałe pięć stóp od nas. Zaczyna uciekać. Gwardziści ruszają w pościg, lecz zanim go dopadają, spod nieba spływa chmara kruków. Smoliste pióra furkocą, gardłowe krakanie rozdziera powietrze, dokoła roznosi się paskudny fetor kurzu. Ptaszyska powalają zbiega na ziemię, rozszarpują mu pazurami ubranie, po czym kierują szpony i dzioby ku jego twarzy – oczom i ustom. Ludzki wrzask miesza się z ptasim jazgotem.

– Idziemy stąd – Keagan syczy mi do ucha – i to już.

I rzeczywiście idziemy – nic nie zwraca uwagi bardziej niż bieg. Przeciskamy się przez tłum gapiów, obserwujący makabryczną scenę z trwożliwą fascynacją. Wchodzimy pod opasujące cztery strony dziedzińca arkady. Wybieramy trzecie drzwi z kolei i trafiamy do mrocznego korytarza.

Bez słowa zagłębiaamy się w labirynt Ravenscourt. Mijamy kwatery, gabinety, niewielki podwórzec i wreszcie trafiamy do skrzydła kuchennego – komnata podczaszego, piwniczka z winem, spiżarnia, piekarnia i chłodnie na mięso. Po chwili ponownie wychodzimy na świeże powietrze – na ciemną i zimną alejkę, ku której cały czas prowadziłam. Rybny Zaułek. Biegnie tuż przy jednej z licznych kuchni pałacu i przechowuje się tutaj świeżo złowione w Severn ryby, stąd nazwa i zapach. Schuyler i Keagan zaciskają nosy palcami. Malcolm tłumy mdłości i zakrywa dłonią usta.

– Przestańcie – rzucam. – Macie wyglądać na służących. Powinniście być przyzwyczajeni.

Spoglądam na Malcolma, który oparł się o zimną ceglana ścianę. Nie zatyka już ust, lecz zgiął się w pasie i wpatruje pod nogi. Wygląda, jakby miał zwymiotować, choć odnoszę wrażenie, iż wcale nie z powodu rybiego fetoru.

– Człowiek, którego zaatakowały ptaki – odzywam się. – Czy to ten, o którym myślę?

– Tak, kapelan stryja – potwierdza. – Znali się, odkąd stryj był małym chłopcem. Nie mam pojęcia, czym mógł sobie na to zasłużyć.

– Przeszkadzał – rzucam, ponieważ problemy z Blackwellem zawsze sprowadzają się właśnie do tego. – Stał mu na drodze.

Malcolm kiwa w milczeniu głową. Prawda zaczyna docierać

wreszcie i do niego.

– Zainteresowały się nami. – Schuyler przygląda się łopoczącym nad naszymi głowami czarnym skrzydłom. Czerwone, zakłete ślepia przenikają cienie alejki. – Dokąd teraz?

Prowadzę ich alejką ku zielonym drzwiom na końcu. Po drugiej stronie znajduje się pomieszczenie, w którym przechowuje się świeże półcie mięsa i nigdy, przenigdy nikogo tu nie ma. Nie bez powodu: cuchnie jak w rzeźni. W środek posadzki wprawiono dużą kratę, przez którą spływa krew ociekająca z co najmniej pół setki zawieszonych na hakach tusz. Pochyliam się i podnoszę kratę. Z dołu bucha smród znacznie gorszy od tego, który otacza mnie na górze.

– Wiedziałam, że czeka nas brudna robota – Keagan zadziera piegowaty nos, czym bardzo przypomina mi Fifer – ale nie miałam pojęcia, że do tego stopnia.

– Gdyby te kruki wydziobały ci oczy, ubrudziłabyś się bardziej – zauważam. – Do środka.

Keagan niechętnie opuszcza się w głąb tunelu, Malcolm i Schuyler idą jej śladem. Zjawa kręci głową i wypluwa z siebie strumień przekleństw. Moje myśli mimowolnie ulatują ku Johnowi – on również często klął, radośnie i ze swadą. Bardzo mnie to bawiło. Zastanawiam się w duchu, czy wciąż siedzi za murami Hexham, czy może po naszej ucieczce rada postanowiła go uwolnić. Zastanawiam się, czy nadal może używać takich słów, na jakie tylko ma ochotę, czy musi się hamować, czy kiedykolwiek o mnie myśli, choćby z nienawiścią.

– Wróbelku – Keagan wygląda z ciemnego przejścia, wyrywa mnie z zamyślenia – może już pójdziemy?

Przeciskam się przez otwór w podłodze. Wewnątrz cuchnie gnijącym mięsem. Stąpamy po lepkich kałużach krwi. Po ścianach czmychają karaluchy, w błocie wiją się czerwie. Ciasny korytarzyk rozgałęzia się w zawiłą sieć tuneli i prowadzę towarzyszy naprzód. Po chwili brniemy naprzód już na czworakach, brudni i przemoczeni.

Naprawdę jest w tych kanałach ohydnie, Keagan miała rację. Przedtem szłam tędy tylko raz w życiu, nocą, kiedy wykradłam się z pokoju i przemknęłam do portu, skąd popłynęłam promem do jednego z miejskich domów rozpusty. Do zaniedbanego pokoiku w wąskim

drewnianym budynku nad rzeką. Mieszkała tam pewna mądra zielarka, o której dowiedziałam się od kuchennych służek. Ta kobieta potrafiła rozmawiać z umarłymi, była w stanie sprawić, żeby chłopiec zakochał się w dziewczynie, pomagała też zejść w ciążę bądź jej zapobiec.

To od niej dostałam liście mięty i sylfionu. Przykazała mi je dusić przez trzy dni w czasie nowiu. Nauczyła mnie, jak należy zamaskować nieprzyjemną woń innymi ziołami. To ona – gdy wychodziłam – powiedziała: „Te zioła sprawią, że nie wpadniesz w kłopoty, ale nie sprawią, że kłopoty znikną”.

Naprawdę mądra kobiecina.

Wkrótce w ciemności pojawiają się jasne prześwity, blask przeciska się przez wilgotne szpary w powale. Spływają ku nam ludzkie głosy i dźwięki kroków. Towarzyszy im woń pieczystego, słodki aromat ciast, zapach drożdży i świeżego pieczywa. Przechodzimy pod główną kuchnię pałacu, tam, dokąd mieliśmy trafić.

Układamy tobołki i szykujemy się do nocnego odpoczynku. Keagan osusza nasze ubrania krótkim podmuchem żaru, ale nie pozwalamy jej rozpalić ogniska. Ciepły prąd powietrza z kanałów mógłby zwrócić czyjąś uwagę.

Czekają nas dłużące się godziny wieczoru, tym dłuższe, że w tunelu panuje chłód i wilgoć, że nie mamy nic do jedzenia, a woń kolacji unosi się w powietrzu jeszcze szmat czasu po zamknięciu kuchni.

Powtarzam półgłosem plan na jutro, przypominam towarzyszom każdy szczegół i wszystkie drobnostki, omawiam każdą ewentualność. Niczego nie zostawiam przypadkowi. Ukryję się w prywatnej królewskiej loży w kościele, nie większej niż spora szafa, skąd roztacza się widok na kaplicę, na pokryte ciemną boazerią ściany, drogie zasłony z czerwonego jedwabiu i zdobiony bogatymi malowidłami sufit. Właśnie tam Blackwell codziennie wysłuchuje porannych nabożeństw i tam na niego zaczekam. Tam wyciągnę z ukrycia Azotha i wbiję mu jego ostrze w pierś. Będę patrzeć, jak wypływa z niego krew, magia i władza, jaką miał nade mną, nad Johnem i nad całą Anglią.

Odpoczynek nie przychodzi łatwo żadnemu z nas. Keagan leży bezsennie i godzinami przewraca się z boku na bok. Schuyler siedzi pod ścianą z założonymi na piersi rękoma. Powieki ma opuszczone, lecz nie

śpi. Zjawy nie potrzebują snu.

Malcolm wierci się obok mnie: to splata ręce, to je rozkłada, opatula się płaszczem, przeczesuje włosy palcami. Co i rusz przechodzi go dreszcz i nie jestem pewna, czy to skutek zimna, czy napięcia. Jego zachowanie dodatkowo wzmacnia moje zdenerwowanie i wreszcie nie wytrzymuję.

– Co takiego szeptałeś? – pytam. – Wcześniej na promenadzie? Te słowa wydawały mi się znajome. Co mówiłeś?

Słyszając mój głos, Malcolm gwałtownie odwraca ku mnie głowę i, na co miałam nadzieję, nieruchomieje.

– Modlitwa na przeddzień bitwy – odpowiada. – Znasz ją? „Poznać Cię, znaczy żyć, służyć Tobie, znaczy panować; bądź naszą tarczą i uchron nas ode złego...”

Gdy słyszę deklamację Malcolma, rozpoznaję tekst natychmiast i równie szybko żałuję, że uległam ciekawości. Frances Culpepper, łowczyni czarownic Blackwella, jedyna poza mną dziewczyna i jedyna, nie licząc Caleba, zaprzyjaźniona ze mną osoba, odmawiała ten pacierz przed próbami. Twierdziła, że ten zwyczaj przynosi jej szczęście, że dzięki modlitwie wciąż żyje. Właśnie słowa tej modlitwy były ostatnimi, jakie usłyszałam z jej ust. Frances zginęła w trakcie ostatniego sprawdzianu.

– Znam ją.

– Powtarzałem tę modlitwę przed oficjalnymi spotkaniami – podejmuje Malcolm – Przed posiedzeniami rady królewskiej, rozmowami z posłami, dyplomatami, doradcami, kanclerzami, weteranami, petentami, parafianami...

– Czyli właściwie przed każdym spotkaniem?

Parska stłumionym śmiechem. Malcolm nigdy nie powstrzymywał wybuchów wesołości, lecz dzisiaj głos mu się łamie i drży, przez co on wydaje się słabym małym chłopcem. Zupełnie jakby każdy inny rodzaj śmiechu był w jego wykonaniu sztuczny i na pokaz. Choć może w tej chwili udaje?

– Ta modlitwa dodawała mi odwagi, a odwaga była mi bardzo potrzebna – przyznaje. – Wszyscy ci ludzie, Bess... Elizabeth... byli straszni, nie masz nawet pojęcia. Każda rozmowa okazywała się istną

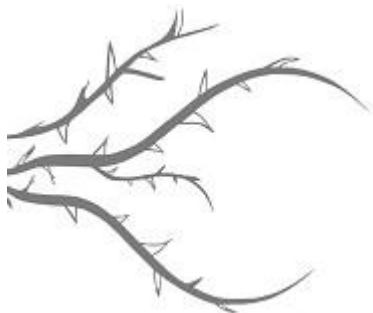
bitwą. Miałem wrażenie, że pragną mojej krwi. Któż mógł przypuszczać? Okazało się, iż naprawdę jej chcieli.

Nie komentuję. Dlatego że ma rację. Dlatego, że nie rozumiem, jak mógł nie dostrzec tego wcześniej. Owszem, Blackwell był prawdziwym mistrzem podstępu, zwłaszcza w kontaktach z Malcolmem. Ale i Malcolm, równie mistrzowsko oszukiwał sam siebie.

– Jak myślisz, jak nam jutro pójdzie? – Malcolm składa dłonie przy ustach, chucha w nie i rozciera. – Myślisz, że twój plan wypali? Czy... – Raz jeszcze ogrzewa oddechem zziębnięte dłonie.

– Wszystko się uda – odpowiadam. – Blackwell jutro umrze. Nawet gdybym miała zapłacić za to życiem.

Spoczywający przy moim boku Azoth wydaje z siebie cichy pomruk aprobaty.



Rozdział 19

Zawieszony na wieży zegarowej dzwon bije trzy razy. Schuyler trąca mnie w nogę, ale nie trzeba mnie budzić, bo i tak nie śpię. Trzecia rano. Czas ruszać. Żołądek zaciska mi się w ciasną kulę, burczy poruszony niepokojem, niecierpliwością i poczuciem nieodwołalności.

Wyjmujemy bandolierę i wkładamy do niej broń. Kiedy sięgamy po kolejne sztylety, w kanale rozlega się odgłos tarcia stali o kamień. Przeciwko Blackwellowi, przeciwko jego ludziom i ich magii, noże są praktycznie bezużyteczne, lecz żadnej innej ochrony nie mamy.

To nie do końca prawda. Przecież wzięłam Azotha. Tak, ale magiczne ostrze ma zostać wykorzystane tylko raz, przeciw Blackwellowi. Ma mi pozwolić zakończyć to, co zaczęłam. Gdybym używała miecza częściej, jego klątwa wzmocniłaby swą władzę nade mną i nie mogłabym przestać zabijać.

Wsuwam Azotha do pochwy pod sukienką. Niemal natychmiast moją głowę i serce wypełnia coś podobnego do szeptu, cichy zew.

„Poznasz przekleństwo siły i mocy” – obiecuje. „Klątwę niezwycięzonej siły. Przekleństwo wiecznych zwycięstw. Klątwę obdzierania wrogów ze skóry, klątwę wiecznej samotności. Póki i ty, i przeciwnik pozostaniecie przy życiu”.

Schuyler gwałtownie zerka w moją stronę. W jego szeroko otwartych oczach maluje się niepokój. Energicznie kręci głową. Głos i ciepło Azotha znikają, wydając mnie na pastwę zimna i niepewności.

– Jesteś pewna, że będziemy sami? – Keagan zadaje to samo pytanie, z którym wczorajszej nocy zwróciła się do mnie co najmniej sto razy.

– Nie, nie będziemy sami – przypominam. – Razem z nami pojawiają się tam pomywacze i paziowie. Będą rozpalać ogień, opróżniać nocniki,

rozsypywać świeżą słomę na posadzkach. Ale będą skupieni wyłącznie na pracy. W dodatku wszyscy będą ubrani jak ja. Nikt nie zwróci na mnie uwagi.

– A masz pewność, że nikt cię nie rozpozna? – Ochryply z wyczerpania i strachu głos Malcolma rozcina smętną ciemność.

– O tej porze wszyscy na wpół jeszcze śpią – tłumaczę. – Poza tym to dzieci. Nikt mnie tu wcześniej nie widział. Nie wykonywałam tych obowiązków od dawna. – A konkretniej odkąd skończyłam dziewięć lat i awansowałam na poziom kucharki i pokojowej. Gdyby zobaczyli mnie wyżej postawieni służący, na pewno by mnie poznali. Ale tego plan nie przewiduje. Według planu zniknę znacznie wcześniej, zanim stawią się do pracy.

– Kiedy uznam, że możecie bezpiecznie wejść na górę, zastukam trzy razy. Zakradniemy się tylnymi schodami, prosto do komnaty paziów.

– A loża? – odzywa się Malcolm. – Masz pewność, że stryja tam nie będzie? No i magia. Czy jesteś przekonana...

– Jestem – ucinam. – I wy również musicie być przekonani. Nie możemy sobie pozwolić na zwątpienie, nawet na chwilę wahania. Niepewność zniweczy plan i zabije nas wszystkich. Rozumiecie?

Cała trójka kiwa w milczeniu głowami.

Schuyler unosi kratę i z cichym brzęknięciem odsuwa ją na bok. Podstawia mi złączone dłonie, a ja na nich staję. Bez trudu unosi mnie jednym płynnym ruchem i jestem już w kuchni. Oswojenie się z tym miejscem zajmuje mi kilka chwil. Znów jestem tu, gdzie spędziłam dzieciństwo, gdzie tak często towarzyszył mi Caleb. W miejscu, gdzie się ta historia zaczęła i gdzie, jeżeli wszystko przebiegnie zgodnie z planem, znajdzie swój koniec.

Widok zimnych kamiennych podłóg, ciepłego ceglanego paleniska, pokrytych białym gipsem, ubrudzonych sadzą ścian, wraz z zapachem mąki i przypraw, wonią ognia i pieczeni, wystarczają, by przepełnić mnie zarazem szczęściem i smutkiem, tęsknotą i żalem. Nic się nie zmieniło. Szereg niskich, pękatych pieców do chleba. Piramidy garnków, czajniki. Sterty polan na opał. Stoły, na których czekają potrawy w różnym stopniu przygotowania: gotowe do wypieku bochny chleba w

lnianych szmatkach, sprawiony dzik, nabity na żelazny ruszt, gotowy do pieczenia. Przechodzę do niegdyś rutynowych porannych zajęć z takim uczuciem, jakbym włożyła stary płaszcz. Zamiatam podłogę, zbieram starą słomę i wkładam ją do kosza przy tylnym wyjściu, przynoszę naręczę świeżej. W drzwiach pojawia się buzia małej służki, ma nie więcej niż dziesięć lat. Zauważa, że wykonuję jej pracę, lecz jeśli nawet jest zdziwiona, to senność nie pozwala jej tego okazać. Grzbietem dłoni tłumi ziewnięcie i odwraca się, przechodzi do innych zajęć.

Tupię w podłogę. Raz, dwa, trzy razy. Coś zgrzyta i brzęczy. Krata znika, a w jej miejsce pojawiają się Schuyler, Keagan i Malcolm. Ruszam ku tonącym w cieniu schodom na zapleczu kuchni i przywołuję towarzyszy skinieniem ręki.

Na górze komnata paziów. Długie i wąskie pomieszczenie. Z jednego końca zamknięte nierozpalonym kominkiem, z drugiego – pojedynczymi drzwiami. Środek zajmuje drewniany stół. Na blacie kielichy i miski, obrusy i sztucce, których służący użyją, nakrywając Blackwellowi do śniadania. W pokoju jest niemal zupełnie ciemno, mrok przeszywa jedynie wpadające przez okno samotne ostrze księżycowego światła, oświetlając blade ściany, przydając im żółtawego odcienia.

Mijając stół, przesuвам palcem po krawędzi zimnego cynowego pucharu i myślę – tylko przez krótką chwilę – jak łatwo byłoby podsunąć Blackwellowi truciznę. Odrobina pokrzyku na talerzu bądź w kielichu. Wystarczyłby kęs lub łyk i wszystko skończyłoby się po pięciominutowym pokazie spazmów i wrzasków. Coraz wolniejszy oddech, coraz wolniejszy puls. To takie łatwe. Z pewnością łatwiejsze niż nasz plan.

Schuyler obrzuca mnie spojrzeniem, bez wątpienia odczytał moje myśli. Wzrusza jednak ramionami. Równie dobrze jak ja zdaje sobie sprawę, że próba otrucia nie wchodzi w grę. Po pierwsze, nie mamy trucizny. A po drugie i ważniejsze, Blackwell zawsze jada w towarzystwie pazia, który próbuje przed nim wszystkich potraw. Tego rodzaju ludzie dobrze znają swoich wrogów, choć niekoniecznie osobiście. Wystarczy, że znają ich metody.

Jedno za drugim wychodzimy na długi korytarz, zwany galerią. Galeria prowadzi z pokoju paziów do komnat królewskich, obecnie

komnat Blackwella, po drugiej stronie pałacu. Szłam tędy sto razy, tysiąc razy. Kiedy wzywał mnie Malcolm i kiedy wzywał nas Blackwell. I zawsze było tu jak dzisiaj: cicho, pusto, mrocznie. Na wyłożonych drewnianą boazerią ścianach kopci tylko kilka pochodni.

Skradamy się w milczeniu. Czterdzieści, sześćdziesiąt, sto kroków. Mijamy portret za portretem. Złoczone ramy, a w nich olejne wizerunki. Lecz nie są to jak dawniej twarze Malcolma, jego ojca i dziadka. Na każdym obrazie widnieje oblicze Blackwella. Blackwell na tronie, na polu bitwy, w gronostajach, z berłem, w koronie.

Ciekawe, zastanawiam się, kiedy zlecił namalowanie tych wszystkich portretów? Przez ile miesięcy trzymał je w ukryciu, do tego stopnia pewny sukcesu, że zamówił je jeszcze przed przejściem władzy?

Przed nami galeria skręca w prawo i w tym miejscu się zatrzymujemy. Ostrożnie wyglądam za róg. Okna z prawej strony wychodzą na położony niżej dziedziniec. Pod lewą ścianą znajduje się niewielki kominek. Słaby ogień oświetla kolejne złoczone portrety naszego nieprawowitego władcy. Za nimi zamknięte podwójne drzwi prowadzą do królewskiej loży. Strzeże ich umundurowany na czarno wartownik.

W dłoni trzyma leniwie opartą o ramię pikę. Jest zmęczony całonocnym czuwaniem. Na moich oczach powieki mu opadają i pozostają zamknięte na sekundę, dwie, po czym unoszą się z powrotem.

Bułka z masłem.

Odwracam się do reszty. Podnoszę dłoń. Kiwiają głowami, wiedzą, co zaraz nastąpi. Wychodzę zza zakrętu

– Stać! – woła natychmiast strażnik.

Udaję, że go nie słyszę. Wzrok mam spuszczone, skupiony na dywanie, na czubkach skórzanych trzewików, wysuwających się raz po raz spod brązowej wełnianej sukienki. Moja dłoń jednak nie jest aż tak spokojna. Wsuwa się pod fartuch i sięga po Azotha. Zaciskam palce na rękojeści i w jednej chwili wypełnia mnie fala przemocy, rozgrzewa niczym mocne wino.

– Stać, powiedziałem! – Głos wartownika rozlega się bliżej i wreszcie podnoszę spojrzenie. Powoli, kolejno, patrzę na czarny mundur, zdławioną różę na piersi i na twarz mężczyzny. W szeroko otwartych

oczach rozpala się zrozumienie.

– Ty!

– Ja – odpowiadam.

W tym samym momencie tuż obok pojawia się Schuyler. Błyskawicznie chwyta głowę strażnika między dłonie, mocno zaciska je na policzkach. Dzikie szarpnięcie i kark nieszczęśnika pęka z suchym trzaskiem. Ciało wiotczeje, lecz zjawa nie pozwala mu upaść. Ja tymczasem łapię przewracającą się pikę.

Podchodzą do nas Malcolm i Keagan. On rusza prosto do kominka, ona kieruje się do wiszącego na przeciwległej ścianie portretu; to Blackwell w ogniu walki, dosiadający czarnego jak węgiel rumaka. Malcolm klęka przed paleniskiem, owija rękę lnianą chusteczką, zabraną z pokoju paziów, i sięga do środka. Przesuwa dłonią po ceglach, po omacku szukając dźwigni, która otwiera przejście w ścianie za portretem, zdjętym już przez Keagan. Za moment ukażą się nam kręcone schody, prowadzące w dół na dziedziniec. Tę część planu podsunął nam Malcolm. Później tą drogą uciekniemy. Teraz ukryjemy tam zwłoki strażnika.

– Zacięła się – Malcolm grzechocze dźwignią w kominku. – Nie chce się podnieść do końca.

Schuyler wyrywa mi pikę, podbiega do sekretnych drzwi i wciska grot w ledwie zarysowaną szczelinę. Coś pęka, skrzypi, fragment ściany usuwa się na bok. Zjawa cofa się o krok z szerokim uśmiechem. Trąca przy tym nogą ciężką złotą ramę obrazu, który Keagan ustawiła tuż obok przejścia. Malowidło zaczyna się przewracać. Keagan łapie je i prostuje, lecz w pośpiechu zrobiła to zbyt gwałtownie i oprawa uderza w boazerię z całej siły. W miękkiej ciszy przedświtę stuknięcie rozbrzmiewa na korytarzu niczym odgłos wystrzału.

Zamieramy.

Upływa chwila, dwie, trzy. Prawie się odprężam, lecz wtedy rozlega się ten dźwięk: kroki na dywanie. Najpierw powolne, po chwili bardziej żywe. Pobrzękiwanie pik, przytłumione głosy. Zza zakrętu wychodzi dwóch gwardzistów, za ich plecami kolejna para.

Wciórności

Wyszarpuję z bandoliera dwa, cztery, sześć sztyletów i miotam je.

Celuję w szyję, oczy, serca. Dwa trafienia, dwa pudła. Schuyler skacze naprzód i skręca karki, jeden po drugim. Nie zdążył jednak na czas i dwóch wartowników zdążyło krzyknąć. Ich ostatnie słowa. Nadbiega następnych dwóch. Jeszcze jeden sztylet, jeszcze jeden przetrącony kark.

Malcolm i Keagan ukrywają ich ciała w tajemnym przejściu równie szybko, jak rozprawiliśmy się z gwardzistami. Według planu zabitych miało być jednak tylko dwóch, najwyżej trzech. Nie sześciu ani tym bardziej ośmiu.

Otoczają nas martwe ciała i krew. Jest wszędzie. Czarna niczym atrament, wsiąka w dywan, plami wełniane sploty. Ciemnieje na złotej ramie przewróconego na podłogę obrazu, kala wizerunek walczącego Blackwella. Dopiero teraz spostrzegam, że malowany Blackwell dzierży w dłoni Azotha. Osadzone w rękojeści szmaragdy mienia się w świetle poranka. Jakby w odpowiedzi, muskające moją nogę ostrze gwałtownie się rozgrzewa – kusi, namawia, by je dobyć, aby z niego skorzystać.

Myślę o tym, słysząc kolejnych nadbiegających wartowników, ich okrzyki, brzęk oręża, trzask pękających karków i stłumiony bulgot umierających. Myślę też o przedarciu się przez nich do komnat Blackwella, gdzie leży i czeka – teraz już na pewno nie śpi, nie przy tym obłądnie, który wymknął nam się spod kontroli. Możliwe, że wstał, ubiera się, przypina do pasa broń. Niewykluczone nawet, że wie, iż tu jestem, i szykuje się, by stanąć ze mną twarzą w twarz.

Magiczny miecz nęci mnie szeptem, bym się nim posłużyła, rzuca mi wyzwanie. I mimo że jestem świadoma ciężającej na tym ostrzu klątwy, mimo iż to bardzo zły pomysł, słucham jego namów: dobywam ostrze z pochwy, zaśpiew trącej o skórę stali przypomina rozpaczliwy krzyk.

I wtedy to się dzieje.

Keagan zmaga się ze strażnikiem, leżą spleceni na podłodze. Mężczyzna wyrywa jej nóż z dłoni. Zanim jednak zdołał zadać cios, ona przetacza się w stronę kominka. Unosi ręce i szepce kilka słów zaklęcia. Nikłe płomyki budzą się z rykiem do życia. Ogień wypada z paleniska i pędzi przez galerię – rosnący, pęczniejący sznur ognia. Wijący się, skręcający i duszący. Trafia prosto w wartownika i w jednej chwili go podpala. Z czarnego munduru strzelają kłęby czarnego dymu.

Keagan odpycha przeciwnika celnym kopniakiem. Mężczyzna wpada na ścianę przy oknie i ogień przeskakuje na zasłony. Płomienie pożerają aksamit i zmieniają go w gęsty, gryzący dym, który błyskawicznie wypełnia cały korytarz. U mego boku pojawia się Malcolm, pociąga mnie na podłogę, gdzie dławiące opary nie są jeszcze tak dokuczliwe.

– Co robimy? – Słowa ledwie przedzierają się przez serię kaszlnięć.

Myślę. Sytuacja przerosła nawet moje wcześniejsze obawy. Nie wycofam się jednak, nie zrezygnuję z tego, po co tu przyszłam. Nie pozwoli mi na to Azoth, zresztą, nie pozwolę sobie sama.

– Musicie wracać – rzucam. – Wszyscy. I nie tędy – dodaję, widząc że Malcolm spogląda w stronę tajnego przejścia, przesłoniętego w tej chwili tumanem dymu. – Do tych drzwi prowadzą ślady krwi. Kiedy dym się rozwieje, zauważą je i pójdą prosto za wami. Uciekajcie przez kuchnię. Teraz na pewno panuje tam istne piekło, nie zwrócą na was uwagi.

Na oślep wycofujemy się w kierunku komnaty paziów. Dym przesłania widok, nie pozwala swobodnie oddychać. Ściągam z głowy czepek i zasłaniam nim usta i nos. Chwilę potem podaję go Malcolmowi, którym co chwila wstrząsają kaszel i torsje.

Udaje nam się dotrzeć niemal do końca galerii. Pięć stóp, cztery stopy. Trzy. Właśnie wtedy w korytarzu zrywa się silny podmuch wiatru. Wicher tak lodowaty i potężny, że wybija wszystkie okna. Szyby pękają i sypią się szklanym deszczem na nasze plecy, karki i ramiona. Kaleczące i ostre odłamki. Czuję na skórze strużki krwi, gorące i złowróżbne. Płomienie tańczą jeszcze przez chwilę, po czym zaczynają przygasać. Znikają jeden po drugim, niczym zdmuchnięte świece.

– Co się dzieje? – syczy mi prosto do ucha przerażony Malcolm.

– Nie wiem. – Kłamię, ale jestem po prostu zbyt wylękniona, by wypowiedzieć na głos prawdę.

Smugi dymu wirują nad nami, przemieniają się w mgłę, a potem w chmury unoszące się wysoko pod kasetonową powałą. Zawisają tam przez chwilę, nieme ostrzeżenie. Zaraz potem rozlega się trzask, dudnienie i burzowy grzmot. Z chmur spada deszcz, niemiłosiernie

siekąca ulewa.

Znam tylko jedną osobę, która potrafi w ten sposób kontrolować pogodę. Człowieka, który jest w stanie przyzwać burzę w pogodny dzień, nagiąć do swej woli same niebiosa, sprowadzić deszcz, wiatr, ciemność i światło. Kiedy zrobił to ostatnim razem, w noc balu maskowego, omal nie straciłam życia. To Blackwell.

– Zmiana planów. – Gdzieś nade mną rozlega się głos Schuylera.

Podciąga mnie na równe nogi z tak wielką siłą, że prawie wyrывa mi ramię ze stawu. Keagan chwytą Malcolma. Popychają nas z powrotem, w kierunku sekretnego korytarza. Widzę ciemny wylot na wskroś rzednącego dymu, strug deszczu i pasemek włosów, które wymknęły się upięciu i wpadają mi do oczu. Przejście czeka – szerokie, otwarte i zachęcające...

I wtedy...

Wtedy...

Wtedy...

Słysząc muzykę. Przypominającą żałobny tren melodię. Kolejne frazy wypływają spod drzwi królewskiej loży, z położonej poniżej kaplicy. Dźwięk organów. Wyłącznie muzyka, bez słów, lecz ja je doskonale znam.

Sen i spokój towarzyszą mi

Przez całą noc

Strzegą mnie anioły

Przez całą noc

Senna pora już nadchodzi

Śpią głęboko lasy, góry

Strzegąc mnie z miłością

Przez całą noc

Piosenka, którą śpiewałam sobie podczas ostatniej próby,

kołysanka, którą w dzieciństwie śpiewała mi mama. Melodia, która utrzymała mnie przy życiu w trzewiach grobowca, gdzie miałam umrzeć, która złamała klątwę i uratowała mnie przed śmiercią.

Zwracam się w stronę, z której dobiegają dźwięki. Ostrze Azotha unoszę przed siebie.

W okamgnieniu staje przede mną Schuyler. Patrzy szeroko otwartymi błękitnymi oczyma. Mocno ściska mnie za ramię. Na krótki moment oszałamia mnie potęga Blackwella, jest tak wielka, że zdołał natchnąć przerażeniem serce istoty tak nieustraszonej jak zjawa.

– Zapomnij o tym, skarbenku. Nie dasz rady. Jest zbyt silny...

– Wiem – uwalniam się od jego ręki – i właśnie dlatego muszę to zrobić. – Popycham Malcolma ku Keagan. – Wyprowadź go stąd – mówię. – Jeśli tym razem go złapią, już nie ucieknie. Zabiją go na miejscu. To zadanie Zakonu Róży – dodaję. – Twoje zadanie. Nie pozwól mu zginąć.

Malcolm cofa się i wraca do mnie.

– Nie rób tego. – Chwyta mnie mocno za ramiona. Przysuwa twarz do mojej, bardzo blisko. Na chwilę zapominam, że się go boję. – Proszę cię jako król... Nie, rozkazuję ci pójść ze mną.

– Nie jesteś królem – odpowiadam. – Nie będziesz, dopóki tego nie zrobisz.

– Cholera jasna! – Jeszcze nigdy nie słyszałam, by Malcolm przeklinał. Słowom towarzyszy jęk irytacji.

Czuwa też półksiężyc srebrny

Przez całą noc

Nad zmęczonym, śpiącym światem

Przez całą noc

Duch łagodnie gdzieś odfruwa

Tonie w pięknych wizjach

Tak są czyste i spokojne

Przez całą noc

Wśród dymu pojawia się cień. Czarny, wysoki i bezkształtny: widmo na zamglonym cmentarzu, wieczorny upiór na bagnach. Nie widzę, kto to, lecz przecież i tak wiem.

– Idźcie – rzucam. – Pozwólcie mi to zrobić. Muszę.

Schuyler odpowiada jeszcze jednym przekleństwem, po czym odrywa ode mnie Malcolma. Prawie wyrzuca go przy tym w powietrze. Kierują się w stronę tajnego przejścia.

W dymie i nieustającym deszczu ledwie widzę, jak Keagan z Malcolmem znikają w korytarzu, widzę też ostatnie spojrzenie, jakim żegna mnie Schuyler. Drzwi się zatrząskują. Jeszcze tylko pojawia się iskra, gdy Keagen topi zamek i całą trójką zbiegają po krętych schodach na dziedziniec, pod wciąż czarne niebo. Mam nadzieję, że będą tam bezpieczni.

Zostałam sama.

Nie, wcale nie jestem sama.

Kroczy w moją stronę i nawet mimo kłębiących się oparów rozpoznaję jego wzrost, siłę, czarny strój. Poznaję migotanie broni, którą trzyma w dłoni. Od jak dawna na mnie czekał? Od wczoraj? Przez całą noc? Wiedział, że przyjdę. Wiedział, co zrobię.

A ja, w głębi ducha, przeczuwałam to od początku.

Azoth pali mnie żywym ogniem – energia i moc. Przepelniają mnie uśpiona klątwa i zupełnie jawna nienawiść, niczym iskierki przed pożarem, mżawka przed nawałnicą. Nie boję się jednak utonąć, nie boję się spłonąć. Zależy mi jedynie na tym, by z nim skończyć, żeby skończyć z tym wszystkim raz na zawsze.

Pojawia się niczym potwór wynurzający się z otaczającego Rochester jeziora. Wreszcie widzę go wyraźnie, lecz to nie Blackwell, którego oczekiwałam. To ktoś zupełnie inny.

Ciemnoblond włosy opadają mu falami na oczy. Wysoki i blady, odziany w czerń naznaczoną tą przeklętą zdławioną różą. I ta bijąca od niego woń: ziemista, kojarząca się z pleśnią i rozkładem.

Nie myślałam, że jeszcze go kiedykolwiek zobaczę. Byłam przekonana, że go zabiłam. A wbrew wszystkiemu stoi tu przede mną.

Gdyby nie groza utrzymująca mnie na nogach, szok zamieniłby moje kolana w miękką watę.

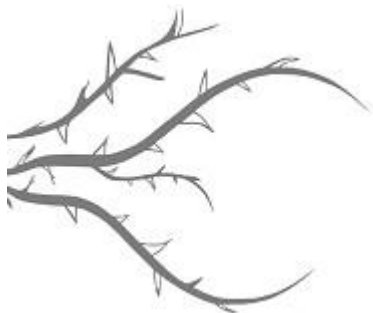
Caleb.

Żywy.

Nieżywy.

Caleb powrócił zza grobu. Stał się zjawą.

– Cześć, Elizabeth.



Rozdział 20

Azoth szaleje. Parzy mnie w dłoń, dygoce, dyszy klątwą. Moc magicznego miecza grozi mi obłędem, podobnie jak widok istoty, która przede mną stanęła.

– Caleb. – To jedyne słowo, jakie jestem w stanie wyszeptać. Jego imię.

Muzyka cichnie i mój głos niesie się echem po zniszczonej galerii jak żałobny tren.

Podchodzi ku mnie. Krok ma niepewny, oczy skupia nie na mnie, lecz na moim mieczu. Szmaragdy w rękojeści przestały migotać, ich wewnętrzne życie gaśnie, jakby rozumiały, że zostaliśmy złapani. Caleb nie sięga po Azotha, ale przygląda się mu uważnie i przez jego zimną białą twarz przemyka cień czegoś bliskiego niesmakowi. Pojawia się też strach.

Powinnam coś powiedzieć. Coś zrobić. Powinnam przebić go mieczem i uciec. Potem odszukać Blackwella i potraktować go dokładnie w ten sam sposób. Jednak jestem w stanie tylko stać i patrzeć.

Caleb jest zjawą. Nie zginął. Nie umarł, kiedy cięłam go Azothem w pierś, gdy jego krew buchnęła na ziemię wraz z sercem, nie umarł, nie umarł...

– Umarłem – odzywa się dziwnym mrocznym głosem.

To zarazem jego głos i nie jego, identyczny ton, lecz dawna dźwięczność zniknęła. Nie, nie zniknęła, poprawiam się w myślach, tylko umarła.

– Jestem martwy. Zabiłaś mnie. – Caleb pochyla głowę pod osobliwym, nienaturalnym kątem i wbija we mnie oczy. Dawniej błękitne i skrzące się życiem, skłonnością do psot i intryg oraz ambicją. Teraz martwe, blade i szare. Brakuje w nich duszy.

– Nie chciałam cię zabić – szepczę. – Naprawdę nie chciałam.
Zależało mi na tobie. Kochałam cię.

– Ciekawe, co się przytrafia ludziom, na których ci podobno zależy
– odpiera Caleb.

Szttywnieję. Zajrzał do mojego umysłu, wydobył z moich wspomnień słowa, które usłyszałam w celi od Johna. Jedyne zdanie, o którym nie potrafię przestać myśleć, którego nie jestem w stanie przestać sobie powtarzać.

– Caleb... – powtarzam półgłosem.

Przychodzi mi do głowy, że mogłabym go błagać o darowanie życia, które przyszedł mi odebrać. Szybko jednak odpycham tę myśl od siebie. Caleb nie oszczędził mnie za życia. Nie oszczędzi mnie i teraz, po własnej śmierci. Wiem, że zjawy są bardziej martwe niż żywe i wiem, że nie mają żadnego związku z tym światem, nie są w nim zakorzenione. Praktycznie są duchami. Ich wcześniejsza ludzka dusza staje się jedynie pasemkiem mgły wśród burzy.

Zjawy mogą się ponownie nauczyć człowieczeństwa, upodobnić do dawnych siebie. Mogą nauczyć się czuć i kochać. Są nawet w stanie stać się bliskie ludziom, jak uczynił to Schuyler, który swą duszę odtworzył, czego najlepszym dowodem jest fakt, że do jego oczu powrócił naturalny kolor. Wymaga to jednak wielu lat pracy i niezłomnego postanowienia, zdecydowania, a także nierozzerwalnej więzi z kimś żywym, takiej więzi, jaka łączy Schuylera z Fifer. Zjawy, by pozostać w świetle, potrzebują obok siebie żywej, oddychającej istoty, ponieważ ich natura bezustannie wzywa do powrotu w ciemność.

Wiem również coś jeszcze: Caleb żył w ciemności od zawsze.

– Byłeś świadomy, że wybieram się do Ravenscourt – mówię. – Odczytałeś moje myśli i w ten sposób poznałeś mój plan. O wszystkim powiedziałaś Blackwellowi. Stąd wiedział, że musi zrobić coś takiego. – Wskazuję gestem wolnej ręki tonącą w deszczu galerię i wejście do łoży.

Caleb potakuje skinieniem.

Przypominam sobie o Malcolmie, o Keagan i Schuylerze. Skoro Caleb poznał mój plan, musiał też wiedzieć, że nie przyszedłam tu sama. Uciekli? Czy po prostu zbiegli po tych krętych schodach w objęcia niebezpieczeństwa jeszcze większego niż tutaj?

Caleb wzrusza ramionami. Ten jakże ludzki gest w jego wykonaniu wypada sztywno i nieporadnie.

– Blackwell nie dba o Malcolma – stwierdza. – Gdyby było inaczej, Malcolm już by nie żył. On nie jest w stanie powstrzymać Blackwella przed objęciem pełni władzy. Nie powstrzyma go nic i nikt. Blackwell już jest królem. – Caleb wpatruje się we mnie oczyma twardymi i nieczułymi jak kamień. – Wiesz, czego potrzebuje teraz.

Kiwam głową. Blackwell potrzebuje Azotha. Pożąda tego miecza ze względu na tkwiącą w nim klątwę i moc. Potrzebuje też mnie z powodów, których wciąż do końca nie pojmuję. Chce odebrać mi rzecz, którą uważa za swoją: moje znamię.

Wtem coś przemyka mi przez głowę – refleksja tak ulotna, że znika, zanim się na dobre pojawiła, zanim Caleb może ją przechwycić. Czy Blackwell może mi odebrać coś, czego już nie mam?

Z pewnością, którą prawie czuję, mocniej zaciskam palce na rękojeści Azotha – ostygłej już od dobrej chwili – i podchodzę do Caleba. Poddaję się mu. Jego puste szare oczy na moment się rozszerzają i czuję gwałtowny przyływ zadowolenia. Być może potrafi czytać mi w myślach, ale nie pozwolę, by czytał z moich uczynków.

– Zaprowadź mnie do niego.

Idziemy przez wilgotny, zadymiony, zbryzgany krwią korytarz. Ostrożnie omijamy ciała ubranych w czerni strażników, leżące z przebitymi oczyma i przetrąconymi kręgosłupami. Jedno z nich jest zwęglone nie do rozpoznania. Blackwell wiedział, że tu przyjdziemy, a mimo to postanowił poświęcić swych ludzi. Uczynił to dla rozrywki, dla zabawy. Po to tylko, żeby się przekonać, co zrobimy, w jaki sposób tę partię rozegramy.

A ja nie wiem, jak ją rozegrać. Jeszcze nie.

Wreszcie widzę przed nami podwójne dębowe drzwi. Są zamknięte, a przed nimi zauważam ciemne sylwetki dwóch mężczyzn. Nie są to gwardziści, tamci wszyscy zginęli. Kiedy podchodzę bliżej, jeden okazuje się wysokim, czarnowłosym i osiłkowanym chłopakiem, a drugi średniego wzrostu rudzielcem. Piegi mieniają się na jego białej cerze niczym plamy krwi. Po chwili dociera do mnie, że i oni są martwi: Marcus i Linus.

Byli łowcy czarownic, obecni rycerze Anglii. I zjawy. Czuję na sobie ich martwe szare spojrzenia. Obserwują mnie z nienawiścią, która przechodzi w czujność, gdy tylko spostrzegają połyskujące w mojej dłoni ostrze. To samo ostrze, które posłało ich pod ziemię, z której wydobył ich Blackwell. Gdy Caleb prowadzi mnie między nimi, odwracam wzrok. Zjawom nie należy patrzeć prosto w oczy.

Za drzwiami komnata rady. Miejsce, gdzie król przyjmuje petentów, gromadzi się tłumek schlebiających monarsze dworzan, gdzie przybywają muzykanci, by swoimi występami zabawić władcę. Teraz jest tu pusto, zniknęło wszystko z wyjątkiem tronu. Fotel obity jest szkarłatną tkaniną, na której widnieje królewski herb: lew w koronie i spętany łańcuchem rumak na tle tarczy w czerwono-złotą szachownicę. Poniżej wyhaftowano łacińskie motto. Nie to stare, tradycyjne motto Blackwella: *Co się stało, to się nie odstanie*. To motto jest nowe, stosowniejsze dla nowego władcy i nowego królestwa. *Faciam quodlibet quod necesse est – Zrobię, co konieczne*.

Przechodzi mnie dreszcz.

Wchodzimy do prywatnego gabinetu monarchy. Również pustego i ponurego. Przesłonięte okiennicą okno, niewielki kominek. Żadnych gobelinów, nie ma też tronu. Jest tylko stojące na środku biurko i dwa krzesła. Na blacie spoczywa otwarta samotna książka. A na krześle bliższym paleniska, twarzą do ognia i plecami do nas, siedzi Blackwell.

Cały spokój, jaki zdołałam sobie siłą woli narzucić, złudzenie panowania nad sytuacją, jakie jeszcze niedawno czułam, grożą dezercją. Moje serce przyspiesza biegu, żołądek się burzy, dłonie pokrywa pot. Identyczne doznanie grozy, jakie zawsze towarzyszyło mi w jego obecności, wzbiera niczym fala przyływu. Stojący obok Caleb przestępuje z nogi na nogę. Na pewno wyczuł moje roztrzęsienie. Oddycham jednak głębiej i ukrywam je, jak tylko potrafię, byle dalej od macek jego myśli.

– Elizabeth – odzywa się wreszcie Blackwell.

Nie dodaje ani słowa więcej. Nie podnosi się z krzesła, nie odwraca, wciąż patrzy w trzaskający ogień, w iskry i płomienie. Nagle dociera do mnie, że coś jest nie tak. Może powinnam się była tego domyślić chwilę wcześniej, kiedy nie przyjął mnie w sali rady, na tronie,

gdzie mógłby się popisać swoją władzą.

Wracają do mnie słowa Keagan. Powiedziała mi w Hexham, że Blackwell nie pokazał się publicznie od czasu koronacji. Nikt go nie widuje.

– Postanowiłaś wszystko mi utrudnić, prawda? – podejmuje Blackwell. – Zniszczyłaś moją galerię, moje obrazy, wybiłaś moich gwardzistów.

– Wiedziałaś, że przyjdziemy – zauważam. – Gdybyś chciał oszczędzić ludzi, mogłeś to zrobić bez trudu.

Zbыва mój komentarz wzruszeniem ramion. Nie odpowiada.

– Chcesz odzyskać moc z mojego znamienia – przechodzę do rzeczy. – Dlatego posłałeś po mnie Fulkego i Griffina. I z tego powodu wysłałeś ludzi, którzy zaatakowali Harrow w dniu mojego przesłuchania. – Urywam na moment. – Zabiłam ich, wiesz? Wszystkich. – To kłamstwo, ale gdybym nadal była osobą, za jaką ma mnie Blackwell, coś takiego właśnie bym powiedziała. – Jeżeli chciałeś, by mnie do siebie przywiedli, to powinienś wysłać kogoś, kto stanowiłby prawdziwe wyzwanie. Poczułam się niemal urażona.

Odpowiada mi dziwne sapnięcie, dźwięk zawieszony pomiędzy sykiem a śmiechem. I zaraz potem:

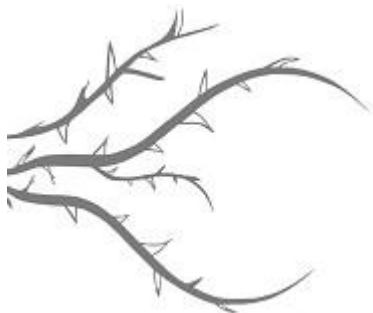
– Zawsze zaliczałaś się do grona moich najlepszych łowców.

Niespodziewanie Blackwell gwałtownie wstaje z krzesła.

Drewniane nogi mebla głośno szurają po podłodze. Wygląda rzeczywiście po królewsku: ma na sobie wykrochmalone granatowe spodnie i podobnej barwy bluzę haftowaną grubą złotą nicią. Włożył też sięgające kolan czarne buty, a ramiona okrył aksamitnym czarnym płaszczem, którego kołnierz i mankiety obrębiono futerkiem gronostaja. Mijają kolejne sekundy, a on wciąż się nie odwraca. Po karku przebiega mi ostrzegawczy dreszcz: odległy grzmot przed nadchodzącą burzą.

– Czy wiesz, co zrobiłaś? – pyta spokojnym głosem. Pod warstwą opanowania wyławiam jednak nutę czegoś innego: wściekłości.

Wtem Blackwell odwraca się i patrzy mi w oczy. Już wiem, co zrobiłam. Stał się potworem.



Rozdział 21

Jego twarz – to, co z niej zostało – jest kompletnie zmasakrowana. Przecina ją ukośna blizna, biegnąca od skroni przez prawe oko, nos i wargi, urywająca się dopiero na dolnej szczęce. Także oko zostało poważnie uszkodzone, powieka zastygła w połowie opuszczona, wyglądająca spod niej gałka jest zamglona i niewidząca. Nos ma rozpołowiony, wargi poszarpane i wykrzywione. Widać połowę kości szczęki. Ktoś, kto go zszywał – czy raczej próbował zszyć – fatalnie spartaczył. Blizna jest wypukła, czerwona i okropna. Nawet z tej odległości widzę ślady po igle i wgłębienia w ciele w miejscach, gdzie zakładano szwy. To ja doprowadziłam go do takiego stanu – ja i Azoth.

Przyglądałam się potworowi bez jednego mrugnięcia okiem. Miecz, jakby rozpoznając swoje dzieło, zaczyna ogrzewać mi dłoń.

– Caleb mówił, że ty również zostałam raniona Azothem – Chwila milczenia. – Domyślam się, że twoje blizny wyglądają jednak inaczej.

Nie odpowiadam. Moja rana była straszliwa; bez pomocy Johna nie przeżyłabym dnia. Kiedy zyskał pewność, że nie umrę wskutek obrażeń, ran i kontuzji, jakich doznałam w noc balu, przypilnował również, by nie zostały mi po nich blizny. Przez długie tygodnie traktował mnie ziołowymi okładami, parzył lecznicze wywary – słowem robił dla mnie wszystko, co w jego mocy. I dzisiaj już wiem, że robił to z miłości. Tyle że ta miłość zniknęła, podobnie jak moje blizny.

Blackwell parska krótkim gardłowym śmiechem. Zdeformowane, wiecznie otwarte usta połyskują w półmroku wilgocią.

– Być może powinienem był oszczędzić jakiegoś uzdrowiciela.

Podchodzę bliżej kominka. Jeżeli mam uczynić to, co zamierzałam, to w tej chwili. Czy mogę? Czy Azoth i strach przed nim wystarczą, by utrzymać Caleba na dystans? Na dość długo, bym zdążyła zrealizować

swój cel?

Wystarczyłby jeden płynny ruch i byłoby po wszystkim.

– Odebranie mi znamienia w niczym ci nie pomoże. – Zbliżam się o kolejny krok. – Jego moc jest niczym w porównaniu z klątwą Azotha. – Przypominam sobie moment, kiedy ostrze magicznego miecza rozcięło moje ciało, pamiętam tamten ból i krwotok. A znamię nie zareagowało. – Znamię nie zadziała.

Wargi Blackwella układają się w kształt, który niemal można uznać za uśmiech.

– Jestem pewien, że twoja przestroga wypływa ze szczerzej troski i nie ma absolutnie nic wspólnego z chęcią zachowania życia.

Poprawiam chwyt na rękojeści. Palce zginam swobodnie, trzymam miecz zdecydowanie, lecz niezbyt ciasno, kciuk przyciskam do jelca. Przez cały czas powtarzam w duchu modlitwę na przeddzień bitwy. Zajmuję nią myśli, by Caleb niczego z nich nie wyczytał. Stoję już niemal przy biurku, w połowie drogi do Blackwella. Przechodzę za blat, staram się znaleźć jak najdalej od Caleba, jakby prosty drewniany mebel mógł go powstrzymać.

W tym momencie moje spojrzenie pada na leżącą na biurku książkę. Oprawa z czerwonej skóry, złożone brzegi kartek. Otwarta jest na stronie gęsto pokrytej tekstem, oblewającym samotną ilustrację. Rycinę, którą znam, lecz której nie spodziewałam się ujrzeć w tym miejscu. Stosowany przez reformistów symbol jedności, nieskończoności, całości – wąż pożerający własny ogon.

– Krąg się domyka.

Słowa same płyną mi z ust, wcale nie chciałam ich wypowiedzieć. To wers z przepowiedni, jaką usłyszałam wiele miesięcy temu z ust pięcioletniej wieszczki, której enigmatyczne słowa otworzyły bramę prowadzącą na ścieżkę, na której wciąż stoję. Z mieczem w ręku, między człowiekiem martwym a człowiekiem przeklętym.

– Uroboros – mówię dalej. – Symbol zmartwychwstania. Zrzucając skórę, wąż odradza się na nowo. Ten znak reprezentuje cykl narodzin i śmierci, odwieczną harmonię wszechrzeczy i jedność przeciwieństw.

Blackwell unosi zdeformowaną brew.

– Widzę, że studiowaliście alchemię, co?

To nie do końca prawda. Może tylko w pewnym sensie. Modlitwa na chwilę znika z moich myśli i zastępują ją alchemiczne traktaty z Rochester, te, które zaniósłam Johnowi do Hexham. Przypominam sobie, jak je wertowałam, strona za stroną, by znaleźć tekst, który mógłby mi przypaść do gustu. Uczyłam się nowych słów, by spróbować się do niego zbliżyć, spróbować go zrozumieć. Zajmowałam się tym od czasu, gdy Nicholas powiedział mi, że magia, którą obdarowałam Johna, pozostaje w konflikcie z jego własną.

– Znamię jest manifestacją niepokonanej siły – Blackwell smakuje te słowa niczym najprzedniejsze wino – podczas gdy Azoth jest esencją zniszczenia, przeciwieństwem niezwykłości. Alchemicy twierdzą, że jeśli połączy się dowolny żywioł z jego dokładnym przeciwieństwem, można przekroczyć ich ograniczenia, można związać je ze sobą i ostatecznie osiąść ich moc na wyższym poziomie.

Przed oczyma stają mi stroniczki ksiąg, które oglądałam w pełnej cieni ciemnej bibliotece. Słowa ciemniejące na żółtym pergaminie, rysunek węża pożerającego własny ogon i widniejący poniżej podpis: *Jedno jest wszystkim.*

– Połączona moc ich obu? Niezwyciężonej siły i wszechogarniającego zniszczenia? – powtarzam. – Na wyższym poziomie? Czym mogłaby być?

Blackwell wpatruje się we mnie spojrzeniem, w którym płonie dojmujące pragnienie, niemal fizyczny głód.

– Myślę, że sama potrafisz sobie na to pytanie odpowiedzieć.

Nie reaguję od razu, ponieważ ma rację. Znam odpowiedź. Jeśli jednak wypowiem to słowo na głos, jeżeli pozwolę mu nabrać kształtu, stanie się prawdziwe, a to oznaczałoby dla mnie utratę zdrowych zmysłów.

– Nieśmiertelność – szepczę po chwili.

Płomienie w kominku gasną.

Zapada ciemność. Powietrze – dotąd ciepłe i nieruchome – gwałtownie stygnie o kilka stopni i zaczyna wirować. Zupełnie znikąd zrywają się silne powiewy wiatru, rozsypują mi włosy na ramionach, smagają po twarzy, podrywają sukienkę do kolan. Oddech płynie mi z ust wijącym się wężowo obłoczkiem, a na policzku czuję pierwszy

plątek śniegu. Po kilku sekundach w gabinecie rozpętuje się prawdziwa zamieć.

Fałdy sukienki zamarzają uniesione, rozdęte mroźnym powiewem, przypominam posąg. Podobnie sztywnieją włosy, przymarzają do twarzy, warg i powiek, które natychmiast drętwieją. Wicher skowycze mi w uszach. Śniegu jest coraz więcej, cały gabinet zmienia się w białe pustkowie.

A przede mną pojawia się Blackwell w najmniejszym stopniu nieporuszony, jakby ten przenikliwy ziąb był odczuwalny wyłącznie dla mnie. A może rzeczywiście tak jest? Na jego płaszczu, twarzy i skórze nie widać nawet śladu śnieżycy. Całą siłą woli próbuję się poruszyć. Próbuję wyrwać się spod władzy zaklęcia, nie wypuścić miecza, unieść ostrze i uderzyć, doprowadzić do końca to, co zaczęłam. Ciało jednak pozostaje zupełnie głuche na moje żądania. Blackwell wyciąga rękę i do wtóru skrzypienia pokrywającego moje dłonie, kruszącego się lodu, wyrywa mi Azotha. Zamarznięta, mogę się tylko bezradnie przyglądać.

Zaraz potem wicher i śnieg znikają, wirujące w powietrzu płatki unoszą się pod biały sufit i rozplývają się w nicość. W pokoju zapada straszliwa cisza. Słyszeć tylko osobliwie świszczący oddech Blackwella i poranny chór ptaków gnieźdzących się za oknem, pod pałacowym dachem.

– Zabrać ją.

„Zabrać” oznacza Greenwich Tower. Uwiężą mnie tam do momentu, gdy Blackwell zbierze odpowiednią grupę alchemików, by przeprowadzić magiczny rytuał. Do chwili, kiedy sięgnie po Azotha i przeszyje mnie jego ostrzem, spodziewając się, że stal wchłonie moje znamię, jego magiczną energię. Jest przekonany, że moc miecza i znamienia przepłyną w niego i staną się w nim jednością przeciwieństw, która pozwoli mu wstąpić na wyższy poziom – osiągnąć nieśmiertelność.

Właśnie tymi słowami przedstawia mi swoje plany. W mojej głowie dźwięczy tylko jedno słowo. Jedno, lecz ostateczne.

Egzekucja.

Siedzę skuta na pokładzie promu płynącego po mętnych wodach rzeki Severn. O tej porze panuje tu spokój, widać ledwie kilka statków. Kapitanowie wyprowadzili je na środek nurtu, by uniknąć fali porannego

odpływu, grożącej osadzeniem na mieliźnie. Stoją nieruchome niczym stadko uśpionych kaczek. Obserwuję je, pozwalając sobie na chwilę nadziei. Być może jeden z nich należy do Petera. Może przyprowadził galerę z setką wiosłarzy, szybką na tyle, by nas dogonić i pomóc mi w ucieczce. Przecież w przeszłości już mnie ratował. Kiedy jednak mijamy kolejne kadłuby i nie rozlegają się żadne okrzyki, ani jedna kotwica nie wędruje ku górze, nikt nie wiosłuje i nie pojawia się ani jeden pirat, uświadamiam sobie, że zdana jestem tylko na siebie. Zostałam sama.

Przed nami Upminster Bridge. Brzegi rzeki spinają dwa tuziny ceglanych przeseł, dźwigających budynki, w których działają sklepy, gospody i gdzie można wynająć tani pokoik. Niektóre liczą sobie nawet trzy piętra. Most, podobnie jak woda, jest praktycznie opustoszały. Zbyt wcześnie, by prowadzić interesy. Za to w południe rozpęta się tu istne szaleństwo – ulica zaroi się od przechodniów i wózków, w błocie wylądują świeże śmieci i odpadki z rzeźni. Kiedyś, tylko raz, próbowaliśmy tamtędy z Calebem przejść. Po godzinie dobrnęliśmy ledwie do połowy mostu i on stwierdził, że lepiej byłoby po prostu wskoczyć do rzeki i popłynąć.

Ciekawe, czy wciąż to pamięta. Czy przypomina sobie chwilę, gdy stanął niepewnie na krawędzi niskiej balustrady, z ramionami rozpostartymi niczym skrzydła, ze śmiechem na ustach. Ja też się śmiałam. Wiedziałam, że nawet jeśli spadnie, nic mu się nie stanie. W tamtych czasach był pewien, że jest nietykalny, wszyscy mieliśmy tę pewność.

Obrzucam go przelotnym spojrzeniem, siedzi obok mnie. Podświadomie spodziewam się, że zobaczę wbite w siebie nieme szare oczy. Patrzące w ten sposób, w jaki przygląda mi się Schuyler, kiedy czyta mi w myślach. Caleb jednak spogląda gdzieś ku górze. Patrę w tamtą stronę i widzę. Tuzin głów nabitych na tuzin pik, sterczących z południowej bramy mostu. Na martwych obliczach zastygł sprzeciw. Padlinożerne wrony stąpają po czaszkach, wplątując pazury w zakrwawione włosy i strzępy pozostawionych przez Keagan ulotek. Dzioby skubią wszystko, co zostało na kości: resztki skóry, ścięgien, gałek ocznych. Nie rozpoznaję żadnego z tych ludzi, lecz nie ma to żadnego znaczenia. To zdrajcy, taki właśnie los spotyka zdrajców. Jeżeli

nie zdołam uciec, spotka i mnie.

Przed nami majaczą kontury Greenwich Tower, mury rzucają na wodę długi czarny cień. Na czterech narożnych wieżach twierdzy powiewają flagi. Kiedy podpływamy bliżej, unosi się zakratowana żelazna furta, zupełnie jakby ktoś spodziewał się naszej wizyty. Łódź prześlizguje się pod nią i z cichym stuknięciem przybija do podnóża kamiennych schodów. Tych samych, po których weszłam w noc balu maskowego. Tamtej nocy tańczyłam z Johnem i po raz pierwszy mnie pocałował.

Dzisiaj nie ma tu odbierających zaproszenia lokajów, w ogrodach nie kwitnie ani jedna róża, brakuje odświętnie ubranych gości, kryjących twarze pod maskami. Jestem tylko ja i Caleb, wpatrzony gdzieś przed siebie, w stronę parku. Z najbliższej wieży wychodzi grupa ubranych na czarno strażników. Ruszają prosto ku nam. Żwir grzechocze pod ich stopami. Przejmują mnie od Caleba, z przesadną pieczołowitością sprawdzają kajdany krępujące moje ręce i nogi.

Wciąż odmawiając w myślach modlitwę, zastanawiam się nad szansami ucieczki. Bez pomocy znamienia nie uwolnię się z kajdan. Nie mam dość siły, by samodzielnie rozerwać żelazne obręcze. Na ścieżce leżą gdzieś kamienie. Zastanawiam się, czy nie poderwać któregoś i nie rozbić gwardzistom głów, a potem posłużyć się nim do zdjęcia łańcuchów. Szybko odrzucam ten pomysł. Zbyt pracochłonny, zbyt hałaśliwy.

Czyli po prostu rzucić się do ucieczki? Tylko dokąd? Wartowników udałoby mi się wymanewrować, z nimi nigdy nie ma większych problemów. Lecz co potem? Rzeka? Na mur byłabym w stanie wspiąć się nawet w kajdanach. Potem miałabym najwyżej dziesięć minut, zanim reszta załogi zorientowałaby się, co się stało. Lepiej więc ukryć się gdzieś tutaj, na terenie twierdzy, i poczekać do zmroku, by umknąć pod osłoną ciemności. Tyle że później ścigaliby mnie wszyscy gwardziści, każda zjawia i wszyscy rycerze nowej Anglii. Ścigaliby i znaleźli.

Naturalnie, do rozwiązania pozostaje problem Caleba. Powstrzyma mnie już po kilku krokach, nim zrealizuję choć pierwszy punkt planu. Ale przecież muszę coś wymyślić. Kiedy przyjdzie po mnie Blackwell,

spróbuje odzyskać znamię, a gdy odkryje, że go nie mam, rozkaże Calebowi, Marcusowi i Linusowi wymusić ze mnie zeznania. Każe mi wyjawic, co się stalo ze znamieniem. Za nic mu tego nie powiem, na własne zycie klnę się, że nie powiem. Nie tylko swoje zycie mam w tej chwili na uwadze.

Mijamy wartownię, kwatery służby i oficerów, wzniesione jeszcze w czasach, gdy Greenwich Tower była po prostu warownym zamkiem. W zasadzie ktoś mógłby je uznać za zwyczajne domy: bielone fasady przecięte ukośnie belkami ciemnego drewna. Kryte strzechą dachy, z grubsza ciosane deski w drzwiach, urokliwie pomalowanych błękitną farbą. Docieramy do budynku stojącego na samym końcu. Nigdy tutaj nie byłam. Nie miałam potrzeby ani powodu. W odróżnieniu od pozostałych, nikt tu nie mieszka. Można to poznać po zamkniętej na cztery spusty ciężkiej kracie. Strażnicy ją otwierają, Caleb wpycha mnie do środka i prowadzi krętymi schodami na górę. Pokonujemy jeszcze jedne ciężkie, grube drzwi z zakratowanym okienkiem i znajdujemy się w czymś w rodzaju celi. Pomieszczenie jest nietypowo przestronne, jasne i czyste. W wysokich ścianach otwierają się okna z szybami w ołowianych ramkach, podłoga usłana jest świeżą słomą, pod jedną ze ścian stoi długa ława, a naprzeciwko czeka nierozpalony kominek.

Gwardziści odwracają się i wychodzą, zamykają drzwi. Zamek zgrzyta i znikają. Zostaje tylko Caleb; stoi za drzwiami z dłońmi na prętach, obserwuje mnie. Dziwnie znajoma scena, mocno kojarzy mi się z dniem, kiedy stałam w celi więzienia Fleet, gdy wciąż w niego wierzyłam, jeszcze mu ufałam i sądziłam, że jeśli tylko będziemy razem, poradzimy sobie ze wszystkim.

Odwracam się, lecz wtedy ciszę mąci jego dziwny ponury głos.

– Muszę mu o wszystkim mówić. Odpowiadać na każde jego pytanie. Spełniać jego wszystkie życzenia.

Typowe. Zjawy z natury podporządkowane są magowi, który przyzwał je z zaświatów. Wymaga tego podtrzymujące je w istnieniu zaklęcie. Nie wiem, dlaczego Caleb mi o tym przypomina, lecz niewykluczone, że mogę ten fakt w jakiś sposób wykorzystać.

– Tak – odpowiadam z rezerwą. – Będiesz musiał być posłuszny aż do jego śmierci. A jeżeli odzyska moje znamię, nigdy nie umrze.

– Nie próbuj mną manipulować. – Ton Caleba staje się ostry, mówi znacznie szybciej. Nie wiem, czy to nie złudzenie, lecz wydaje mi się, że na krótki moment w mętnych szarych oczach pojawił się błękitny ognik. Prędko jednak gaśnie.

Kiwam głową, potwierdzając jego podejrzenia.

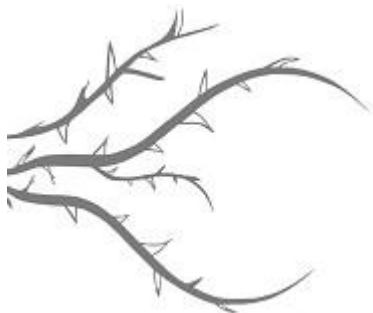
– Tak czy inaczej, powiedziałam prawdę. Wiesz, że tak jest.

Początkowo nie reaguje.

– Nie masz pojęcia, jak to jest – odzywa się po chwili cicho, z wahaniem, jakby kratka w drzwiach mojej celi stała się nagle kratką w konfesjonale. – Niczego nie czuję, wszystko po prostu wiem. Istnieję, a jednocześnie mnie nie ma. Nie mam pojęcia, jak uciec. Nie... – powstrzymuje się. – Muszę iść. Jestem mu potrzebny. – Puszczając pręty i się cofa. – Na twoim miejscu bym się nie odwracał.

– Co?

Caleb znika mi z oczu, a w jego miejsce pojawia się Marcus: czarny płaszcz, czarne włosy i te szare oczy zasnutę cieniem nienawiści i żądzy zemsty.



Rozdział 22

Cztery kolejne noce spędzam w zimnym i ciemnym, przypominającym grobowiec pomieszczeniu, w którym towarzyszą mi tylko umarli. Nie zasypiam na długo, nie mam aż tyle odwagi. Zamiast leżeć, siedzę na skraju ławy i co chwila szczypię się, by nie zmorzył mnie sen, tylko od czasu do czasu poddając się na pięć lub dziesięć minut zmęczeniu.

Każdą spędzoną na jawie chwilę poświęcam modlitwie na dzień przed bitwą. Powtarzam ją bez końca niczym liturgię, wzbraniając Marcusowi dostępu do swych myśli. I tak je poznaje – nie wszystkie, część – i zadręcza mnie, przywołując starannie pogrzebane wspomnienia z dzieciństwa i czasu szkolenia, z chwil spędzonych z Malcolmem, wspomnienia o śmierci moich rodziców i Caleba. Przypomina mi to wszystko wilgotnym, przegniłym szeptem.

Ani razu nie pada imię Johna.

Ani razu się nie odwracam.

Nie jest dla mnie zagadką, dlaczego to Marcus został wyznaczony na mojego strażnika. Caleb, naturalnie, powstrzymałby mnie przed ucieczką równie skutecznie, lecz on pozwoliłby mi spać. A brak snu ma mnie zapewne rozbić, doprowadzić na skraj obłądu. Caleb nie wpatrywałby się we mnie przez całą noc niemrugającymi, wszystkowidzącymi oczyma. Niemal wszystkowidzącymi.

Jedyną zagadką pozostaje przyszłość.

Dni upływają powoli. Co rano szare światło przebija się przez grubą powłokę chmur i co wieczór umyka, odpływając wraz z drobinkami kurzu za okno. Jestem wycieńczona i doznaję zawrotów głowy. Nieustanne czuwanie sprawiło, że członki i powieki mam ciężkie jak ołów. W areszcie słyhać jedynie doprowadzający do obłądu szept

Marcusa i słowa mojej ochronnej modlitwy.

Godziny odmierza bicie wiszącego w pobliskiej wieży zegara. Wreszcie, po piątym kurancie piątego dnia Marcus milknie. Podnosi się z miejsca. Ja wciąż siedzę nieruchomo, przykuta do ławki rosnącym przerażeniem. Widzę, jak wilczym gestem strzyże uchem w stronę okna. Nasłuchuje czegoś, czego ja nie słyszę. Po chwili zwraca się z powrotem ku mnie i na jego twarz wypływa powoli szeroki chytry uśmiech.

To dzisiaj.

Muszę stąd uciec.

Nie wiem, co robić.

Dolatuje mnie echo metalicznego szczęknięcia, odgłos obracanego w żelaznym zamku klucza, skrzypnięcie zawiasów. Kroki na kamiennych stopniach. Przez kratę w drzwiach widzę gwardzistów, tych samych dwóch mężczyzn, którzy mnie tu przywiedli. Wchodzą do celi. Nietrudno zauważyć malujące się na ich twarzach napięcie; mają się na baczności i nie wiem tylko, czy przede mną, czy przed Marcusem.

Nie przekazują żadnego rozkazu, nie muszą. Marcus podbiega i odrywa mnie od ławy. Szarpię się z nim, zmagam z kajdanami, które przez cały czas krępują moje ręce i nogi. Daremnie. Po chwili wyprowadzają mnie z celi, Marcus idzie po jednej stronie, gwardziści po drugiej. Trzepoczące rozpaczliwie serce uderza mi o żebra. Muszę coś zrobić. Czas ucieka coraz szybciej.

Schodzimy po schodach i stajemy przy wyjściu. Wartownik sięga po klucz i otwiera drzwi, drugi je przytrzymuje i przepuszcza Marcusa, uważając przy tym, by zaledwie się do niego nie zbliżyć. Na moment zostaje z nimi sama, na krótką chwilę.

Ale więcej czasu mi nie trzeba.

Unoszę dłoń do włosów, wyplątuję z koczka spinkę, którą wpięłam sobie niemal przed tygodniem. Wciskam ją do zamka kajdan, wyczuwam zapadkę i słyszę, jak się otwiera. Marcus również to słyszy – słyszy lub wyczuwa – i okręca się gwałtownie na pięcie dokładnie wtedy, gdy popycham drzwi i zatrzaszukuję je, zasuwając jednocześnie rygiel.

Gwardziści ruszają do ataku. Mocno uderzam łokciem w górę i trafiam jednego prosto w nos. Kość trzaska, pęka, jęczący mężczyzna

zgina się w pół, krew leje się na podłogę. Chwytam go za kark i uderzam jego głową o swoje kolano. Pada na ziemię. Drugi wartownik próbuje uciec, lecz jest zbyt wolny. Łapię go za ramię, szarpię i obracam ku sobie. Zanim choć stęknął, moja pięść ląduje na jego twarzy. Strażnik dołącza do leżącego już bezwładnie kolegi.

Marcus dobija się do drzwi z energią rozjuszonego dzikiego zwierzęcia.

Biegnę, jakby gonił mnie sam diabeł. Po schodach na górę, z powrotem do celi. Wskakuję do środka, zamykam drzwi i blokuję je, wciskając do zamka kolejne spinki z włosów. Nie chcę, by ktokolwiek z zewnątrz mógł je otworzyć.

Mam ledwie sekundy. Marcus zaraz tu będzie. Zrywam fartuch z brudnej wełnianej sukienki, owijam go sobie wokół dłoni i rozbijam okno. Wychodzi na tył budynku, po przeciwnej stronie niż ta, gdzie Marcus wciąż łomocze do drzwi. Okruchy szkła sypią się z ramy i z brzękiem spadają na podłogę. Uważam, by żadnego nie nadepnąć. Na nogach mam miękkie skórzane trzewiki, a nie mogę się skaleczyć. Nie mogę krwawić.

Wchodzę na wąski parapet, wyglądam na świt i ciemność poniżej. Nie wiem, co mnie czeka na dole. Nie miałam okazji się przyjrzeć za dnia, Marcus obserwował każdy mój ruch. Prawdopodobnie żwirowa ścieżka. A co jeśli akurat jest tam żelazna brama? Spadzisty dach? Mogłabym się nadziać na żelazny pręt, uderzyć głową w dachówkę i stracić przytomność, stoczyć się na ziemię i złamać nogę, skazując się na pojmanie.

Postanawiam zaryzykować.

Niestety, nie mam ku temu okazji.

Drzwi eksplodują do środka i wraz z nimi niczym obłętny taran wpada Marcus. Jest szybki – wciąż nie mogę do tej jego szybkości przywyknąć. Dopada mnie, chwytając za kołnierz sukienki bezwzględnie żelazną dłonią. Szarpnięta, spadam z parapetu i twardo ląduje na podłodze. Na brzuchu, bez tchu. Odwracam się błyskawicznie na plecy, lecz natychmiast tego żałuję. Spojrzeć mu w oczy znaczy spojrzeć w twarz czystej grozie. Jest wściekły. Dyszy pragnieniem zemsty, a co najgorsze, wygląda na rozbawionego. Łapie moją głowę obiema dłońmi i

zaczyna ścisnąć. Unosi mnie w powietrze. Mąci mi się w oczach, widzę plamy białe, czerwone, potem już tylko czerń. Zaraz zmiażdży mi czaszkę. Zabije mnie gołymi rękoma. Przez cały czas obrzuca mnie mamrotanymi wyzwiskami, czuję na twarzy jego oddech i nie jest to oddech człowieka. Jest ciemny, czarny i oleisty; cuchnie ziemią, zgnilizną i rozkładem.

– Marcus! – Czyjś głos przebija się przez moje wrzaski. W drzwiach staje Caleb, dłonie zaciska w pięści z gniewu bądź po to, by się powstrzymać. – Puść ją!

Marcus podskakuje niczym skarcony pies, odrywa ode mnie dłonie. Nie spodziewałam się tego i opadam bezwładnie na podłogę, uderzam głową o kamień.

– Wyjdź stąd. – Caleb wskazuje na ledwie trzymające się zawiasów drzwi. – Będę musiał mu o tym powiedzieć. A wiesz, co się stanie, kiedy się dowie.

– Dostałem rozkaz zatrzymać ją w celi – odpiera Marcus. – Wszelkimi dostępnymi środkami. Zrobiłem, co kazał.

– Jemu się będziesz tłumaczyć – zauważa Caleb. – Nie mam na twoje wymówki czasu ani ochoty.

Marcus obrzuca złym wzrokiem Caleba, potem raz jeszcze zerka na mnie i ciężkim krokiem wychodzi z pokoju. Nie wiem, co powiedzieć. Czy powinnam podziękować Calebowi za to, że uratował mnie przed śmiercią? Czy raczej go zrugać? Bo przecież tam, dokąd mnie zaprowadzi, nie będzie wcale lepiej, tam czeka mnie taki sam los.

Nie dostaję czasu na zastanowienie się. Caleb podbiega do mnie i podciąga mnie na równe nogi. Kajdany w okamgnieniu ponownie zamykają się na moich przegubach, a oczy przesłania mi czarna opaska. Sprowadza mnie na dół, tym razem ucieczka jest wykluczona.

Na zewnątrz jedynymi moimi doznaniem są pokrzykiwania krążących po niebie mew, chłód omiatającego mi twarz wiatru i słonawa woń rzeki Severn. Zaczynam się szamotać, lecz dociera do mnie, że to na nic i przestaję. Muszę zachować resztki sił.

Zapach i jedwabista miękkość trawy pod stopami ustępują chrzęstowi żwiru, kamyki – kamiennym płytom, a potem wilgoci i nagłemu zimnu tunelu. Próbuje się domyślić, dokąd mnie Caleb

prowadzi. Możliwości jest wiele, każda niezbyt zachęcająca. Trafiłam przecież do Greenwich Tower.

Potykam się o jakiś próg, słyszę skrzypnięcie drzwi i zaczynam schodzić po schodach. Stopnie. Wiele, bardzo wiele stopni. Naliczyłam ich sześćdziesiąt, lecz wciąż się nie zatrzymujemy, zanurzamy się głęboko pod twierdzę, w trzewia ziemi.

Ziemia.

Ponownie zaczynam się szarpać, wierzgam i wiję się w uścisku Caleba. Równie dobrze mogłabym się mocować z kamienną kolumną. Otarta skóra piecze. Nie osiągam niczego. Wreszcie schody się kończą. Staję na równej podłodze. Drgam lekko, zaskoczona zimną gładką powierzchnią i dźwięcznym echem naszych kroków.

– Gdzie ja jestem? – Nawet nie próbuję ukryć strachu. Caleb i tak wie, że się boję. – Co to za miejsce?

Zamiast odpowiedzi, słyszę stłumiony chichot, i to nie jednego człowieka, lecz wielu ludzi. Włoski na karku stają mi dęba, w piersi wzbiera tłumiony lęk. Dłoń Caleba wędruje po moim karku. Opaska opada.

Stoję w niedużej okrągłej salce. Nigdy przedtem tutaj nie byłam. Posadzka wyłożona jest marmurem, podobnie jak ściany i powała. Brązowy kamień, przecięty gdzieniegdzie białymi żyłkami; elegancki grobowiec.

Wprawione w podłogę, pobłyskujące klejnoty układają się w ośmioramienną gwiazdę, wyznaczają strony świata. Na samym środku czeka lśniący drewniany stół. Wąski, długi i starannie wypolerowany.

Sala obrzędowa.

Widywałam już takie, aczkolwiek w okrojonej, skromniejszej wersji. Ściany miały z ziemi bądź cegieł, na pewno nie z marmuru. Kierunki oznaczano tam gałęziami lub kamykami, na pewno nie drogocennymi. Zamiast wiszących pod sufitem stylowych oliwnych lamp z szybkami z rżniętego szkła oświetlone były zgrzebnymi, cuchnącymi łojowymi świecami.

Otacza mnie ośmiu stojących w kręgu mężczyzn. Obracam się, patrząc kolejno na każdego. Wszyscy mają na sobie płaszcze z kapturami, więc nie widzę twarzy, nie wiem, kim są. Wyglądają

identycznie. Tylko jednego zdraźca wzrost i majestatyczna postura, rozpoznaję go po wiszącym mu u boku mieczu z rękojeścią wysadzaną migocącymi zielono, pulsującymi szmaragdami.

Oczywiście wiem, że to na nic, lecz rzucam się do uciezki. Obracam się na pięcie i pędzę ku drzwiom, którymi przyprowadził mnie Caleb; ku drzwiom, które jeszcze minutę wcześniej otwierały się w ścianie.

Teraz ich nie ma.

Ośmiu nieznanomych natychmiast rusza w moją stronę. Jednemu się wymykam, wpadam na innego. Odpycham go ramieniem po to tylko, by zderzyć się z kolejnym. Kopię go, gdyż ręce wciąż mam bezsilne, skute na plecach.

Ktoś chwytą mnie od tyłu. Wierzgam i odwijam się, gryzę go po ramionach, po dłoniach. Moje zęby zagłębiają się w ciało, płynie krew. Odwdzięcza mi się siarczystym policzkiem, tak mocnym, że czuję cios w kościach.

Rzucają mnie plecami na stół. Ktoś sięga po linę i przywiązuje mnie do blatu. Nie mogę się ruszyć. Kręcę głową z boku na bok, patrzę, jak wyjmują spod płaszczy świece, odpalają je od lamp, po czym ustawiają wokół wyobrażonej na posadzce gwiazdy.

Na wierzchołku ramienia wyznaczającego północ pojawia się drewniana miseczka soli. Na południe trafia wysoka świeca. Wschód oznaczają wiązką ziół, zachód wypełnionym wodą kielichem. Cztery kierunki świata, cztery żywioły, cztery cnoty, cztery fazy czasu, wszystkie prowadzące do jednego nieodwołalnego końca.

Słyszę szelest, zaraz potem rozlega się krakanie i brzęk metalu. Wysoki zakapturzony mężczyzna występuje naprzód. W dłoniach trzyma czarną klatkę z wielkim czarnym krukiem. Wyciąga ptaka, a Blackwell w tym samym momencie unosi ostrze Azotha. Błysk zieleni, ptasi skrzek, szelest – potem już cisza. Kapanie, żelazista woń, odgłos miękkiego pacnięcia, gdy martwy kruk trafia na środek gwiazdy. Rytualna ofiara. Wydarzenia następują szybko po sobie. Krew rozsmarowana na ścianie, kształty i sylwetki, których nie rozpoznaję. Ziola przytknięte do świec, płonące i szybko ugaszone, wciąż dymiące. Zapachy mieszają się z aromatem krwi. Szelest szat. I niemilknące

mamrotanie, zaśpiewy, recytowane zaklęcia.

Szarpię się w więzach, spoglądam to w jedną, to w drugą stronę. Nagle sala znika. Nie ma już marmurów, nie ma połyskliwego kompasu, nie ma świec. Znika skrzydlate truchło i ukryci pod kapturami ludzie. Zostaje ciemne pomieszczenie. Więzienie, grobowiec. Bez wejścia, bez wyjścia. Na moment powracają marmury. I znów znikają. Na przemian. Śpiewy narastają, zagłuszają mój krzyk, mój wrzask. Marmur, ziemia. Ludzie, nikt. Światło, czerń. Coraz szybciej i szybciej.

Wtem wyrasta przede mną Blackwell z Azothem w dłoni. Gdy widzę magiczny miecz, coś się we mnie rozpala, czuję żar, zew, pragnienie tkwiącej we mnie klątwy.

Krew dudni mi w uszach.

Świst powietrza, ostrze Azotha wędruje ku górze. Biorę głęboki oddech, prawdopodobnie ostatni, czekam na cios, czekam, aż przebije mnie ostrze i wykrwawię się na tym stole, czekam na śmierć. Jediną pociechę stanowi świadomość, że jeśli zginę, Blackwell nie dostanie tego, na czym mu najbardziej zależy.

Zamiera. Na jeden obłąkańczy moment ogarnia mnie nadzieja, że miecz mnie rozpoznał, że pamięta, kto nosił go przy boku przez ostatnie tygodnie i odmówi posłuszeństwa. Azothowi jednak lojalność jest obca. Zabije mnie tak, jak uśmierciłby każdego, zależy mu jedynie na odbieraniu życia.

– Co to jest? – słyszę głos Blackwella. Pyta mnie na ucho, bierze moją głowę w dłonie i obraca nią na boki. – I to?

Nie odpowiadam, gdyż nie mam pojęcia, o co pyta.

Wyręcza mnie.

– Sińce... – W sali zalega cisza, milkną śpiewy. – Elizabeth, na szyi i twarzy masz siniaki. Jak to możliwe?

Nieruchomieję. Łowcy czarownic nie znają siniaków. To znaczy, nie znają ich ci, których chronią znamiona. Tak bardzo starałam się uniknąć skaleczeń, tak bardzo chciałam nie ujawnić tajemnicy. A teraz zdradza mnie taka błaħostka, drobiazg. Ślady pozostawione przez palce Marcusa, gdy zamierzał zmiażdżyć mi głowę.

– Co się stało ze znamieniem? – Blackwell pochyla się nade mną. Przyciska koniuszek Azotha do mojego policzka. Po ostrzu nadal spływa

krew kruka. – Co z nim zrobiłaś?

– Nie powiem ci. Nigdy. – Jakimś cudem znajduję w sobie dość odwagi, by spojrzeć w tę zniszczoną twarz. Ostatni akt buntu. – W życiu się nie dowiesz.

Groźba nie była szczególnie poważna. Blackwell spogląda na Caleba, który podchodzi do mnie i przymyka powieki. Spróbuje odczytać moje myśli, zagłębi się w mojej głowie i poszuka tam odpowiedzi na pytanie swego pana. Zaczynam recytować w duchu modlitwę Malcolma, powtarzam ją w nieskończoność. Wypełniam nią całą świadomość, każdy jej zakamarek. Nie pozwolę mu.

Po chwili Caleb kręci przecząco głową.

– Mamy inne sposoby na uzyskanie tej informacji. – Blizna na twarzy Blackwella układa się w uśmiech. Choć nie powinna. Nie wie, do czego jestem zdolna, by niczego mu nie wyjawić. – Brać ją – rzuca, spoglądając na swoich ludzi.

Ten sam wysoki zakapturzony mężczyzna, który przyniósł klatkę z krukiem, zaciska dłoń na moim nadgarstku, niewidoczne palce zmagają się z liną. Przystaję odmawiać modlitwę i w myślach błagam Caleba, by mnie zabił, nim zrobią to oni. Blackwell zna wiele metod zmuszania ludzi do mówienia: lochy i tortury, wyłupianie oczu, cięcie języka, miażdżenie kolan, piłowanie rąk i nóg, przypiekanie rozgrzanym żelazem....

Caleb jednak nawet nie drgnie, jest głuchy na moje błaganie.

Sznur opada na podłogę. Stawiają mnie na równe nogi, przeguby wciąż mam skute. Prowadzą mnie do drzwi, które właśnie się na powrót zmaterializowały. Zaczynam sobie wyobrażać, co ze mną zrobią, lecz to jedno akurat nie przychodzi mi do głowy. Przepychanka, ktoś chwytą mnie za rękę i widzę nagły błysk, po którym znów zapada ciemność. Coś mnie przygniata, nie jestem w stanie zaczerpnąć tchu. Niczego nie widzę. Poruszam się, lecę, mimo że jestem nieruchoma, frunę donikąd.

Potem, nareszcie, cisza. Głucha. Wieczna.



Rozdział 23

W pierwszej chwili zwracam uwagę na ciepło.

Zapach węgla; ogień, ale to nie płomienie obrzędowych świec, nie cuchną łożem i śmiercią. Są przyjazne, z nutą rozmarynu. Woń świąteczna, rodzinna, pełna życia. Wciąż czuję dotyk czyjejś ręki, ktoś trzyma mnie za ramię mocno, lecz zarazem delikatnie. To przyjazny gest, aczkolwiek pewności mieć nie mogę. Spotkało mnie zbyt wiele rzeczy, które szybko obróciły się w swoje przeciwieństwa.

– Elizabeth – słyszę w uchu szept cichy i kojący. Ojcowski.

Rozpoznaję go. – Jesteś bezpieczna. Możesz otworzyć oczy.

Podnoszę powieki.

Kłęczę na miękkim dywanie. Poznaję ten wzór – kwiaty i pnącza, żółte, pomarańczowe i zielone. Trzaskający ogień płonie w również znajomym kominku, przedstawiające leśne sceny gobeliny wiszą na bielonych ścianach, pod gładkim sufitem. A przede mną klęczy Peter, bije od niego nikła woń tytoniu i czegoś mocniejszego – whiskey, może koniaku.

Sięga do moich kajdan, do rąk i nóg. Łańcuchy opadają z brzękiem i pirat odrzuca je na bok. Na powrót spogląda na mnie. Ma ciemne, podkrążone szkarłatem oczy, bladą twarz. Wymięte ubranie. Tak bardzo przypomina w tej chwili Johna, że muszę się odwrócić.

Wyczuwam, że ktoś nade mną staje. Powoli unoszę głowę: wysoka, odziana w ciemną szatę postać z obrzędowej sali, lecz nie trzyma już świecy, tylko kamień – magnetyt, wciąż nieznacznie pulsujący światłem i dymiący białym dymem. Z wolna ściąga z głowy kaptur.

Nicholas.

– To ty... – rzucam ochryplym od wrzasku głosem. – Jak to?

– Keagan – odpowiada. – I Schuyler. Donieśli mi, co cię spotkało w Ravenscourt, a Schuyler dowiedział się, dokąd cię zabrali. Keagan pomogła mi dostać się do środka, Fifer przypilnowała, bym się wydostał.

Czyli Keagan uszła z Ravenscourt z życiem.

– Co z Malcolmem? – pytam. – Jemu też nic się nie stało?

– Nie – odpowiada czarnoksiężnik. – Oboje żyją i mają się dobrze.

– Są teraz w Rochester – odzywa się stojąca w cieniu kominka Fifer. Schuyler czeka u jej boku. Fifer ma na sobie sukienkę naciągniętą na koszulę nocną, lecz nie sprawia wrażenia rozespanej. – Czeka ją na wieści o tobie.

Nie komentuję. Nie powinno mnie tu być, nie powinnam wciąż żyć. Oni nie powinni usłyszeć o mnie żadnych wiadomości, ponieważ powinnam być martwa. Nie jestem jednak w stanie się nad tym zastanawiać, nie po tym, czego się dowiedziałam. Spoglądam na Nicholasa.

– Czy plan Blackwella może się powieść?

Czarnoksiężnik zrzuca z siebie ten koszmaryny płaszcz, który natychmiast unoszą niewidzialne dłonie Hastingsa. Nie odpowiada od razu.

– Niewykluczone – przyznaje po chwili zastanowienia. – Gdybyś wcześniej opowiedziała mi o swoich zamiarach, uznałbym, że nie ma najmniejszej szansy. Potrzebował Azotha, a nie dostałby miecza, gdyby pozostał on w murach mojego domu, zabezpieczony zaklęciem. Teraz to co innego.

Nie mówi tego oskarżycielskim tonem, po prostu stwierdza fakt. Wyrzuty sumienia sprawiają jednak, że robi mi się niedobrze.

– Teraz brakuje mu już tylko jednego. Czegoś, co znacznie łatwiej zdobyć.

Oczywiście ma na myśli znamię. Johna.

– Trzeba ruszać do obozu – wypalam. – Fitzroy powinien się o wszystkim dowiedzieć, musi zwołać ludzi. Ochronić Johna. Muszę mu o tym opowiedzieć. To moja wina, ja pójdę...

Próbuję się podnieść, lecz natychmiast się potykam. Wyczerpanie sprowadza mnie z powrotem na podłogę.

– Nigdzie nie pójdziesz. – Peter podtrzymuje jedno moje ramię,

drugie chwyta Schuyler. Odruchowo się wzdrygam. Ich dotyk przypomina mi o gwardzistach, o Marcusie i Calebie. Schuyler wyłowił tę myśl i uwalnia mnie, lecz pirat nie rezygnuje.

– Zaprowadzimy cię na górę – mówi. – Umyjesz się i wypoczniesz.

– Nie mogę odpoczywać – odpieram. – Nie teraz, nie po tym, co zrobiłam.

Zerkam ku Fifer. Przypominam sobie, jaka była na mnie wściekła, kiedy wyruszałam, gdy niemal szantażem zmusiłam ją do pomocy. Była moją przyjaciółką, a ja nie odpłaciłam jej tym samym. Podobnie jak Peterowi, którego syna nie ocaliłam. Jak również Nicholasowi, który znowu musiał wystawić się dla mnie na wielkie ryzyko. A ja go okłamałam i okradłam. Straciłam Azotha, największy atut, który teraz zwrócił się przeciwko nam.

– Przepraszam – odzywam się wreszcie. – Wydawało mi się, że potrafię położyć temu wszystkiemu kres. Myślałam, że będę w stanie zabić Blackwella, ale się pomyliłam. Przeceniłam swoje siły – dodaję ze wstydem.

– Być może. – Peter delikatnie ściska mnie za ramię. – A przede wszystkim nie doceniłaś jego zdolności.

– Naprawdę nie wiem, co robić – szepczę. Po części do siebie, po części do nich.

– Jak zaproponował Peter, pójdziesz z Fifer na górę – wtrąca Nicholas. – Odpocznij. Porozmawiamy potem. Potrzebuję czasu, żeby wszystko dokładnie przemyśleć.

Nie próbuję nawet dyskutować, nie śmiem.

– Dziękuję – odzywam się tuż przed wyjściem. – Dziękuję, że po mnie przyszedłeś. Dziękuję, że zaryzykowałeś dla mnie własne życie, i to nie po raz pierwszy.

Nicholas podchodzi szybkim krokiem i kładzie mi dłonie na ramionach. Wpatruje się we mnie ze śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy. Przez chwilę wyczuwam w nim gniew i naganę. Zasłużyłam na nie, lecz naprawdę nie chcę słyszeć naznaczonych tymi emocjami słów, przynajmniej nie w tej chwili.

– Jeżeli mógłbym sobie czegokolwiek życzyć – zaczyna Nicholas – to tego, byś wreszcie pojęła, ile jest warte to, co kładziesz na szali.

Twoje uczynki nie wpływają już wyłącznie na twoje życie. Być może tak było w przeszłości, ale teraz otaczają cię ludzie, którym nie jesteś obojętna. Nie jesteś osobą, którą mogliby bez trudu zastąpić inną – dodaje na koniec i zaczynam się zastanawiać, czy nie czyta mi w myślach.

Fifer ujmuje mnie za łokieć i prowadzi łagodnie ze sobą. Schuyler rusza tuż za nami. Peter szepcze coś na pocieszenie, a słowa Nicholasa zapadają głęboko we mnie, coraz głębiej, znajdując drogę ku prawdzie.

Wchodzimy na górę: gipsowane ściany i drewno, miękkie dywany i gobeliny, od czasu do czasu olejne malowidło przedstawiające wzburzone morza, brykające konie, tudzież wazony z kwiatami. Na tych płótnach nie ma królów, bitew ani broni.

W końcu docieramy do drzwi, za którymi otwiera się sypialnia. Przytulne wnętrze, blada zieleń i biel. Jasno, zbyt jasno, ponieważ w sercu niosę ciemność.

Na środku stoi wypełniona gorącą wodą wanna, para bije pod powałę. Obok na krześle czeka stos pościeli, koszula nocna, koc i miseczka z proszkiem, który wygląda na sól kąpielową. Szybko się uwinęli. Jedna z zalet posiadania służącego ducha, jak kiedyś powiedział John.

– Pójdę i poszukam czegoś na ząb – rzuca Peter. Uśmiecha się, lecz wciąż widać po nim napięcie. – Niedługo wrócę. – Wychodzą z Schuylerem na korytarz i cicho zamykają za sobą drzwi.

– Fifer, ja nie... – zaczynam.

– Daruj sobie – ucina, choć nie słyszę w jej tonie urazy. – Nadal jestem na ciebie zła, ale jeszcze bardziej cieszę się, że żyjesz. Mogłaś zginąć. W zasadzie powinnaś już nie żyć.

– Wiem. – Ciężko opadam na stojące przy kominku krzesło. Płomienie są ciepłe, polana głośno trzaskają. Kryję twarz w dłoniach. – Naprawdę wiem.

– Tak, cóż... – Fifer milknie, a kiedy w końcu podnoszę wzrok, zauważam na jej twarzy minę bardzo dla niej niecodzienną. – Musisz ściągnąć tę sukienkę – mówi, podaje mi rękę i pomaga mi się podnieść. – Wygląda nieznośnie i nieznośnie pachnie.

Pozbycie się ubrania zajmuje dobrą chwilę. Tkanina wprost lepi mi

się do niemytego od pięciu dni ciała. Ostatecznie jednak Fifer ciska brudną kieckę w ogień. Pchnięta pogrzebaczem zapaskudzona wełna staje w płomieniach.

Wchodzę do wanny. Woda natychmiast mętnieje. Fifer wrzuca do niej garść soli – a w każdym razie tego, co za sól wzięłam – i brud zaczyna znikać. Zbija się w czarne wijące się smugi, które wkrótce rozplývają się bez śladu. Czary. Następnie Fifer podnosi dłonie do szyi i zdejmuje naszyjnik: mosiężny łańcuszek z ampułkami z solą, rtęcią i popiołem.

– Myślę, że dobrze będzie utrzymać Caleba z dala od twojej głowy – mówi, zakładając mi naszyjnik. – Schuyler opowiedział mi o tej modlitwie, którą bez przerwy odmawiałaś – dodaje. – Na pewno masz jej już serdecznie dosyć.

Układam się w wannie wygodnie, zanurzam w kojącej ciepłej wodzie. Zmęczenie, któremu nie poddawałam się od kilku dni, atakuje ze zdwojoną siłą i tylko potężnym wysiłkiem woli udaje mi się utrzymać powieki w górze.

– Co się stało? – pytam po chwili milczenia. – Kiedy znalazł mnie Caleb, a reszta uciekła? Duże mieli kłopoty?

– Schuyler mówił, że zapanował tam potężny chaos. – Fifer podsuwa sobie krzesło do wanny. – Gwardziści nabierali wodę z pomp na dziedzińcach, słudzy biegali z wiadrami, dworzanie wrzeszczeli. Wszyscy byli przekonani, że pożar wybuchł w kuchni, więc nie od razu się domyślili. Po jakimś czasie ktoś jednak zauważył krew i odnalazł ciała... – Mocniej otula się płaszczem, jakby przeszył ją dreszcz. – Ale wtedy nasi byli już daleko. Biegli bez przerwy przez niemal dwa dni. Kiedy znalazł ich patrol straży, Malcom prawie wymiotował z wycieńczenia.

– I znowu ich aresztowano?

– Nie, chociaż mało brakowało. Malcolmowi puściły wszelkie hamulce. Rozkazywał im po ciebie wracać, wydierał się, domagał broni i koni. Poleciał nawet Fitzroyowi, by przekazał mu dowództwo nad armią. – Fifer cmoka i kręci głową – Byłam pewna, że obaleni władcy zachowują się inaczej, ale cóż, człowiek uczy się całe życie.

Kiwam głową. Dla mnie takie jego zachowanie nie stanowi

zaskoczenia, na tronie ani poza nim.

– Skończyło się na tym, że Nicholas musiał mu dać coś na uspokojenie. W efekcie Malcolm przespał dwanaście godzin, a kiedy się obudził, zaczął się burzyć od nowa. – Fifer ponownie cmoka z dezaprobatą. – Ponieważ udało ci się przeniknąć do Hexham i bez większego trudu uciec, Fitzroy z Nicholasem uznali, że niebezpiecznie będzie odsyłać tam Malcolma. Osadzili go w Rochester, w areszcie domowym.

– A Keagan? – dopytuję. – Ją również zatrzymali?

– Tylko w pewnym sensie – opowiada Fifer. – My chcieliśmy ją aresztować, lecz rada stwierdziła, że nie ma powodu. Otrzymała zgodę na powrót do domu, do Airann, tyle że natychmiast poprosiła, byśmy pozwolili jej zostać i nam pomóc. Niemniej nikt nie zapomniał, że ona jest obca i w dodatku niebezpieczna, więc postanowiono, iż lepiej odesłać ją do Rochester. Okazała się jednak lojalna. Wysłała list do swojego Zakonu Róży, namawiając, by przyłączył się do naszej walki. Twierdzi, że wszyscy są równie utalentowani jak ona. Taka pomoc rzeczywiście by się nam przydała.

Potakuję skinieniem, moje myśli ulatują już dalej, ku innemu więźniowi Hexham. Zastanawiam się, gdzie jest i czy nic mu nie grozi.

– Johna również przenieśli do Rochester. – Fifer trafnie odgaduje powód mojego milczenia. – Zamknęli go gdzieś w zachodnim skrzydle, ale nie wiem, gdzie dokładnie. Nie pozwalają mu na widzenia. Nie rozmawiałam z nim, podobnie Peter. Bywają u niego tylko Nicholas i...

– Urywa w pół zdania, powstrzymuje się, lecz ja wiem, co chciała powiedzieć. Jedynym poza Nicholasem gościem w celi Johna była Chime.

– Wiesz, jak się czuje? Może choć trochę lepiej?

Fifer spuszcza wzrok; jej długie blade palce skubią nerwowo rąbek szlafroka.

– Nie mam pojęcia. – Wzrusza ramionami. – Raz po raz proszę, by pozwolili mi się z nim zobaczyć, ale Nicholas upiera się, że lepiej nie. Domyślałam się, że z Johnem wciąż nie jest zbyt dobrze.

Kręcę głową nad sromotną klęską mojej misji, nad niebezpieczeństwem, na jakie wszystkich ponownie wystawiłam –

jeszcze poważniejszym niż dotąd.

– Nie powinnam była zostawać w Harrow – odzywam się i zamykam oczy. Nie chcę widzieć wyrazu jej twarzy, nie chcę zobaczyć w niej potwierdzenia. – Gdybym odeszła, Blackwell nie dowiedziałaby się, że już nie noszę znamienia. Mogłam dochować tajemnicy i Johnowi nic by nie groziło. A ja ukrywałabym się przed Blackwellem, dopóki nie zabiłaby go klątwa.

– Naprawdę w to wierzysz? – Fifer odzywa się tak ostrym tonem, że muszę jednak podnieść powieki i spojrzeć jej w oczy. – Naprawdę uważasz, że to takie proste? Teraz, kiedy już wiesz, do czego zmierza Blackwell, sądzisz, że byłabyś w stanie tak długo mu się wymykać? W pojedynkę? Bez pomocy magii? Myślisz, że Caleb nie przeniknąłby wcześniej czy później twych myśli i nie skierował Blackwella tutaj, po Johna?

– Nie wiem – przyznaję.

– A ja myślę, że wiesz.

Biorę głębszy oddech. Wszystko, co wiem i czego nie wiem, zmaga się ostro ze sobą, ostatecznie nie wiem zupełnie nic.

– Co teraz? – pytam. – Co teraz będzie?

– Myślę, że i to już wiesz.

Owszem. Blackwell pozna prawdę na temat mojego znamienia. I przybędzie tu po Johna, wyruszy zbrojnie przeciwko Harrow. Naturalnie, zrobiłby to i tak, ale teraz, kiedy go sprowokowałam, wszystko będzie wyglądać inaczej. Ataki, jakie spotkały nas dotąd, okażą się łagodnymi prztyczkami w porównaniu z tym, co nas czeka. Nie będą to zwykłe kilkuosobowe napaści. W dodatku Blackwell nie będzie zwlekał.

– Od początku było wiadomo, że do tego dojdzie – zauważa Fifer.
– W żaden sposób nie zdołasz go powstrzymać.



Rozdział 24

Przeprowadzam się z powrotem do Rochester. Nicholas chciał, żebym została u niego w domu jeszcze przynajmniej kilka dni i doszła do siebie. Tyle że przecież ludzie zaatakowani magią Blackwella nie dochodzą do siebie. Jego moc wnika im w duszę. Trzeba dla niej znaleźć miejsce w sąsiedztwie innych własnych demonów. Miejsce zawsze widoczne, ale – bardzo bym chciała – odpowiednio głęboko ukryte.

Nicholas odprowadza mnie do obozu. Niczym milczący strażnik chroni mnie przed spojrzeciami i szeptami nieruchomiejących na nasz widok ludzi. Na mój widok – drżącej pod bezchmurnym błękitnym niebem mimo osłony oplatającego mnie długiego płaszcza z zielonego aksamitu. Na widok Nicholasa – tchnącego spokojem niezłomnego mężczyzny w szacie barwy złota i kości słoniowej, kroczącego mężnie u mojego boku.

Wtajemniczeni robili, co mogli, by dotyczące mojego zniknięcia i powrotu szczegóły pozostały tajemnicą, lecz rewelacje rozeszły się po obozie niczym wirus. Wszyscy wiedzą, gdzie byłam, co zrobiłam, co mnie spotkało i w jaki sposób sprowadzono mnie z powrotem. Jak powiedział kiedyś Gareth: w Harrow wieści rozchodzą się błyskawicznie.

Rozciągają się przede mną kręgi białych namiotów, łopoczących na wietrze niczym płócienne żagle. Skręcam w kierunku swojego, ku piątemu kręgowi, lecz Nicholas powstrzymuje mnie ruchem ręki.

– Malcolm zażądał, byś się z nim spotkała – mówi. – Naturalnie, wolno ci odmówić, niczego mu nie obiecywałem. Co prawda, daliśmy mu już znać, że wróciłaś cała i zdrowa, ale podejrzewam, iż nie uwierzy, póki nie przekona się na własne oczy.

Waham się. Zamierzałam rozgościć się w namiocie i wrócić na

plac treningowy. Chciałam poświęcić się wyczerpującym ćwiczeniom, co po pierwsze byłoby pokutą za to, co zrobiłam, a po drugie pomogłoby mi przygotować się do ataku Blackwella. Wizyta u Malcolma wydaje się jednak nieunikniona i gdzieś w głębi duszy sama mam ochotę się z nim zobaczyć, upewnić się, czy rzeczywiście nic mu się nie stało.

– Dobrze – odpowiadam. – Odwiedzę go.

Nicholas prowadzi mnie do zachodniego skrzydła Rochester Hall. Wszystko jest tu urządzone z jeszcze większym przepychem niż we wschodniej części twierdzy. Pod sufitami wiszą złożone kasetony, ściany zdobione są tłoczonymi czerwono-złotymi deseniami i okraszone całymi milami oprawionych w złote ramy olejnych obrazów. Z piedestałów przyglądają mi się marmurowe popiersia rodu Cranbourne Calthorpe-Gough, zalane światłem wpadającym przez wysokie okna, w ramach zasłon z drogiego szkarłatnego aksamitu.

Strażnicy pilnują wielu drzwi, lecz te, za którymi uwięziony jest Malcolm, rozpoznaję od razu. Kręci się przed nimi aż pięciu zbrojnych, wszyscy wyglądają na mocno niezadowolonych. Gdy podchodzimy, stają służbiście na baczność. Przepuszczają nas, pobrzękując pikami.

Wewnątrz zastajemy Fitzroya i Malcolma. Siedzą przy niewielkim stoliku pod oknem wyglądającym na ogród i zieleniejący za nim gęsty las. Na blacie tłoczą się srebrne tace, kryształowe kielichy i cynowe talerze. Malcolm podnosi wzrok znad nietkniętego posiłku, zauważa mnie i zrywa się z miejsca.

– Elizabeth! – Lniana serwetka spływa mu z kolan na posadzkę. – Jesteś!

W przeszłości, gdy witał mnie w ten sposób, nieodmiennie dygałam. Teraz też ledwie się powstrzymuję, lecz impuls szybko przemija i po prostu skłaniam głowę.

– Powiedziano mi, że życzysz sobie mnie widzieć – mówię. Ściągamy spojrzenia wszystkich obecnych.

– Chciałem... Chcę – odpowiada Malcolm, skupiony wyłącznie na mojej osobie. – Zechcesz coś zjeść? Musisz być głodna. A może się napijesz...? – Patrzy dookoła, jakby spodziewał się, że służący podbiegną, by wykonać jego polecenia. Wciąż nie może przywyknąć do ich braku.

Z krępującej sytuacji wybawia nas Fitzroy.

– Dzisiaj mamy niedzielę. – Wstaje od stołu i zwraca się do stojącego nieruchomo przy mnie Nicholasa. – Jak rozumiem, to pora na piecyste z dzika. I to nie z jednego, uważacie, a z całego stada. Upolowano je wczoraj w nocy i niedługo trafią na ruszt. Chętnie obejrzę takie widowisko. Nicholas, może zechcesz mi towarzyszyć? – Wskazuje gestem drzwi, lecz czarnoksiężnik rzuca mu przepraszający uśmiech.

– Chciałbym, lecz dzisiaj jestem sługą Elizabeth i muszę dopilnować, by bezpiecznie trafiła do namiotu.

– Nie ma potrzeby – odzywam się wzruszona jego opiekuńczością. – Trafię tam sama, i to już niebawem. A może spotkamy się w kuchni? Chciałabym osobiście pogratulować kucharzom, którzy musieli sprawić i przygotować do pieczenia wszystkie te dziki.

Nicholas odpowiada mi uśmiechem, po czym zerka na Malcolma. Ciemne oczy maga wbijają się w jasne oczy obalonego króla i – jeśli się nie mylę – rozpala się w nich ostrzegawczy płomyk.

Po chwili wychodzą z Fitzroyem na korytarz. Drzwi łagodnie się zamykają i Malcolm zwraca się do mnie.

– Jesteś – gasnący, słaby uśmiech. – Wiem, powtarzam się. Dobrze się czujesz? Może spoczniesz? – Podbiega do krzesła Fitzroya i odsuwa je od stołu.

– Wszystko w porządku. Dobrze się czuję. – Przedstawiam niepełną i mocno skróconą wersję prawdy. – Dziękuję, postoję.

Malcolm potakuje skinieniem, uśmiech znika bez reszty.

– W Ravenscourt przeżyliśmy przerażające chwile. Tyle magii... Widok Caleba w tym stanie.... – Kręci głową z niedowierzaniem. – Tutaj wiadomości docierają do mnie z opóźnieniem, rozumiesz. Nikt się nie spieszy, by informować mnie o czymkolwiek. Ja to nawet rozumiem. Fitzroy jednak opowiedział mi o wszystkim. Wiem, przez co musiałaś przejść... – Urywa.

Wykorzystuję moment i nie pozwalam mu dokończyć. Nie chcę przeżywać tych chwil ponownie, a już na pewno nie w jego towarzystwie.

– Widzę, że jesteście z Fitzroyem po imieniu – zmieniam temat. – To kwestia tak dobrej komitywy czy znużyło cię powtarzanie trojga

nazwisk? A może po prostu wyleciały ci z głowy?

– Jako osoba o trzech imionach doskonale wiem, jakie wiążą się z tym niedogodności. Zdecydowaliśmy się przejść na ty, ponieważ Fitzroy nie miał pojęcia, jak powinien się do mnie zwracać – Uśmiech ponownie wypływa na wargi Malcolma. – Z drugiej strony, mógł mnie tytułować kapitanem.

– Kapitanem? – powtarzam. – Ciebie?

– Nie inaczej. Kapitanem nowo powołanej armii. – Malcolm cofa się o krok i pokazuje gestem stojący pod drugą ścianą stół. Błat usłany jest mapami i dokumentami. Na wszystkich stoją szachowe figury. – Okazuje się, iż nawet obalony król może się na coś przydać, zwłaszcza że pobierał lekcje strategii u zdrajcy, który pozbawił go tronu. – Milknie na moment. – Nie zabrzmiało to zbyt tkliwie, prawda?

– Ani trochę. – Niemal się uśmiecham.

– Świetnie. Ostatnio nad sobą pracuję. Fitzroy twierdzi, że bywam irytujący, kiedy staję się rzewny. Nazwał mnie zrządzającym cholerykiem! Jest tak samo dokuczliwy jak Keagan. Ani odrobiny szacunku dla króla! – Ostatnie dwa słowa wypowiada teatralnym tonem i teraz już uśmiecham się szczerze.

– Dowiedziałem się od niego bardzo wiele na temat Harrow i jego mieszkańców. Cieszę się i uważam, że to wstyd, iż dotąd nie miałem o tym wszystkim pojęcia.

– O czym konkretnie?

– Mam na myśli reformistów – tłumaczy. – Otóż sądziłem, że wszyscy praktykują czarnoksięstwo, a co najmniej dysponują magicznymi talentami. Tymczasem okazuje się, że nie. Przynajmniej połowa żołnierzy w tutejszym obozie nie posiada żadnej magicznej mocy. Nicholas nazywa ich magicznie neutralnymi. Zabawne określenie. Tak czy inaczej, ponieważ połowa naszych ludzi nigdy nie miała do czynienia z magią, a połowa z tej połowy w życiu nie trzymała w dłoni miecza, otrzymałem propozycję pokierowania ich szkoleniem.

– Czyli zostałeś dowódcą armii?

– O, nie. Połowa z tej połowy nie chce mieć ze mną nic wspólnego. To oznacza, że moje towarzystwo jest znośne dla ledwie ponad stu ludzi. A połowa z tej połowy...

– Malcolm...

– Sześćdziesięciu. – Wzrusza ramionami. – Dostałem sześćdziesięciu ludzi z tysiąca. Ale, jak powiadają, pierwsze koty za płoty. Biorąc pod uwagę okoliczności, cieszę się i z tego. Fitzroy jest zdania, że jeśli wykażę się z tą sześćdziesiątką, jeśli, jak mawiają alchemicy, zdołam przemienić metal w złoto, zachęcę następnych. I to właśnie obecnie planuję. – Ponownie pokazuje mi stół.

– Kiedy odbywają się szkolenia? – pytam. – Może mogłabym się przyłączyć? Miałbyś jednego żołnierza więcej.

Na jego obliczu wschodzi słońce.

– Tak, bardzo chętnie. Dobrze będzie zobaczyć przyjazną twarz. – Milknie, zastanawia się. – A przynajmniej znajomą.

Wtedy robię coś, do czego jak myślałam, nie jestem zdolna: wybucham śmiechem.

Na początku naszego szkolenia, gdy przechodziliśmy pierwsze próby, kiedy jeszcze nawet nie wyobrażaliśmy sobie, z czym przyjdzie się nam zmierzyć ani co przyjdzie nam robić, Caleb wymyślił sposób na radzenie sobie z wyczerpaniem po treningach.

Pewnego ranka pojawił się przed drzwiami mojego pokoju. Ubrany był do wyjścia i miał w ręku worek, lecz za nic nie chciał mi powiedzieć, co do niego spakował ani dokąd idziemy. Słońce wciąż jeszcze na dobre nie wstało, ale na ulicach panował już tłok. Caleb poprowadził mnie przez miasto – najpierw szliśmy po szerokich brukowanych alejach, potem uliczkami węższymi, które nie cuchnęły już łajnem i dymem. Wreszcie pojawiły się mniejsze domki, owiane aromatem drzew i trawy – zapachem wsi.

Po jakimś czasie wspięliśmy się na wzgórze, na którego szczycie rozłożył się cmentarz. Nagrobki słaśniały się, opierały jedne o drugie niczym zęby piratów – krzywe, spękane i splamione. Bezgłowe posągi leżały w trawie, walcząc o przestrzeń między drzewami. Wokół nie było żywej duszy, brakowało kwiatów, ścieżki zarosły. Miejsce równie zapomniane jak pochowani w tej ziemi ludzie.

Caleb wypatrzył płaski skrawek trawy pomiędzy sześcioma płytami nagrobnymi i usiadł. Zrzucił z ramienia worek i otworzył go. Wyjął lniane zawiniątko z prowiantem: chleb, szynka, ser i owoce.

Wszystko podwędzone z kuchni.

– Co ty robisz?

Podniósł na mnie spojrzenie. Spodziewałam się, że zacznie się ze mnie nabijać; w końcu widziałam, co robi. Ale akurat wtedy w jego błękitnych oczach nie było wesołości.

– Zabieram się do jedzenia – odpowiedział. – Ty też nie jadłaś już od dłuższego czasu, prawda? Bo ja od bardzo dawna.

Zastanowiłam się i doszłam do wniosku, że od mojego ostatniego posiłku minęło kilka dni. Również kilka dni minęło, odkąd po raz ostatni spałam, ale i to było niepewne. Ostatnio chodziłam po świecie niczym lunatyk.

– Skąd znasz to miejsce? – Usiadłam naprzeciwko Caleba, który oderwał kawałek chleba dla mnie. Pieczywo było jeszcze ciepłe, prosto z pieca.

– Nie pamiętam – odparł z pełnymi ustami. – Znalazłem je jakiś czas po drugiej próbie, wiesz, tej nad jeziorem Serpentine.

Głośno przełknęłam ślinę. Blackwell osobiście zabrał nas nad rozlewające się w Jubilee Perk czterdziestoakrowe jezioro, gdzie rodzina królewska spędzała letnie wakacje na pływaniu łódką i łowieniu ryb. Rozkazał nam przepłynąć na drugi brzeg. A był grudzień, zimny i śnieżny. Żadne z nas nie wiedziało, jak wykonać zadanie. Zabronił nam sobie pomagać. Okrutny dzień spędzony na słuchaniu ostatnich odgłosów wydawanych przez dwójkę tonących rekrutów; ich błagania rozdzierały marznące powietrze, a potem brzmiała już tylko cisza. Jeden z tych chłopców miał ledwie dwanaście lat.

– Potem słyszałem te ich głosy bez przerwy – ciągnął Caleb. – Pewnej nocy, czwartej bezsennej, poszedłem po prostu przed siebie. Nie wiedziałem, dokąd idę, potrzebowałem ruchu. I po kilku godzinach trafiłem tutaj. Ironia losu, prawda?

Zdobyłam się na nikły uśmiech.

Caleb ugryzł kolejny kęs chleba.

– Nie mam pojęcia, ile godzin tu przesiedziałem. Przyglądałem się tym nagrobkom. Elizabeth, oni wszyscy nie żyją. Gorzej, zostali zapomniani. Kiedy ostatnio ktoś żywy poświęcił im choć jedną krótką myśl? Kiedy ich odwiedził? Rozejrzyj się... Na pewno bardzo dawno.

Od lat, pomyślałam, w każdym razie na to wskazywał wygląd cmentarza.

– I wtedy coś sobie uświadomiłem – ciągnął. – Nieważne, co przeżyliśmy, przez co musieliśmy przejść i co widzieliśmy. Przynajmniej nie jesteśmy nimi. Nie jesteśmy martwi. Nie jesteśmy jak oni, Elizabeth. Żyjemy.

Drobne pocieszenie, lecz innego nie mieliśmy. Spędziliśmy tam całe popołudnie, jedząc. W pewnej chwili Caleb oparł się o nagrobek i zdrzemnął. Po powrocie do Ravenscourt po raz pierwszy od czterech dni zdołałam zasnąć.

Żyliśmy.

Mimo wiszącego na mojej szyi łańcuszka, miękkiego siennika i względnego bezpieczeństwa strzeżonego namiotu – jako iż narobiłam sobie ostatnio więcej niż kilku wrogów – wciąż nie sypiam dobrze.

W koszmarach nawiedzają mnie wizje zdeformowanej twarzy Blackwella. Po trzeciej bezsennej nocy wstaję, ubieram się, zarzucam worek na ramię i wychodzę w chłodny przedświt. Cichy i nieruchomy. Zatrzymuję się przy kuchni, która budzi się z wolna do życia. Dwie kobieciny, ziewając, wsypują kaszę do bulgocącego wielkiego kotła. Gdy stoję w wejściu przestronnego namiotu, nie reagują nawet słowem. Po chwili jednak starsza z nich, ubrana na szaro kucharka, podchodzi i wciska mi w rękę zawiniątko.

– Niewiele tego – mówi. – Ser jest twardawy, a chleb zaczyna pleśnieć. Odnoszę wrażenie, że powinnaś coś zjeść.

Dziękuję jej, wrzucam prowiant do worka i brnę przez morze uśpionych namiotów, przechodzę przez łąkę, pokonuję most i opuszczam Rochester.

Trzy godziny później jestem już w Hatch End i stoję przed czarną furtką cmentarza za domem Garetha. Jest zamknięta, lecz ma tylko jakieś siedem stóp wysokości i mimo zmęczenia pokonuję ją bez trudu. Idę dalej wzdłuż ścian kaplicy, przez płaski teren usiany starannie utrzymanymi, zadbanymi nagrobkami. A potem, tak jak lata temu wiele razy z Calebem siadam przy pomniku, rozpakowuję jedzenie i rozkładam je przed sobą. Tyle że nie jest tak samo jak dawniej. Żyję, ale Caleb jest martwy. Nie mam pojęcia, jak długo tam siedzę, oparta o zimny kamień,

z kromką chleba w dłoni. W pewnym momencie pojawia się on. Podkrada się cicho jak duch.

– Śledziłeś mnie? – Podnoszę na niego wzrok. W promieniach rodzącego się słońca jego włosy pobłyskują jak rtęć. – Dlaczego?

Schuyler wzrusza ramionami.

– Chciałem się przekonać, co u ciebie słychać. Ostatnio cię nie widzimy, a Fifer zaczęła się o ciebie niepokoić. Mówią, że jesteś bardzo zajęta.

Od dnia powrotu do obozu większość czasu, zgodnie z obietnicą, spędzam z Malcolmem. Pomagam mu trenować żołnierzy, demonstruję sposoby zadawania ran, okaleczania, mordowania, których wcześniej nie pokazywałam nikomu; sposoby, których nikt nie powinien oglądać.

Od pokazu, podczas którego za pomocą ledwie dwóch sztyletów i kilku gałęzi pokonałam watahę wyczarowanych przez Nicholasa wilków, oddział Malcolma zwiększył się o dwudziestu ludzi.

– Myślisz, że to dobry pomysł? – pyta Schuyler. – Przychodzić akurat tutaj?

– A dlaczego nie? Garetha nie ma. Bez przerwy przesiaduje na spotkaniach rady. Malcolm twierdzi, że nie opuścił Rochester od tygodnia.

– Nie o to mi chodziło. – Schuyler odgarnia nogą stertę suchych liści i siada obok mnie, opierając się o omszały grobowiec. – Raczej o to, czy sądzisz, że bratanie się z umarłymi jest rozsądne?

– Z tobą się przecież bratam, prawda?

– Punkt dla ciebie.

Zerkam na niego z ukosa. Patrzę na te niemal nienaturalnie jasne błękitne oczy, dziś nieco przymglone niepokojem i obawami. Ponownie uciekam myślami do Caleba.

– Powiedział Blackwellowi, że przyjdę – odzywam się. – Caleb. Twierdzi, że musi mu mówić o wszystkim, zdradzać się z każdą myślą. Podobno tego właśnie zażądał od niego Blackwell.

– Tak – potwierdza Schuyler. – Blackwell jest paterem Caleba, osobą, która sprowadziła go z grobu. Caleb musi teraz wypełniać wszystkie jego polecenia i rozkazy.

– Ale nie zdradził Blackwellowi, że nie noszę już znamienia.

– Prawdopodobnie nie udało mu się tego odnaleźć w twoich myślach. – Schuyler wzrusza ramionami. – Ja też nie słyszałem ich wyraźnie spoza tej przeklętej modlitwy, a mam przecież za sobą lata doświadczeń. Caleb jest wciąż młodą zjawą. Niełatwo skupić się na umyśle konkretnego człowieka, kiedy wokół jest tylu innych.

– Możliwe – przyznaję. – Tyle że w tej sali obrzędowej wcale się nie modliłam. Byłam zbyt wyczerpana i przestraszona tym, co miało mnie spotkać. Wtedy Caleb mógł się wsłuchać w moje myśli bez kłopotu, mógł usłyszeć wszystko. Tymczasem kiedy Blackwell zapytał go, co się stało ze znamieniem, odpowiedział, że nie wie. – Milknę na moment. – Myślisz, że mógł okłamać Blackwella świadomie, z premedytacją?

– Nie rozumiem, dlaczego miałby tak postąpić. – Schuyler odrywa kawałek chleba, kruszy go i ciska w trawę. Dwa ptaszki zlatują z gałęzi i zaczynają dziobać wśród okruchów. – Nie zrobił przecież nic innego, nie próbował zapobiec temu, co chcieli ci uczynić. Poza wszystkim Caleb nie ma wyboru. Wola zjawy jest bezwzględnie podporządkowana woli patera. Zjawy nie... – Urywa w pół zdania.

– Nie musisz mi o tym opowiadać – wtrącam pospiesznie.

– Nie w tym rzecz – zapewnia. – Po prostu trudno jest mi sobie przypomnieć. Ostatnim razem myślałem o tym kilkaset lat temu. Nie pamiętam dokładnie, jak dawno. Czy wiesz, że zapomniałem nawet własnego nazwiska?

– Naprawdę? – Nie wiem, czy powinno mnie to rozbawić, czy przerazić. Stawiam na to drugie. – Bardzo mi przykro.

– A mnie nie. – Schuyler rozciąga wargi w zawadiackim uśmiechu. – Odkąd mam tylko imię, czuję się jak jakiś legendarny bohater.

Milknę na kilka chwil. Wspominam sposób, w jaki rozmawiał ze mną Caleb, jak szeptał do mnie przez kratę w drzwiach, jakby wyjawiał mi ważną tajemnicę. Momentami wydawał się pełen gniewu i złości, a zaraz potem wyczuwałam w nim niemal skruchę.

– Caleb nie jest w stanie sprzeciwić się Blackwellowi fizycznie. – Schuyler podejmuje tok moich myśli. – Tyle że to wcale nie oznacza, iż musi być do końca lojalny. Istnieje tysiąc sposobów okazania niełjalności, nie tylko otwarte nieposłuszeństwo.

– Na przykład?

Schuyler po raz kolejny wzrusza ramionami.

– Zjawy są bardzo prostymi istotami – mówi. – Po powrocie z zaświatów w pewnym sensie przypominają noworodki. Znają jedynie najbardziej podstawowe emocje.

Zauważam, że Schuyler opowiada o zjawach w trzeciej osobie, jakby sam nie był jedną z nich.

– Trwają w stanie delikatnej równowagi – ciągnie. – Są zobowiązane do posłuszeństwa, lecz wcale nie chcą być posłuszne. Niektóre, a na dobrą sprawę większość, po prostu czeka, dysząc z nienawiści i wykonując rozkazy, póki ich pater nie umrze. Wtedy te zjawy odzyskują wolność. Inne, jak by to powiedzieć... W miarę możliwości biorą sprawy w swoje ręce.

– Skąd o tym wiesz?

Schuyler wpatruje się we mnie mądrym spojrzeniem.

– Stąd, że doprowadziłem do śmierci własnego patera.

Otwieram usta, nie pada z nich ani jedno słowo.

– Poprosił, bym wynajął dla niego statek, więc to zrobiłem – opowiada Schuyler. – Nie zaznaczył jednak, że powinien to być statek solidny, z doświadczoną załogą. Krypa, którą wybrałem, miała słaby kadłub i tandetne żagle. Załogi nie stanowili marynarze z prawdziwego zdarzenia, a banda żebraków i włóczęgów, węsząca za pieniędzmi i napitkiem. Pater nie poprosił mnie również, byśmy wypływali przy dobrej pogodzie. Już na początku rejsu rozpętała się burza. Łajba się rozpadła i wszyscy utonęli, z wyjątkiem niżej podpisanego.

Przełykam kawałek chleba, który z jakiegoś powodu zamienił mi się w ustach w twardy kamyk.

– Jak widzisz, można wykorzystać wszystko, czego pater nie rozkaże wprost. – Schuyler obrzuca mnie spojrzeniem, na jego wargach majaczy uśmieszek. – Zjawę można egzorcyzmować solą całymi godzinami, ale to nigdy nie przepędzi drzemiącego w środku diabła.

Zamiera i nagle gwałtownie się podnosi, podrywa mój płaszcz i podciąga mnie na równe nogi. Bochenek spada na ziemię, natychmiast dopadają go ptaki. Schuyler zaciąga mnie pod osłonę nagrobka.

Mgnienie później otwierają się boczne drzwi katedry – te same,

przez które wyszłam w dzień przesłuchania – i pojawia się w nich Gareth. Nie jest sam. Towarzyszy mu mężczyzna ubrany na czarno w strój przypominający ubiór członków rady. Nigdy go jednak nie widziałam.

– Podobno miał być w Rochester – przypomina półgłosem Schuyler.

– Pomyliłam się – odpowiadam równie cicho. – A jakie to ma znaczenie? Może nie spodoba mu się, że tu przyszliśmy, ale przecież nas za to nie aresztuje...

– Ciii. – Dłoń zjawy zamyka mi usta.

Słuchamy.

– Rozumiem, że sytuacja się zmieniła, lecz nie ma możliwości, bym uporządkował wszystkie swoje sprawy w ciągu tygodnia – tłumaczy Gareth.

– A cóż to za sprawy? – dopytuje nieznajomy.

– Ja... – Gareth milknie. – Chodzi o mój dom.

– O ile przetrwa – zauważa mężczyzna. – Poza tym w Upminster można w pięknych rezydencjach przebierać jak w ulęgałkach.

– Nie taki był plan – przypomina Gareth.

– Ale to nie powinno stanowić dla ciebie problemu. – Nieznajomy unosi uspokajająco dłoń. – Jesteś wszak mistrzem planowania. Sądzę, że ta sprawa okaże się dla ciebie błahostką. Zresztą, do tego sprowadza się nasza rola, nieprawdaż? Robić wszystko, co konieczne?

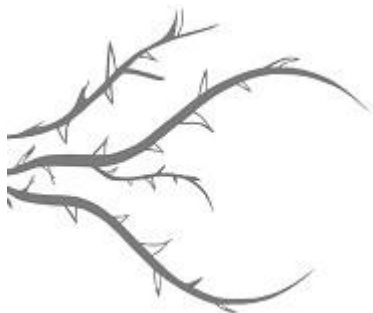
Gareth zastanawia się przez moment i wreszcie potakuje skinieniem.

– *Faciam quodlibet quod necesse est.*

Motto Blackwella.

Ręka Schuylera po raz drugi zasłania mi usta, tłumiąc okrzyk zdumienia.

Szpiegiem jest Gareth.



Rozdział 25

Mężczyzna w czerni znika – po prostu rozplywa się w powietrzu. Gareth rozgląda się ukradkiem dokoła, po czym rusza do bramy, wychodzi i kieruje się drogą w stronę Rochester. Schuyler nie uwalnia mnie z uścisku, czeka, by Gareth znalazł się dostatecznie daleko, żeby nie mógł nas usłyszeć. Płyną kolejne minuty. Wreszcie zjawia odsuwa się i podnosi z trawy mój worek.

– Tydzień? – rzucam. – Czy to znaczy, że Blackwell zaatakuje Harrow właśnie za tydzień?

– Wszystko na to wskazuje. – Schuyler klęka, wrzuca moje rzeczy do worka, roztrąca w trawie okruchy chleba, zaciera wszelkie ślady naszej obecności.

– Co teraz zrobimy? – Łapię go za ramię, przerywając te bezsensowne porządki. – Przestań. Musisz podsłuchać myśli Garetha.

– Nie mogę. – Obrzuca mnie poirytowanym spojrzeniem. – Niczego nie słyszę. Podejrzewam, że obaj się zabezpieczyli. Rzęcią i popiołem lub czymś w rodzaju tego cholernego naszyjnika Fifer. Wcale nie muszę czytać im w myślach, żeby rozumieć, co knują. Blackwell przyśle za tydzień swoją armię. Chce zdobyć Harrow, znaleźć Johna i odebrać mu znamię. Wtedy będzie mógł wreszcie zrealizować swój obłąkańczy plan.

Siedem dni.

– Nie jesteśmy gotowi do obrony – stwierdzam. – Wciąż jeszcze nie dotarły posiłki z Galii, nie dołączył do nas Zakon Róży, a żołnierze Malcolma nadal się szkolą... Co poczniemy?

– Powiemy Nicholasowi i Fitzroyowi. Przygotujemy się. – Schuyler zarzuca sobie worek na ramię. – To wszystko, co możemy uczynić.

– Myślisz, że powinniśmy...

– Zabić Garetha? Nie. – Zjawa czyta mi w myślach, nie dając dojść do słowa. – Nie możemy, skarbenku, mordować członków rady, ot tak sobie, nawet zdrajców. Nie, najpierw musimy pomówić z Nicholasem. To on podejmie decyzję. A jeśli będzie potrzebował ochotnika, zgłoszę się pierwszy.

Wracamy do Rochester. Proponowałam, żeby Schuyler poszedł przodem i spróbował wyprzedzić po drodze Garetha, ale nie wiemy, którą trasę wybierze zdrajca, a nie możemy ryzykować spotkania.

Idąc na przemian szybko i ostrożnie, docieramy do celu przed południem. W powietrzu unosi się dym i zapach szykowanych na obiad potraw. Ludzie tłoczą się przy stołach, czekają w kolejkach przy namiotach z łaźnią i pralnią, przed naprędce postawionymi zbrojowniami, siedzą wokół licznych ognisk. Nieco dalej, na poligonie, toczą się szermierskie pojedynki, niektórzy ćwiczą strzelanie z łuku, inni przechodzą musztrę na sąsiednich placach.

Rozglądamy się z Schuylerem wśród tłumów, wypatrując trzech osób: mężczyzny wyższego od pozostałych, mężczyzny lepiej od pozostałych ubranego i mężczyzny bardziej od pozostałych zdradzieckiego.

Po Nicholasie, Fitzroyu i Garcie nie ma nawet śladu.

– Rozdzielmy się – mówię. – Ja zostanę tutaj i sprawdzę w namiotach. Ty idź do środka. I zajrzyj też do Malcolma – dodaję w przybliżeniu inspiracji. – Fitzroy może być u niego.

Zjawa kiwa głową.

– Najpierw sprowadzę Fifer. Powiem jej, co się stało, i pomoże mi w poszukiwaniach. Spotkajmy się za godzinę w kaplicy.

Schuyler wtapia się w ciżbę, a ja zawracam i ruszam między namioty. Kaptur naciągam nisko na głowę, nie chcę, by mnie ktoś poznał i zatrzymał. Nie chcę też rozmawiać z nikim poza Nicholasem i Fitzroyem.

Kiedy docieram do pierścienia namiotów oficerskich, tłum rzednie. Uzbrojeni mężczyźni w mundurach pochylają się nad mapami i ciągnącymi się w nieskończoność listami zaopatrzenia. Przemykając między nimi, rzucam ukradkowe spojrzenia, lecz Nicholasa ani Fitzroya

nie ma i tu. Opuszczam względnie bezpieczny wewnętrzny krąg i idę na pole treningowe. Nicholasa tam nie znajdę, lecz mogę spotkać Petera, a ten może wiedzieć, gdzie szukać czarnoksiężnika.

Jaskrawe promienie słońca zmuszają mnie do zmrużenia oczu i nie zauważam go do momentu, gdy praktycznie na siebie wpadamy: chłopak w granatowym płaszczu stoi obok dziewczyny w szkarłatnej sukience, promieniejącej niczym zimowa róża. Dziewczyna trzyma go pod rękę.

– Elizabeth... – rzuca. Jego oczy, wciąż naznaczone cieniem, choć nie tak głębokim, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, rozszerzają się na mój widok.

Moje serce, już wcześniej bijące żywo, przyspiesza do szaleńczego wręcz rytmu.

– Wróciłaś – mówi Chime, kiedy John milknie, a ja nie reaguję. – Tak bardzo się ucieszyłam, kiedy usłyszałam, że jesteś cała i zdrowa – dodaje, lecz wyraźna w jej głosie niechęć świadczy o czymś zupełnie przeciwnym.

– Tak. – Rozglądam się na wszystkie strony w poszukiwaniu ratunku, lecz nadaremnie. Nie znajduję go w intensywnie badawczym spojrzeniu Johna ani w twarzach trzech innych chłopaków, jego kolegów. Niektórych poznaję, innych nie. Podeszli i teraz mnie otaczają. Czuję się trochę jak zwierzyzna łowna.

– Widzę, że wróciłaś – odzywa się jeden z nich. – Wyzdrowiałaś, a teraz pomagasz jednemu królowi zabić drugiego.

– Tak – powtarzam. Mam nadzieję, że jeśli będę odpowiadać lakonicznie, znudzą się i zostawią mnie w spokoju.

– A skoro mowa o królach, doszły mnie słuchy, że zmierzyłaś się z Blackwellem. – Seb, rudzielec, mierzy mnie spojrzeniem od stóp do głów. Na jego ustach igra ten nieprzyjemny uśmiezek, który widziałam już wcześniej. – Jak ci poszło?

Przypominam sobie miażdżące moją czaszkę dłonie Marcusa, bliznę na twarzy Blackwella, zabitego kruka rzuconego na środek sali, Caleba i legion martwych wartowników. Przypominam sobie groźne wszystkowiedzące lwy i mściwe czerwonoookie wrony. Odwracam wzrok, nie odpowiadam.

– Podobno straciłaś przy tym Azotha – rzuca inny chłopak.

Przystojny, nawet bardzo. Blondyn, niebieskooki i wysoki jak Caleb i Schuyler, aczkolwiek żadna z tych zalet nie jest w stanie mnie do niego przekonać.

– Zadałaś sobie wiele trudu, a w zamian wywołałaś jeszcze większe zamieszanie – słyszę.

Na to również nie odpowiadam. Spoglądam na Chime, jedyną osobę z całego towarzystwa, na którą jestem w stanie patrzeć. Choć ledwo.

– Szukam Nicholasa. Widziałaś go może? – pytam przesłodzonym do obrzydzenia tonem.

Chime otwiera usta, lecz uprzedza ją John, który wychodzi krok naprzód.

– Ja widziałem. Jest w prywatnym saloniku, w którym kiedyś rozmawialiśmy. Sama nie wejdiesz do zachodniego skrzydła. Jeśli chcesz, mogę ci towarzyszyć.

Wcale nie chcę. Niemniej pytałam o Nicholasa, a John wie, gdzie on jest, i może mi pozwolić wyrwać się z niezręcznej sytuacji.

Odwracam się bez słowa i ruszam cisową aleją w kierunku Rochester Hall. Przez chwilę mam wrażenie, iż John zrezygnował. Myślę, że może namówili go, by ze mną nie szedł. Zaraz potem słyszę przyspieszone kroki i szelest czarnego płaszcza. Znow się pomyliłam.

Staję na korytarzu, przed strzeżonymi drzwiami prowadzącymi do zachodniego skrzydła. John odpowiada skinieniem na spojrzenie wartowników, rozstępują się, pozwalają nam przejść. Niebawem jestem w saloniku i sunę spojrzeniem po kanapach, kominku, rzeźbieniach wokół okien. Widzę też okrągły mahoniowy stół i krzesła.

Nikogo tu nie ma.

Zsuwam z głowy kaptur i odwracam się. John zastępuje mi drogę do drzwi. Wbija we mnie ostre spojrzenie.

– Co robisz? – Niepewność miesza się we mnie z obawą. – Gdzie jest Nicholas?

– Nie wiem – przyznaje. – Po prostu usłyszałem, że wróciłaś do obozu, i chciałem z tobą pomówić. Szukałem cię od rana. – Znajomym gestem odgarnia włosy z oczu. Ciemne loki są dłuższe niż ostatnio. Trochę bardziej przypomina dawnego siebie.

Ale wcale nie jest sobą.

– Szukałem na placu ćwiczebnym, na polach, na strzelnicy i w parku. Oczywiście popełniłem błąd, bo zrobiłem to o świcie. Prawie stratowało mnie stado jeleni.

– Przykro mi, że miałeś przeze mnie kłopoty – mówię obojętnym tonem, lecz zdradza mnie drżenie głosu.

– Nieważne. – John kręci głową. – Nie w tym rzecz. Po prostu chciałem się z tobą spotkać.

Uspiony dotąd gniew bucha we mnie świeżym płomieniem.

– Ostatnim razem, kiedy się spotkaliśmy, stwierdziłeś, że nie chcesz mnie już nigdy widzieć – rzucam mu w twarz. – Zapomniałeś? Bo ja nie. Powiedziałeś, że chcesz mieć to wszystko i mnie za sobą. A potem kazałeś mi się wynosić i nigdy nie wracać.

– Elizabeth... – Podchodzi krok bliżej.

– Owszem, doceniam heroiczne wysiłki, jakie podjąłeś, by mnie odszukać, ale naprawdę nie trzeba się było kłopotać – mówię dalej. – Nie musisz mi przypominać, żebym dała ci spokój i nie wchodziła ci w drogę. Teraz jesteś sam. Właśnie tego przecież chciałeś. – Z czystej złośliwości dodaję: – Chociaż chyba nie całkiem sam, prawda? – Spotkanie, rozmowa powodują więcej bólu, niż przewidywałam. Ruszam do drzwi.

– Elizabeth... Posłuchaj, proszę. – Wyciąga rękę, lecz ja robię unik.

– Nie dotykaj mnie! – Oczy zaczynają mnie zdradziecko piec, głos się łamie. Jestem niebezpiecznie bliska łez. – Zejdź mi z drogi! – Przepycham się obok Johna. Coraz bliżej wyjścia.

– Posłuchaj mnie, cholera! – Łapie mnie za ramię i odwraca.

Znów zaczynam się szarpać, ale i przyglądam się mu uważniej. Błada cera, przekrwione oczy, zmarszczone w znajomy sposób brwi; ta mina wyraża po części prośbę, po części żal. A przede wszystkim głęboki smutek.

– Byłem na ciebie zły – przyznaje. – Powiedziałem coś, czego bardzo żałuję. Głupie, bezsensowne słowa. A kiedy uświadomiłem sobie, że mogły być ostatnimi, jakie ode mnie usłyszysz...

Uwalnia mnie i zwraca się do drzwi. Przez chwilę jestem

przekonana, że zaraz wyjdzie. Nie wiem, czy go zatrzymam, czy nie.

– Znamię – mówi i znowu spogląda na mnie. – Dziwnie się przez nie czuję. Sprawia, że staję się gwałtowny. Nie działam racjonalnie. Nie jestem sobą. Ale cóż, ty przecież świetnie o tym wiesz.

Ostrożnie przytakuję skinieniem głowy.

– To dziwne, wewnętrzne rozchwianie pojawiło się, zanim trafiłem do Hexham. Potem było tylko gorzej – ciągnie John. – Wdawałem się w bójki z wartownikami. Nie raz i nie dwa. Kiedy odeszłaś, uwolniłaś Malcolma i tę dziewczynę, wpadłem w szał tak wielki, że jednego ze strażników musieli oddać pod opiekę uzdrowiciela – opowiada i się krzywi. – Do reszty straciłem nad sobą panowanie. Ale to też znasz, prawda?

Znów kiwam głową.

– Z Hexham wyciągnął mnie Nicholas – podejmuje. – Powiedział, że Fitzroy obiecał radzie, że będzie miał na mnie oko. Dodał też, że potrzebuje mojej pomocy w opiece nad matką. Oczywiście wiedziałem, że kłamie. Usłyszałem, że osadzą mnie w areszcie domowym, ale i to nie było prawdą. Nicholas i Fitzroy zorganizowali dla mnie prawdziwą kwarantannę. Nie mogłem wychodzić, nikomu nie pozwalali na odwiedziny. Widywałem tylko Nicholasa. Prosić mogłem jedynie o zioła, przybory, o książki i mikstury. Na początku nie dostałem nawet palnika. Nicholas bał się, że wywołam pożar.

John zanosí się smutnym śmiechem, lecz ja pozostaję poważna.

– Po kilku dniach poczułem się lepiej – opowiada. – Rozumiałem, dlaczego mnie zamknęli. Im dłużej ćwiczylem własną magię, tym słabsza była magia znamienia. Zanikała. A im bardziej wracałem do siebie, tym częściej myślałem o tobie. Chciałem wiedzieć, co się z tobą dzieje, czy jesteś bezpieczna. Nicholas nie zdradził się jednak słowem i doszedłem do wniosku... – Znów się krzywi, milknie na chwilę. – O wszystkim, co cię spotkało, dowiedziałem się dopiero, kiedy przyszedł do mnie w dzień twojego powrotu.

– Dlaczego właściwie cię wypuścił?

John wyciąga do mnie rękę. Po chwili ją opuszcza.

– Uznał, że jestem ci potrzebny – mówi. – Jeśli to nieprawda, chciałbym to usłyszeć od ciebie. Postaram się zrozumieć. Ja na pewno

ciebie potrzebuję, i nigdy nie przestanę.

W tym momencie zawodzi mnie silna wola. Podchodzę do Johna, on rusza ku mnie. Trzy kroki. Rozkładam ramiona i John chwyta mnie w miażdżące objęcia. Jego dłonie wokół mnie, w moich włosach, jego wargi na mojej twarzy, jego słowa w moim uchu: „Kocham cię, kocham, kocham”.

Nicholas jest równie milczący jak Schuyler. Opowiadam mu o Garecie. W kaplicy, w pierwszej ławie siedzimy w piątkę: John po mojej prawej. Fifer, Schuyler i Nicholas z lewej. Nasze sylwetki, oblane migotliwym światłem świec, kładą się na marmurowej posadzce błękitnymi cieniami.

– Tydzień. – Nicholas podnosi wzrok na wymalowane na suficie gwiazdy. – Oczywiście. Chodzi o księżyc.

Ściągam czoło, pozostali kiwają głowami.

Nicholas patrzy mi w oczy.

– W dzień rytuału, kiedy cię uratowaliśmy, księżyc znajdował się w pierwszej kwadrze. Połowa jasna, połowa ciemna. Stan równowagi.

Wracam myślami do tamtego świtu – aż dotąd starałam się go nie wspominać. Przypominam sobie moment, gdy stałam na parapecie celi, na granicy wolności. Księżyc wisiał wtedy nisko na wciąż ciemnym niebie, przecięty cieniem dokładnie na pół.

– Zakłęcie, które chce rzucić, nie wymaga przeprowadzenia obrzędu przy odpowiedniej fazie księżyca. Magia tego poziomu wymyka się wpływowi niebios – ciągnie Nicholas. – Tyle że Blackwell nie pozostawia niczego przypadkowi i stąd wybór tego akurat dnia. Po raz kolejny ujrzymy połowę księżyca, trzecią kwadrę, za...

– Tydzień – wtrąca Fifer.

Nicholas kiwa głową.

– Blackwell już prawdopodobnie wie, że znamię nosi John. Jeżeli nawet nie powiedział mu tego Caleb, zapewne zrobił to Gareth, który musiał się tego domyślić. – Chwila milczenia. – Nie spodziewałem się. Naprawdę nie spodziewałem się, że akurat Gareth zaprzeda się Blackwellowi, że poświęci wszystko, co cenił, w zamian za dobre stanowisko pod nową władzą.

– Zawsze był ambitny – zauważa John.

– Owszem – przytakuje czarnoksiężnik – i to go właśnie zgubi.

Ponownie myślę o Calebie, o zżerającej go ambicji, o tym, jak popychała go naprzód i coraz wyżej, aż w końcu trafił przez nią pod ziemię.

– Nie rozumiem – odzywam się. – Skoro Gareth sprzymierzył się z Blackwellem, to dlaczego w trakcie przesłuchania nakłaniał mnie, bym go zabiła? I po co Blackwell wysyłał do Harrow zwiadowców? W końcu mógł się wszystkiego dowiedzieć od Garetha. Przedobrzył. Gdyby nie jego ludzie, przez długi czas nie mielibyśmy pojęcia, że działa wśród nas szpieg. A potem byłoby już za późno.

– Gareth zrobił to, ponieważ taki otrzymał rozkaz. Nie mam cienia wątpliwości – stwierdza Nicholas. – Blackwell zdawał sobie sprawę, że takiej okazji nie przepuścisz. Jak inaczej mógł cię zwabić? A co do zwiadowców, podejrzewam, że ich zadanie polegało na potwierdzeniu informacji Garetha. Zdrajcom nie można ufać bezgranicznie. Blackwell wie o tym z doświadczenia.

– Co teraz zrobimy? – pyta Fifer. – Ostrzeżemy pozostałych członków rady? Aresztujemy Garetha? Zamkniemy go w Hexham lub gdzie indziej?

Nicholas składa dłonie w piramidkę.

– Raczej nie – odzywa się po chwili. – Wtedy Blackwell uderzyłby jeszcze wcześniej. Jeśli się dowie, że rozpracowaliśmy Garetha, nie będzie dłużej zwlekał. Jak już mówiłem, on nie musi czekać na właściwą fazę księżyca. Po prostu woli mieć pewność. Nie sądzę, by z powodu niesprzyjającej kwadry zrezygnował z przewagi, jaką daje mu liczebne wojsko.

– Wiesz, że nigdy ci się nie sprzeciwiam – podejmuje Fifer – ale sama myśl o tym, że Gareth swobodnie chodzi po obozie, wie, co planujemy, poznaje nasze tajemnice... To naprawdę nie do zniesienia.

Nicholas zerka na Schuylera.

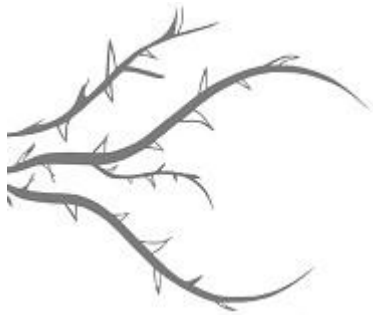
– Zechcesz go śledzić? Dzień i noc? Wiem, że nie słyszysz jego myśli, ale chciałbym mieć pewność, że nie skaptował jeszcze kogoś, jednego z radców lub żołnierza. Chciałbym też wiedzieć, z kim się spotyka i kogo wpuszcza w granice Harrow.

Zjawa kiwa głową.

– Będę niczym jego cień.

Nicholas spogląda ponownie na Fifer.

– Wiem, że niełatwo to zrozumieć, lecz niekiedy lepiej pozwolić spiskowcom działać swobodnie. Wtedy poznaje się więcej szczegółów. – Wstaje z miejsca. – Tymczasem możemy się jedynie przygotowywać. John, proszę, żebyś opowiedział o wszystkim ojcu. On dochowa tajemnicy, a powinien wiedzieć, że znalazłeś się w niebezpieczeństwie. Ja poszukam Fitzroya. Musi zacząć szykować armię i to w sposób, który nie zwróci uwagi Garetha. Im szybciej, tym lepiej.



Rozdział 26

W Rochester wrze. Przybywają pierwsze oddziały z Galii. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin dotarło do nas tysiąc żołnierzy. Przez następną dobę ma się ich pojawić drugie tyle. Trafiają tu przez bezpieczną granicę z sąsiednią Cambrią oraz tunelami wyciosanymi w skale pod Rochester Hall. Fitzroy musztruje naszych wojaków. Malcolm od świtu do nocy ćwiczy swoje oddziały: rano na strzelnicy, popołudniem uczy taktyki, wieczorami trenują z Schuylerem fechtunek.

Czwartego dnia rano – trzy dni przed spodziewanym atakiem Blackwella – wychodzę z namiotu w chmurne szare światło poranka. Palę się do działania. W oddali słyszę dźwięk wzywających nas trąbek. Widok maszerujących noga w nogę trzech tysięcy żołnierzy sprawia, iż przebiega mnie dreszcz.

W połowie drogi na plac treningowy zauważam Johna. Podchodzi i wita się ze mną ulotnym nieśmiałym uśmiechem. W odróżnieniu ode mnie nie ma na sobie stroju do fechtunku. Włożył brązowe spodnie i czarny płaszcz. Przez ramię przewiesił sfatygowaną brązową torbę. Przygląda mi się uważnie, ciepłym, choć jednocześnie nieco nieufnym spojrzeniem. Stoimy bez słowa, patrząc sobie w oczy.

– Co u ciebie? – przerywam wreszcie milczenie.

– Wszystko w porządku. A u ciebie?

– Też.

Dość niezręczna wymiana zdań. Przeszuję z nogi na nogę. Odzwyczaiłam się od jego towarzystwa i nie jestem pewna, jak powinnam się wobec niego zachowywać, co mówić, co robić. Początkowo, kiedy do mnie wrócił, było łatwo – niekiedy kryzys potrafi zburzyć dzielące ludzi mury. Jednak w ciągu kilku następnych dni mury wyrosły ponownie. Każde nasze słowo i uczynek zwracało uwagę na to,

co je cementuje, czyli zdradę i kłamstwa. Na to, co powiedział John, i na wszystko, czego ja nie powiedziałam. Nie mam pojęcia, czy zdołam ten mur ponownie rozbić.

– Wybierasz się dokądś? – Wskazuję ruchem głowy połataną torbę.

– No... tak – odpowiada. – Do mojej apteki. Nie byłem tam już dość długo.

Oczywiście, że nie. Siedział przecież w więzieniu. Przeze mnie.

– Wiesz... Kończą mi się zapasy ziół – próbuje raz jeszcze John. – Pomyślałem, że zajrzę. Zaopatrzę się. Czy może... – Urywa, chrząka. – Wiem, że jesteś bardzo zajęta, ale byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybyś się ze mną przeszła. O ile masz ochotę.

Waham się. Jeżeli nie stawię się na ćwiczenia, to będę miała do czynienia z Fitzroyem i wyznaczyci mi za karę paskudne zajęcie: odeśle mnie do mycia garów, do pralni lub do czyszczenia broni. Naturalnie, nie tylko na tym polega kłopot. Po prostu muszę trenować. Nie wolno mi odpuścić, ani trochę. Już mam odmówić, lecz zauważam zaciśnięte pięści Johna, zaciętą linię szczęki. Widzę też jego oczy, strzelają czujnie na wszystkie strony.

– Dobrze – mówię. – Oczywiście, że z tobą pójdę.

Ostrożnie wyciąga ku mnie dłoń. Przyjmuję ją i ruszamy w kierunku Rochester Hall, do jedyne go otwartego w tej chwili wejścia, ku ściśle strzeżonej, obłożonej mnóstwem zakłęb główniej bramie. Gdybyśmy próbowali opuścić obóz niezauważeni, byłby to najgorszy moment. Właśnie rozlega się ostatnie nagłace wezwanie trąbki. Żołnierze wychodzą ciężkim krokiem z namiotów, narzucają płaszcze, bluzy i buty. Ci siedzący w namiocie jadalnym zrywają się na równe nogi, przewracając kubki, sięgając po ostatnie kęsy jedzenia. Są wszędzie dokoła. Nie podobają mi się ich wymowne spojrzenia, nie podobają mi się ich nieprzychylne szept. John również je zauważa – jest zbyt bystry, by ich nie dostrzec – i ściska moją rękę, jakby chciał mnie przed nimi obronić. A kiedy uśmiecha się do mnie, uświadamiam sobie, że ta opiekuńczość stanowi obietnicę na przyszłość. Mur zaczyna się kruszyć.

Zrasta się na powrót, gdy na dziedzińcu spostrzegam Chime. Siedzi na kamiennej ławce, jaskrawo kolorowa plamka pod szarym niebem.

Otacza ją grupka przyjaciółek: dziewczęta w tęczowych sukienkach. Pamiętam je z dnia, kiedy aresztowano Johna. Są też i chłopcy, ci sami, z którymi maniakalnie trenował, ci, którzy pomagali mu pielęgnować narastającą agresję, ci, którzy byli tak nieprzychylni wobec mnie.

Dziewczyny grają w kości, chłopcy kibicują, obstawiają wyniki. Na nasz widok zamierają. Rzucone czarne kości nieruchomieją na kamiennej płycie chodnika, nikt nie sięga po nie.

– John – wita się Chime, mnie ignorując zupełnie – wybierasz się dokądś?

– Na krótko – odpowiada. – Potrzebuję ziół i kilku innych składników.

Chime unosi idealnie zarysowaną brew i odwraca wzrok.

– Czyli co? Wróciłeś do leczenia, tak? – Rzuca stojący obok niej chłopak, blondyn, który dręczył mnie kilka dni temu. – Wiesz, jeśli znudzi cię niańczenie starych bab i odbieranie porodów, zawsze możesz przyjść do nas. Oczywiście propozycja dotyczy tylko ciebie. – Zerka w moją stronę i wzgardliwie rozdyma nozdrza.

John unosi palec, lecz pół sekundy potem trąbki odzywają się po raz ostatni. Chłopcy wstają, okrywają ramiona płaszczami, przypinają miecze do pasów.

– Przyjemnego dnia w pralni – rzuca John na odchodnym i wyprowadza mnie z dziedzińca.

Apteka mieści się na głównej ulicy Harrow, w Gallion's Reach, pomiędzy piekarnią a warsztatem szewca. Dzisiaj nie ma tu prawie nikogo – jeden bądź dwóch kupców pcha wózki, kilku innych handlarzy wystaje w drzwiach pustych sklepików. Przyglądają się nam.

Wchodzimy z Johnem w boczną alejkę i docieramy na uliczkę za sklepami. Brodząc w błocie i kałużach, znajdujemy po chwili niepozorne drewniane drzwi. John wyciąga z kieszeni płaszcz kluczyk i otwiera.

– Zamek od frontu jest zepsuty – tłumaczy. – Powinienem go naprawić, ale jakoś nie mogę się do tego zabrać.

Wchodzimy na zaplecze, do magazynku. Wewnątrz panuje półmrok, światło wpada przez umieszczone wysoko w ścianie jedyne okno. Widzę wielkie drewniane beczki, ustawione na półkach kosze, stojące na środku pomieszczenia skrzynie. Naprzeciwko w kącie stoi

łóżko – ni to prycza, ni siennik. Na nim świeża, starannie wygładzona lniana pościel. Wygląda, jakby od dłuższego czasu nikt w niej nie spał.

– To był pomysł mojej matki – wyjaśnia John. – Uznała, że powinniśmy mieć gdzie kłaść chorych. Nie jest tu może pięknie, ale za to z dala od ulicy, cicho. O ile dobrze pamiętam, nikt z tego łóżka nie skorzystał. – Uśmiecha się i wskazuje kolejne drzwi. – Tędy.

Jeszcze nigdy nie byłam w aptece, lecz wszystko wygląda tak, jak sobie wyobrażałam. Pod ścianą stoi regał, na którym aż gęsto od butelek i buteleczek wszelkich możliwych kształtów i rozmiarów. Przykurzone szklane naczynka rzucają zielone, bursztynowe i czerwone refleksy. Wszystkie opatrzone są etykietami z pożółkłego pergaminu i opisane niemożliwymi do odcyfrowania, odręcznymi bazgrołami Johna. Na kilku stojących na najwyższej półce słojach – zawierających zapewne niebezpieczne substancje – widnieją trupie czaszki. Na widok tych dziecinnie starannych rysunczków nie mogę się nie uśmiechnąć.

Przez dużą nieprzejrzystą witrynę z szybą w kolorze ochry bije złoty, niemal nieziemski blask, w którym kąpie się cała apteka. Poobijane stare drzwi na ulicę zablokowane są poziomą belką, zepsuty zamek ledwie trzyma się desek.

Krokwie pod sufitem jeżą się pękami kwiatów i wiązkami suszonych ziół. Niektóre rozpoznaję po samym zapachu: lawenda i anyż, ruta i cyprys, leszczyna i nagietki. Wokół unosi się egzotyczna woń, mieszanina aromatów ostrych, korzennych i słonawych, ziołowych. Wyczuwam też zapaszek bardziej łagodny – coś jak świece lub mydło. Wnętrze pachnie Johnem.

– Poprosiłbym, żebyś usiadła na krześle, ale... – John rozgląda się bezradnie dokoła. – No cóż, zdaje się, że nie mam tu ani jednego. Zwykle nie przyjmuję w aptecce gości, tylko klientów. Jeśli chcesz, przyniosę z zaplecza jakąś skrzynkę.

– Dziękuję, nie trzeba. – Przysiadam na ladzie zagraconej książkami, przyborami, pergaminami i gęsimi piórami. Kilka bibelotów muszę odsunąć na bok. – Dobrze mi. Wygodnie. Bardzo tu u ciebie miło. Uśmiecha się cierpko.

– Koszmarny bałagan. Mógłbym powiedzieć, że to dlatego, iż dawno tutaj nie zaglądałem. Ale to nieprawda. Właściwie zawsze było tu

tyle gratów.

– Po co konkretnie przyszliśmy? – pytam. – Może pomogę ci szukać składników? W rozpoznawaniu ziół jestem naprawdę dobra. Gdybyś dał mi listę, mogłabym... No, co znowu?

Mina Johna, dotąd idealnie spokojna, tchnąca wewnętrzną równowagą, zmienia się całkowicie.

– Niczego stąd nie potrzebuję. Przyszedłem, bo musiałem się wyrwać z obozu. Potrzebowałem się znaleźć z dala od ludzi, od ćwiczeń, od wszystkiego... Po prostu musiałem.

Podchodzi do wielkiego regału ustawionego obok drzwi wejściowych. Na półkach czekają w równych rzędach oprawne w skórę książki. Sunie dłonią po grzbietach, wybiera jeden tom i wraca do mnie.

– Pamiętasz, jak ci opowiadałem, że kiedy wróciłem do Rochester, Nicholas podsunął mi książki i różne składniki, w nadziei że znów zajmę się magią.

Przytakuję skinieniem.

– Nie powiedziałem ci wtedy, że początkowo nawet nie chciałem tych rzeczy dotykać. Powtarzałem sobie, że czary zupełnie mnie nie interesują, lecz prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, jak silnie odmieniła mnie klątwa. Gdy jednak w końcu zmusiłem się i sięgnąłem po jedną z tych ksiąg, zobaczyłem, co w nich było. Nicholas przyniósł mi najprostsze magiczne elementarze. Prawie dla dzieci.

Uśmiecha się, lecz nie potrafię mu odpowiedzieć tym samym.

– Wpadłem w szal. Rzucąłem książkami o ściany. Omal nie wyrzuciłem ich za okno. Niemniej po niedługim czasie nie mając innego zajęcia, zacząłem je przeglądać. Tak naprawdę znalazłem w nich niewiele. Ryciny, opisy ziół i kwiatów, trochę wiedzy botanicznej. Magia, którą już znałem, lecz którą klątwa znamienia pogrzebała pod grubą warstwą agresji i gniewu. Od tamtej pory zawsze, gdy czuję, że czar Blackwella zaczyna mnie dręczyć, wracam właśnie do tego. – Lekko potrząsa trzymanym w dłoni tomem. – Powrót do źródeł. Przypominam sobie, co jest naprawdę ważne. Zaczynam od początku, teraz to rozumiem. I myślę sobie, że przyprowadziłem cię tutaj, aby zapytać, czy nie zechcesz zacząć od początku razem ze mną.

Wyciągam rękę i John podaje mi książkę. Wytłoczony złotymi

literami na brązowej skórze tytuł brzmi: *Phytologiae Aristotelicae Fragmenta*. Rzeczywiście, podręcznik botaniki.

– Co mam z tym zrobić?

– Wystarczy, że będziesz odczytywać nazwy roślin – tłumaczy

John – a ja ci powiem, co to i do czego służy.

Otwieram tom na pierwszej stronie.

– Głóg.

– *Cratageus laevigata*. – John podciąga się i siada obok mnie na kontuarze. – Wykorzystuje się liście, kwiaty i owoce. Wpływa na poprawę oddechu, oddala zmęczenie i usuwa bóle w klatce piersiowej. Brak znanych przeciwwskazań i działań ubocznych.

Przewracam kartkę.

– Tarczyca.

– *Scutellaria lateriflora*. Liście, łodygi, kwiaty. Działa uspokajająco, pomaga zasnąć, niweluje napięcie nerwowe. – W tej chwili John zaciska szczękę. – Znane działania uboczne: może powodować senność, a w połączeniu z ożanką wskazuje działanie toksyczne.

– Nawłoc.

I tak dalej, i dalej. Strona za stroną, zioła i kwiaty, krzewy i korzenie. Wreszcie ramiona Johna zaczynają powoli opadać, z wolna zamykają się mu oczy. Mówi coraz ciszej, bardziej hipnotycznie.

Na kolejnej stronie widzę kwiat, który wywołuje na mojej twarzy uśmiech.

– Jaśmin.

John gwałtownie unosi powieki. Patrzy w moje oczy tak głęboko i z taką tęsknotą, że dech więźnie mi w piersi.

– *Parsonia capsulans*. Wykorzystuje się płatki i łodyżki. Wywar łagodzi otarcia, można również stosować w kompresach leczących bóle głowy i gorączkę.

John zsuwa się z lady. Staje tuż przede mną. Sięga po pasmo moich włosów, owija je sobie wokół palca i zakłada mi za ucho.

– Działania uboczne: może wywołać kołatanie serca, płytkość oddechu i wrażenie nerwowego skurczu żołądka.

Będąc tak blisko niego, dostrzegam w pełni, co wyrządziła mu

magia znamienia. Uświadamiam sobie, jak wysoką cenę musiał zapłacić za zmaganie się z jej siłą. W przekrwionych oczach widać bezsenne noce. Niepokój odcisnął się w ciemnych półksiężycach pod dolnymi powiekami. Policzki ma ogolone, choć niedokładnie – ot, kilka szybkich ruchów brzytwy, by mieć problem z głowy. Koszulę ma zbyt czystą i zbyt mało na niej zagnieceń – nie on ją prał i prasował.

W tej chwili John odsłania się całkowicie. Opiera dłonie na kontuarze przy moich biodrach, pochyla się naprzód, składa czoło na moim barku. Znieruchomiał, jakby spodziewał się, że się odsunę, że powiem nie. Czuję na twarzy muśnięcie jego rzes. Zamknął oczy. Czuję dotyk jego piersi, gdy bierze głęboki oddech i wypuszcza go powoli, przeciągle.

Istnieją różne odmiany siły, teraz to do mnie dociera. Znam naturalnie tę siłę, która pozwala władać mieczem i mordować potwory, lecz jest jeszcze inna siła – rodząca się w ciszy, lecz ostatecznie bardziej potężna i mocniejsza. Siła pochodząca z wnętrza. Przez cały ten czas, kiedy John był mi tak bardzo potrzebny, nie rozumiałam do końca, do jakiego stopnia ja jestem potrzebna jemu.

Wsuwam palce w jego włosy, wplatam dłoń w jego loki. Nachylam się, trącam wargami jego usta. Nie odpowiada na pocałunek. Wciąż tkwi w bezruchu i wiem, że jest przekonany, że ledwie się poruszy, odetchnie, przemówi, zrobi cokolwiek, czar pryśnie, a ja zniknę.

Nie rezygnuję.

Przywieram do niego i wyraźnie czuję łomoczące pod koszulą serce, czuję napięcie w ramionach, w ściskających krawędź kontuaru dłoniach. Moje wargi wracają do niego i znów się odrywają, delikatnie jak piórka, po policzkach w stronę ucha i w dół szyi. Zerkam na niego przelotnie, na tyle, by zobaczyć, że zamknął oczy.

– Sama nie wiesz, co robisz. – Szept omiata mi skórę. To nie była nagana, raczej przestroga.

Pozwalam sobie na uśmiech, małe uśmieszek. Moje usta wpijają się w ciepłą, pachnącą korzennie skórę na szyi Johna. Całuję ją raz i drugi, po czym bardzo powoli wracam do jego ucha i mówię półgłosem:

– Ależ wiem.

Przyciąga mnie do siebie. Jedną dłoń ma w moich włosach, drugą

oplata moją talię. Zsuwa mnie z kontuaru i podrzuca na swoje biodra. Zachłystuję się cicho, zaskoczona, i wtedy wargi Johna nareszcie stapiają się z moimi. Brakuje mi tchu, lecz on nie przestaje. Całuje mnie raz jeszcze. Stawiam stopy na podłodze, odsuwamy się chwiejnie od lady.

To on popycha mnie lekko na drzwi, to ja go do siebie przyciągam. To on zrywa ze mnie płaszcz, to ja odrzucam jego okrycie. To on pozbawia mnie bluzy, to ja rozpinam pierwszy guzik jego koszuli. Pierwszy, a potem drugi. Zsuwam ją z jego barków. To on wpycha mnie do magazynku, gdzie w kącie stoi niewielkie łóżko, to ja wciągam go na tę nieskazitelnie wygładzoną pościel.

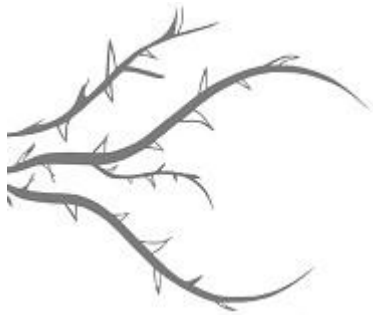
Kiedy jedynym, co dzieli od siebie nasze ciała, pozostaje pytanie, John odrywa się ode mnie na tyle, na ile mu pozwalam, na tyle, by spojrzeć mi w oczy i milcząco, bezgłośnie wypowiedzieć dwa słowa „jesteś pewna?”.

Nie wystarczy odpowiedzieć „tak”. Nie wystarczy odpowiedzieć pocałunkiem zamiast słów. Udzielam obu tych odpowiedzi, lecz robię też coś więcej. Czuję to od tak dawna, a teraz w końcu znajduję w sobie odwagę i zdobywam się na wyznanie.

– Kocham cię.

John nakrywa nas oboje kocem i mnie całuje.

Wszystkie mury obracają się w pył.



Rozdział 27

Budzę się, czując dłonie Johna we włosach. Gładzi palcami ich końce. Unoszę powiekę i widzę, że na mnie patrzy. Oczy ma na wpół przymknięte, wciąż nie ocknął się na dobre. Z pewnością natomiast nie śpi jego promienny uśmiech.

– Która godzina?

John obraca się na plecy, zadziera głowę i patrzy w okno nad drzwiami.

– Myślę, że około siódmej.

– Och. – Zastanawiam się przez chwilę. – Będziemy musieli wymyślić jakąś sprytną wymówkę. Nie było nas cały dzień. Może powinniśmy powiedzieć, że zjedliśmy w jakiejś gospodzie.

John z powrotem przekręca się w moją stronę. W jego uśmiechu pojawia się łobuzerski płomyk.

– Siódma rano.

Jęczę cicho. On parska śmiechem.

– No to się doigrałam. – Wzdycham ciężko.

– Owszem – potakuje. – Przez tydzień nie oderwiesz się od garów.

– Nie myśl sobie, wszystko zwałę na ciebie.

– Obwiniaj mnie do woli. – Znów ten jego uśmiech. – Tak czy inaczej, musimy wracać. Ojciec na pewno zaczął już panikować. – Milknie, zamyśla się na moment. – Chociaż, jeśli domyślił się, że byłem z tobą, panika jest tu niezbyt odpowiednim słowem.

Zbieramy rzeczy i wychodzimy z apteki tylnymi drzwiami. John przekręca klucz w zamku, po czym ruszamy alejką na główną brukowaną ulicę. Wczesny poranek wciąż jest szary, chłodne powietrze stoi w bezruchu. Wczoraj również było spokojnie, lecz dzisiaj okolica wygląda niemal na opuszczoną. Sklepy pozamykane są na cztery spusty,

okna przesłonięte okiennicami. Dokoła nie ma żywej duszy.

– Myślisz, że coś się stało? – pytam półgłosem. Owszem, w pobliżu nikogo nie ma, ale odnoszę nieodparte wrażenie, że szept jest jak najbardziej na miejscu.

– Nie wiem.

Uwalnia moją dłoń i podchodzi do drzwi warsztatu szewca. Unosi odlaną na kształt końskiej podkowy kołatkę i pozwala jej opaść. Raz, drugi. Następnie próbuje w piekarni, sklepie rybnym i u księgarza. Potem jeszcze gospoda nosząca jakże stosowną nazwę „Pod Zgoloną Koroną”. Puka do zamkniętych drzwi, czeka, by ktokolwiek mu otworzył.

Nie otwierają się żadne.

– Nie podoba mi się to – podejmuję, mimo że właściwie nie wiem, co takiego mnie niepokoi. Nie słychać odgłosów walki, nie ma krzyków ani dymu, nie rzy ani jeden koń. Nie dolatuje nas tupot ciężkich butów ani szczęk zwierających się mieczy. Wiatr nie niesie miedzianej woni, zapachu świeżej krwi.

– Chodźmy. – John znowu jest przy mnie. – Jeśli stało się cokolwiek złego, w Rochester będą o tym wiedzieć.

Ponownie mijamy aptekę i resztę pustych sklepów. Kiedy docieramy niemal do końca ulicy, jakiś mężczyzna wybiega zza rogu i pędzi, jakby go ktoś gonił.

– Stać! – podrzuca w dłoniach prowizoryczną włócznię. Strzała o zardzewiałym grocie jest przywiązana skórzanym rzemieniem do kija. Na widok Johna otwiera szeroko oczy i natychmiast opuszcza broń. – John Raleigh! Co tu robisz? I ty? – Obrzuca mnie spojrzeniem. – Nasi żołnierze przyszli tu zeszłej nocy i zagonili wszystkich do Rochester. Iść było trza, czy się chciało, czy nie. – Jego mina daje jasno do zrozumienia, że on nie miał na to ochoty. – Ludzie Blackwella wdarli się do Harrow.

– Co się stało? – pyta John. – Czy ktoś ucierpiał?

– Pojęcia nie mam. – Nieznajomy wzrusza ramionami. – Powiada się, że ktoś zaginął, ale jak dotąd nie wiadomo, kto taki ani ile osób. Obecnie przeliczają ludziska.

Wymieniamy się z Johnem krótkim spojrzeniem.

– Najlepiej będzie, jak wrócicie – dodaje mężczyzna. – Twój ojciec musi się zamartwiać.

– Skoro wszystkich zabrali do Rochester, to co tutaj robisz? – pyta John.

Nieznajomy rusza w stronę warsztatu szewskiego.

– Przypomniałem sobie, że sklep nie zamknął... Ech, głupi ja, ale... – Nie kończy zdania, gdyż strzała przeszywa mu oko. Mężczyzna chwieje się, krew zalewa mu policzki. Zaraz potem pada twarzą na ziemię. Nie żyje.

Wszystko zajęło niecałą sekundę.

Kątem oka zauważam łucznika. Czarny płaszcz i naciągnięty na głowę, zasłaniający twarz kaptur. Czai się w wylocie alejki, z której przed chwilą wybiegł szewc. Przeładowuje i celuje prosto w nas. John wyciąga z ręki trupa tę mizerną włócznię, łapie mnie za rękę i puszczamy się biegiem przed siebie.

Za nami gna strzała, słyszę jej świst w powietrzu. Nie próbujemy uników, John popycha mnie po prostu na ziemię i padamy oboje. Twardo lądujemy na bruku, a pocisk frunie nad naszymi plecami. John zrywa się jeszcze przede mną, pomaga mi wstać i znów pędzimy.

Kolejne strzały. Teraz śmigają ku nam ze wszystkich stron – z przodu, z tyłu, z boków. Jesteśmy otoczeni. Jeden grot kaleczy Johna w ramię. Jęczę cicho, gdy on potyka się i przyciska dłoń do rany. Kiedy ją odrywa, na skórze widać tylko kilka szkarłatnych kropel. Goi się błyskawicznie.

Wbiegamy w alejkę i kierujemy się z powrotem do apteki. Kiedy docieramy do tylnych drzwi, John trzyma już klucz w dłoni. Wciska go do zamka, przekręca, otwiera, wpycha mnie do wewnątrz.

– Musimy się ukryć. – Rozglądam się na wszystkie strony. W górę, w dół, dokoła. – Można stąd wejść na strych? Na dach?

– Nie będziemy się chować.

John pociąga mnie na środek głównego pomieszczenia. Ustawia mnie za ladą, po czym zaczyna otwierać kolejne szuflady, obraca się w miejscu, mamroce coś pod nosem. Wreszcie rzuca się na kolana i otwiera szafkę. Nagle rozlega się głośny brzęk i szklana witryna wpada do wnętrza deszczem okruchów. Ktoś cisnął w nią kamieniem. Znaleźli

nas. John po chwili wstaje. W ręku trzyma dwie maski. Przypominają nieco maski katów. Jedną podaje mnie.

– Załóż to.

– John, ja nie...

– Zakładaj!

Wykonuję polecenie. Maską jest ciasna. Nie ma otworu na nos, tylko dwie szparki na oczy i jedną wąziutką na wysokości ust. Ta ostatnia szczelinka nie pozwala mówić, lecz wystarcza, by oddychać. Z trudem.

John znów kuca i jego głowa znika w szafce. Kiedy się wynurza, widzę w jego dłoni niewielką skórzaną sakiewkę. Spiesznie rozwiązuje rzemyk i wysypuje zawartość na kontuar. Na ladzie ląduje biała kostka, nie większa od kostki cukru, owinięta w skrawek pergaminu opatrzonego czerwonym symbolem trupiej czaszki. Symbolem, którego nie narysował własnoręcznie John.

– Co... to jest? – pytam stłumionym głosem.

Znów brzęk, kolejny kamień wlatuje przez okno. Z zewnątrz dobiegają coraz głośniejsze krzyki.

John patrzy mi w oczy, ciemne włosy okalają bardzo bladą twarz.

– Rycyna. Otrzymuje się to z rośliny zwanej rącznikiem, *Ricinus communis*. Słyszałaś o tej substancji?

Kręcę przecząco głową.

– To silna trucizna. Wystarczy raz nią odetchnąć i ginie się momentalnie. Wszędzie jest zakazana, jedynie w Harrow nie. Trzymam ją z myślą o umierających pacjentach, którzy chcą odejść szybko i nie przedłużać cierpienia. Gdyby ktokolwiek dowiedział się, że mam coś takiego... – Nie kończy zdania, nie musi. Gdyby dowiedziała się o tym rada, nie trafiłby do więzienia, tylko na stryczek.

– Użyję jej przeciwko nim – podejmuje. W tej chwili blade są nawet jego wargi. – Rozpylę rycynę w powietrzu, nawdychają się i zginą.

Dostaję mdłości. John jest gotów w jednej chwili zmarnować całą pracę, jaką włożył w uwolnienie się spod wpływu znamienia. Podchodzę i kładę mu rękę na dłoni.

– Pozwól, że ja się tym zajmę.

– Nie. Sam muszę to zrobić – odpowiada cicho, lecz zdecydowanie.

Kiwam tylko głową.

– Pod żadnym pozorem nie zdejmuj maski, słyszysz? – mówi prędko. – Przez nią możesz oddychać bezpiecznie, ale nie ściągaj jej, zanim nie powiem. Niczego też nie dotykaj. W ogóle nic nie rób, dopóki nie pozwolę. Jasne?

Jeszcze jedno skinienie.

John nakłada grube, czarne płócienne rękawiczki. Naciąga maskę na twarz, ściśle przesłaniając nos i usta. Sięga na ladę i bierze do ręki długą szklaną pipetkę. Kształtem przypomina trąbkę – jeden koniec węższy, drugi szerszy. Rozpakowuje truciznę z pergaminu, kruszy ją w palcach, po czym wsypuje do szerokiego końca rurki. Drugi zamyka opuszką kciuka, dzięki czemu powstała próżnia nie pozwala proszkowi się wysypać.

Potężny trzask. Resztki witryny idą w drobny mak, okruchy sterczą z futryny, żółte i pobłyskujące w słabym porannym słońcu niczym kocie ślepia.

John wskazuje róg pokoju, po lewej stronie drzwi.

– Kucnij. Poczekaj, aż wejdą – mówi. Maską dławi jego słowa.

Następne uderzenie i są już w środku. Wdzierają się do apteki. Dwóch, sześciu, ośmiu. Wdrapują się przez rozbitą witrynę i zamykają nas w kole. Czarne płaszcze, dławione własnymi łodygami róże. Groty strzał mierzą prosto w nas.

– Dzisiaj zbroja ci nie pomoże – odzywa się jeden z intruzów, celując w czoło Johna.

– Tobie też nie. – John dmucha w szklaną rurkę.

Drobny proszek zawisa w powietrzu jasną mgiełką. Białe smużki, przypominające kształtem palce, strzelają z pipety i suną w stronę przeciwników, niemal jak drapieżne stworzenia. Przez sekundę słychać ich śmiech, lecz mgnienie później rechot milknie.

Skóra napastników staje się biała, zupełnie jakby rycyna pokryła ich całych. Oczy zachodzą czerwienią, żyły puchną i ciemnieją szkarłatem. Mężczyźni dygocą i trzęsą się przez moment niczym marionetki, aż wreszcie lalkarz przecina sznurki i cała ósemka

jednocześnie pada na podłogę – widok naraz groteskowy i tragiczny.

Czyjeś dłonie podrywają mnie na równe nogi; czyjś łokieć kieruje mnie – wcale nie delikatnie – przez wybite okno na ulicę. Po chwili stajemy na bruku. John strząsa z dłoni rękawiczki, po czym obraca mnie, ściąga moją maskę, zrywa też swoją.

Przygląda mi się uważnie.

– Niczego nie dotknęłaś?

– Nie, niczego. – Przecząco kręcę głową.

John prowadzi mnie ku stojącej przed sklepem rybnym pompie. Kilka razy naciska na dźwignię, aż wreszcie z kranu płynie czysta woda. Obmywa dłonie i twarz, pije, przepłukuje usta i wypluwa płyn na ulicę.

– Teraz ty – mówi. – Nawet jeśli rzeczywiście niczego nie dotykałaś, ostrożności nigdy za wiele.

Wsuwam złączone dłonie pod lodowaty strumień, myję usta i twarz. Po chwili policzki drętwieją mi z zimna.

Osuszam się płaszczem i spoglądam na Johna. Boję się, iż znów ujrzę w jego oczach agresję i przemoc, że da o sobie znać płynące w jego żyłach zaklęcie znamienia, niewidzialne, a tak bardzo szkodliwe.

Zamiast tego dostrzegam jedynie lekki niepokój.

– Wszystko w porządku? – pytam.

John zerka przez ramię na zniszczoną aptekę, na ścielące się na bruku okruchy żółtego szkła, na widoczne wewnątrz bezwładne kształty w czarnych płaszczach.

– Niezupełnie – odpowiada – ale to minie.

Nie chcę zadawać tego pytania, ale nie mam wyjścia.

– Co zrobimy z ciałami?

John rzuca mi posępny uśmiech.

– Same o siebie zadbają. Za jakieś sześć godzin zostaną po nich tylko kości.

Ruszamy żywym krokiem w kierunku obozu, co chwila rozglądając się bacznie na wszystkie strony. Wypatrujemy kolejnych łuczników w czerni, którzy mogą się kryć wśród drzew.

Rochester jest ledwie widoczne – budynki i mury wydają się rozmazane i niewyraźne jak w mglisty dzień – zapewne postawiono nową magiczną barierę. Prawie nie dostrzegam też stojącego tuż za nią

mężczyzny: sylwetka obleczona w siwą chmurę, na jego piersi płonie trójkątna pomarańczowa plama, członek straży. Na nasz widok macha ręką. Powietrze dokoła traci przejrzystość, jedynie przed nami pojawia się wolne od oparów przejście.

– Szedł ktoś za wami? Widzieliście kogoś? – Wartownik pozwala nam przejść. – Naszych albo ich?

– Spotkaliśmy się z tamtymi – tłumaczy John – ale poradziliśmy sobie. Był też jeden z naszych, ale jemu się nie udało. Powiedział nam, że ktoś zaginał. Znaleźliście ich?

– Dwójkę. – Strażnik kiwa głową. – Lepiej już chodźcie, trzeba dać znać, że jesteście bezpieczni.

Wchodzimy do Rochester. Za mostem panuje chaos. Konie, żołnierze, paziowie się kłębują, słysząc rozkazy. Przeciskamy się z Johnem przez tę gęstwinę, szukamy Petera, Fitzroya, Nicholasa, wszystkich, których zaginięcia się obawiamy, kogokolwiek, kto mógłby nam wyjaśnić, co się dzieje.

Niebawem dolatuje nas radosny ryk i pojawia się Peter, wymięty, w pogniecionym ubraniu. Dopada do syna, zamyka go w niedźwiedzim uścisku, tarmosi mu włosy. Szepce mu coś do ucha. Nie słyszę poszczególnych słów, lecz wyławiam wyraźną czułość tonu. Po chwili pirat odwraca się i wita mnie w identyczny sposób.

– Bałem się najgorszego. – Peter odsuwa się i marszczy ciemne brwi. – Znów przekradli się do nas ludzie Blackwella. Próbowaliśmy zebrać wszystkich mieszkańców Harrow, ale niektórych wciąż nie możemy się doliczyć. Byłem przekonany, że i wy zniknęliście.

– Tak, wiem – przyznaje John. Opowiada ojcu o łucznikach, o zabitym szewcu, o truciźnie i wszystkim, co się wydarzyło.

– Rany Chrystusa! – woła Peter. – Naprawdę byliście w aptece? Też tam byłem. Szukałem was, ale zastałem zamknięte drzwi, a w środku było ciemno. Nie miałem przy sobie klucza, a na pukanie nikt nie odpowiadał.

– Tak, byliśmy tam – potakuje John. – Tyle że... nie słyszeliśmy cię.

Rumienię się, kiedy to mówi. Sam również lekko się czerwieni, ale nie spuszcza oczu.

– Jak to nie... Ach... Ach, tak. Rozumiem. – Skonsternowany pirat gładzi się po brodzie.

– Wspomniałeś o zaginionych. – John płynnie zmienia temat. – Kogo brakuje?

– Kilku żołnierzy. Pewnej kobiety z Mudchute i jej syna. Z waszej opowieści wynika, że do listy straconych możemy dopisać już szewca. Zniknął też Gareth.

– Gareth? – Wymieniamy się z Johnem znaczącymi spojrzeniami. – Zabrali go wbrew woli? Czy może ludzie Black-wella pojawili się tu, żeby osłonić jego ucieczkę z Harrow?

– Nie mamy pewności – odpowiada Peter. – Nicholas sądzi, że został porwany. Fitzroy poszedł do jego domu. Drzwi stały otworem i niczego nie brakowało.

– Po co mieliby go porywać? – dziwi się John.

– Trudno powiedzieć – odpowiada pirat. – Być może Black-well dowiedział się, że zdemaskowaliśmy w Garecie szpiega. Albo sam Gareth zmienił zdanie, rozmyślił się. A wiemy przecież, jak Blackwell traktuje zdrajców. – Milknie na moment. – W sumie nie ma to wielkiego znaczenia. Zniknął i choć to niewielka pociecha, przynajmniej nie będziemy musieli go aresztować. W każdym razie mamy na głowie poważniejszy problem. Zeszłej nocy przybyło kilkoro członków Zakonu Róży. Donieśli, że armia Blackwella zaczęła się mobilizować w Upminster wcześniej, niż zakładaliśmy. Wszystko wskazuje, że dotrą tutaj już jutro.

– Jak wielu?

– Ostrożnie oceniamy, iż jakieś dziesięć tysięcy.

Dziesięć tysięcy. Przeciwno naszym czterem.

– Większość tych wojsk została zaciągnięta pod przymusem – ciągnie Peter. – Zdezerterują, gdy tylko rozgorzeje bitwa. A wtedy albo uciekną na dobre, albo Blackwell będzie musiał poświęcić wiernych ludzi, by nad nimi zapanowali. To oczywiście nam sprzyja, ale pamiętajmy, że on przyprowdzi ze sobą zjawy. Jedna jest w walce warta tyle, co dziesięciu zwykłych wojsaków. A zjawy swojego pana nie zdradzą.

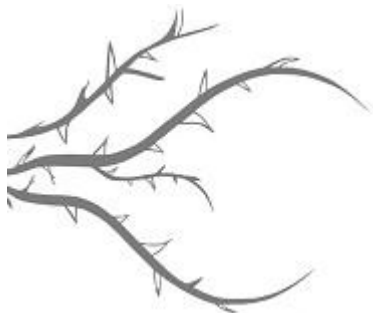
Przypominam sobie słowa Schuylera i zastanawiam się, czy Peter

ma do końca rację.

– Chodźmy do waszych namiotów – rzuca Peter. – Załóżcie mundury i uzbroicie się. Dzisiaj wieczorem odbędzie się ostatni przegląd sił. A jutro... – Urywa w pół zdania.

– Jutro nadejdzie już niedługo. – John składa dłoń na ramieniu ojca, ale nie jest w stanie powiedzieć niczego, co rozproszyłoby jego obawy. Peter zdaje sobie sprawę, że John może jutrzejszej bitwy nie przeżyć. Ja również to rozumiem, choć oczywiście zrobię wszystko, by stało się inaczej.

Ruszamy przez zatłoczony plac ku kręgowi białych namiotów. Wtedy to słyszę. Głośny okrzyk i wybuch śmiechu. Widzę go – pędzi w naszą stronę, cały w pasiastych kolorach, piórach i uśmiechach. George.



Rozdział 28

Hej!

Pędzi przez trawę, promienny niczym popołudniowe słońce. Ma na sobie kurtkę w zielono-niebieskie pasy, błękitny kapelusz ozdobiony żółtym piórem i równie intensywnie żółty płaszcz. Wpada na Johna, niemal przewracając go na ziemię. Przyjaciele śmieją się i przepychają. Po chwili George cofa się o krok i przygląda nam z kpiącym uśmiechem.

– Proszę, proszę, moja ulubiona parka. – Patrzy na Johna, na mnie i znów na Johna. – Wygląda na to, że gwiazdy wreszcie znalazły właściwy układ i wszystkich oślepiają swym blaskiem. – Podchodzi i mocno mnie ściska. – Naprawdę bardzo dobrze cię widzieć. – George przygląda mi się badawczo i jego uśmiech na moment blednie. – Fifer do mnie pisywała, dawała mi znać, co się dzieje. Wiem o wszystkim. I wiem, że z tobą... – Urywa. To jedna z rzadkich chwil, gdy brakuje mu słów. – Wszystko będzie z tobą w porządku. Z nami wszystkimi.

Dalej idziemy już we czworo.

– Kiedy wróciłeś? – John zwraca się do przyjaciela.

– Wczoraj, późną nocą. Przeprowadzenie przez kanał okazało się niełatwa. Na szczęście już dotarliśmy i widzę, że w samą porę. Ci żołnierze rwą się do boju i coś mi mówi, że wkrótce ich życzenie spełni się z nawiązką.

John kiwa głową, po czym spogląda na ojca.

– Co będzie z niezdolnymi do walki?

– Dzisiaj po północy wszystkie kobiety i dzieci znajdą się w środku. – Pirat wskazuje dłonią Rochester Hall. – Jeśli zajdzie konieczność, George pokieruje ich ewakuacją do Cambrii. Tak czy inaczej, nic im nie grozi. Nicholas z kilkoma członkami rady pracują nad

odpowiednimi zaklęciami. Nikt z zamku nie wyjdzie, o ile nie wyrazi na to zgody jeden z radców. Wyjąwszy oczywiście Garetha.

Nie pytam, co będzie, jeżeli nie zostanie przy życiu ani jedna osoba, która mogłaby taką zgodę wydać. Wiem, że nie muszę. Oglądamy tysiące galijskich żołnierzy. Nad ich namiotami łopoczą narodowe flagi w czerwono-niebiesko-białe pasy. Wojacy gawędzą, śmieją się. Niektórzy toczą szermiercze pojedynki, inni leżą wyciągnięci na trawie i palą fajki lub raczą się alkoholem z kryształowych kielichów.

– Widzę, że zdążyli się zadomowić – zauważa cierpko John. – Gdybym nie wiedział, nie zgadłbym, że przyjechali tu na wojnę.

– Wino i kielichy przywieźli ze sobą, cholernicy – mówi George. – W walce są śmiertelnie groźni, ale utrzymanie tej zgrai... Nawet nie zgadniecie, ilu mnie pytało, gdzie stoi namiot z panienkami. My tu szykujemy się na wojnę, a im uciechy w głowach...

Podnoszę oczy ku górze. John i George parszczą śmiechem.

– Właściwie nie byłoby z tym większego problemu – podejmuje George. – Angielskie kobiety mają słabość do Galów, a mieszkanki Harrow nie są tu wyjątkiem. Zresztą, wieczorem zagra muzyka, poleje się wino, będzie poczęstunek. A to sprzyja flirtom. Zobaczycie, będzie zupełnie jak w czasach, gdy byłem na dworze. A właśnie, o wilku mowa...

Zauważam zmierzającego ku nam rażno Malcolma. Ubrany jest jak reformista: czarna bluza, czarne spodnie, pomarańczowo-czerwony symbol na piersi, miecz u boku. Ten widok, Malcolm w stroju dawnych przeciwników, kroczący przez obóz niczym naczelnny wódz, stanowi zarazem zaskoczenie, jak i spełnienie oczekiwań.

George wychodzi krok naprzód i lekko się kłania.

– Panie...

Malcolm ucisza go ruchem dłoni, na jego wargach pełga nikły uśmiešek.

– Powiedziałem ci, że możesz zwracać się do mnie po imieniu. Myślę, że między nami nie ma już miejsca na oficjalny ton.

George zwraca się ku nam.

– Powiadam wam, ten jegomość to stary wyjadacz. Odkryłem to zeszłej nocy. Wystarczyła jedna partyjka kart, a przegrałem do niego

wszystkie swoje pieniądze. A potem, kiedy rozbił mnie kompletnie, stracił wszystko w następnym rozdaniu. Bardzo stylowo.

– O stylu i jakichkolwiek talentach możemy mówić jedynie w odniesieniu do ciebie – zapewnia uprzejmie Malcolm. – Chętnie przystanę na rewanż, o ile jesteś gotów.

– Na jutrzejszy wieczór nie mam poważniejszych planów – odpowiada George.

– To teraz już masz – rzuca Malcolm.

George ze śmiechem podaje mu rękę. Malcolm ją przyjmuje, uśmiecha się promiennie. Zaraz potem jego wzrok spoczywa na mnie.

– Cieszę się, że wróciłaś. Martwiliśmy się – zerka na Johna – o was oboje. – Na moment zapada milczenie. – Elizabeth, czy mógłbym z tobą pomówić?

John spogląda na George'a.

– Widziałeś gdzieś może Fifer?

Chłopak potakuje skinieniem.

– Niedawno terroryzowała jakiegoś galijskiego nieszczęśnika. Początkowo ograniczała się do tradycyjnych klątw, a potem przeklęła go naprawdę. Sprezentowała mu mocno dokuczliwą wysypkę. Teraz ma obsypaną całą twarz, wargi i język.

John wybucha śmiechem.

– Za co? Czym sobie zasłużył?

– Nazwał ją *un peu fig mignon*.

Śliczną malutką figą.

John wywraca oczyma.

– Zaprowadzisz mnie do nich? Chciałbym dać jej znać, że wróciliśmy. Poza tym wygląda na to, że muszę się zająć poważnym przypadkiem ospy. – Spogląda na mnie. – Zobaczymy się potem?

– Oczywiście – odpowiadam.

John pozdrawia skinieniem Malcolma, ściska moją dłoń, po czym obaj odchodzą. Wiatr niesie do mnie paplaninę George'a i śmiechy Johna. Nie mogę się nie uśmiechnąć.

– Jak się miewasz? – pyta Malcolm.

– W porządku – przyznaję. – Wpadliśmy po drodze na kilku łuczników Blackwella, ale oni miewają się teraz znacznie gorzej.

– Znakomicie. A jak się czujesz, myśląc o jutrze?

Jutro. Nazajutrz wszystko stanie na ostrzu noża. Zwycięstwo lub porażka. Życie albo śmierć. Radość lub smutek. Jedno lub drugie. Jutro nie będzie mowy o kompromisie.

– Jestem gotowa – mówię szczerze. – Ciebie twojego stryja od tak dawna kładzie się na moim życiu, że zrobię wszystko, by go obalić.

Malcolm rozgląda się dokoła, mruży oczy w popołudniowym słońcu. Widoczne na jego twarzy zmarszczki stają się wyraźniejsze. Przypominam sobie, że został następcą tronu bardzo wcześnie, w wieku dwunastu lat, gdy Blackwell zamordował jego rodziców i próbował – bez powodzenia – zabić też jego. Potem, gdy miał dwadzieścia lat, na bożonarodzeniowy bal maskowy przyszedł jako król, a wyszedł jako więzień. Pozbawiony tytułu, żony i kraju. Pozbawiony całego swojego życia. I teraz, być może po raz pierwszy, wszystko to po nim widać.

Spogląda mi w oczy, jego wargi układają się w uśmiech, jakby dokładnie wiedział, o czym myślę.

– Opowiadałem ci może, co zrobiłem w pierwszy dzień po objęciu tronu?

Przecząco kręcę głową.

– Oddałem królestwo w cudze ręce, w ręce stryja. Powiedziałem mu, że nie chcę się tym zajmować, że nie potrafię. Zgodził się bardzo ochoczo, co już wtedy powinno mnie zastanowić. Obiecał, iż kiedy będę gotów, przekaże mi ster z powrotem. Ale zaczęło się picie, hazard, hulanki, polowania... – Śmieje się, krótko i jadowicie. – Myślałem, że postępuję słusznie. Sądziłem, że dobrze robię, ufając własnemu stryjowi. Wkrótce beczynność przeszła w nawyk. A teraz okazuje się, że nikt nie pamięta z moich rządów niczego więcej.

– Jesteś tutaj. Podjąłeś walkę – zauważam. – Pomagasz ratować kraj i rzucasz przy tym na szalę własne życie. Ludzie to zapamiętają.

– Jeżeli uczynię, co do mnie należy, nie zapamiętają niczego.

– Jesteś królem – przypominam. – Nie możesz zginąć.

– Mogę. Zresztą, zginę czy nie zginę... Nie w tym rzecz. Ważne, iż, podobnie jak ty, jestem gotów wyjść z jego cienia. Odbiorę mu Anglię. – Podaje mi rękę. – Mogę? – pyta, na co odpowiadam skinieniem głowy. Malcolm przyciska wargi do moich palców. Oficjalny

dworski pocałunek.

– Cieszę się, że jesteś tu ze mną – odzywa się po chwili. – Nie ufam zbyt wielu ludziom, w zasadzie nikomu. Ale tobie ufałem zawsze. Jestem ci winien przeprosiny.

Czekam.

– Wiedziałem, że nie czujesz do mnie tego, co ja czułem do ciebie. Po prostu uznałem, że nie muszę przykładać do tego uwagi. – Wypuszcza moją rękę. Mina mu rzednie, wygląda jak bezbronny chłopiec. – Nie zachowałem się właściwie, byłem rozwydrzonym dzieciakiem. I za to cię przepraszam. Rozumiem, iż to tylko słowa, ale niczego więcej nie mam. Wybaczysz mi?

W tej konkretnej chwili, w przeddzień rozstrzygającej bitwy, z której możemy nie wrócić, uświadamiam sobie, że jest zbyt późno, by podtrzymywać dawne urazy, aby nie myśleć o przebaczeniu. Za późno, by karać go za postępowanie według zasad, które podsunęto mu niczym zatruty posiłek.

– Wybaczę – odpowiadam i bez zaskoczenia stwierdzam, iż znów mówię szczerze.

– Pozostaje już tylko wygrać tę wojnę. – Na twarz Malcolma powraca uśmiech. Rozświetla ją.

Widzę Malcolma, jakiego znam; głośnego, aroganckiego, pewnego siebie. Patrzę na człowieka, który ma u stóp cały świat.

– Jutro o tej porze będziemy świętować. Zapamiętaj te słowa. – Okręca się na pięcie i macha na pożegnanie ręką.

Odprowadzam go wzrokiem. Po chwili niknie w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Myślę sobie, że albo wynurzy się z nich jaśniejszy, nieskalany, albo ten blask pochłonie go równie ostatecznie jak nas wszystkich.

Zapada noc. Rozpoczyna się świętowanie. Nalegali na to żołnierze z Galii – wedle ich sposobu myślenia, nie można w podobnym momencie robić nic innego. Jeśli bitwa skończy się niepomyślnie, a my polegniemy, jeżeli nie wrócą jutro do Harrow, to zostanie im przynajmniej dzisiejsza noc. Lepsze to, powiadają, niż kulić się ze strachu w pustym namiocie.

George zgodził się z nimi całym sercem, a nikt nie potrafi urządzić

hucznej zabawy lepiej niż on. Po godzinie dostaliśmy wino – z galijskich zapasów i z prywatnej piwniczki lorda Cranbourne Calthorpe-Gough. Ktoś wyczarował magiczne ogniki. Zagnieździły się w drzewach wokół obozu i migotaniem rozświetlają bezksiężycową noc. W powietrzu niesie się muzyka: flety i tamburyny, harfy i bębny. Wszyscy śmieją się i tańczą, rozprawiają po galijsku i flirtują po angielsku. Nikt nie mówi o najważniejszym. O tym, że możemy nie wrócić, a jutro może oznaczać koniec. O tym, że bardzo możliwe, iż jutro nie będzie już nic. Muzyka milknie o północy. Gasną zaklęte ogniki. Cichną śmiechy. Bez ceremonii i praktycznie bez słów hulanka dobiega końca. Kobiety i dzieci zostają odprowadzone do Rochester Hall. Galijscy wojacy wracają do swojej części obozu, jeszcze przed sekundą pijani śmiechem i winem, teraz trzeźwi i spokojni.

Zbrojmistrze powracają do szykowania mieczy i tarcz dla naszej trzytysięcznej armii. Nie mamy zbyt wielu koni, najwyżej kilkadziesiąt. Garść rumaków bojowych, przygotowanych z myślą o wstępnej szarży, i nieco wierzchowców dla gońców. Tyle że to nie będzie bitwa kawaleryjska, wiedzieliśmy o tym od początku. Bój rozstrzygnie piechota: walka twarzą w twarz, ramię w ramię, krwawa i zaciekła, osobista i zabójcza.

John odprowadza mnie do namiotu. Bez słowa tulimy się do siebie na mojej wąskiej pryczy. Oplata mnie ciasno ramieniem, ja mocno przyciskam głowę do jego piersi.

Wdycham jego zapach, ten sam co zwykle kojący aromat – lawenda i korzenne przyprawy. To samo ciepło i pociecha, jakie zwykle od niego biją.

Nie mówię mu, że boję się jutra, tego, co nastąpi po naszej porażce, a także tego, co się stanie, jeżeli wygramy. Boję się złamanego serca, żałoby i oczekiwania, nieskończonej przestrzeni między początkiem a końcem. Nie przyznaję się do niczego. Jednak sposób, w jaki John mnie pieści i całuje, jak mówi, iż nigdy nie przestanie mnie kochać, daje mi znać, że on i tak wszystko wie.



Rozdział 29

Rankiem powietrze jest chłodne. Nie wieje wiatr. Przyćmione promienie słońca sączą się przez białe płótno, przydając mu żółtawego odcienia. Z zewnątrz dobiegają odgłosy krzątania, spieszne i głośnie. Mój od wczoraj ściśnięty żołądek splata się w jeszcze ciaśniejszy węzeł. Ubieramy się z Johnem w milczeniu, oboje wkładamy identyczny strój: brązowe spodnie i białe koszule, na które nakładamy cienkie kolczugi i płaszcze w niebiesko-czerwoną szachownicę – tradycyjne kolory Anglików walczących o ocalenie kraju. Do tego napierśniki. Pomagam mu dopiąć rzemienie na ramionach i po bokach. Kiedy kończę, John robi to samo dla mnie. Na chwilę zamieramy. Stajemy, patrząc sobie w oczy. Widzę ponurą zaciętość, malującą się na jego twarzy. Dolatują mnie okrzyki żołnierzy, ich kroki i donośny tętent kopyt. Najwyższy czas ruszać.

A jednak stoimy.

Dopiero po chwili odsuwam się i sięgam pod posłanie. Wyciągam swój worek. Szukam przez moment i znajduję ciemnozieloną wstążkę. Wyjęłam ją z jasnozielonej lnianej koszuli nocnej, prezentu od Fifer, którą miałam na sobie, gdy zakradłam się przez okno do pokoju Johna ostatniego dnia, nim sprawy przybrały fatalny obrót. Podaję mu wstążkę.

John przygląda się jej, po czym zagląda mi w oczy.

– Nigdy nie myślałem, że lubisz wstążeczki – przyznaje – ale tę akurat pamiętam, podobnie jak twój strój i całą tamtą noc.

Zastanawiałem się, dlaczego akurat ten kolor – zielony. Bo przecież najbardziej lubisz niebieski, prawda? Potem myślałem o tym, skąd wzięłaś tę koszulkę i czy masz inne, podobne.

– Widzę, że sporo rozmyślałeś – zauważam.

– Sporo myślałem o tobie – prostuje. – Choć zazwyczaj nie chodzi

o wstążeczki.

Uśmiecham się. Na krótką chwilę.

– Chcę, żebyś ją sobie gdzieś przywiązał i o mnie pomyślał – mówię. – Zastanawiał, czy zielony nie jest przypadkiem moim ulubionym kolorem albo nad czymś zupełnie innym – przyspieszam, bo nie mamy czasu, a chcę, żeby usłyszał wszystko. – Cokolwiek pomyślisz, musisz wiedzieć, że jesteś mi bardzo potrzebny. Musisz do mnie wrócić.

Unoszę wstążkę i drżącą dłonią wsuwam ją pod jego zbroję. Gestem damy żegnającej rycerza przed turniejem. Tyle że to wcale nie będzie turniej, a ja nie jestem damą, tylko zabójczynią i zdrajczynią, kłamczuchą i źródłem kłopotów. A mimo wszystko on zdołał mnie jakimś cudem pokochać.

– Myśl o mnie, proszę – powtarzam. – Wróc do mnie.

John podnosi rękę i zamyka moją dłoń w swojej. Nie zostało już nic do powiedzenia, więc po prostu mnie całuje. Mocno, miażdżąc mnie w uścisku. Być może zapomniał, że mamy na sobie zbroje, a może po prostu nie dba o to w takiej chwili. Całujemy się do wtóru dudnienia bębnow, wycia trąbek, stukotu zwierzęcych kopyt i bicia serc. Całujemy się i docieramy do momentu, gdy musimy albo przestać, albo pójść o krok dalej. Wykonujemy następny ruch. John niecierpliwie szarpie rzemienie mojego napierśnika i zanim mam szansę się zorientować, co się dzieje, zbroja ląduje na ziemi. Ręka Johna wślizguje się pod moją koszulę i wtedy zaczynam ściągać z niego żelastwo, które zakładałam ledwie przed chwilą.

Błyskają promienie słońca, owiewa nas chłodniejszy powiew i kątem oka zauważam Schuylera. Stoi w wejściu namiotu i z uśmiechem kręci głową.

– Macie jakieś sześć godzin spóźnienia – rzuca. – Wszyscy w obozie zajmowali się tym w nocy. – Milknie i znów się uśmiecha. – Wiecie, że w czasach wojny poczyna się dwadzieścia procent więcej dzieci niż w okresie pokoju?

– Wynoś się – mruczy John prosto w moje wargi. Nie odwraca się ode mnie, nie wypuszcza mnie z objęć.

Zjawa jednak mówi dalej:

– W dodatku każda para przeciętnie poczyňa dwa razy tyle dzieci, ile normalnie. Przerażająca perspektywa, zważywszy że ten tutaj – wskazuje brodą Johna – już w tej chwili myśli o szóstce.

Odpycham Johna od siebie, otwieram usta w niedowierzaniu.

– Chcesz mieć sześcioro dzieci?

– Siedź cicho! – John syczy na Schuylera.

– Nikogo nie podsłuchiwałem, przysięgam. – Zjawa unosi ręce. – Fifer mi powiedziała.

– Szóstkę? – Nie mogę wyjść ze zdumienia.

– No co? Przecież to piękna parzysta liczba. – John wzrusza ramionami. – Może moglibyśmy porozmawiać o tym później? Świetnie, że dyskutujemy o tym w szerokim gronie, ale pora wydaje mi się niezbyt fortunna.

– Tak – mruczy Schuyler. – Z tego, co widzę, kilka minut przed bitwą to dla ciebie raczej pora, by wyciągnąć, ten tego, miecz i...

John zalewa zjawę strumieniem mocno nieprzystojnych wyzwisk. Obaj jednak się śmieją, więc i ja się śmieję.

– Zachowaj te czułe słówka do użytku w alkowie – mówi Schuyler. – Czas ruszać.

John podnosi z ziemi mój napierśnik i ponownie pomaga mi go włożyć. Podprowadza mnie do wyjścia z namiotu, ale ja przystaję.

– Za chwilę cię dogonię – mówię. – Chciałabym najpierw zamienić kilka zdań z Schuylerem.

John nachyla się i całuje mnie w usta, namiętnie, przeciągle. Zaraz potem znika, lecz odchodząc, bezgłośnie przekazuje coś Schuylerowi. Domyślam się co i nie jest to nic przyjemnego. Zjawa jednak znów tylko się śmieje. Kłapa namiotu opada. Słońce zostaje na zewnątrz, oboje toniemy w cieniu.

– Jak to się skończy? – pytam. – Czeką nas zwycięstwo czy porażka?

– Nie jestem jasnowidzem, złociutka. – Szczerłość sprawia, że głos Schuylera wydaje się niepewny. – Nie znam przyszłości. I nie śmiem nawet wsłuchiwać się w dotyczące tej bitwy przewidywania innych. Będzie, jak będzie. Jestem gotów na każdą ewentualność.

Zjawy umierają rzadko, to znaczy nieczęsto umierają po raz drugi.

Nie jest to jednak wykluczone. Najczęściej giną ze skręconymi karkami, czego może dokonać wyłącznie inna zjawia. Tracą też życie w płomieniach, a to może każdy spowodować. Mam też cały czas w głowie, że gdzieś tam, w jednej z komnat Rochester Hall, czeka Fifer ze świadomością, iż Schuyler może już do niej nie wrócić.

– A co z Johnem? – pytam. – Uczynię wszystko, by Black-well na niego nie trafił, wszyscy się o to postaramy. Tylko co będzie, jeśli to John zacznie go szukać? Twierdzi, że ma znamię pod kontrolą. Myślisz, że to prawda?

– Tak mu się wydaje – tłumaczy zjawia. – Za każdym razem, gdy nachodzi go ta myśl, myśli też o tobie. Tylko tyle udało mi się wysłuchać, zresztą, niczego innego wiedzieć nie chciałem. Nie proś mnie, żebym próbował usłyszeć cokolwiek więcej.

– Schuyler...

– Nie powstrzymasz tego, co musi się wydarzyć – nie pozwala mi dokończyć. – Od dawna próbujesz i nigdy ci się to nie udaje. A wszystko, co działo się do tej pory, zmierzało właśnie do dzisiejszego starcia. – Zupełnie jakbym słyszała Fifer.

Wychodzimy na zewnątrz, prosto na zalany słońcem plac. Idziemy przez trawnik, obserwując tysiące innych ludzi postępujących tak samo jak my. Stają przed namiotami, przechodzą. Zbroje rzucają jaskrawe refleksy. Widzę setki paziów – chłopcy w bieli goniący za zbrojmistrzami, pomagający swym panom zakładać kołczany, wręczający im kusze, włócznie i noże, topory i miecze. Grupa kilkunastu osób, mężczyzn i kobiet, to członkowie Zakonu Róży. Nie mają przy sobie broni. Im wystarczy magia.

W pobliżu placu ćwiczebnego zauważam Keagan, stoi z kilkorgiem przyjaciół. Na jej długiej białej bluzie widnieje haftowany czarną nicią symbol róży. Spotykamy się spojrzeniami i Keagan przywołuje mnie skinieniem ręki.

– Poznajcie się. To są Odell i Coll – przedstawia chłopaka i dziewczynę.

– Słyszeliśmy o tobie. – Dziewczyna, Coll, mierzy mnie wzrokiem i się uśmiecha. Jest drobna, podobnie jak ja. Ma krótkie czarne włosy, ciemną skórę i promienny uśmiech. – Podobno Keagan nazywa cię

wróbelkiem. Podoba mi się to, pasuje do ciebie.

– Jakże znasz zaklęcia? – pytam.

– Kto? Ja? – Coll podnosi dłoń i kiwa palcami.

Po kilku sekundach na jej ramieniu pojawia się ptak o płomieniście czerwonym grzebieniu. Pochyla łebek i przygląda się jej ciekawie.

– Potrafisz przyzywać zwierzęta?

– Umie też z nimi rozmawiać. – Keagan zerka na Coll, która czując na sobie jej wzrok, zalewa się rumieńcem. – Mamy szczęście, że do nas przystała. Tego rodzaju talent pojawia się niesłychanie rzadko. Ludzie z taką mocą rodzą się ledwie raz na dziesięć lat, w dodatku zawsze są to dziesiąte córki dziesiątych córek.

– To znaczy, że masz dziewięć siostr?

– Właściwie to dwanaście. – Coll wskazuje na dziewczynkę, najwyżej dziesięciolatkę, kryjącą się za drzewem. – Nazywa się Miri. Powinnaś zobaczyć, co ona potrafi.

Ptak podrywa się z ramienia Coll w powietrze, a w tym samym momencie z pobliskiego jeziora podnosi się ściana wody. Załamujące się potężne fale suną w naszą stronę i nagle się zatrzymują. Zawisają nad naszymi głowami niczym rozmigotana szklana tafla. Tylko pojedynczy strumyczek tryska prosto w twarz Coll. Keagan wykonuje gwałtowny ruch nadgarstkiem i woda rozpada się, obracając w rzedną mgiełkę. Przyglądający się temu z oddali żołnierze nagradzają sztukę śmiechem i oklaskami.

– Dawno cię nie widziałam – zwracam się do Keagan.

– Rochester to wielka posiadłość. Mieszkają tu tysiące ludzi, a nas jest jedynie piętnastka. Zresztą, aż do dziś trzymano nas na uboczu. Uznano, że lepiej będzie, jeśli nasze zdolności pozna jak najmniej osób. Z uwagi na szpiegów.

Odzywają się trąbki. Wzywają do zajęcia miejsca w szyku, nakazują dołączyć do wyznaczonych oddziałów. Dźwięk sprawia, że powietrze nieruchomieje, znika pełna napięcia atmosfera oczekiwania. Trzy tysiące mężczyzn i kobiet uzbrojonych w zaklęcia i stal milkną w jednej chwili.

– Do zobaczenia na polu bitwy. – Keagan odwraca się i odchodzi. Rudowłosą głowę trzyma wysoko, dumnie.

– Keagan! – wołam za nią, lecz zupełnie nie wiem, co więcej powiedzieć. Mam ochotę poprosić, by na siebie uważała. Na siebie i na pozostałych członków Zakonu Róży, na Malcolma, którego mimo wszystko, jestem pewna, polubiła. – Bądź ostrożna!

– Będę – rzuca, oglądając się przez ramię. – Ty też.

Nurkuję w tłum, idę do swojego oddziału. Wszędzie dokoła żołnierze zwierają szyki. Jest kolorowo – czerwono-niebieskie płaszcze i płonące żółcią odznaki reformistów, brązowiejące wzgórza i zieleniejące drzewa. Konie i tarcze, proporce i piki, strach i odwaga, wszystko rozciąga się przede mną aż po horyzont. Nie podejrzewałam, że będzie nas aż tak dużo.

Gdy jednak u mojego boku pojawia się John, kiedy zauważam, iż blask jego napierśnika zdaje się gasnąć wobec cienia w spojrzeniu, którym obrzuca żołnierzy, dociera do mnie, że i on nie jest pewien, czy jest nas odpowiednio wiele.

Wypatrujemy Nicholasa i widzimy, że przedziera się przez ludzki gąszcz. Nie ma na sobie wojskowego stroju, ubrał się jak na czarnoksiężnika przystało. Włożył długi płaszcz w kolorze kości słoniowej. Oczywisty kontrast wobec Blackwella, który zapewne odzieje się w czerń. Nie nosi też zbroi, nie przypasał miecza. Zatrzymuje się przed nami i kolejno obrzuca nas uważnym spojrzeniem.

– On nie jest niezwyciężony – odzywa się.

Nie muszę pytać, wiem, że ma na myśli Blackwella.

– Ale wciąż pozostaje potężnym przeciwnikiem – ciągnie Nicholas. – Co gorsza, jest zdeterminowany, co czyni go jeszcze groźniejszym. Wystarczy mu, że pojmie tylko jedno z was, lecz on będzie szukać obojga. Jeżeli cię znajdzie – Nicholas patrzy mi w oczy – już nie pozwoli ci uciec.

– Wiem.

Następnie czarnoksiężnik zwraca się do Johna. Przez chwilę mierzą się wzrokiem, wymieniają czymś, do czego ja nie mam dostępu.

– Nie zawaha się – mówi Nicholas. – Nie zabierze cię ze sobą do Upminster. Nie zaryzykuje straty czasu, ponieważ już go nie ma. Spróbuje cię jak najszybciej zabić.

Opadają mnie niepokój i złe przecucia. Słowa Nicholasa nie

brzmia jak przestroga, brzmia raczej jak instrukcje. John po prostu kiwa głową.

Czarnoksiężnik zostawia nas samych i zmierza na swoje miejsce, pomiędzy szeregiem żołnierzy a magiczną barierą. My znajdujemy pozycję pośrodku szyku, poza linią włóczników, przed łucznikami. Pomiędzy poszczególnymi oddziałami czekają na swych wierzchowcach ukryci w zbrojach członkowie rady. Pełna gotowość.

Maszerujemy pod sztandarem reformistów: niewielkie słońce, wpisane w kwadrat, wpisany w trójkąt, a wszystko to zamknięte w kręgu stworzonym przez węża pożerającego własny ogon. Każdy z tych znaków ma własne konkretne znaczenie: słońce symbolizuje świt nowej egzystencji, kwadrat to świat fizyczny, trójkąt reprezentuje ogień, żywioł zmiany. A wąż – Uroboros – stanowi symbol jedności. Dzisiaj będziemy bronić wszystkich tych wartości.

Zbliżamy się do bariery, do miejsca, które stanowi kres wszystkiego. Nie widzę armii Blackwella, ale wiem, że już tam jest. Przeczuwam jej obecność, jak przeczuwa się nadciągającą nawałnicę. Nieruchome powietrze brzemienne jest napięciem, niebo czeka tylko na pierwsze uderzenie błyskawicy, by runąć na nas ulewą zniszczenia.

Członkowie rady unoszą jednocześnie ramiona i zaczynają szeptać. Inkantacja ledwie słyszalna, lecz skuteczna. Bariera znika, niczym podnosząca się o poranku mgła, niczym chmura początkowo gruba, potem cienka, obecna i nagle nieobecna.



Rozdział 30

I nagle jak za podniesieniem kurtyny buchają dźwięki. Nagle widzę i słyszę wszystko: każdy liść na każdym drzewie, każdego ptaka w każdym gnieździe, każdego mężczyznę na każdym koniu. Widzę też przed sobą wszystkich wrogów.

Ich szeregi ciągną się całymi milami. Dziesięcioletnia armia ubranych na czarno żołnierzy. Lekko falujące o północy bezkresne morze. Boże... Oni są wszędzie.

Czerń pokrywa ziemię, ale i wyciąga się ku niebu: to chmury czarnych wron. Wirują groźnie, pobłyskując koralikami gorejących, morderczych czerwonych ślepi.

Nacierają na nas, nadlatują, zmazując z nieba nad Harrow słońce i błękit. Nie wiem, kto dobywa broni jako pierwszy. Ktoś to jednak czyni. Ostrze wysunięte z pochwy, stal sunąca ze śpiewem po skórze. Gromko wykrzyczany rozkaz, tupnięcie, ryk. I wtedy z burzowym grzmotem i światłem błyskawicy rozpoczyna się bitwa.

Johna tracę z oczu natychmiast. Rozdzielają nas żołnierze i choć raz i drugi wołam go po imieniu, mój głos niknie w rozpełtanym dokoła chaosie. Otwiera się niebo i leje się z niego lodowaty deszcz. Kurtyny wody przesłaniają nam widok niczym pogrzebowe całuny.

Nieruchomieję na moment, przytłoczona tym, co rozgrywa się na moich oczach. Oszłamiona skalą i wagą wydarzeń. Potem jednak do głosu dochodzi coś innego: długie lata szkolenia, lata gniewu i strachu. Rzucam się we wrzącą, zbitą masę ciał. Wyszarpuję zza pasa sztylety. Miotam je, jeden za drugim. W powietrzu rozchodzi się woń krwi – czerwona, gorąca i miedziana. Słysząc paskudne odgłosy wydawane przez umierających ludzi.

Muszę odszukać Blackwella, to jedyne, co muszę dziś zrobić.

Wiem, że gdzieś tu jest – zbyt tchórzliwy, by pokazać się w tej chwili. Zaczeka, aż jego wojska nas osłabiają, aż połowa jego żołnierzy zginie, a my będziemy wycieńczeni. Poczeka do momentu, gdy będzie mógł przeważyć szalę na swoją stronę.

Mimo że jej nie widzę, obecność Miri jest oczywista. Deszcz zniecała ustaje, krople zastygają w locie, a potem z rykiem unoszą się i pędzą naprzód ponad równiną. Nie widzę tego, lecz słyszę, jak woda uderza, jak bije w morze żołdaków w czerni.

Ułga jest tylko chwilowa. Ulewa znów się rozpętuje, tym razem akcentowana smugami gorących białych błyskawic. Uderzają tam, gdzie pada deszcz, w mężczyźni walczących po obu stronach, w czerń, błękit i czerwień. Widzę, jak drgają, skwierczą, sztywniejąc na moment, by zaraz paść bezładnie na podmokłą już ziemię, zwięgli, zdeformowani i martwi.

Idę wciąż naprzód, przeciskam się przez ciżbę, aż w pewnej chwili zauważam Malcolma. Ciemne włosy kleją mu się do twarzy, policzki uwalane ma we krwi i błocie. Otaczają go jego żołnierze, zmagający się z wronami, które krążą dokoła i atakują wraz z deszczem, siekąc dziobami, pazurami i skrzydłami, co chwila powalając kolejnego człowieka.

– Coll! – Szum wody i wrzaski zagłuszają moje wołanie, lecz dziewczynie jakimś cudem udaje się mnie usłyszeć.

W okamgnieniu spod chmur zlatuje stado sów, setka nocnych ptaków. Są wśród nich sowy upierzone beżowo, są czarne niczym atrament i białe jak śnieg. Wszystkim bez wyjątku płoną zakłete żółte oczy. Uderzają na wrony, zbijają się z nimi w skrzekliwy tumult, hałas jest ogłuszający. Malcolm wyrywa się z ptasiej gęstwy, staje pewnie na nogach. Zmieszana z deszczem krew spływa mu po twarzy. Podnosi z błota upuszczony chwilę temu miecz i ponownie rzuca się do boju. Ruszam z nim i jego oddziałem, bez przerwy obserwując wszystko, co mam przed sobą. Wypatrując tego, kogo nadal przed sobą nie widzę.

Strzały gwizdzą wszędzie dokoła. Niektóre z żelaznymi grotami, inne płomieniste – te drugie to na pewno dzieło Keagan. Rażą żołnierza za żołnierzem, przebijają czarne płaszcze, które błyskawicznie stają w płomieniach. Do kalających powietrze wyziewów dołącza swąd palonej

welny i skóry. Malcolm, zajęty wymianą ciosów z przeciwnikiem, pada ofiarą ostrzału. Pocisk rozorał mu niechronione zbroją przedramię, rękaw bluzy płonie.

Malcolm próbuje ugasić ogień. Chwila nieuwagi i przeciwnik dostrzega okazję, by go zgładzić. Nie ma jednak szansy z niej skorzystać. Wyciągam zza pasa sztylet, celuję i rzucam. Ostrze wbija się w oko mężczyzny, który pada na ziemię jak rażony piorunem. Sekundę później dopadam Malcolma, gaszę płonący rękaw i oglądam ranę. Głęboka, lecz czysta.

– Nie ruszaj się – mówię. – Wyszarpnę tę strzałę na trzy. Raz... Dwa... – Wyrywam pocisk z jego przedramienia. Krew bryzga na bluzę, ale ważne, że będzie żył. – Idź – rzucam. – Jesteś potrzebny swoim ludziom. Oni... – Coś mnie dławi. Nie jestem w stanie złapać tchu.

Malcolm szarpie za kołnierz napierśnika, za kolczugę. Usta ma otwarte szeroko, lecz i on nie może nabrać powietrza.

Przed nami stoi żołnierz w czerni. Obraca powoli palcem wskazującym i szeroko się uśmiecha. Wszędzie dokoła ludzie padają na kolana, w błoto, chwytają się za gardła, rozpaczliwie próbują złapać tchu. Twarze przybierają niebieskawy odcień. Dostaję zawrotów głowy i osuwam się na jedno kolano. Po chwili klęczę już na obu. Moje płuca wrzeszczą. Drapię się po szyi, upadam na miękką i zimną ziemię. Nie mogę oddychać, nie mogę oddychać...

Zupełnie znikąd zjawia się Keagan i wszystko rozgrywa się błyskawicznie. Błysk stalowego noża, pojawiająca się na gardle linia. Fontanna krwi, bulgot i czarownik leży już w błocie. Otwarte oczy ślepo wpatrują się prosto we mnie.

– Wstawaj. – Keagan pochyla się, podciąga mnie za ramiona. – Elizabeth, rusz się.

Malcolm już się podniósł. Błady i zdyszany. Dokoła wciąż leżą żołnierze, niektórzy łapią powietrze, inni są tak nieruchomi, że podejrzewam, iż nie żyją. Sowy i wrony uciekły, na polu leży tylko kilka upierzonych trucheł. Wciąż leje deszcz, wszyscy jesteśmy przemoknięci, bluzy pod kolczugami lepią się do ciał, zimne i szorstkie.

– Dalej! – Keagan popycha mnie w plecy, kieruje na plac boju. Ludzie Malcolma gromadzą się za nami. Wciąż dochodzą do

siebie, lecz w dłoniach pewnie ściskają broń. Drogę natychmiast zastępuje nam banda żołdaków – nie, to nie są zwykli żołnierze, to zjawy. Szcherzą się ostrza mieczy, szcherzą się jadowne uśmiechy. Nie ma wśród nich Caleba, Marcusa ani Linusa, lecz dobrze wiem, kim są. Zdradza ich szarość oczu i dzikość oblicz. Zdradzają ich żywi towarzysze, którzy rozstępują się, niczym opływający skały rzeczny nurt.

Nie znam ich, ale najwyraźniej zna ich Malcolm. Wychodzi naprzód, odgradza mnie od zjaw wyciągniętym ramieniem. W drugim ręku trzyma miecz, naturalnie, broń zupełnie bezużyteczną wobec tych przeciwników.

– Wasza wysokość... – Jedna ze zjaw nieporadnie, sztywno dyga. To drwiący gest.

Pozostali parskać śmiechem głębokim i gardłowym.

– Osioł.

Teraz sobie przypominam. Osioł. Tak przezywano Am-brose'a Courtenaya, jednego z najbardziej zaufanych dworzaków Malcolma. Podobno został odprawiony z pałacu, gdy jego ekscesy – hazard, picie i bójki – zdegradowały nawet Malcolma.

– Nikt już nie nazywa mnie Osłem. I na pewno nie będziesz tak do mnie mówić ty. – Zjawa wysuwa się przed swoją sforę, zaczyna nas okręzać. Nie jest uzbrojona. Nie musi. Na przemian zaciska i rozluźnia pięści. Na ich widok czuję się tak, jak gdyby ustawiła przed nami dwa działa.

– Kiedy to się stało? – Malcolm mierzy w niego ostrzem miecza. – Kiedy wróciłeś na dwór? I kiedy... – Urywa. Nie jestem pewna, czy Malcolm wie, w jaki sposób powstają zjawy.

– Powróciłem na jego wezwanie. Na wezwanie króla. – Podczas gdy Osioł mówi, jego towarzysze zmieniają pozycje. Dobrze znam te ruchy i gesty, tę postawę. Formują szyk bojowy, gotują się do ataku. – Prawdziwego króla – dodaje.

Te słowa stanowią przynętę, wabik. Wiem o tym, lecz nie potrafię się powstrzymać.

– Wezwał cię tylko po to, by cię zabić.

– Czy ja ci wyglądam na truposza?

Dawniej Osioł był atrakcyjny, nadal to widać. Z tym że nie mam na myśli wyglądu, tylko jego sposób bycia. Bardzo przypomina dawnego Malcolma. Jest pewny siebie, zachowuje się, jakby odpowiedzi na wszystkie pytania świata leżały na wyciągnięcie ręki.

– Wszyscy jesteśmy żywi. Bardzo żywi – mówi.

– Wszyscy? – powtarzam. – A konkretnie ilu was jest?

– Setka. – Osioł się uśmiecha, błyskając zębami w ciemnym szarym świetle. – A pojawią się kolejni. Codziennie. Wszyscy chcą wiecznie służyć wieczystemu królowi.

Tracę rezon. Setka zjaw. I przybywają nowe.

– No dobra, starczy tego dobrego. – Keagan wyciąga ręce przed siebie. Zauważam, że skóra na jej otwartych dłoniach jaśnieje czerwienią.

– Padnij! – woła Malcolm do swoich ludzi, po czym łapie mnie za zbroję i popycha twarzą w błoto.

Słyszę to, zanim jeszcze podnoszę wzrok: z rąk Keagan biją dwa snopy płomieni i splatają się wokół zjaw niczym liny. Ubrania stają w ogniu, czerń płaszczy zmienia się w czerwień ognia. Nieustający deszcz nie jest w stanie ich ugasić. Krople przemieniają się wokół nas w parę, w powietrze podnoszą się kłęby białej mgły i szarego dymu. Strzelają niepowstrzymane płomienie.

A zjawy – nie krzyczą, nie padają na ziemię, nie giną. Wciąż idą, płonący, zwęgleni. Skóra znika i odsłania kości, włosy przeradzają się w popiół. A oni wciąż ściskają w dłoniach uniesione miecze, wciąż idą.

– Cholera jasna! – Malcolm zrywa się z błota. Dobywa broni i bierze zamach. Ostrze rozcina gorejącą szyję jednej ze zjaw. Moment potem tnie kolejną i jeszcze jedną.

Keagan opuszcza ramiona wzdłuż boków. Ogień gaśnie. W powietrzu unosi się cuchnąca chmura, śmierdzi jak w Tyburn. Płatki popiołu snują się w powietrzu niczym czarny śnieg. Słodkawa woń płonącej skóry jest tak mdląca, iż ledwie powstrzymuję wymioty. Kilku żołnierzy Malcolma ani myśli się hamować.

– Świetna robota, wasza wysokość – odzywa się Keagan.

Malcolm potwierdza skinieniem, że usłyszał, lecz nie patrzy na dziewczynę, nie patrzy też na otaczające nas spalone zwłoki. Skupia

wzrok na placu boju, na wciąż szalejącej dokoła bitwie.

– Ci ludzie... Te zjawy... – Spogląda na swój miecz. Czarna krew kapie z ostrza w błoto. – Te ptaki i szalejące żywioty... – Podnosi spojrzenie ku niebu. – Pojawiają się bez przerwy, jedna przeciwność za drugą, po kolei.

– Podczas bitew to dość powszechne – zauważa z przekąsem Keagan.

– Nie. – Malcolm staje przodem do nas. – Rozejrzyjcie się. Zobaczcie, co się dzieje. Popatrzcie uważnie.

Patrzę. Jak okiem sięgnąć trwa walka. Nie widzę jednak, kto zwycięża i kto przegrywa. Kto zdobywa teren. Wie widzę uciekających, nacierających. Wokół panuje jedynie chaos i zaczynam podejrzewać, że jest to chaos zaplanowany.

– Walczymy w miejscu – podejmuje Malcolm. – Zupełnie jakby nie chciał, żeby którakolwiek ze stron osiągnęła przewagę. Mam na myśli stryja. Stawiał przed nami kolejne wyzwania, byśmy pozostali skupieni wyłącznie na walce. Chce odwrócić naszą uwagę.

– Zwodzi nas! – rzuca ostro Keagan.

Malcolm kiwa głową. Zwraca się do mnie. I wtedy, na polu pełnym ludzi, zjaw i potworów, pod niebem zasnutym wrzącą, nieprzeniknioną czarną mgłą, uświadamiam sobie coś ważnego.

– Blackwell powiedział mi kiedyś, że najlepszą metodą do osiągnięcia celu jest sprawić, by przeciwnik uwierzył, że próbujesz osiągnąć coś zupełnie innego. W czasie bitwy oznacza to chaos, podstępny, zwodnicze manewry, dezinformację. Kto skupi się na tym, co ma tuż przed sobą, nie zauważy nic więcej. Blackwell nazywał to mgłą wojny.

– A co jest jego prawdziwym celem? – odzywa się jeden z żołnierzy Malcolma.

– Rochester Hall – rzuca Keagan. Odwraca się gwałtownie w moją stronę, otwiera szeroko oczy.

Powinno być to przeczuć, domyślić się już wtedy, gdy pojawiali się przede mną kolejno ludzie Blackwella, jego monstra, wszystko akurat na mojej drodze. Odwrócił naszą uwagę. Sprawiał, że skoncentrowaliśmy siły tutaj, by mógł wyciągnąć łapy po coś ważniejszego.

A to jeszcze nie wszystko.

Przypominam sobie o Johnie. Zniknął przecież zaraz po rozpoczęciu walki.

Przypominam sobie przestrożę, jakiej udzielił mu Nicholas, tę, która zdawała mi się bardziej instrukcją.

Myślę też o nieustannie przywoływanej przez Blackwella zasadzie: wojna jest sztuką podstępów. Tym razem nie zwiódł mnie jednak Blackwell, człowiek, z którego strony mogłam się oszustwa spodziewać. Tym razem omamiły mnie dwie osoby, którym ufałam.

Niewykluczone, że Keagan wyczytuje to wszystko z mojej twarzy, może również się domyśla. Wpatruje się we mnie wielkimi błękitnymi oczyma. Do policzków kleją się jej czarne drobinki popiołu z ciał zjaw.

– Idziemy. – Przyzywa skinieniem Malcolma i jego żołnierzy. – Trzymajcie się za mną. Wszyscy. Być może spróbuje nas powstrzymać. Spalę wszystko, co zdołam, ale na wszelki wypadek trzymajcie broń w pogotowiu.

Ponieważ zostało mi już tylko kilka cennych sztyletów, zsuwam z ramienia łuk i wyjmuję strzałę z zawieszzonego przy biodrze kołczanu. Malcolm szykuje miecz. We troje puszczamy się biegiem z powrotem, unikając po drodze ludzi, świszczących pocisków i siekącego deszczu. Ledwie zdołaliśmy przebiec kilkaset stóp, w powietrzu niesie się głośny łopot, przypominający furkotanie schnącej na sznurze pościeli. Na ciemniejącym niebie pojawiają się jeszcze ciemniejsze kształty: skrzydlate, wyraziste. Pamiętam je ze szkolenia. To potwory, monstrualne krzyżówki rozmaitych groźnych gatunków. Już kiedyś je zabiliśmy, lecz teraz ożyły. I przybyły stadnie. Widzę pięć tych koszmarnych stworzeń, dziesięć, piętnaście...

Atakują jednocześnie. Nurkują nad polem bitwy, rozczapierzając śmiercionośne pazury i szpony. Chwytają i rozszarpują żołnierza za żołnierzem – nie przebierają w ofiarach, mordują swoich i naszych. Oczywiście od dawna wiem, że Blackwellowi nie zależy na własnych ludziach. Nie spocznie, póki nie zginiemy wszyscy i zostanie tylko on. Przecież król niczego jest zarazem królem wszystkiego.

Latające monstra krążą ze skrzekiem, raz po raz opadają i wybierają z tłumu kolejnych nieszczęśników, wijących się bezradnie

niczym dżdżownice w ptasich dziobach. Keagan podnosi ręce, strzelają smugi płomieni. Trafia trzy maskary, zmieniając je w ogniste kule. Celują z łuku pod niebo. Najbardziej wrażliwym punktem ciała większości bestii Blackwella są oczy. W nie właśnie mierzę. Strzelam. Raz, dwa razy. Pierwszy pocisk chybia, lecz drugi osiąga celu. Trzeci również. Stwór wydaje z siebie dziki skrzek i spada na ziemię, wymachując bezwładnie skórzastymi czarnymi skrzydłami. Bryzga fioletowoczarna posoka.

Malcolm dobija potwora sprawnym cięciem w kark. Odrąbany łeb toczy się w błoto.

Sięgam po następną strzałę, Keagan szykuje zakłęcie. A jednak po śmierci każdego monstrum pojawiają się trzy kolejne. Rzucają się na nas, jakbyśmy byli ich głównym celem. I właśnie wtedy to zauważam. Po niebie sunie jakaś biała masa, wielka jak chmura, lecz znacznie szybsza i bardziej zbita. I widzę też ją – siedzi na najwyższej gałęzi najwyższego drzewa, drobna sylwetka w bieli na tle czarnego nieba. Coll, dziewczyna, która potrafi przyzywać zwierzęta.

Ona również mnie zauważa. Uśmiecha się szeroko, zawadiacko i z przekonaniem. Unosi rękę ku niebu i z wolna zgina palce w zapraszającym geście. Porusza wargami, szepce, wypowiada inkantację pod adresem zebranych na niebie mas. Po chwili macha dłonią ostro ku ziemi.

Ptaki nurkują. Prosto w gęstwinę krwi, kończyn i wrzasku. W odróżnieniu od monstrów Blackwella, atakują jedynie czerń; kłują twarze, uszy, wargi. Wydziobują ludzkie oczy. W powietrzu niesie się łopot skrzydeł, piski. Fruwają pióra, kawałki skóry. Niesie się śmierć.

Znów biegniemy. Ja, Keagan, Malcolm i jego żołnierze za nami. Muszę się dostać do Rochester, muszę odszukać Blackwella. Powstrzymać Johna i Nicholasa, zanim dopuszczą się jakiegoś głupstwa, nim popełnią błąd.

Tym razem udaje nam się pokonać może dwieście jardów, gdy grunt pod nogami zaczyna się nagle kołysać i trząść. Ziemia wydaje z siebie pomruki, jakby coś próbowało się spod niej wygrzebać. Drzewa wałają się na boki, ja upadam w błoto i wilgotne liście, broń wylatuje mi z dłoni. Keagan przewraca się w drugą stronę. Malcolm ląduje z

poślizgiem tuż obok. Rozlega się potężny grzmot i znów wszystko faluje. Jedną ręką chwytam swój łuk, drugą Malcolma i odciągam go, ratując przed pnem potężnego dębu, który wali się na ziemię, akurat w miejscu, gdzie leżeliśmy jeszcze przed chwilą.

– To chyba nie na moje nerwy. – Malcolm leży pode mną, jego usta niemal trącają płatek mojego ucha. – Jak to możliwe, że on nas widzi? Skąd wie, gdzie jesteśmy?

– Chcesz powiedzieć, że naprawdę tego o nim nie wiedziałeś? – Podrywam się, pomagam mu wstać. – Twój stryj wie wszystko.

Keagan ponagla nas wrzaskami, zmusza do pośpiechu. Snujący się w powietrzu dym tłumi słowa. Gdzieś w pobliżu coś płonie, podpalone jej zakłębieniem lub czarem Blackwella. Keagan wyprowadza nas pomiędzy drzew na otwarte pole. Idę za nią posłusznie, lecz po krótkiej chwili zauważam jego sylwetkę. Malcolm też go spostrzega i podbiega do mojego boku. Unosi miecz. A on stoi na skraju lasu, sam jeden, równie nieruchomy jak otaczające go pnie.

Caleb.



Rozdział 31

Wpatruje się prosto we mnie – nawet na mgnienie nie odwraca wzroku. Oczy ma równie szare i niespokojne jak wzburzony nurt rzeki Severn. I podobnie jak w przypadku Severn, nie sposób odgadnąć, co kryje się pod powierzchnią. Waham się przez chwilę, obserwuję go tak uważnie jak on mnie, zastanawiam się, co zamierza. Wyczuwam, że obok mnie pojawia się Keagan: z jej ciała emanuje żar, jest gotowa do ataku, chciałaby go zabić, zanim on odbierze nam życie.

Jednak nie sądzę, by chciał naszej śmierci. Caleb słyszy moje myśli, wyczuwa mnie. Od początku bitwy dokładnie wiedział, gdzie jestem. Nie założyłam naszyjnika od Fifer, nie dziś. Chciałam, by Schuyler miał do mnie dostęp. A gdyby Caleb rzeczywiście zamierzał mnie zabić, bez trudu mógł to zrobić wcześniej. Nikt i nic nie zdołałoby mu przeszkodzić. Ale skoro tego nie chce, to co tu robi? Dlaczego tak na mnie patrzy?

Ruszam w jego stronę.

– Nie. – Malcolm zastępuje mi drogę, próbuje mnie zatrzymać.

– Nie ma się czego bać – odpowiadam. – Raczej nie robi mi krzywdy. Myślę, że... – Raz jeszcze zerkam na Caleba i widzę ten nieznaczny, niemal niedostrzegalny ruch głowy. Twierdzące skinienie. – Chyba po prostu chce ze mną porozmawiać.

Malcolm i Keagan wymieniają się znaczącymi spojrzeniami.

– Normalnie zjawy nie są nadmiernie gadatliwe, co? No właśnie. – Keagan odpowiada sama sobie. – Z drugiej strony, jeśli ma coś do powiedzenia, może faktycznie warto go wysłuchać. O ile to nie podstęp.

Keagan strzela z dłoni płomieniem. Mierzy prosto w Caleba. Zjawy jest szybka, lecz czar okazuje się szybszy. Mimo błyskawicznego uniku gorący język ognia przypala mu bok głowy. Po chwili Caleb znów

zwraca się prosto ku nam. Teraz w jego oczach nie widać już nic przyjemnego.

– Drażnić kogoś, kto wrócił z za grobu? – rzucam. – Niemądre.

– Mądrzejsze, niż ci się wydaje – odpiera Keagan. – A teraz idź i pogadaj, zanim się rozmyślę i zamienię go w fajerwerk na cześć świętego Kryspina. Będziemy cię obserwować z lasu.

Idę po zrytej łące. Podchodzę do czekającego na mnie Caleba. Ma na sobie mundur, podobnie jak wtedy, kiedy widzieliśmy się ostatnio. Czarna bluza i czarne spodnie. Na rękawie herb Blackwella. Na piersi znak świadczący o przynależności do rycerstwa Anglii. Jasne włosy nad lewym uchem ma szerniałe, osmalone, wciąż biją z nich cienkie smużki dymu.

– Elizabeth. – Omiata mnie tymi szarymi oczyma. Nie dostrzegam w nich złych zamiarów. – Ty żyjesz.

– Tak – przyznaję. – A co? Chciałbyś to zmienić? – dodaję, ponieważ w takich chwilach nigdy nie potrafiłam utrzymać języka na wodzy.

Coś się zmienia. W chłodnym, ponurym wejrzeniu pojawia się błysk. Gdybym miała do czynienia z dawnym Calebem, uznałabym to za wyraz rozbawienia. Płomyk gaśnie.

– Nie – odpowiada. – Nie zrobię ci krzywdy.

– Co tu robisz? – rzucam. – Powinieneś chyba walczyć. Zabijać. Przecież on właśnie tego chce, prawda? Tak brzmiały jego rozkazy.

Chwila milczenia. I wreszcie:

– Nie taki rozkaz mi wydał.

„Można wykorzystać wszystko, czego pater nie rozkaże bezpośrednio” – rozbrzmiewają mi w głowie słowa Schuylera.

– Jak w takim razie brzmiał? – pytam, doskonale zdając sobie sprawę, że nie może mi odpowiedzieć.

– Twój przyjaciele wiedzą, co się musi wydarzyć – mówi Caleb. – Wszyscy.

– Moi przyjaciele? – Chciałabym spytać Caleba, kogo ma na myśli, lecz przecież i tego nie może mi zdradzić. Zastanawiam się, skąd się tu wziął i co robi. Od zawsze miał na uwadze wyłącznie własną korzyść. Jak to powiedział Schuyler: „Zjawa jest zobowiązana do posłuszeństwa,

lecz wcale nie chce być posłuszna”. Staram się zadawać pytania tak, byśmy skorzystali na tym oboje.

– Jeżeli wrócę do Rochester Hall? – pytam. – Co tam zastanę?
Ponownie błyskają mu oczy. Zrozumiał moją grę.

– To, czego szukasz.

Odwracam się i biegnę. Nie czekam, by się przekonać, czy ruszył za mną Caleb, czy popędzili za mną Keagan, Malcolm i jego ludzie. Nie ma to dla mnie znaczenia. Liczy się tylko dotarcie do Rochester Hall, odnalezienie tego, do czego znalezienia namawiał mnie Caleb. Ważne jest jedynie, bym odegrała swoją rolę, chociaż nie znam ani linijki scenariusza. Muszę się zmierzyć z czymkolwiek, co na mnie czeka, gdyż za chwilę będzie za późno.

Przedzieram się przez las, między drzewami, aż wreszcie dym się rozwiewa, ogień gaśnie, a deszcz przestaje padać. Wychodzę na falującą łąkę i kieruję się na północ, ku Rochester. Dopiero teraz, gdy pole bitwy zostało za moimi plecami, widzę wyraźnie, jak niewielkiego postępu dokonały obie armie. Tak wiele śmierci, tak mało sensu.

Po półgodzinnym wyczerpującym truchcie dobiegam wreszcie do celu. Tutaj nie działa ograniczające zaklęcie Blackwella. Niebo jest bladoniebieskie i wolne od chmur, powietrze pachnie słodko, wokół panuje cisza. Zniknęła też bariera – przed bitwą czar został dostosowany w ten sposób, by wpuszczać naszych sojuszników i umożliwić ewentualną ucieczkę oddziałom Blackwella. Jego jednak nie powstrzyma żadna magia, wiedziałam o tym od dawna.

Zresztą, rozumiem już, że bariera nie miała go zatrzymać. Plan od początku zakładał wpuszczenie go do środka.

Przedemną wznoszą się zabudowania Rochester Hall. Wielka twierdza, bastion z czerwonej cegły, piękny i bezpieczny; najbezpieczniejsze miejsce w całym Harrow. Wokół nie widać żywej duszy, lustro jeziora jest gładkie i tchnie spokojem. Pod niebem nie krążą skrzeczące monstra, nie płaczą powaleni w błoto żołnierze. Jest tylko księżyc w trzeciej kwadrze – w połowie czarny, w połowie biały – wisi nisko nad horyzontem. Nawet odgłos moich kroków jest stłumiony, szmer zamiast chrzęstu żwiru, westchnienia w miejsce bolesnych jęków. Przyjmuję to z ulgą – kobiety i dzieci, Fifer i George pozostają

bezpieczni. A przecież nie na nich zależy Blackwellowi.

Wysuwam z kołczana strzałę i układam ją na cięciwie. Idę drogą prowadzącą na przerzucony ponad jeziorem most. Jestem tu odsłonięta, w zasadzie bezbronna i widać to w każdym moim geście. W powolnych i ostrożnych krokach, w sposobie, w jaki omiatam otoczenie grotem strzały, w opanowanym oddechu, który – mam nadzieję – pozwoli uspokoić rozkołatanę serce.

Wreszcie stoję pod potężnymi żelaznymi wrotami, zaryglowanymi teraz na cztery spusty. Znam jedynie trzy drogi do wewnątrz – łodzią przez jezioro, tędy przez główną bramę i tunelem, przez który przejść może tylko John. Z tunelu więc nie skorzystam, jestem tu sama. Muszę znaleźć inny sposób. Niestety, Rochester zostało obłożone tyloma magicznymi zabezpieczeniami, że ten inny sposób może po prostu nie istnieć. Skręcam w lewo i ruszam wzdłuż muru. Próbuję, staram się, lecz nie udaje mi się znaleźć żadnego wejścia. Jest tylko ten niekończący się czerwony mur. Nagle coś zwraca moją uwagę – przycupnięta na blankach maleńka kamienna małpka. Z pochylonym łebkiem wpatruje się w coś bezpośrednio pod sobą. Przypominam sobie gargulce z Ravenscourt, w ich pobliżu zawsze znajdowały się tajne przejścia.

Przeciągam dłonią po murze i wkrótce wyczuwam coś między ozdobnymi rzeźbieniami. Zasuwka. Pociągam ją palcem. Słychać nagle echo, szcęknięcie, cegły drgają, coś skrzypi i otwierają się sekretne drzwiczki. Szczelina szeroka akurat na tyle, bym mogła się prześliznąć.

Wchodzę do tunelu. Niewykluczone, iż biegnie równoległe do tajnego przejścia Johna. Możliwe też, że prowadzi w inną stronę – w ciemności niełatwo się zorientować. Idę jednak naprzód. Po przejściu tysiąca zakrętów i ślepych zaułków, znajduję kolejne drzwi, tym razem ukryte za marmurowym popiersiem, jednym z kilkunastu, które tydzień temu mijałam w zachodnim skrzydle, gdy przyszłam odwiedzić Malcolma.

Gdzie szukać Blackwella? Nicholas twierdził, że tym razem on nie będzie zwlekał, nie będzie tracił czasu na powrót do Upminster. Jeżeli tylko dopadnie Johna, do przeprowadzenia rytuału nie będzie potrzebować wiele – wystarczy mu odpowiednie pomieszczenie i symbole czterech żywiołów. A także ośmioramienna gwiazda i żywa

istota na ofiarę.

Biegnę korytarzem przez zachodnie skrzydło. Gruby dywan tłumi moje kroki. Komnaty sypialne i saloniki pomijam, zaglądam za to do większych sal i pokoiów muzycznych i sprawdzam wszystkie zakątki, w których jest stosownie dużo przestrzeni na obrzęd, a jednocześnie są na tyle odosobnione, by zapewnić magom spokój.

Mimo że połowę pomieszczeń wykluczyłam z góry, przetrząśnięcie Rochester Hall zajmuje mi całe wieki. Tyle tu pięter, korytarzy, tak wiele zakrętów, że kilka razy się gubię i wchodzę do tych samych komnat.

I wciąż bez powodzenia.

Zatrzymuję się i myślę. Próbuję wczuć się w położenie Blackwella, w obłąkańczą desperację. Znalazł się w obcym dla siebie miejscu. Nie ma czasu, żeby je dokładnie poznać, nie może jak ja błądzić z pokoju do pokoju.

Podchodzę do okna i spoglądam na późno popołudniowe niebo. Horyzont kryje się za linią drzew. Nicholas wspominał, że właściwa kwadra księżycy nie jest do przeprowadzenia rytuału konieczna, po prostu wspomaga moc zaklęcia. Dodał też jednak, że tym razem Blackwell nie pozwoli sobie na najmniejsze ryzyko. Gdybym miała skłonność do hazardu – a nie mam, przynajmniej nie wtedy, kiedy stawką jest cudze życie – obstawiłabym, że Blackwell zechce widzieć księżyc. Dzięki jego obecności zyska maksymalną pewność niezbędną w obcym, nieprzyjaznym miejscu i niesprzyjającym czasie.

Kręcę się w kółko, staram się zorientować w kierunkach. Skoro słońce znajduje się na zachodzie, księżyc powinien wisieć dokładnie na północy. Pomieszczenia wychodzące na tę stronę można znaleźć w obu skrzydłach zamku, lecz widok z okien sal w zachodnim skrzydle ograniczony jest przez wzgórze – zauważyłam to w trakcie odwiedzin u Malcolma. W dodatku tam wszędzie są dywany, a na dywanie ciężko narysować gwiazdę. Zostaje więc skrzydło wschodnie.

Zerkając co chwila na okna, biegnę do wschodniego skrzydła i po chwili docieram do szeregu sal, które Fitzroy otworzył na użytek żołnierzy. Mijam bibliotekę – jak na potrzeby Blackwella zbyt wiele mebli, za mało wolnej przestrzeni. Mijam kaplicę – to pomieszczenie jest z kolei poświęcone. Mijam salę balową – tu nie ma okien. Wreszcie staję

przed połyskliwymi ciemnymi drzwiami na samym końcu szerokiego korytarza. Pokój muzyczny – kameralny i wychodzący wprost na północ. Z zapewniającymi odpowiednie oświetlenie oknami.

Na krótki moment ogarnia mnie wahanie. Boję się tego, co mogę zobaczyć, gdy wejdę do środka. Boję się również tego, czego mogę nie zobaczyć. Unoszę łuk i łagodnie napieram ramieniem na drzwi. Uchylają się. Wewnątrz wyłożone drewnianą boazerią i obwieszane gobelinami ściany, na podłodze kratka parkietu, z boku rząd witrażowych okien, rzucających na posadzkę spękane barwne wzory. Zachodzące słońce rozświetla je łagodnymi promieniami.

Na środku sali stoi grupa postaci. W miarę jak moje oczy przystosowują się do półmroku, widzę je stopniowo coraz wyraźniej. Obecność pierwszego z nich nie stanowi dla mnie zaskoczenia. Wysoki, śmiertelnie niebezpieczny, ubrany w czerń: Marcus. Nie dziwię się również obecności drugiego z nich. Pokiereszowany, oszpecony i pozszywany z powrotem przez medyków. Odziany po królewsku w purpurę i złoto, w gronostaje i klejnoty. Płaszcz ozdobiony herbem kraju i wszechobecną, przeklętą zdławioną różą. To Blackwell. Trzeciego jednak za nic nie spodziewałam się tu zastać. Stoi w samym centrum, na miejscu ofiary. Białe jak kość słoniowa szaty są poszarpane i rozdarte, jakby wskutek napaści dzikiego zwierzęcia, na jego piersi kwitnie rosnąca krwawoczerwona plama – Nicholas.

Nie mam pojęcia, czy zaskoczyłam ich swoim najściem. Żaden nie daje tego po sobie poznać. Marcus rzuca mi jadownicie złośliwy uśmiech. Blackwell spogląda z udawaną obojętnością. A Nicholas w ogóle na mnie nie patrzy. Wzrok ma utkwiony w jakimś punkcie nad moją głową, jakby mnie jeszcze nie zauważył.

– Nicholas... – dukam cicho i niewyraźnie. Ruszam ku niemu, lecz zatrzymuję się natychmiast, ponieważ w dłoni Blackwella, zupełnie znikąd, pojawia się sztylet i wędruje do gardła czarownika w bieli.

– Wypuść go... – rzucam błagalnie, bezsensownie.

– Znalazłaś mnie – odzywa się Blackwell. – Chociaż, jak sądzę, wcale nie mnie szukałaś, prawda? Przyszłaś tu za swoim uzdrowicielem, chciałaś się z nim pożegnać, zanim odbiorę mu swoją własność. Cóż, Elizabeth, muszę przyznać, że tym jednym udało ci się mnie zaskoczyć.

Oddałaś swoją moc, swoje życie tylko po to, by ocalić jego? – Kręci głową. – Żałuję, że mnie nie okazałaś choć połowy tej lojalności.

W ramach odpowiedzi unoszę w drżących rękach łuk i celuję prosto w ziejący oczodół, w którym tkwią mleczne resztki jego zniszczonego oka.

– Jak zwykle czarująca – komentuje Blackwell.

Ponownie rzucam okiem na Nicholasa, staram się ocenić, jak poważnie został ranny, czy jest w stanie się poruszać, czy zdoła mi w jakikolwiek sposób pomóc. Czarnoksiężnik nadal jednak na mnie nie patrzy.

– Rzuć broń – rozkazuje Blackwell. – Pozbądź się wszystkiego, co masz przy sobie.

Nie słucham go.

– Rób, co mówię – dodaje. – Inaczej będziesz go miała na sumieniu. – Dla podkreślenia wagi słów Blackwell przeciąga czubkiem sztyletu po odsłoniętej nagiej szyi Nicholasa. Na jego skórze pojawia się ciemna jak atrament smużka krwi, która po chwili spływa i miesza się z plamą na koszuli.

– Nie! – Wyciągam uzbrojoną rękę przed siebie i rozwieram palce. Łuk spada z łoskotem na parkiet. Następnie odkładam kolejno miecz, noże, kołczan. Cofam się o krok.

– Zapomniałaś o sztylcie z cholewy – zauważa Blackwell.

Niechętnie, opornie sięgam do buta i pozbywam się ostatniego ostrza, które spada z brzękiem na stosik na podłodze. Wobec Blackwella i Marcusa jestem w tej chwili całkowicie, bez reszty bezbronna.

Blackwell wypuszcza Nicholasa i popycha go. Czarownik upada na brzuch. Jego płaszcz również z tyłu splamiony jest krwią. Odniósł rany poważniejsze, niż się spodziewałam. Być może nawet umiera. Marcus – domyślałam się, że to jego robota – mógłby go zabić bez trudu. Tylko dlaczego Blackwell nie rozkazał mu dokończyć dzieła?

Nagłe podejrzenie, niczym powiew zimnego wiatru, jeży mi włoski na karku.

– Nicholas – z rozmysłem odzywam się cicho, by nie dosłyszeli drżenia w moim głosie. – Posłuchaj mnie. Spójrz na mnie. Nie pozwól mu...

– Dość już tego – warczy Blackwell. – On cię nie słyszy. Zresztą, gdyby słyszał i tak by ci nie odpowiedział. Nicholas służy teraz mnie i tylko moim rozkazom jest posłuszny. Musi je wykonywać dokładnie, co do słowa.

Pstryka na palcach i Nicholas podnosi się z podłogi, po czym wiernie niczym tresowany szczeniak staje u jego boku. Jeszcze jedno pstryknięcie i oczy Nicholasa wreszcie spotykają się z moimi, nareszcie mnie zauważają. Gdy na mnie patrzą, zmieniają się w wąskie czarne szparki. Blackwell obchodzi Nicholasa dokoła, twarde podeszwy wypolerowanych do połysku wysokich butów wystukują na parkiecie miarowe staccato.

– Dziś wreszcie wszystko się między nami rozstrzygnie – zwraca się do mnie. – Uznałem za stosowne, by ten, który kiedyś cię ocalił – pogardliwym skinieniem wskazuje Nicholasa – stał się tym, który cię zgładzi.

Znów pstryka. Tym razem Nicholas unosi rękę i wymierza we mnie palec. Niewidzialna fala magicznej energii z siłą obłędnego taranu, podrywa mnie w powietrze i odrzuca w tył. Frunę przez pokój, zderzam się z twardą drewnianą ścianą. Tracę naraz oddech i sporą część świadomości.

Osuwam się na kolana, próbuję zaczerpnąć powietrza i wstać. Blackwell pstryka i zakłęcie sprowadza mnie na podłogę. Pstryknięcie i wpadam plecami na ścianę. Od brutalnych ciosów dzwoni mi w uszach. Moim płucom brakuje tlenu, myśli mącą się na tyle, że nie potrafię ułożyć żadnego planu, nie wiem, jak się uratować. Robię jedyną rzecz, jaką jeszcze jestem w stanie. Rzucam się ku stercie porzuconej broni.

Nie udaje mi się.

Blackwell znowu pstryka palcami, a Nicholas potulnie wykonuje niemy rozkaz. Zwraca się ku rzędowi okien i niczym dyrygent unosi rozpostarte ramiona. Kierowane jego wolą witraże wyginają się i pękają z hukiem głośnym jak burzowy grzmot. W powietrzu sunie kalejdoskop zabójczo groźnych barwnych kawałków szkła. Prosto na mnie.

Tym razem udało mi się jedynie cudem. Odskakuję w bok, pod ścianę, i osłaniam się grubym, wełnianym gobelinem. Słyszę głuchy grzechot. Kilka większych odłamków przesywa tkaninę niczym

sztylety, ranią mi policzki i ramiona. Krew spływa po twarzy, lecz nawet nie próbuję jej zetrzeć. A to dlatego, że przecucie, jakiego doznałam kilka chwil wcześniej, ten zimny powiew, zmienił się w istną wichurę. Już rozumiem.

Przy pierwszej nieudanej próbie Blackwell złożył ofiarę z kruka. Śmierć ptaka miała zastąpić jego własną, odsunąć ją w nieskończoność. Teraz próbuje po raz drugi i potrzebuje kolejnej ofiary. Mógł wybrać kogokolwiek, cokolwiek, na przykład jeszcze jedno zwierzę. Ostatecznie wystarczy, że ofiara będzie żyć, oddychać. Blackwell wybrał jednak Nicholasa. Być może uczynił to wiedziony pragnieniem zemsty, być może uznał, iż ważniejsza jest mroczna symbolika – zgaszenie roztaczanego przez Nicholasa światła ma zwiastować opadnięcie na świat czarnego całunu władzy Blackwella. Niemniej sam fakt, że zaryzykował i spróbował pojmać jedyne go człowieka potężnego na tyle, by mu zagrozić, w położeniu, w którym nie mógł ryzykować w ogóle, zdradza mi prawdziwy powód.

Blackwell stracił swoją moc.

Azoth obdarza magiczną potęgą, tak jak obdarzył nią mnie, siłą czerpaną z osób, które rani i zabija, lecz zarazem odbiera ją osobom, które poddają się jego klątwie. Tłumaczył mi to Nicholas. I teraz, choć Blackwell posiada jeszcze dość energii, by zapanować nad Nicholasem, to nie wystarczy mu jej do przeprowadzenia rytuału. Zużył wszystkie zapasy, by przedostać się do Rochester, aby pokierować armią, monstrami i zjawami.

Caleb musiał o tym wiedzieć. Właśnie dlatego – być może między innymi – tutaj mnie skierował. Może – tylko może – jeśli zdołam przewyciężyć zło Marcusa i poddańczą wierność Nicholasa oraz odzyskać broń, uda mi się wykorzystać słabość Blackwella. Zanim jeszcze złoży Nicholasa w ofierze i odnajdzie Johna, nim zrealizuje obłąkańczy plan zyskania nieśmiertelności.

Cóż, muszę dokonać niemożliwego. Znowu.

Zrywam z siebie gobelin. Pstryknięcie i Nicholas rusza prosto na mnie. Jego wargi układają się w coś na kształt uśmiechu. Nie patrzę na niego, nie zwracam na niego uwagi. Spoglądam na Blackwella.

– I co? To już wszystko? – pytam kpiąco. – Najpotężniejszy

czarownik Anglii nie potrafi nic więcej? Wielki mag każe swoim marionetkom powybić szyby w oknach? – Pozwalam sobie na szeroki uśmiech, oczywiście udawany. – Najpierw nasłałeś na mnie Fulkego, a teraz to? Znowu mnie obrażasz.

Drażnienie Blackwella to ryzykowna gra, prawdziwy hazard. Jeżeli jednak go skuszę, nakłonię do popisania się mocą, dowiem się, ile jej mu zostało, i sprawię jednocześnie, że zużyje jej resztki. Co prawda nie mam przy sobie broni, lecz został mi jeszcze spryt.

– Zawsze należałaś do moich najlepszych łowców. – Blackwell się rozpromienia.

– Tak – odpowiadam. – Należałam.

Nie pstryka, nie korzysta z niczyjej pomocy. Sam unosi ramiona.

Niebo spada nam na głowy.

Sklepiona powała pokoju muzycznego pęka; wielkie kawały drewna i kamienia odrywają się i lecą. Jedna z frunących desek zrywa gobelin z haków i ciężka płachta opada mi na głowę. Osłaniam się nią jak tarczą. Marcus i Nicholas stoją w bezruchu i patrzą na mnie, im nic się nie stało. Wokół obu zjaw nie pada gruz ani drewno. Przebiegam przez pomieszczenie, unikając odłamków, starając się dotrzeć do porzuconej broni. Gobelin w pewnym momencie zahacza o coś na podłodze i zsuwa mi się z głowy. Podnoszę go, lecz kiedy to robię, ostra jak sztylet drzazga przebija mi na wylot przedramię – skórę i kość. Opadam z jękiem na kolano i wrywam drzazgę. Krew ścieka mi między palcami. Uciskam ranę dłonią, by zatamować krwotok, siłą woli staram się odsunąć ból.

Przez dziurę w suficie widać niebo. Nie jest już bezchmurne ani błękitne jak wtedy, kiedy znalazłam się w Rochester. Dławi je teraz wir grzmiących czarnych chmur, tańczących niczym rozbrykane konie. Blackwell wykonuje szybki gest, rozlega się suchy trzask, coś ryczy i chmury się otwierają. Zalewa mnie istny wodospad. Kolejna ulewa. Pod strzaskanymi deskami na podłodze wypatruję coś błyszczącego. Nóż? Miecz? Nie mam pojęcia. Padam na czworaka, rozrzucam gruz i belki, aż wreszcie trafiam dłonią na rękojeść. Sztylet, tylko jeden. Chwytam go w garść. Odwracam się. Przez zasłonę deszczu widzę zarys jego sylwetki, równie czarny i groźny jak przewalające się nad moją głową

chmury. Biorę zamach, celuję prosto między oczy. Teraz nie chybię.

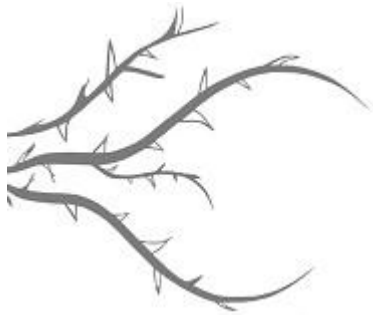
Wtem: kaleczący uszy trzask, oślepiające światło. Błyskawica.

Bije prosto we mnie, przyszpila mnie do parkietu. Mam wrażenie, że płonę. Że stoję w Tyburn na stosie. Żar i dym. Ogień rodzący się wewnątrz i wywołujący ból, którego nie są w stanie ukoić nawet krople rozszalałej ulewy.

Wrzeszczę.

– Dość.

Na dźwięk tego głosu, gdy Blackwell go rozpoznaje, ustaje wszystko. Cichnie deszcz i burza. Tylko moje cierpienie wciąż trwa. Przykuwa mnie do podłogi. Nie jestem w stanie się poruszyć, nie mogę myśleć. Wciąż jednak widzę. Jego. Ich. Stojących w drzwiach zniszczonego, zrujnowanego pokoju: Caleb w czerni, a w jego uścisku – Nicholas zapewne powiedziałby, że to jedno z wydarzeń, do których dojść musiało – stoi John.



Rozdział 32

Dość – powtarza John i rusza w moją stronę. Caleb go przytrzymuje. – Zostaw ją.

– Nie możesz mi rozkazywać. – W głosie Blackwella pojawia się triumfalna władcza nuta.

– Mam coś, czego potrzebujesz – odpowiada John. – Jeżeli naprawdę ci na tym zależy, zrobisz, co mówię.

Blackwell zanosi się chichotem.

– Komiczna prośba, nie sądzisz? Ale dobrze, zajmę się nią dopiero, gdy rozprawię się z tobą. A tym, co zrobię jej potem, nie będziesz się już musiał przejmować.

– Skoro uważasz, że Elizabeth pozwoli, żebyś ją skrzywdził, to wcale jej nie znasz. Nie tak dobrze jak ja.

Wulgarny, prymitywny uśmieszek.

– O, to z pewnością.

Odkąd John pojawił się w pokoju, jego oczy nie oderwały się od moich nawet na moment. Inni zapewne widzą w jego spojrzeniu strach. Jako jedyna tutaj znam go na tyle blisko, by dostrzec w nim determinację. Podjął decyzję. Zamierza oddać się Blackwellowi, umrzeć dla niego, pozwolić mu uzyskać nieśmiertelność. Nie rozumiem tego i nie chcę.

Odwracam się do Blackwella. Podnoszę się z wolna z podłogi. Wyciągam drżącą rękę, wciąż trzymam w niej nóż i ponownie biorę zamach.

– Elizabeth – szept Johna rozbrzmiewa w pokoju donośnie – nie spraw, by koniec okazał się trudniejszy, niż musi być.

To koniec. John zaplanował go od samego początku, zaplanowali go razem z Nicholasem. Nieważne, co ja miałam w planie, nieważne, iż

posunęłam się do kłamstw i kradzieży, by do tego końca nie doszło. Niemniej odrzucam nóż. Ostrze z głośnym brzękiem upada między gruzy.

Pobłyskujące bielmem uszkodzone oko Blackwella strzela ku Johnowi.

– Pewność, determinacja, męstwo – stwierdza przeciągle. – Posiadasz wszystkie zalety, jakie cenię u swych ludzi najbardziej. W dodatku, mimo że stoisz po przeciwnej stronie, okazałeś się godnym kustoszem mojej mocy. – Milknie na krótki moment. – Intryguje mnie jedno. Co znamię dla ciebie uczyniło? Co dzięki jego potędze zyskałeś?

John mógłby mu opowiedzieć wiele, zbyt wiele. Odpowiada jednak zwięźle, naznaczonym pogardą tonem:

– Nic – rzuca. – Zupełnie nic.

Beztraska znika z oczu Blackwella, spogląda na Caleba.

– Próbował się bronić?

– Próbował uciekać – prostuje Caleb – wraz z resztą ich armii.

Zarządzili walny odwrót.

– Odwrót – mruczy Blackwell z satysfakcją. – A mój bratanek?

– Nie żyje. – Zjawa wzrusza ramionami. – Osobiście tego dopilnowałem. Zginął, więc jesteś królem.

Spodziewam się, że Blackwell upoi się tą wiadomością. Że będzie ją saczyć niczym wino, pochłaniać niczym frykas na uczcie. Zamiast tego mruży po prostu oczy.

– Zawsze byłem królem – mówi cichym, pełnym gniewu głosem.

Chwila milczenia. Po chwili Caleb nachyla się w niezręcznym głębokim ukłonie.

– Wasza wysokość.

Uciekający John. Martwy Malcolm. Żadna z tych rewelacji nie wydaje mi się prawdopodobna. John nie cofnąłby się przed walką. Prędzej by zginął. A co do śmierci... Keagan na pewno nie pozwoliłaby Malcolmowi zginąć. Nie bez walki, po której zostałyby ślady ognia, plamy krwi. A na Calebie nie widać nic, ma tylko – jak przedtem – lekko przypalone włosy.

Wtem dociera do mnie, jak przemyślnie postąpił Caleb. Odpowiadał na pytania patera, lecz nie mówił mu tego, czego ten chciał

się dowiedzieć. Blackwell nie nakazał mu odpowiadać szczerze. „Można wykorzystać wszystko, czego pater nie rozkaże bezpośrednio” – słyszę w głowie echo opowieści Schuylera. Coś się szykuje, nie wiem tylko co. Spoglądam kolejno na Johna i Caleba, próbuję odgadnąć z ich oblicz prawdę. Oni jednak patrzą przed siebie i na boki, wszędzie, tylko nie w moje oczy. Blackwell pstryka palcami i jak na komendę podchodzi do niego Nicholas.

– Rozpocząć przygotowania.

Nicholas wyciąga rękę i mamroce coś bezgłośnie. Kamyki pod ścielącym się na podłodze gruzem zaczynają się jarzyć, rozgrzewać i kiedy czarnoksiężnik wykonuje zawiły gest, pojawiają się płomienie. Z początku niewielkie, lecz po chwili już huczące, trzaskające, plujące iskrami i dymem.

Marcus sięga między poły płaszcza i podaje Blackwellowi kilka przedmiotów. Woreczek soli, wiązkę ziół i bukłak wody, które mają wyznaczyć północ, wschód i zachód. Od ognia na podłodze zapala kilka cienkich, krzywych świeczek. Jedną trafia na południe, cztery stają pomiędzy głównymi kierunkami. Powstaje ośmioramienna gwiazda.

Dobrze wiem, co będzie dalej.

Wszystko rozgrywa się błyskawicznie.

Nicholas, bezwolny w uścisku Marcusa, zostaje zaciągnięty na środek gwiazdy. Blackwell staje przed nim ze sztyletem w dłoni. Błysk stali, zdławiony jęk bólu i krew – jeszcze więcej krwi – spływa na ostatnie jasne fragmenty szaty maga. Nicholas pada na podłogę, nie żyje. Ofiara została złożona.

Jestem zbyt przerażona, by chociaż jęknąć.

Blackwell sięga do boku i dobywa miecza, tego samego przeklętego miecza, który widnieje wyhaftowany na jego rękawie: Azotha. Tym razem nie słyszę kuszących wezwań. Dzisiaj magiczny oręż po prostu mnie odstręcza. Niczego nie pragnę bardziej niż jego zniszczenia wraz z całą jego mocą i klątwą.

Blackwell zaczyna śpiewać. Jego głos, jedyny w tej chwili dźwięk w pokoju, brzmi czysto. Wszystkie słowa dolatują mnie wyraźnie:

Jestem sędziwy, słaby i chory; kąsa mnie ogień;

Śmierć rozdziera me ciało i kruszy me kości.

*Ma dusza i siła już dawno umknęły;
W mym ciele pozostała sól, siarka i rtęć.
Niech się oczyszczą, rozdzielą i błysną;
Niech się przemienią i na nowo narodzą.
To Opus Magnum, największe z mych dzieł.
Tak właśnie domyka się krąg.*

Wprawione w rękojeść Azotha szmaragdy zaczynają migotać, jaskrawo, panicznie, jakby zrozumiały naturę przemiany, do jakiej ma niebawem dojść.

– Ty! – Blackwell wskazuje palcem Johna, wciąż stojącego w uścisku Caleba.

– Nie! – Wreszcie wraca mi głos. – Nie rób tego. Nie...

Skaczę ku niemu, ku nim obu, lecz w tej samej chwili Blackwell unosi dłoń i długi kawałek szkła leci przez cały pokój i trafia mnie w twarz. Syczę.

– Elizabeth! – rozlega się okrzyk Johna. Przyciskam dłoń do policzka. To tylko draśnięcie; długie, piekące i krwawiące, lecz niezbyt głębokie. Niemniej traktuję je jako ostrzeżenie. – Nie – dodaje John. – Proszę cię.

– Dobrze – odpowiadam. – Dobrze. – Staram się być równie dzielna jak on, ale to niemożliwe. Wszystko, co dotąd uczyniłam, wszystko co do joty, poszło na marne. Nicholasa ocaliłam tylko po to, by zgasł na naszych oczach. Johna uratowałam jedynie po to, żeby dobrowolnie odegrał rolę idącego na rzeź jagnięcia. Oni obaj również ratowali mnie nadaremnie. Udało się raz, dwa razy, lecz trzeciego już nie będzie.

Caleb prowadzi Johna naprzód, na środek gwiazdy. John nie waha się, nie potyka ani się nie opiera. Podchodzi prosto do Blackwella i zatrzymuje się tuż przed nim. Stoją oko w oko. John nie ma już na sobie zbroi, poszarpana w trakcie bitwy koszula wisi w strzępach. Twarz ciemnieje od brudu, pot skleja mu włosy. Trwa jednak wyprostowany jak struna i patrzy Blackwellowi w oczy. Nawet nie drgnął w obliczu grozy, jaką ten potwór roztacza wokół.

– Nie będziesz stawiać oporu – odzywa się Blackwell – jeśli nie

chcesz ujrzeć, jak ktoś podrzyna jej gardło, boleśnie i powoli. Nie będziesz stawiać oporu – powtarza – jeśli chcesz, by spotkał ją litościwy koniec.

– Co mam zrobić? – pyta spokojnym głosem John.

– Ty? – prychnął mag. – Ty nic.

I wtedy, bez uprzedzenia, bezceremonialnie podnosi Azotha.

I wbija go Johnowi w pierś.

Przez moment nie dzieje się nic. Potem – błysk. Narasta stopniowo, jak wcześniej ogień pod naszymi stopami, wypływa wprost z ciała Johna, który otwiera szeroko oczy i usta, Wydaje z siebie tylko głuche stęknienie. Na ułamek sekundy sztywnieje, po czym zaczyna konwulsyjnie dygotać, jakby ktoś go szarpał. Oblewające go białe światło przybiera żółty kolor, potem czerwony. Magiczna energia zaczyna Johna spalać, opuszcza go potęga znamienia.

Znam ten ból, wreszcie go sobie przypominam. Pałący żar, wrażenie, iż jakaś siła rozcina mnie od wewnątrz i składa z powrotem. Pamiętam tę pewność, że umrę, pamiętam też, jak błagalnie tej śmierci wypatrywałam.

Znowu rzucam się w jego stronę, próbuję to zatrzymać. W okamgnieniu dopada mnie Caleb, zaciska dłoń na moim ramieniu, odciąga mnie z powrotem. Mówi coś, lecz ja go nie słyszę. Nie słyszę, gdyż głos Caleba tonie w moim wrzasku.

Po chwili światło gaśnie, niczym ciśnięta do wody pochodnia. Czerwień ponownie przechodzi w biel i John pada bez życia na podłogę. Szeroko otwarte brązowe oczy wpatrują się w sufit, lecz nie widzą niczego.

Caleb mnie wypuszcza i podbiegam do Johna. Rzucam się przy nim na kolana. Potrząsam nim, ponieważ tak w podobnych chwilach robią ludzie. Z tego samego powodu wykrzykuję jego imię. Wciąż mam nadzieję, że jakimś cudem okaże się, iż to po prostu żart, dowcip okrutny, lecz jednak dowcip. Mam nadzieję, że lada moment usłyszę jęk bądź kaszlnięcie, a oni obaj odwrócą się na bok, usiądą. Że mimo wszystko udało im się oszukać śmierć.

Nic takiego się nie dzieje. Gładzę dłońmi twarz Johna, jego szyję, sprawdzam puls na jego przegubach, na piersi. Żyły są puste i

nieruchome. On jest pusty i tak bardzo milczący. Nie żyje.

John nie żyje, a ja nie mogę go uratować. Niczego już nie mogę dla niego uczynić. Zupełnie. Przyciskam pięści do zimnej piersi ukochanego i zaczynam łkać. Jednocześnie jednak nie potrafię oderwać oczu od Blackwella.

A on wyciąga Azotha ku ciemnemu jak węgiel niebu, wirującemu nad nami coraz szybciej i szybciej. Ostrze skąpane jest we krwi tak szkarłatnej, iż niemal czarnej. Lecz szmaragdy na rękojęści nie są zielone. Są żółte i rozpalone jak słońce. Nie migoczą, a świecą coraz jaśniej i jaśniej z każdą upływającą sekundą. Blackwell wciąż śpiewa, słowa wypływają spomiędzy jego warg coraz prędzej, pulsują w jednym rytmie z obrotami nieba i bijącymi z Azotha falami światła.

W pokrywie chmur rozwiera się krąg, okno, za którym widać ciemne niebo. A w samym środku prześwitu ukazuje się księżyc. W połowie jasny, w połowie ciemny, zawisa ciężko, wspomaga zakłęcie.

Azoth eksploduje niczym gwiazda. Blask spowija nas wszystkich, wypełnia pokój muzyczny jasnością tak białą i przytłaczającą, że zamykam oczy, kryję twarz w koszuli Johna. Światło wlewa się we mnie, wypełnia mnie żarem tak intensywnym, że znów czuję, jakby moje wnętrzności stanęły w ogniu. Zamykam Johna w ramionach, tulę go i zasłaniam własnym ciałem, mimo że on już wcale nie potrzebuje mojej pomocy, mimo że nie zdołałam uchronić go wcześniej.

Jasność gaśnie równie nagle, jak nastąpiła. Ciemność. Cisza. Unoszę powieki, lecz nie widzę zupełnie nic. Nie widzę Johna, nie widzę własnych rąk, niczego ani nikogo. Słyszę tylko szmer czyjegoś rwanego oddechu – mojego bądź Blackwella.

Pozostali nie oddychają.

Płyną kolejne sekundy. Nie ruszam się, nie porusza się nikt inny, w każdym razie niczego nie słyszę. Wreszcie powoli do pokoju powraca światło. Początkowo łagodne, pod ścianami, pierścień fioletu i czerwieni, rozprzestrzeniający się ku wewnątrz, stopniowo zmieniający barwę na lawendową i różaną, aż wreszcie pomieszczenie tonie w różowej mgiele. Normalnie uznałabym ją za piękną, lecz wyczuwam w niej coś przerażającego, jakby krew splamiła samo powietrze. A pośrodku tego wszystkiego – Blackwell.

Stoi sztywno, tak jak przedtem stał John. Ma szeroko otwarte oczy, w których majaczy.... No właśnie, co? Ból? Strach? Nie wiem. Nigdy nie widziałam u niego żadnych emocji. Ramiona ma wyprostowane przed siebie. Azoth zniknął. Pozostały tylko leżące na podłodze szmaragdy, ponownie zielone, lecz mdłą zielenią rozkładu. Energia, która jeszcze niedawno rozświetlała je od wnętrza, wygasła.

Odnoszę wrażenie, że na moich oczach cofa się czas. Skóra Blackwella zaczyna się scalać, zrasta się i rozciąga na jego twarzy, czarne żyły stają się szare, po czym nikną. Zaklęcie działa. Zawarta w magicznym mieczu moc zniszczenia połączyła się z żywiołem niepokonanej siły znamienia i wspólnie go uzdrawiają.

To już koniec.

To koniec dla nas wszystkich.

Z boku rozlega się szmer. Odwracam się i widzę sunącego ku mnie Nicholasa, czołga się powoli, z trudem. Jeszcze mocniej ściskam Johna, osłaniam go własnym ciałem. Wiem, że Nicholas już bardziej go nie skrzywdzi, lecz on nie zwraca na to uwagi i wciąż się ku nam zbliża.

Podciągam nogę ku sobie, tak samo jak wiele miesięcy temu zrobiłam w więzieniu Fleet. Wtedy, gdy Nicholas przyszedł mnie uwolnić, a ja nie umiałam mu od razu zaufać, kiedy niemal nie pozwoliłam sobie pomóc, gdy prawie go zabiłam.

Nagle nieruchomieję.

Przyglądam się czarnoksiężnikowi uważniej, naprawdę bardzo dokładnie. Ciemne oczy – dotąd puste i niewidzące – skupione są na mnie, pełne świadomości, bólu i rozpaczy oraz emocji najbardziej zbliżonej do strachu ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałam w jego spojrzeniu.

Rozwiał się zaklęcie, które trzymało go w swej mocy. Nie rozumiem, jak to możliwe. Być może Blackwell go uwolnił. Może transformacja, jaką przeszedł, zerwała magiczną więź. Wyciągam rękę, lecz Nicholas zdecydowanie kręci głową. Cofam dłoń.

Podpełza jeszcze bliżej, teraz wyraźnie widzę, jaki jest blady, jak mocno się trzęsie. Na podłodze za sobą zostawił co najmniej połowę krwi. Wreszcie zbliża się na tyle, by dotknąć Johna, bada palcami jego szyję.

– Nie żyje – odzywam się i ogarnia mnie żal tak dojmujący, że chce mi się wyć. – To nie była część waszego planu, prawda? Nie mogliście zaplanować czegoś takiego. – Mój szloch, który tak naprawdę nie ustał nawet na chwilę, przybiera na sile.

– Elizabeth, posłuchaj mnie, posłuchaj. – Nicholas oddycha z trudem, z przerwami, co chwila krztusi się krwią. – Jedność przeciwieństw.

Nagle przestaję płakać.

– Co?

– Wszystko na świecie musi mieć swoje przeciwieństwo. Góra i dół. Biel i czerń. Zniszczenie i niezwyciężona moc – tłumaczy pospiesznie, z przejęciem. Chce, bym pojęła coś, czego wciąż nie rozumiem. – Wszystko ma swoje przeciwieństwo.

– Tak... – Nachylam się ku Nicholasowi, który wciąż trzyma dłoń na szyi Johna, roztrzęsione palce wsunął mu na kark, jakby pieśczośliwym gestem. – Wiem o tym. Rozumiem.

Raz jeszcze ostro kręci głową.

– Nieśmiertelność. Ona również ma swoje przeciwieństwo. Słyszysz mnie, Elizabeth? – Znów kaszel, kolejne krople krwi. – Nieśmiertelność nie może zaistnieć, jeśli nie zaistnieje jej przeciwieństwo.

Spoglądam na Blackwella. Wciąż stoi na środku pokoju, ręce nadal ma wyciągnięte przed siebie. Po chwili drga i bada dłońmi pierś. Przez uzdrowioną bladą twarz przemyka wyraz niepewności. Odnoszę wrażenie, że spodziewał się czegoś innego. Jakie doznania powinny towarzyszyć nieśmiertelności? Jak ona wygląda? Jak oddycha nieśmiertelny? A może nieśmiertelność po prostu nie istnieje?

– Nieśmiertelność również ma swoje przeciwieństwo – szepczę i w końcu coś zaczyna do mnie docierać.

Azoth – magiczny miecz, który obrócił się w pył i zniknął – oddał swoją moc zniszczenia, tak jak oczekiwał Blackwell. Niszczycielska energia połączyła się z niepokonaną siłą znamienia i wspólnie wkroczyły na wyższy poziom. Tak jak chciał Blackwell.

Nie wiedział jednak czegoś, o czym wiedzieli – skąd? – Nicholas i John. Nieśmiertelność nie może zaistnieć bez swego przeciwieństwa.

Obie magiczne potęgi zniosły się, zlikwidowały wzajemnie i teraz Blackwell nie posiada żadnej.

Stał się śmiertelny.

– Krąg się domyka. I ty musisz domknąć go do końca. Do jego końca. Rozumiesz, co mówię? Ro..

Nicholas pada na podłogę. Palcami wciąż obejmuje szyję Johna. Zamyka oczy i nieruchomieje ostatecznie, straszliwie.

Muszę zamknąć krąg.

Chciałam, by to zadanie właśnie mnie się dostało już wtedy, gdy przysięgałam ochronić Johna przed śmiercią. Sama bym dla siebie takiej roli nie napisała, lecz przypadła mi i tak. Muszę zakończyć coś, co zaczęło się zbyt dawno, bym mogła to pamiętać. Muszę doprowadzić do końca historię, która miała swój początek beze mnie, ale zostałam w nią zamieszana i teraz stała już tylko moja.

Czy aby na pewno?

A czy to ma jakieś znaczenie?

Blackwell – zupełnie jakby czytał mi w myślach – zwraca się w moją stronę. Wyraz jego spojrzenia zdradza, że uznał mnie za winną. Obwinia mnie za to, co się z nim stało, i za to, co się z nim nie stało. Za to, czego wciąż nie potrafi pojąć. Stoi i wpatruje się we mnie, nadal otoczony krwawą aureolą różowej mgiełki. Czarne oczy ciemnieją jeszcze bardziej.

– Ty to zrobiłaś! – Wykonuje krótki gest dłonią. Natychmiast podbiega do niego Marcus i wręcza mu własny miecz.

Blackwell rusza w moją stronę, kołysząc przed sobą ostrzem. Powoli, leniwie.

– Ty to zrobiłaś. Wspólnie z nim. – Nie wiem, czy ma na myśli Nicholasa, czy Johna. Szczegół bez znaczenia.

Wstaję na równe nogi. Powoli, boleśnie, czując pogruchothane kości, krwawiące rany i oparzenia. Wydobywam się spomiędzy gruzów i rzezi, odrywam się od Nicholasa i Johna. Najbardziej cierpię z tego powodu, że musiałam wypuścić go z objęć.

– Powiedziałeś kiedyś, że sami tworzymy własnych wrogów – mówię z przekonaniem, lecz w moim głosie słychać zmęczenie podobne do tego, jakie towarzyszyło ostatnim chwilom wszystkich moich

dotychczasowych bitew. – Nigdy nie byłam twoim wrogiem. Oni też nie.

– Spiskowałaś przeciwko mnie. Oszukałaś i zdradziłaś. A teraz stajesz przede mną i nadal próbujesz mnie zwodzić.

– Powiedziałam, że nie byłam twoim wrogiem – kładę nacisk na słowo „byłam”. Pochyłam się i ostrożnie wysuwam z pochwy miecz Johna. Ostrze jest brudne, splamione krwią. To zwykły miecz. Jeżeli Blackwell stał się zwykłym człowiekiem, zwykłym śmiertelnikiem, nie potrzeba mi niczego więcej. – Nie byłam, lecz stałam się nim teraz.

– Myślisz, że zdołasz mnie zabić? – pyta tonem, który ulega pewnej przemianie. Słowa drżą w powietrzu, bardzo nieznacznie, ale drżą.

On się boi. Przynajmniej raz jest taki sam jak ja, jak my wszyscy. I przez chwilę robi mi się go niemal żal.

– Powinieneś być zostawić mnie w spokoju – podejmuję. – Gdybyś odpuścił, byłabym dla ciebie nikim. Ale ścigając mnie, stworzyłeś sobie zaprzysięgłego wroga. I za to, co im zrobiłeś, co zrobiłeś nam wszystkim, teraz ci odpłacę.

Unoszę miecz Johna. Wtem rusza w moją stronę Marcus. Kroki stawia sztywno, z wahaniem, jakby poruszał się wbrew własnej woli, jakby zmagał się z wolą Blackwella. Caleb nawet nie drgnie. Krótkim ruchem dłoni Blackwell daje im znać, by trzymali się z boku – jego ostatnia moc, władza patera nad zjawami.

Próbuje krążyć, zejść mnie z boku. Próbuje, lecz ja poruszam się niczym jego lustrzane odbicie. Podrzuca miecz ku górze i bierze zamach. Wyprowadza powolny, niepewny cios – cios śmiertelnika, w dodatku śmiertelnika zdjętego strachem. Paruję uderzenie i je odbijam. Brzęk stali zderzającej się ze srebrem wraca echem, odbity od drewnianej boazerii i drewnianego parkietu.

Blackwell atakuje ponownie i znów się osłania. Słyszę, jak dyszy, raz po raz wirując, zamierzając się, podskakując, parując, uderzając. Nie trafia jednak, nie walczy tak dobrze jak powinien, i jest tego świadom. Robi więc coś, czego nie spodziewam się zupełnie.

Rzuca broń na podłogę.

Miecz obraca się w ślizgu, kręci na gładkich deskach i zatrzymuje się dopiero pod ścianą. Zdumienie sprawiła, że przystaję i odwracam na

sekundę spojrzenie. Blackwell więcej czasu nie potrzebuje.

Rzuca się naprzód i chwytając mnie za prawe ramię, za rękę, w której trzymam miecz. Odsuwa ją od siebie, a drugą dłonią łapie pukiel moich włosów i kopie mnie w bok kolana – mocno, silniej niż uważałam za możliwe. Wykorzystuje sztuczkę, której sam mnie nauczył.

Upadam. Z mych ust dobywa się ostry zbolący wrzask. Miecz wymyka mi się z dłoni i ląduje w rumowisku. Z nogą przygniecioną własnym ciężarem próbuję go dosięgnąć, lecz leży za daleko.

– Wykończ ją – rzuca Blackwell do Marcusa.

Zjawia wykonuje polecenie. Rusza na mnie, szare oczy wypełnia ogień. Kroki stawia pewnie, posłuszny rozkazowi. Caleb wciąż czeka u boku Blackwella. Przyglądają się w oczekiwaniu na koniec.

Moje palce po omacku, wściekle przeszukują otoczenie i wreszcie na coś trafiają. Coś chłodnego i gładkiego. Rękojeść. Nie miecz, lecz sztylet. Wygrzebuję go spod kamieni i kucam.

Widząc, jak biorę zamach, Blackwell otwiera szeroko oczy. Otwiera je jeszcze szerzej, gdy wypuszczam ostrze z ręki. Trafiam tam, gdzie chciałam. Prosto w jego pierś, dwa cale na prawo od środka. W serce. Blackwell bełkocze i pada na kolana. Krew wykwita na jego bluzie, plamiąc herbową czerwoną różę – tę dławiącą samą siebie, kolczastą różę. Natychmiast czernieje od wilgoci.

Marcus skacze na mnie z gniewnym rykiem. Jest jak dzikie zwierzę. W oczach ma nienawiść i żądzę zemsty. Nie udaje mu się. Caleb dopada go, zanim on dopada mnie. Wszystko rozgrywa się błyskawicznie – chwila przepychanki, przekleństwo – gwałtowne szarpnięcie, trzask pękającego karku i Marcus osuwa się na podłogę, martwy po raz drugi. Na jego obliczu tężeje paskudny wyraz zdziwienia.

Blackwell sięga do tkwiącego mu w piersi noża i go wyciąga. Tryska fontanna krwi. Stłumiony jęk bólu, wstrząśnięte spojrzenie na Caleba. Wciąż jeszcze żyje, nadal oddycha, a ja nie mam czasu. Już zaraz rozkaże Calebowi to, co przed chwilą Marcusowi.

Podnoszę się i uginam pod ciężarem uszkodzonego kolana i ran rozsianych po moim ciele niczym czerwone płatki. Zerkam na miecz Marcusa, ten, którego Blackwell tak beztrudnie się pozbył. Spoglądam na Caleba. Wiem, że słyszy moje myśli, wie, co zamierzam. Blackwell

również wie, musi wiedzieć. Zostały mi tylko sekundy. Caleba nie powstrzyma już nikt.

Skaczę po broń, podrywam ją i zanim mogę zobaczyć malujący się w oczach Blackwella strach, obawę przed porażką i śmiercią, nim pozwolę sobie na chwilę zastanowienia bądź litości, wbijam ostrze w jego pierś. Stal wchodzi w ciało z młaśnięciem, gładko. Niczym dłoń zanurzająca się w ciepłej wodzie. Wchodzi i już tam zostaje, a jego życie odpływa.

Królobójstwu nie towarzyszy nic wyjątkowego: nie dzieją się cuda, nie buchają płomienie, sufity nie spadają nikomu deszczem na głowę. Koniec Blackwella przychodzi identycznie, jak przyszedł koniec Nicholasa i Johna, tak samo jak przychodzi koniec wszystkich ludzi: szybko, cicho, boleśnie.

Nieodwracalnie.



Rozdział 33

To już koniec.

Magia, którą Blackwell posiadał i dla swoich celów wypaczył, ta sama, która ostatecznie obróciła się przeciwko niemu, zniknęła. W pokoju od razu robi się jaśniej. Chmury, jeszcze kilka chwil temu czarne i złowróżbne, rozprzeczły się po niebie, odsłaniając przytłumione wczesno poranne niebo.

W świetle wyraźnie widać otaczające mnie zniszczenie: krew, sterty gruzu, rozrzuconą broń, stłuczone szkło. Ciało Johna i Nicholasasa.

Nie poruszam się, nie odzywam. Nawet wtedy, gdy Caleb powoli, powłócząc nogami wśród połamanych desek i skruszonego kamienia, podchodzi do Blackwella, którego ciało jest równie martwe i nieruchome jak pozostałe zwłoki. W odróżnieniu od nich na jego twarzy zastygł grymas bólu i porażki. Nie zaznał spokoju nawet po śmierci.

– Nie żyje. – Na twarzy Caleba ponownie rozpała się ten błysk, który widziałam już wcześniej na polu bitwy. – Mam wrażenie, że odzyskałem oddech.

– Wiedziałeś. – W moim głosie nie ma emocji, bo niczego już nie czuję. – Wiedziałeś, że tak się to skończy. Pomogłeś mi.

Zjawa kręci głową.

– Nie od początku. Nicholas i twój uzdrowiciel to zrozumieli. Pojęli, co tak naprawdę oznacza jedność przeciwieństw. Dlatego właśnie poświęcili siebie. Po to, by Blackwell mógł podjąć próbę. Wiedział też o tym twój drugi przyjaciel, Schuyler. Odezwał się w moich myślach. Powiedział, że mogę pomóc. Jemu. Nicholasowi. I tobie.

– I sobie samemu. – W tych słowach zawiera się tyle gorzkości, że prawie mnie dławią.

– Owszem, sobie również. – Caleb nie wypiera się prawdy. –

Blackwell nie żyje, a my wszyscy jesteśmy wolni. Przecież tego właśnie chciałaś, prawda? Uwolnić się?

Wolna... Bez Johna i Nicholasa to słowo oznacza niemal tyle co „samotna”. Zdaję sobie jednak sprawę, czego oczekuje ode mnie Caleb. Chce, bym potwierdziła wagę jego udziału w tych wydarzeniach, żebym doceniła ryzyko, jakie podjął, pogratulowała mu występu w roli, której nie mógł odegrać nikt inny. Przecież nie tylko John i Nicholas musieli zginąć, by świat mógł pozbyć się Blackwella.

– Anglia jest wdzięczna za to, czego dokonałeś. – Nie jestem w stanie powiedzieć niczego więcej.

– Może pewnego dnia i ty mi podziękujesz.

Kiwam głową, lecz jednocześnie zaczynam się cofać. Nie chcę z Calebem rozmawiać, przestaję go słuchać. Chcę usiąść obok Johna i siedzieć przy nim tak długo, aż stanie się to nieznośne. Potem będę musiała się zastanowić, w jaki sposób przekazać Peterowi wiadomość o śmierci syna. Jestem bliska myśli, iż wolałabym, żeby i pirat zginął. Nie musiałby brać na barki tak straszliwego brzemienia.

Caleb obrzuca spojrzeniem wybite otwarte okna. Marszczy czoło, wydyma wargi, kręci głowę. Widywałam podobne zachowanie u Schuylera – ma taką minę zawsze, gdy łączy w jedną całość strzępki cudzych myśli.

– Wycofują się – oznajmia po chwili. – Żołnierze Blackwella odchodzą. Słyszę ich. – Zbliży się do okna. Szkło zgrzyta pod jego podeszwami. – Ja też powinienem już iść.

Nie pytam, dokąd się wybiera. Wychodząc przez okno, zatrzymuje się – na pół oświetlony, na pół skryty w mroku – i odwraca ku mnie.

– Myślisz, że jeszcze się kiedyś spotkamy?

Spoglądam na niego. Rozstanie z Calebem – kolejne w moim życiu – tym razem nie wywołuje we mnie żadnych uczuć. Pojawiło się między nami zbyt wiele zła i nie da się już tego odwrócić.

– Nie wiem – przyznaję. – Jednak chyba lepiej będzie, jeżeli już nigdy się nie zobaczymy.

Caleb nie odpowiada. Po prostu kiwa głową. Płynnie niczym duch znika za oknem. A ja zostaję sama. Powoli, zupełnie jak w koszmarze, z którego nie można się obudzić, podchodzę do bladych i nieruchomych

zwłok Johna. Obok niego leży ciało Nicholasa. Po śmierci czarnoksiężnik wygląda znacznie młodziej. Twarz ma zbielałą, spokojną, niczym wykutą z marmuru – a jego łagodna mina sprawia niemal wrażenie uśmiechu. Dłonie zastygły mu na piersiach. Jest zupełnie nieruchomy.

Kłękam obok Johna i sięgam po jego dłoń. Jest bardzo zimna, gdy dotyka mojej rozpalonej skóry. Oczy – przedtem otwarte – ma w tej chwili zamknięte. To zapewne Nicholas opuścił mu powieki. Również jego ciało zmieniło nieznacznie pozycję. Głowa przechyliła się w stronę okna. Tak, to na pewno za sprawą Nicholasa.

W przeciwieństwie do czarnoksiężnika, John nie wydaje się po śmierci młodszy, a na jego twarzy nie widać ukojenia. Sprawia wrażenie śpiącego człowieka, którego nawiedził mocno nieprzyjemny majak. W dodatku wygląda tak, jakby lada moment miał otworzyć oczy i opowiedzieć, co mu się przyśniło. Jednak już ich nie otworzy. Ta prosta, niezmienna prawda jest dla mnie czymś nieznośnym.

– Przepraszam – powtarzam to słowo raz po raz, wtulona w Johna, wczepiona w jego bluzę. Kołyszę się w przód i w tył, szepcząc i łkając, aż wreszcie tracę głos i ramiona opadają mi bezradnie, osłabione wyczerpaniem i żalem.

I wtedy czuję dłoń na mojej szyi, palce muskające mi włosy. Nie ruszam się, nie od razu. Ponieważ wiem, że kiedy się odwrócę, zobaczę stojącego przy mnie Petera. Ujrzę wyryty na jego twarzy ból, taki sam, jaki widnieje na mojej, i po prostu nie wytrzymam. Gdy jednak słyszę, jak wypowiada półgłosem moje imię: „...beth” tak cicho, że jest to prawie sam oddech, podrywam gwałtownie spojrzenie.

John odwrócił głowę, patrzy na mnie jednym, ledwie otwartym okiem. Dłoń, która przed chwilą pieściła moje włosy, zawisła w powietrzu. Z trudem unosi drugą powiekę i mruga. Opuszcza rękę, palce szukają rąbka mojej koszuli.

Przeżalenie nie pozwala mi się odezwać. Boję się zrobić cokolwiek, co mogłoby odebrać mi tę chwilę, rozwiałyby czar, co mogłoby unicestwić tę szansę i uczynić ją na powrót nierealną.

Kiedy jednak ponownie wypowiada moje imię, głośniejszym i bardziej wyraźnie, udaje mi się wydukać dwa krótkie słowa:

– Jak to?

John milczy. Obraca tylko głowę i tam, na skórze karku, w miejscu, którego dotknął Nicholas, widzę maleńki symbol herbowej lilii, nie większy niż odcisk kciuka, nie bardziej ciemny niż słoneczne oparzenie. To wszystko, co zostało po Nicholasie, po jego magicznej mocy. Przekazał ją Johnowi, uleczył go, kiedy obaj umierali.

– Och... – Wciąż nie jestem w stanie mówić.

Wtulam głowę w pierś Johna, obejmuję go, przywieram. John opiera się o mnie i szepce mi coś na ucho. Drżenie jego głosu i mój rozszalały oddech sprawiają, że nie rozumiem wypowiedzianych przez niego słów, lecz wyczuwam bijącą z nich miłość i poczucie ulgi.

Wreszcie pomagam mu powoli usiąść i wstać. Chwieje się, mocno chwyta mnie za ramię.

– Jak się czujesz? – Nie wiem, czy pytam o to, jak się czuje bez znamienia, z magią Nicholasa, czy jak się czuje po śmierci. Być może chcę się dowiedzieć wszystkiego naraz.

– Trudno powiedzieć. – Uśmiecha się do mnie nieśmiało, jakby rozumiał, o co pytałam. – Jestem zmęczony. Trochę kręci mi się w głowie. Ale wiesz co? Przede wszystkim czuję się na powrót sobą.

– Caleb powiedział, że wszystko razem z Nicholasem zaplanowaliście – mówię. – Kiedy?

– Podczas mojego pobytu w Rochester Hall – odpowiada John. – Nicholas przyniósł mi książki, dzięki którym wszystko pojąłem. Był to jeden z powodów, dla których mnie zamknął. Chciał, bym zrozumiał, na czym polega moja rola w tej historii oraz co będę musiał zrobić i co czeka nas obu.

– Czy ktokolwiek inny znał ten plan? Twój ojciec? Fifer?

– Fifer – przyznaje John. – Domyśliła się jeszcze wcześniej niż ja, aczkolwiek trudno jej się było z tym pogodzić. Zwłaszcza pod koniec

Przypominam sobie, że ostatnio rzeczywiście zniknęła. Nie wzięła udziału w zabawie przed bitwą. Zniknął też Schuyler.

– Ojcu powiedziałem dopiero ostatniej nocy – tłumaczy dalej John. – Zresztą, omal się nie rozmyśliłem. Nie chciałem jednak, by uznał, że zaplątałem się w to nieświadomie.

– Przede mną nie zdradziłeś się słowem.

Potakuje skinieniem.

– Miałem świadomość, że gdybym ci powiedział, mógłbym nie być w stanie tego zrobić.

Bierze mnie za rękę i wychodzimy ze zrujnowanego pokoju muzycznego na korytarz. Wokoło cisza i spokój, podobna atmosfera panuje w sąsiedniej kaplicy. Delikatnie przenosimy zwłoki Nicholasa do prezbiterium i nakrywamy je bogato zdobionym ciężkim obrusem z ołtarza. Potem kierujemy się na dziedziniec.

Tutaj nie ma nawet śladu wojny, nie widać zniszczenia, lecz to wcale nie oznacza, że jesteśmy bezpieczni.

I nie jesteśmy. Gdy zostawiamy za sobą cisową aleję i wkraczamy na łąkę, ukazuje się nam bitwa, która toczy się teraz wśród pól i wiejskich chat pod Rochester. Walki trwają też na placu ćwiczebnym, pomiędzy namiotami, w szrankach. Wszędzie widać biegnących uzbrojonych ludzi. Mężczyzn w czerni i mężczyzn w błękicie i czerwieni. Między nimi spostrzegam też kilkoro osób w bieli.

Szarpię Johna za rękę i wciągam go z powrotem w aleję.

– Zaczekaj – spogląda w kierunku odległej linii drzew – oni nie nacierają, cofają się. Sama zobacz.

Ostrożnie wracamy na łąkę. John ma rację. Tak jak rację miał Caleb. Ludzie Blackwella, ci, którzy zdołali dotąd przeżyć, pędzą przez pola w desperackiej próbie ucieczki. Niebo nad naszymi głowami jest czyste – nie suną po nim czarne chmury, nie szybują skrzydlate monstra. Dokoła rozciąga się poranny zielony pejzaż.

– Poszukam ojca – mówi John. – Muszę mu dać znać, że nic mi nie jest. Chcę też w miarę możliwości pomóc rannym.

Ruszamy w stronę mostu, nie oddalając się od siebie ani na chwilę, ani na moment nie pozwalając sobie na nieostrożność. Rozglądamy się wśród rozrzuconych ciał, wypatrujemy znajomych twarzy, lecz są to przede wszystkim żołnierze Blackwella i garść przybyszy z Galii. Dokładnie sprawdzamy stan każdego, lecz okazuje się, iż nawet tym, którzy jeszcze żyją, John nie jest w stanie pomóc.

Za mostem sytuacja zmienia się diametralnie. Tutaj droga usłana jest ludźmi noszącymi barwy obu stron. Niektórzy są ranni, lecz większość leży martwa, w tym dwie osoby w bieli. Pierwszą jest młody

chłopiec. Nie znam go. Druga to mała dziewczynka, Miri, ta, która miała władzę nad wodą. Czuję bolesne ukłucie smutku – skończyła przecież ledwie dziesięć lat. John rusza ku wciąż żywym, chce się przekonać, czy zdoła komuś ulżyć. Ja idę dalej przez pole i wśród krążących wokół ludzi próbuję znaleźć Petera.

Po chwili natykam się na Malcolma. Leży na polanie. Jest sam. Od razu dociera do mnie, że jest ranny – widać to po sposobie, w jaki się porusza, bardzo powoli obraca z boku na bok. Co chwila wygina plecy, jego rozcapierzone palce drapią wśród zdeptanej rzadkiej trawy. A pod nim rozlewa się kałuża krwi, rosnąca, rdzawa, jasna.

– Malcolm! – Pędzę ku niemu, klękam obok i biorę go za rękę. Dłoń ma śliską od krwi – własnej bądź cudzej. Nie ma już na sobie napierśnika. Niebiesko-czerwona bluza jest pocięta, poszarpana.

– Jak nam poszło? – Spogląda na mnie jednym na wpół otwartym okiem, szarym i bladym w kontraście do uwalanej krwią twarzy. – Zwyciężyliśmy?

W tym momencie pojawia się John, idzie powoli, zdyszany. Przyklęka obok Malcolma, podnosi bluzę i sprawdza, co zostało z kolczugi. Niewiele, metalowe kółka wyglądają, jakby coś je przeżuło. Uzdrowiciel z troską usuwa te nędzne resztki, kawałek po kawałku.

– Tak, zwyciężyliśmy – odpowiadam.

Malcolm przymyka oczy, oddycha głęboko. Kiedy wypuszcza powietrze, unosi powieki.

– A stryj? – Nie ucieka spojrzeniem. – Jak sobie poradził w tym piekle?

Rozważam, czy nie powiedzieć mu, że nie wiem. Dociera do mnie jednak, że on sam już wie. Rezygnacja maluje się na jego twarzy, w jego minie. Muszę wytrwać w prawdzie. Nie uciekam przed nią.

– Nie żyje.

– Skrzywdził cię?

– Nie – mówię. – I nigdy już tego nie zrobi.

Malcolm znowu zamyka oczy. Kiedy je otwiera i spogląda na mnie, widzę smutek i światło, ulgę i mrok, wszystko naraz. Połączenie nierealne, podobnie jak magia Azotha, lecz w odróżnieniu od niej niewiarygodnie ludzkie.

– Nie mogę powiedzieć, że mi przykro – podejmuje – ale nie umiem też stwierdzić, że się cieszę. Ot, ironia, prawda? Nie miałem nikogo poza nim, a on pragnął mojej śmierci. A teraz odszedł.

– Nie był twoim jedynym przyjacielem – mówię, mimo że nie jestem pewna, czy nie kłamię. Nie mam pojęcia, co może Malcolma czekać w Rochester czy w Upminster. Gdziekolwiek.

– Mówisz tak tylko dlatego, że umieram. – Zupełnie jakby czytał mi w myślach.

– Nie umierasz.

– Postaraj się nie odzywać za często – radzi mu John. Delikatnie podwija bluzę rannego.

Mimowolnie syczę. Na piersi Malcolma widnieje ukośne rozcięcie, od pachy po biodro. Jest cały we krwi. John wysuwa sztylet zza pasa króla.

– Rozetnę teraz resztę koszuli, dobrze?

Malcolm kiwa łagodnie głową, uzdrowiciel zabiera się do pracy. Odcina kawałek tkaniny i się jej przygląda. Odrzuca ją na bok. Zdejmuje własny napierśnik i koszulę. Do pasa jest nagi.

– Co ty robisz? – Otwieram szeroko oczy.

– Muszę zatamować krwotok. – John uciska własną koszulą rozplataną pierś Malcolma. Biały len błyskawicznie nasiąka krwią. – Przytrzymaj to – zwraca się do mnie i wstaje. Zaczyna biegać po polu, co chwila przystając. Rozgląda się po ziemi.

Znika między drzewami i wkrótce wraca, trzymając w dłoni wiązkę białych kwiatków. Kielichy w kształcie dzwonek, ciemnozielone, ostro zakończone listki. Gdyby nie powaga sytuacji, parsknęłabym śmiechem.

– Ty to się jednak znasz na uwodzeniu – odzywa się Malcolm, gdy uzdrowiciel klęka przy jego boku. – Istna rajfurka na placu bitwy. Nie dość, że demonstrujesz piękny tors, to ledwie uniknąłeś śmierci, popędziłeś dla mnie po bukiet.

John rzuca mu pełne politowania spojrzenie, odrywa z łodygi kilka listków i wkłada je sobie do ust. Przeżuwa.

– Przepraszam. Cofam, co powiedziałem – podejmuje Malcolm. – Dopiero teraz widać, jak potrafisz kusić.

– Żywokost – mamroce niewyraźnie John. – Zatrzymuje krwawienie. – Wypluwa na dłoń liściastą zieloną maź.

– Paskudztwo. – Malcolm sprawia wrażenie szczerze zde gustowanego.

– Jeśli wolisz, pozwolę ci wykrwawić się na śmierć – odpiera spokojnie uzdrowiciel. – My sobie pójdziemy, a mewy wydziobią ci oczy, dziki rozniosą ciało na strzepy, po czym resztki po uczcie dojedzą czerwonoookie wrony.

– Nie, nie. Dziękuję uprzejmie. Czyń, co musisz.

John upycha roślinną masę do rany i dociska ją dłonią. Z ust Malcolma wypływa strumień przekleństw, cały się wije.

– Ból za moment ustąpi – zapewnia uzdrowiciel.

Po chwili odrywa rękę. Brzegi rany pokryte są czerwonymi i zielonymi lepki mi plamami, lecz zgodnie z zapowiedzią, krwotok zanika. John sięga po nóż i tnie koszulę na pasy, którymi ciasno owija ranioną pierś Malcolma.

– Trzeba cię stąd zabrać – mówi i rozgląda się dokoła. Trupy żołnierzy, żywi żołnierze wciąż biegający z bronią w ręku. – Możemy spróbować przedostać się lasem do Rochester, tyle że nie mam pojęcia, co może się tam czaić... Ach, to ty.

Podnoszę spojrzenie i widzę wychodzącego spomiędzy drzew Schuylera. W jednej dłoni ściska miecz, w drugiej trzyma szare zawiniątko. Przystaje, przygląda się nam.

– Całkiem, całkiem – ocenia, zerkając na odsłoniętą pierś uzdrowiciela. – Widzę, że w modzie jest styl antycznego gladiatora. Może doniosę ci przepaskę biodrową? I parę sandałów? I doprowadzę lwa?

John odpowiada zjawie obscenicznym gestem, po czym, ku memu zaskoczeniu, wybucha śmiechem.

Schuyler rzuca mu zawiniątko. Koszula.

– Znalazłem ją w okolicy. Pomyślałem, że może się przydać.

Uzdrowiciel zakłada ją bez słowa podziękowania.

– Umrze? – Zjawa wskazuje ruchem głowy Malcolma.

Rzucam mu wymowne ostre spojrzenie.

– Nie umrze – zapewnia John. – Rana jest koszmarna, lecz nie

śmiertelna. Niestety, cięcie jest nierówne, przy szyciu trzeba się będzie namęczyć. – Przez twarz przemyka mu niespokojny cień. Wiem dlaczego. Po wszystkim, co przeszedł, mógł zapomnieć, jak zakłada się szwy. – Co to właściwie było? – zwraca się do Malcolma. – Zębaty sztylet?

Malcolm kręci przecząco głową.

– Nie, to nie stal. Szpony. – Wyciąga palec ku niebu. – Porwało mnie jedno z tych przeklętych strazydeł. Wzbiliśmy się na dobre sto stóp, zanim ktoś je zestrzelił. Wypuściło mnie w połowie drogi do ziemi.

– Masz szczęście, że niczego sobie nie złamałeś. – John milknie i rozważa coś w duchu. – Chociaż kto wie. Jesteś w stanie ruszać rękoma i nogami?

– Wszystkim, z wyjątkiem lewej nogi – odpowiada Malcolm. – Nie mogę jej zgiąć. Już próbowałem.

John zerka na Schuylera.

– Będziesz musiał go ponieść.

Zjawa pochyla się bez słowa i bierze rannego na rękę.

– Pewnie, że nie – mówi Schuyler, spoglądając Malcolmowi w oczy.

Wiem, co usłyszał w jego myślach. Malcolm nigdy w życiu nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek zostanie ranny w trakcie walki, tym bardziej walki toczonej przeciwko własnemu krewniakowi. Nie sądził też, że pierwszej pomocy udzieli mu reformista i zjawa.

– Ale cóż, proszę bardzo. Cała przyjemność po naszej stronie – dodaje zjawa.



Rozdział 34

W Rochester Hall witają nas Fifer z Peterem. Dziewczyna puszcza się biegiem i pędzi do Schuylera, jakby nikogo poza nim nie widziała. Ogląda go od stóp do głów, w jej oczach widać, że ma ochotę naraz śmiać się i płakać. Dopiero po chwili zwraca się do Johna i rzuca mu się w ramiona.

– Nicholas... – Urywa, ale nie mówi nic więcej, niczego więcej powiedzieć nie musi.

John kręci głową i Fifer tuli twarz do jego ramienia. On szepcze jej coś na ucho, słowa toną w dziewczęcym szlochu.

– Postaw mnie. – Malcolm otwiera oko. Mówi bardzo cicho, prawie niedosłyszalnie. – Przecież mogę chodzić... w każdym razie kuśtykać, a ty powinienesz zająć się Fifer... – Przez moment wije się w ramionach zjawy, po czym syczy z bólu i nieruchomieje.

– Siedź cicho i nie wierć się – rzuca John i patrzy na Schuylera. – Mógłbyś go zanieść do infirmerii? Ja też pójdę. Zostanę z nim, a ty zaraz wrócisz.

Spogląda na mnie i mam wrażenie, że chce się usprawiedliwić, ale przecież wcale nie musi. Zostanie przy Malcolmie, dopilnuje, by się nim zajęto. Będzie miał na niego baczenie, bo przecież mimo że jeden wróg zginął, to po świecie wciąż krąży wielu kolejnych.

Schuyler bez słowa niesie rannego przez pole, Fifer nie odstępuje ich na krok. John obiecuje, że wróci jak najszybciej i również odchodzi.

Zostaję z Peterem sama, nie licząc tysięcy biegających dokoła ludzi, krzyczących, wrzeszczących, przeklinających i zanoszących się śmiechem. Mijają nas – jedni rozbici i cierpiący, inni z minami zwycięzców i ulgą na twarzach. Być może nie spodziewali się zwycięstwa, lecz teraz, gdy stało się faktem, doznają dziwnego

oszałamiającego odczucia: mogą świętować, podczas gdy liczni polegli; zwyciężyliśmy, a przecież straciliśmy tak wielu.

Zanim mam szansę cokolwiek powiedzieć, nim mogę się zastanowić, co to zwycięstwo może dla nas oznaczać – dla nas, dla nich i dla wszystkich – Peter czule mnie obejmuje i poklepuje po plecach, jakbym była małą dziewczynką. Szeptem kojące słowa. Nie miałam nawet pojęcia, jak bardzo tego potrzebuję. Rozluźniam się w jego ramionach i płaczę. Pozwalam sobie na łzy, które kapią piratowi na koszulę.

Tłum na polu bitwy stopniowo rzednie, powłóczyący nogami żołnierze wracają do obozu, przez bramę płynie nieprzerwany ludzki strumień. John – upewniwszy się, że Malcolm bezpiecznie spoczął w strzeżonym namiocie, i obiecawszy, że niebawem do niego zajrzy – wraca do mnie, prowadząc ze sobą Schuylera i Fifer.

Przez kilka następnych wypełnionych paniką godzin bezskutecznie próbujemy zlokalizować George'a. Ostatecznie Schuyler znajduje go w grupce dwudziestu pijanych w sztok galijskich wojaków. Przez minutę wściekamy się na niego, lecz potem jeden z żołnierzy podaje Johnowi butelkę wina. John pociąga spory łyk i przekazuje ją mnie. Siadamy wraz z nimi i przez większą część nocy pijemy i śmiejemy się, czując coś, czego nie zazналиśmy od bardzo dawna – ulgę.

Garetha znaleziono znacznie później. W Harrow, w sąsiadującej z jego domem katedrze, skulonego przy ambonie, gdzie rozkazał mi zabić człowieka, dla którego zdradził przyjaciół. Znaleziono go z mieczem w dłoni, martwego.

Peter wysnuł teorię, że Gareth zmienił w trakcie bitwy zdanie, zdradził po raz kolejny. Być może został ranny już wcześniej, być może czyjeś ostrze dosięgło go dopiero podczas powrotu. Rana nie była głęboka, gdyby wycofał się do Rochester, uzdrowiciel pomógłby mu bez większego trudu. A jednak wykrwawił się na śmierć; nie założył sobie nawet opatrunku, nie zatrzymał krwotoku. Z drugiej strony, niewykluczone, że przez dłuższy nie zdawał sobie sprawy, jak poważna jest rana, a potem było już za późno.

Kilka dni potem pochowaliśmy Nicholasa w ogrodzie jego domu, który należy obecnie do Fifer. Wprowadziła się tam z Schuylerem i przeżywają żałobę w odosobnieniu.

Po śmierci Blackwella Anglia popadła w kryzys. Staliśmy się królestwem bez władcy. Po kapitulacji członkowie rady Blackwella, dawni doradcy Malcolma, spotkali się z radą Harrow, której przewodniczył Fitzroy, świeżo mianowany regent Anglii. Przez wiele dni rozważali bezprecedensową kwestię – komu ma przypaść korona.

Zgodnie z prawem, powinna wrócić do Malcolma. Tyle że on wcale nie chce jej przyjąć

– Nie mogę – powtarza.

Znajdujemy się w jednej z setek bogato urządzonych komnat Rochester Hall. Większość pomieszczeń w twierdzy zajmują teraz dochodzący do zdrowia żołnierze. Siedzę na krześle obok łóżka, John zajął miejsce naprzeciwko. Od bitwy minęło siedem dni, sześć odkąd przeniesiono Malcolma do tej luksusowej sypialni, jakże różnej od pokoju, w którym był wcześniej uwięziony. Mógł skorzystać z usług dowolnego z kilkunastu uzdrowicieli, lecz – ku mojemu zaskoczeniu – dopuszcza do siebie jedynie Johna.

– Nie poradziłem sobie już za pierwszym razem. Sami wiecie, czym się moje rządy skończyły. To ja doprowadziłem do... tego wszystkiego. – Zdawkowym gestem wskazuje za okno. Za szybą widać rojących się w obozie żołnierzy. – Już wcześniej zastanawiałem się, co pocznę w razie zwycięstwa. Myślałem, że przekażę koronę Margaret. Ale to było, zanim... – Urywa i wbija wzrok w podłogę. Wymieniamy się z Johnem spojrzeniami.

Malcolm nie był dobrym mężem, wręcz przeciwnie. Kiedy jednak doszła go wiadomość o śmierci żony, przeżył to bardzo mocno. Naprawdę nie spodziewałam się, że będzie aż tak cierpiał. Nie została zabita, umarła wskutek zaniedbania. Trzy dni temu znaleziono jej ciało w jednym z lochów Fleet. Nieszczęsną kobietę zabrał głód i wyziębienie.

– Jednak ktoś musi wstąpić na tron, i to jak najszybciej – zauważam. – Fitzroy nie może rządzić dużo dłużej. Nie ma ku temu wystarczająco silnego tytułu. Bo co to właściwie znaczy, stryjeczny prawnuk Edwarda Pierwszego? Na razie wszystko wydaje się w porządku, ale wkrótce ktoś zacznie szukać, nie mam wątpliwości, że tak się stanie, i odnajdzie człowieka z bardziej królewskim rodowodem. A jeżeli ten kandydat nie przypadnie do gustu radzie i jednocześnie nie

zrezygnuje z pretensji do korony, wybuchnie następna wojna. A do tego nie możemy dopuścić.

– Jeżeli ogłoszę, że chcę wrócić na tron, wojna wybuchnie i tak – odzywa się Malcolm. – Wciąż mam wrogów, i to wielu. Pozwolicie, że nie będę wyliczał. – Syczy z bólu, gdy John uciska jego złamaną nogę.

– Przepraszam – rzuca uzdrowiciel – ale noga wygląda bardzo dobrze. Myślę, że za sześć miesięcy odzyskasz w niej pełnię władzy. Co prawda, tańce, turnieje i łowy będziesz musiał ograniczyć na jakiś rok, ale w tej sytuacji może to i lepiej.

– Planuję zająć się malarstwem – Malcolm wciąż się krzywi – albo nauczę się grać na lutni.

Przez moment siedzę w milczeniu z powodu tego, co dzieje się na moich oczach. John rozmawia z Malcolmem swobodnie, niemal przyjaźnie, jakby nigdy nie byli wrogami.

Ktoś puka i drzwi stają otworem.

Podrywamy się z Johnem na równe nogi i z szacunkiem skłaniamy głowy.

Fitzroy pozdrawia nas skinieniem, po czym zwraca się do Malcolma.

– Proszę wybaczyć, że nie wstaję, lordzie regencie. – Malcolm uśmiecha się, mówi zupełnie szczerze, bez cienia uszczypliwości. – Jestem nieco niedysponowany.

– Nie przepraszaj. – Fitzroy również się uśmiecha. – Znajdziesz chwilę? Chciałbym porozmawiać. – Macha ręką i w komnacie pojawia się kilku służących. Niosą tace z jedzeniem i winem, cynowe talerze, kryształowe puchary i drogie sztuce. Zaiste królewska uczta. Regent obrzuca spojrzeniem Johna.

– Wiem, że tego typu strawa nie cieszy się uznaniem medyków, ale może choć ten jeden raz przymknąłbyś łaskawie oko...

– Oczywiście. – John patrzy na Malcolma. – Obiecuj tylko, że nie przesadzisz, dobrze?

– Obawiam się, że dni przesady mam już za sobą – odpowiada Malcolm.

Zostawiamy Malcolma z Fitzroyem i ruszamy długim korytarzem, skąpanym w jasnym świetle. Wybieramy jedno z licznych drzwi i

wychodzimy prosto na jeden z wielu wewnętrznych podwórców zamku. Krąg kamiennych ław otacza szumiącą w ciepłym słońcu fontannę. Na krzewach i żywopłotach pojawiają się pierwsze pączki. Wybieram ławkę. John siada obok mnie.

– Ty i Malcolm... – odzywam się po chwili. – Trochę mnie dziwi, że mu pomagasz... – Zawieszam głos na moment. – Dlaczego? – podejmuję. – Nie chodzi mi tylko o dzisiaj, ale i o dzień bitwy. Dlaczego to zrobiłeś?

– Cóż, marny byłby ze mnie uzdrowiciel, gdybym pozwolił mu umrzeć, nie sądzisz? – John się uśmiecha.

– Nie o to mi chodzi.

– Wiem – przyznaje. – Nie potrafię ci odpowiedzieć w inny sposób. Jeżeli człowiek naprawdę troszczy się o bliźnich, powinien umieć puścić w niepamięć to, jak oni go traktowali. Poza tym w Hexham Malcolm siedział w celi sąsiadującej z moją. Bardzo się wtedy przede mną otworzył. Większość z jego opowieści dotyczyła ciebie.

Wydymam usta. Nie chcę wiedzieć, co takiego wygadywał.

– Oszczędzę ci szczegółów – dodaje John. – Gdybym choć przez chwilę pomyślał, że Malcolm kiedykolwiek chciał cię skrzywdzić, że działał z niskich pobudek, a nie z głupoty i ignorancji, na pewno bym mu nie pomógł. To człowiek zepsuty i kapryśny – mówi dalej – a przy tym niezbyt doświadczony w kontaktach z ludźmi. Od tak dawna żył w otoczeniu osób, które stale mu potakiwały, iż nie bardzo wyobraża sobie świat, gdzie może usłyszeć „nie”. – Chwila ciszy. – Przebaczyłaś mu, prawda?

Potakuję skinieniem.

– Sam o to poprosił i zrozumiałam, że nigdy nie zapomnę o tym, co mi zrobił, jeżeli mu nie wybaczę – odpowiadam. – Rozmawialiśmy tuż przed bitwą i nie byłam pewna, czy będę mieć kolejną szansę. Wtedy wydawało się to sensowne.

– A teraz? – pyta John. – Co myślisz o nim jako przyszłym królu?

– Wydaje mi się, że teraz byłoby inaczej – mówię. – Chyba się zmienił. Wszyscy się zmieniliśmy.

John podnosi dłoń do mojej twarzy, gładzi mnie palcem po policzku.

– W tobie większych zmian nie stwierdzam. – Uśmiecha się i całuje mnie w usta.

– Król Galii zaoferował Malcolmowi rękę swojej córki – obwieszcza Peter. Spacerujemy po kolejnym z dziedzińców, przed jedną z niezliczonych sal, w której odbywa się właśnie następne posiedzenie rady. Piąte w ciągu pięciu dni. Jesteśmy tu w piątkę. John, Schuyler, Fifer, George i ja.

– A jeszcze niecałe trzy tygodnie temu chcieli go sprzedać w niewolę Berberom – przypominam.

– Trzy tygodnie temu był więźniem – odpowiada George – a teraz jest zwycięskim wodzem i prawowitym następcą angielskiego tronu. Królem, który chce abdykować na rzecz człowieka z pospólstwa.

– Fitzroya ciężko nazwać człowiekiem z pospólstwa – zauważam. George wzrusza ramionami.

– Galowie tego problemu nie mają. Fitzroy pochodzi ze znamienitego rodu, ale z królewską dynastią wiąże go zbyt słabe powinowactwo. Stryjeczny prawnuk króla Edwarda to... Przepraszam, Peter, mów dalej.

– Nie mam już zbyt wiele do powiedzenia – podejmuje Peter. – Galijski władca zaproponował mu swoją córkę wraz z okazałym posagiem, w którego skład wchodzi między innymi sto tysięcy liwrow na odbudowę Anglii.

John gwizdże pod nosem.

Peter kiwa głową.

– Takie małżeństwo wzmocniłoby więź łączącą Anglię i Galię. Moglibyśmy się wspólnie bronić przed najazdami z Iberii i przed Niskimi Krajami, gdyby kiedykolwiek zdecydowały się nas zaatakować.

Sąsiedzi postrzegają oba nasze kraje jako słabe. W jednym królestwie nie ma króla, w drugim następcą tronu jest kobieta.

– No dobrze, ale on nie chce – przypominam. – Przecież sam nam o tym powiedział.

– To nie ma znaczenia. – George wzrusza ramionami. – Królowie nie mają w tych kwestiach wiele do gadania.

Peter kręci głową.

– Fakt, nie mają. Dzisiaj wieczorem odbędzie się głosowanie.

Fitzroy jest gotów ustąpić. Jeśli większość zagłosuje na tak, nie zgodzić się będzie mógł już tylko Malcolm. A nie sądzę, by ostatecznie zrezygnował z władzy. Myślicie, że naprawdę odmówi?

Wszyscy spoglądają na mnie, zupełnie jakbym mogła odgadnąć, co postanowi Malcolm. Mimo wszystko próbuję – przecząco kręcąc głową.

Koniec końców wychodzi na moje.

Malcolm przystał na propozycję rady, zgodził się ponownie wstąpić na angielski tron. Rządy będą jednak wyglądać zupełnie inaczej niż kiedykolwiek w przeszłości. Do dyspozycji króla pozostanie rada, jak dawniej. Jednak powstaną dwie dodatkowe rady regionów – Rada Północy i ta druga, osobliwie nazwana Radą Marchii, zarządzająca skrajnie północnymi i południowymi, granicznymi hrabstwami kraju. Zniesiono boskie prawo monarchów, przyznające im nieograniczoną władzę. Zasady spisane na Dwunastu Tablicach ostatecznie przestały obowiązywać. Nowe prawa zostaną przyjęte lub odrzucone na drodze głosowań.

Historia niemal dobiegła końca.

Nie było mnie przy tym, gdy galijska królowa przybyła z dwórkami, posłami, doradcami, zastawą, klejnotami i służbą. Nie było mnie też, kiedy na powrót otworzył swoje podwoje Ravenscourt, którego sale, mury i dziedzińce oczyszczono ze wszelkich śladów wojny i śmierci, z potworów i zjaw.

Tydzień po ponownym wstąpieniu Malcolma na tron rada królewska zajęła swoje komnaty w Ravenscourt, pięknie odrestaurowanym i świeżo wyposażonym, by zatrzeć pamięć o Blackwellu. Wtedy również mnie tam nie było.

Nie mogę wrócić na dwór. Nie sądzę, bym kiedykolwiek się na to zdecydowała. John pomaga ojcu załadować ostatnie kufry na stojący przed ich domem wóz czekający, by zawieźć go do Upminster. Stary pirat został członkiem Rady Marchii i musi się tam stawiać regularnie co miesiąc. Mimo iż nie ma potrzeby, by odwiedzał Upminster częściej, kupił dom w Westcheap, kilka minut spaceru od pałacu.

Przyglądamy się wjeżdżającemu w wąską alejkę wozowi. Błoto tryska z kół na wszystkie strony. Również moglibyśmy nim pojechać, gdybyśmy się zdecydowali. Z Harrow wyparowała już połowa dziewcząt

marzących o roli dwórek przyszłej królowej. Gdybym tylko zechciała, stałabym się częścią tego świata.

Ja jednak wiem, jak bardzo władza związana jest z zepsuciem, jak szybko dobre intencje obracają się w złą wolę. Wiem także, iż wbrew obietnicom i deklaracjom, nawet wbrew prawom, sprawy często zmieniają się we własne przeciwieństwa, a ludzie wkraczają na ścieżki, z których nie mogą zawrócić.

Spoglądam na Johna. Patrzy mi w oczy i dociera do mnie, że czeka – jak zwykle – bym mu powiedziała to, co i tak już wie: że nie wstąpię na dwór Malcolma, bez względu na to, jak gorąco będę namawiana, bez względu na wszystkie zachodzące zmiany. Niektóre rzeczy nie zmieniają się nigdy, a ja nie chcę ich sobie przypominać.

– Nie, nie mogę – mówię.

Na moment przymyka oczy i nabieram przekonania, że go zawiodłam. Że źle odczytałam jego wcześniejsze słowa i spojrzenia. Wtedy jednak podnosi powieki i uśmiecha się do mnie. Bardzo szeroko.

– Dzięki Bogu.

Zaskoczona, aż mrugam.

– Ty też nie chcesz jechać?

John kręci głową.

– Nie, ani przez moment nie zamierzałem. Oczywiście wybrałbym się z tobą. Po prostu chcę być tam, gdzie ty. – Poważnieje. – Wolałem jednak, żebyś to ty podjęła decyzję. Choć raz postąpiła zgodnie z własną i tylko własną wolą. Niczyją inną.

– Jesteś pewien? – pytam. – Samotność nie będzie ci przeszkadzać?

– Nie jestem samotny – odpowiada. – Jestem z tobą.

– Przecież wiesz, o co mi chodzi. – Uśmiecham się.

Odpowiada równie promiennym uśmiechem.

– Nie będziemy tu sami. Schuyler zostaje. Keagan też. Razem z Fifer zakładają w Harrow lożę Zakonu Róży. A co do innych, możemy ich odwiedzać, kiedy tylko zechcemy. W końcu Upminster to nie koniec świata.

– Ale prawie. Na szczęście – zauważam.

– Na szczęście – przytakuje mi John.

Bierze mnie za rękę i pociąga do domu, ku zapraszająco otwartym

na słońce i wiatr jasnoniebieskim drzwiom. To dobre miejsce, by zacząć wszystko od początku. I dobre miejsce, by kontynuować.

